

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WIRY

HENRYK SIENKIEWICZ

TOM I

I

Groński zajechał przed ganek jastrzębskiego dworu koło północy. W domu spali już wszyscy, prócz starego służącego i młodego „dziedzica”, Władysława Krzyckiego, który czekał na gościa z kolacją i powitał go bardzo serdecznie, gdyż pomimo różnicy wieku łączyła ich dawna zażyłość. Trwała ona od tych czasów, w których Groński, jako student uniwersytetu, otaczał pewną opiekuńczą przyjaźnią małego jeszcze gimnazystę Krzyckiego. Później widywali się; często i bliższe przyjazne stosunki Grońskiego z rodziną Krzyckich nie uległy wcale przerwie.

Toteż, gdy po pierwszych powitaniach znaleźli się w stołowym pokoju, młody dziedzic Jastrzębia począł znów ścisnąć Grońskiego, po chwili zaś, usadowiwszy go za stołem, strząsnął z oczu resztki snu, który go poprzednio morzył, rozczmuchał się zupełnie i jął mówić z nieklamana radością:

Ogromnie jestem szczęśliwy, że nareszcie mamy pana w Jastrzębiu. A i matka, jak też, już pana wyglądała! Ja, ilekroć jestem w Warszawie, zawsze zaczynam od pana, ale od ostatniego pańskiego pobytu u nas upłynęły już lata całe. Groński zapytał o zdrowie pani Krzyckiej i młodszego rodzeństwa Władysława, po czym rzekł:

Bardzo dawno nie byłem na wsi, nie tylko u was, ale nigdzie. Latem wysyłają mnie co rok do Karlsbadu, a po Karlsbadzie zawsze się człowiek zawieruszy gdzieś na

Zachodzie. Przy tym w Warszawie wre teraz jak w kotle: co dzień coś nowego i trudno się od tego wszystkiego oderwać. Rozpoczęła się rozmowa o sprawach publicznych, która trwała dość długo, po czym dopiero Krzycki zwrócił ją na tory prywatne:

Czy oprócz zawiadomienia o śmierci wuja Żarnomskiego odebrał pan i list matki? Pytam dlatego, że zawiadomienie wysłałem naprzód, a list matka namyśliła się napisać w dzień później.

– Odebrałem i dlatego przyjechał. Powiem ci otwarcie, że na pogrzeb twojego wujaszka nie byłbym się wybrał. Prawda, że rok temu, gdy był w Warszawie na kuracji, jadalśmy przez parę miesięcy razem obiady w klubie, ale i na tym koniec, chociaż i tak ludzie dziwili się, że taki mizantrop, który wszystkich unikał, ode mnie jakoś nie uciekał... A jakże wasze stosunki – do ostatka były chłodne?

– Raczej żadne. Nikogo nie przyjmował i nikogo nie chciał widywać, nawet swego proboszcza. Dysponował go kanonik z Olchowa. Gdy już mocniej zapadł, odwiedziliśmy go w Rzęślewie, ale przyjął nas po prostu niegrzecznie. Matka nie zważała na to i odwiedzała go w dalszym ciągu, chociaż nieraz bywał dla niej przykry. Co do mnie, to przyznaję, że więcej tam nie był i pojechałem dopiero wówczas, gdy już było bardzo źle.

– Czy duży majątek zostawił?

– Rzęślewo to ogromny kawał takiej ziemi, że wszędzie można choćby cebulę sadzić. Długów ani grosza. Miał też w swoim czasie i dom w Warszawie, do którego przeniósł całe urządzenie z Rzęślewa, wcale nie byle jakie. Myśleliśmy, że już stale zamieszka w mieście, ale on później to wszystko sprzedał, z czego wnoszę, że musiał zostawić i kapitały. Niektórzy – jak to zwykle ludzie przesadzają – mówią, że krociowe. Bóg raczy wiedzieć! – to jednak pewna, że dużo zostało, bo on dziedziczył i po braciach. Nie wiem, czy pan

słyszał, że było ich trzech. Jeden zginął w pojedynku w Dorpacie, jeszcze jako student, drugi umarł na tyfus też młodo – i wuj Adam wziął po nich wszystko. – A żył podobno lichy?

– Przesiadywał dla zdrowia dużo w Warszawie i za granicą. Jak tam żył, tego nie wiem, ale za powrotem, w Rzęślewie, ogromnie lichy. Myślę jednak, że więcej z dziwactwa niż ze skąpstwa, bo skąpy nie był. Swoją drogą, nie uwierzy pan, jak tam wygląda dwór i jak wszystko odrapane i opuszczone. We wszystkich pokojach przez dach cieknie. I gdyby jacyś niespodziewani goście, lub nieznani krewni przyjechali na pogrzeb, to musiałbym chyba zaprosić ich do Jastrzębia, bo tam, nie wiem, gdzie by mieszkali.

– Czy wiesz o jakich dalszych krewnych?

– Jest właśnie pani Otocka z siostrą, jest Dołhański, który z pewnością przyjedzie, i my. O innych nie słyszałem, być może

jednak, że się znajdują, bo w Polsce wszyscy są krewni. Matka utrzymuje, że my jesteśmy najbliżsi, ale co prawda, to i my nie bardzo bliscy, gdyż nieboszczyk był tylko od ciotecznych ciotecznym matki.

– A pani Otocka i panna Marynia?

Niech się pan matki spyta. Wczoraj wykladała mi to z godzinę: ktoś urodzony z kogoś, kiedyś był za kimś i siostra tego ktosia poszła znów za kogoś, kto był czymś dla nieboszczyka. Nie mogłem się w tym połapać. Te panie będą tu jutro o pierwszej, a z nimi i jakaś Angielka, ich przyjaciółka.

Wiem; mówiły mi to w Warszawie, nie wiedząc, że trafię na pogrzeb. Ale ta Angielka mówi po polsku bez mała tak jak każdy z nas.

– O! A to skąd?

Ojciec jej miał fabrykę, w której zatrudniał wielu robotników polskich. Panna będąc dzieckiem miała

piastunkę Polkę, a potem był jakiś emigrant, który ją uczył po polsku.

– Że to jej się chciało?

– Widzisz, między Anglikami znajdziesz wielu oryginałów, a ten pan Anney był oryginałem pod tym względem, że mógł być obrać sobie za dewizę: *causas non fata sequor* – tak jak lord Dudley - albowiem również jak on kochał Polskę, historię polską i Polaków. Robotnicy burzyli mu się czasem i robili przykrości, a on się tym nie zrażał, zakładał im szkoły, sprowadzał księży, opiekował się sierotami itd.

- To jakiś poczciwy człowiek. A panna Anney ładna? młoda? – W wieku pani Otockiej - rok młodsza lub starsza, bardzo się kochają. Jak ty dawno widziałeś panią Otocką i Marynię?

– Lat temu ze sześć. Pani Otocka nie była jeszcze zamężna, a panna Marynia Zbyłtowska to był jeszcze skrzat, może dziesięcioletni, w sukience po kolana. Zapamiętałem ją tylko dlatego, że już wówczas grywała na skrzypcach i uważano ją za cudowne dziecko. Moja matka zbliżyła się do nich zeszłego lata w Krynicy – i zachwycała się nimi nadzwyczajnie. Chciała koniecznie, abym tej zimy odnowił z nimi znajomość, ale one wyjechały na zimę z Warszawy. Już wówczas kazała mi je zaprosić w swoim imieniu do Jastrzębia, a teraz, na parę dni przed śmiercią wuja pisała, żeby przyjechały do nas na dłużej. Onegdaj otrzymaliśmy depeszę, że przyjadą. Pan podobno z nimi w wielkiej przyjaźni.

W ogromnej i bardzo szczerzej – odrzekł Groński.

– Bo ja chciałbym z panem trochę o nich pomówić, ale że to już późno i pan po podróży, więc może by lepiej jutro.

– W kolei spałem, a ze stacji do was niedaleko. Mam przy tym ten zły zwyczaj, że nigdy nie kładę się przed drugą. Na twarzy Krzyckiego odbiło się trochę zakłopotania. Nalał sobie kieliszek wina, wypił je i rzekł:

– Sprawa jest dość delikatna. Oto, jestem prawie pewien, że matka coś sobie ułożyła. Może już o tym do pana pisała, a jeśli nie, to będzie o tym z panem mówiła, ponieważ jej bardzo chodzi o pańskie zdanie, a w danym razie i o pomoc. Parę razy mi już tak mimochodem wspominała o pańskim wpływie na panią Otocką. I wierzę, bo pan ma na wszystkich wpływ, nie wyłączając i mojej matki. Ale właśnie dlatego, chciałbym pana o jedną rzecz poprosić.

Groński spojrział na młodego szlachcica, a potem na służącego, jakby chciał powiedzieć: „a po co tu ten świadek?” – Krzycki zaś zrozumiał i rzekł:

– On mocno niedosłyszany, więc możemy rozmawiać swobodnie, a sapie dlatego, że ma astmę.

Po czym tak mówił dalej:

– Matka już od dwóch lat chciała by mnie koniecznie ożenić, więc krząta się, rozpisuje listy, wysyła mnie co zima do Warszawy, a jestem pewien, że i zeszłego lata była w Krynicy nie tyle dla zdrowia, bo Bogu dzięki, pomimo reumatyzmów, trzyma się nieźle – ile dlatego, żeby się między pannami rozejrzeć i coś upatrzeć. Ale tak tam ją te nasze niby-kuzynki oczarowały, że wróciła, jak przypuszczam, z gotowym projektem...

– Muszę cię uprzedzić – przerwał Groński – że jeśli idzie o pannę Marynię, to gmach budujecie na lodzie, gdyż naprzód, ona ma szesnaście lat, po wtóre, z końcem jesieni wybiera się znów do konserwatorium w Brukseli, a po trzecie, cała jej dusza siedzi w skrzypcach i prawdopodobnie na zawsze w nich zostanie.

– A niech sobie siedzi i niech zostanie. Pan mówi: „budujecie” – a ja nie tylko nic nie buduję, ale wolałbym, żeby i matka nie budowała, bo jej później będzie przykro. – Zresztą matczysko kochane jest najpocziwsze w świecie i z pewnością chodzi jej przede wszystkim o to, bym dostał

dobrą i zacną kobietę, ale jednakże wolałaby, żeby moja przyszła nie zanedo była podobna do greckiego posagu.

– Więc co?

– Więc idzie nie o pannę Marynię, tylko o idealną, ale zarazem

o ciepłą wdówkę, a tymczasem ja za nic nie mógłbym się na to zgodzić.

– Odpowiem ci jedną litewską anegdotą, wedle której baba chłopu, który twierdził, że się pana nie boi – odpowiedziała: „Kiba ty jego nie widziałeś!” – Otóż, chyba ty pani Otockiej nie widziałeś albo zapomniałeś, jak wygląda.

Lecz Krzycki powtórzył:

– Za nic! choćby wyglądała jak święty obraz. To może się kochasz w kim innym?

– Przecie pan prześladował mnie jeszcze zeszłej zimy panną Różą Stabrowską – i wyznaję, że mi bardzo przypadła do serca. Ale nie pozwoliłem sobie zakochać się w niej, bo wiem, że rodzice by mi jej nie dali. Nie jestem i nie będę dla nich nigdy dość majątny. Dlatego uciekłem przed końcem karnawału z Warszawy. Nie chciałem zatruć próżnym uczuciem życia ani sobie, ani jej, gdyby mnie pokochała.

– A w razie testamentu na twoją korzyść? Rzuciłbyś się prosto na dym - jak dawny ułan? Nieprawda?

– Z pewnością, ale ponieważ na to nie liczę i to się wcale nie stanie, więc nie ma o czym mówić.

– Wspomniałeś jednak, że chcesz mnie o coś prosić. Czym tedy mogę ci się przysłużyć?

Ja chciałem pana prosić, żeby pan nie utwierdzał matki w zamiarach co do pani Otockiej.

– Jaki ty jesteś dziwny. Przecie, jak matka zobaczy, że się ku niej nie masz, to sama się ich wyrzeknie.

– Tak, ale zostanie jej trochę żalu i do siebie, i do mnie. Człowiek zawsze nierad, jak mu się jego zamysły nie udają, a matczysko i tak wiecznie zatroskane, choć często bez

powodów, bo ostatecznie żadna ruina nam nie grozi. Ale ona ma tyle zaufania do pańskiego rozumu, że jeśli jej pan wytłumaczy, że lepiej tej myśli poniechać, to jej poniecha. Trzeba by tylko tak to zrobić, żeby jej się zdawało, że sama do tego doszła. A wiem, że pan to potrafi, i liczę na pańską przyjaźń.

– Mój Władku – rzekł Groński – ja w tych rzeczach mam mniej praktyki, a zatem i mniej rozumu niż pierwsza z brzegu wasza sąsiadka. W liście twojej matki jest słowo w słowo takie samo wyrażenie: że liczy na moją przyjaźń. Wobec tego, pozostaje mi chyba jedno – to jest w nic się nie wdawać, tym bardziej że – powiadam to zupełnie otwarcie – ja wcale nie mam mniej przyjaźni dla pani Otockiej niż dla was. Biorąc zaś sprawę z innej strony, to nawet dziwnie wygląda, że tu się mówi o pani Otockiej bez pani Otockiej. Twojej matce wolno wierzyć, że każda kobieta, byleś do niej rękę wyciągnął, chwyci ją bez wahania – ale tobie nie... Bo ty się tak zarzekasz, jakby wszystko tylko od ciebie zależało, a ja cię upewniam, że bynajmniej tak nie jest i że pani Otocka, jeśli się zdecyduje pójść kiedykolwiek za męża, będzie bardzo trudna w wyborze.

– Pan ma zupełną słuszność – odrzekł Krzycki – ale ja przecie nie jestem ani tak głupi, ani tak próżny, żebym miał myśleć, iż rzecz zależałaby tylko ode mnie, a jeśli się wyraził w sposób nieodpowiedni, to tylko dlatego, że myślałem o matce i o sobie, a wcale nie o pani Otockiej. Chodzi mi tylko o to, by matka nie nakłaniała mnie do starania się o nią, a zresztą przypuszczam zupełnie, że dostałbym odkosza.

Na to Groński ogarnął oczyma urodziwą postać chłopaka i odrzekł z pewną życzliwą zrzędnnością:

– To dobrze, choć nie wiem, czy mówisz szczerze, bo tacy jak ty mają, licho wie dlaczego, dużo szczęścia do kobiet – i wiedzą o tym doskonale. Ale co masz przeciw pani

Otockiej? Przecie jej prawie nie znasz. A ja ci powiem, że obie te panie to jest tak wysoki gatunek, jak rzadko można znaleźć.

– Wierzę, wierzę, ale naprzód pani Otocka jest wszystkiego trzy lata młodsza ode mnie, to znaczy, że ma dwadzieścia cztery, a po wtóre, jest wdową.

– Tedy masz uprzedzenie do wdów?

– Przyznaję – mam! Niechże małżeństwo da mi wszystko, co może dać, a małżeństwo z wdową mi tego nie da. Wdowa!... Pomyśleć, że każde słowo, które dziewczyna z rumieńcem i spod serca wyszepce, wdowa już kiedyś komuś mówiła – że to, co w dziewczynie jest jakby ofiarą dla miłości – we wdowie jest tylko repetycją!... nie! Dziękuję za kwiat, który już ktoś przedtem oskubywał. Szczęścia nie dziedziczy się w spadku ani z drugiej ręki. Niechże nie tylko małżeństwo, ale i miłość da mi wszystko co dać może, a nie - to wolę zostać starym kawalerem.

– Mój kochany – odrzekł Groński – między sercem, a na przykład, workiem z pieniędzmi jest jednak gruba różnica. Pieniądze, gdy raz je wydasz, to ich nie ma, a serce to żywy organizm, który się odradza i wytwarza nowe siły.

– Być może – w każdym jednak razie zostaje pamięć o tym, co było... Zresztą, ja nie wygłaszam żadnych ogólnych teorii, tylko moje w i d z i m i s i ę osobiste. Po prostu nie mógłbym się zakochać we wdowie, a ja chcę się choć trochę kochać w swojej żonie. Inaczej, co ja będę miał w życiu? Gospodarstwo dobrze! Jestem rolnik i zgadzam się orać i siać do śmierci. Ale kto myśli, że to może dać szczęście i spokój, ten po prostu nie ma pojęcia, co to za kupa trosk, goryczy, zgryzot, zawodów, ujadania się i starć ze złą wolą ludzi i natury. Są, prawda, chwile jaśniejsze, ale daleko częściej trzeba się bronić wprost obrzydzeniu. Otóż ja chcę przynajmniej tego, żebym wracał chętnie z pola i ze stodoł do domu, żeby mnie tam czekało jakieś pyszczałko, które

chciałbym całować, i jakieś oczy, w które bym chciał patrzeć. Chcę też mieć kogoś, komu bym mógł oddać to, co we mnie jest najlepszego. I mówię o tym nie jak jakiś romantyk, ale jak człowiek trzeźwy, który potrafi prowadzić rejestr rozchodu i przychodu nie tylko w gospodarstwie, ale i w życiu.

Groński pomyślał, że istotnie każde pełne męskie życie powinno mieć dwie twarze: jedną ze zmarszczonym czołem i wyrazem nateżonej myśli, zwróconą ku zadaniom ludzkości, drugą cichą i spokojną w domu przy ognisku.

Tak – rzekł – podoba mi się ten dom jako ucieczka od trosk i to w nim „pyszczątko” jako atrakcja.

Krzycki ukazał w uśmiechu swoje zdrowe, świecące zęby i odpowiedział wesoło:

– Ach, jak mnie się podoba! – aż dusza piszczy! I poczęli się obaj śmiać.

– Ale – rzekł Groński – trzeba być dość szczęśliwym, żeby to znaleźć, i dość odważnym, żeby to zdobyć.

Krzyckiemu zaś przyszedł nagle na pamięć pewien bał w Warszawie, panna Róża Stabrowska, jej smutne oczy i jej białe, na wpół dziecinne jeszcze ramiona, wychylające się z tiulów jak z piany wodnej, więc westchnął z cicha:

– Czasem potrzeba i na to odwagi – rzekł – by samego siebie okiełznać.

W pokoju słychać było przez chwilę tylko miarowe tyk-tak szafkowego zegara i sapanie astmatycznego sługi, który drzemał oparty o kredens.

Godzina była późna, więc Groński wstał i otrząsnąwszy się z chwilowego zamyślenia, rzekł jakby sam do siebie:

– A te panie jutro przyjeżdżają...

Po czym dodał jakby z pewnym smutkiem:

– Och! w twoim wieku wolno się jeszcze nie kiełznać.

II

Te panie przyjechały istotnie do Jastrzębia następnego dnia koło południa, a zaraz po nich i Dołhański, który jednak nie widział się z nimi w drodze, albowiem jechał w innym wagonie, na stacji zaś zajął się całkiem odbiorem rzeczy i przybył w osobnym powozie. Goście nie zastali Krzyckiego w domu. Ponieważ spadł na niego cały ciężar pogrzebu i wszystkich połączonych z nim kłopotów, przeto o wczesnej godzinie wyjechał do Rzęślewa. Ekshortacja zwłok wyznaczona była na godzinę trzecią. Matka Władysława przyjechała do rzęślewskiego kościoła z panią Otocką, z panną Marynią Zbyłtowską i z ich przyjaciółką, panną Anney. W drugim powozie przybyli Groński i Dołhański, a na koniec trzeci dostawił młodsze rodzeństwo Krzyckiego, jedenastoletnią Anusię i młodszego od niej o rok Stasia, wraz z boną Francuzką i guwernerem Laskowiczem. Pani Krzycka przypomniała syna krewniczkom i przedstawiła go pannie Anney, ale on zaledwie miał czas uklonić się i obrzucić je wzrokiem, po czym zaraz odwołano go w jakiejś sprawie, dotyczącej ostatnich rozporządzeń pogrzebowych. Wsiadłszy z powozu, panie z trudnością docisnęły się do kościoła, chociaż torowano im drogę, albowiem i w kościele, i na okólniku, w obrębie ogrodzenia, panował tłok niezwykle. Większa własność przybyła wprawdzie w nader szczupłej liczbie, gdyż nieboszczyk Żarnowski z nikim nie żył, a przy tym, prócz Jastrzębia, Górek i Wiatrakowa, nie było już dworów w okolicy, natomiast chłopci rzęślewscy stawili się, jak jeden człowiek, z babami i dziećmi. Powód do tego był taki, że nie wiadomo skąd i dlaczego rozeszła się między nimi wieść, że nieboszczyk im zapisał cały majątek. Dość liczne ich gromady stały również na zewnątrz parkanu, a głośnie ich rozmowy i zaniepokojone twarze świadczyły o wrażeniu, jakie uczyniła na nich wieść o zapisie.

Po odśpiewaniu wigilii i dość długim nabożeństwie, ukazały się we drzwiach poprzedzone krzyżem białe komże księży, za którymi wyniesiono trumnę. Karawan stał gotowy, ale chłopci wzięli ją, na wiarę zapisu, na ramiona, by ponieść na odległy o wiorstę cmentarz, na którym znajdowały się groby Żarnowskich. Groński podał ramię pani Krzyckiej, Dołhański pani Otockiej, Władysławowi zaś, który teraz dopiero mógł się do nich przyłączyć, przypadła jasnowłosa panna Anney. Po chwili orszak pogrzebowy ruszył z wolna w stronę cmentarza.

Spod cienia lip kościelnych wysunął się wkrótce na zalaną słońcem polną drogę i rozciągnął się na niej długim pasmem. Na czele szli księża; za nimi kołysała się wysoko na chłopskich ramionach trumna, tuż postępowali krewni i goście, a dalej gromada szarych sukman chłopskich i jaskrawe plamy żółtych i czerwonych chustek kobiecych, odrzynające się krzykliwe od zielonej wiosennej runi młodych zbóż. Chorągwie kościelne r trupimi głowami i z obrazami świętych chwilami płynęły ciężko w złotym powietrzu, chwilami wzdymały się z łopotem, gdy zrywał się wiatr. W ten sposób, migocąc w słońcu, gromady ludzkie ciągnęły ku topolom ocieniającym cmentarz. Od czasu do czasu rozlegały się śpiewy księży, które zrywały się nagle i z ogromnym smutkiem. Bliżej cmentarza chłopci rozpoczęli litanię, a wiosenne podmuchy chwytaly te pieśni polskie i łacińskie – i niosły je wraz z zapachem gasnących ustawicznie świec i z żywiczną wonią pochodni na bory i lasy.

Krzycki, który prowadził pannę Anney, zauważył, że dłoń jej, oparta na jego ramieniu, drży dość mocno. Przyszło mu jednak na myśl, że zmęczyła zapewne rękę trzymając parasolkę po drodze z Jastrzębia do Rzęślewa, i nie zwracał na to więcej uwagi. W przekonaniu też, że taki obchód, jak pogrzeb, uwalnia od rozpoczęcia zwykłej towarzyskiej

rozmowy, szedł w milczeniu. Był zmęczony i głodny. Do głowy cisnęły mu się bezładne myśli o wuju Żarnowskim, o tym, że nie umie zdobyć się na żal po nim, o pogrzebie, o świeżo przybyłych kuzynkach i o wczorajszej rozmowie z Grońskim. Chwilami spoglądał z roztargnieniem na oboczne pole i ma w pół świadomie stwierdzał, że na urodzajnej rześlewskiej ziemi oziminy zarówno jak jare zboża zapowiadają się doskonale i po pewnym dopiero czasie przypomniał sobie, że wypada jednak zająć się trochę i towarzyszką.

Jakoż po kilku ukradkowych na nią spojrzeniach zbudziła się w nim ciekawość stępiona poprzednio przez zmęczenie, głód i zły humor. Bliskość kobiety młodej i jak to zauważył, dorodnej, poczęła nań oddziaływać. Wydało mu się dziwnym naprzód to, że prowadzi po rześlewskim gościńcu Angielkę, która przybyła Bóg wie skąd, a potem, że przed chwilą nie znał jej wcale, obecnie zaś wyczuwa ciepło jej ramienia i dłoni. Zauważył też zaraz, że dłoń ta, obciśnięta rękawiczką – lubo kształtna, nie była wcale mała, i pomyślał, że przyczyną tego są sporty angielskie: tenis, wiosłowanie, łucznictwo i tym podobne. „Nasze Polki – mówił sobie wyglądają inaczej”. – I pod wpływem myśli o angielskich sportach wydało mu się, że od tej wykwintnie przybranej postaci bije jakaś szczególniejsza siła, czerstwość i sprężystość. Towarzyszka poczęła go więcej zajmować. Prowadząc ją pod rękę, mógł widzieć tylko jej profil, na który zwracał uwagę coraz częściej – i w następstwie dokładniejszych spostrzeżeń, z coraz większą ciekawością. W pierwszej chwili przyznał tylko, że jest to osoba przystojna, a zwłaszcza hoża, lecz wkrótce potem zaczął monologować w następujący sposób: „Ależ grubo nawet przystojna, a szczerze mówiąc, ładniejsza i od pani Otockiej, i od tego skrzata, który ma suknię po kostki, a duszę, jak mówi Groński – w skrzypcach”. Nie była to jednak ścisła

prawda, gdyż pani Otocka, wysmukła brunetka z wyrazem blondynki, była typem bardziej wytwornym i rasowym, a „skrzat” miał twarz po prostu anielską. Gdyby jednak na razie urządzono w tej sprawie bezpośrednie tajne głosowanie, Krzycki, może z powodu opozycji przeciw zamiarom matki, głosowałby za panną Anney.

Po jakimś czasie wydało mu się, że i panna Anney przypatruje mu się ukradkiem, postanowił więc ją na tym schwytać i zaczął spoglądać na nią bardziej otwarcie. Ale wówczas to, co ujrzał, zdziwiło go w najwyższym stopniu. Oto po policzkach młodej Angielki spływały, jedna za drugą, łzy. Usta były zaciśnięte, jakby chciała pohamować wrażenie, a ręka wsparta na jego ramieniu nie przestawała drżeć.

„Albo to jest przesadna tkliwość – pomyślał Krzycki – albo rozstrojone angielskie nerwy”. Dlaczego u licha miałyby płakać po człowieku, którego nigdy w życiu nie widziała? chyba że przypomniał się jej pogrzeb ojca lub kogoś bliskiego z rodziny.

Panna Anney nie wyglądała jednak wcale na osobę z rozstrojonymi nerwami. Jakoż po pewnym czasie wzruszenie jej przeszło; poczęła tylko z tak szczególnym zajęciem i z taką uwagą spoglądać na gromady ludzi, na okolicę, na pola i odległe wstążki boru, jakby chciała utrwalić sobie wszystko raz na zawsze w pamięci.

„Trzeba jej było wziąć ze sobą kodaka” – pomyślał Krzycki. Byli już niedaleko od wrót cmentarnych. Ale tymczasem zerwał się wiatr silniejszy od poprzednich podmuchów, przeleciał nagłym cieniem po runi zbóż, podniósł tuman kurzu na drodze, pogasił te brackie świece, które nie pogasły przedtem, i okręcił długim woalem panny Anney szyję Krzyckiego.

Wówczas puściła jego ramię i uwalniając go z więzów ozwała się po polsku z bardzo nieznacznym obcym akcentem:

– Przepraszam pana. Taki wiatr...

– To nic – odpowiedział Władysław. – Ale może pani woli wsiąść do powozu, bo istotnie wichura zrywa się coraz częściej.

– Nie, dziękuję – odrzekła. – To, zdaje się, już bardzo blisko. Pójdę tylko osobno, bo muszę trzymać i woal, i suknię.

W czasie tej rozmowy stali przez chwilę naprzeciw siebie, ale jakkolwiek była to krótka chwila, Krzycki porobił nowe odkrycia. Nie tylko bowiem stwierdził, że panna Anney jest rzeczywiście bardzo ładna i ma nadzwyczaj przeźroczą cerę przy jasnych włosach, ale nade wszystko, że jej niebieskie oczy nie patrzą dwoma osobnymi promieniami, ale jakby jedną łagodną, niebieską i trochę zamgloną smugą. Krzycki nie umiał na razie zdać sobie sprawy, w czym leży jakiś odrębny i szczególny urok tego spojrzenia, ale odczuł go doskonale.

Tymczasem doszli do cmentarza. Krótka modlitwa zatrzymała wszystkich przy bramie, po czym orszak wsunął się między kołysane wiatrem topole i pozarastane nad krzyżami bujną trawą mogiły, w których spali chłopię rześlewscy. Grób Żarnowskich stał w środku. W przodowej jego ścianie widać było otwór, wybity na przyjęcie nowego członka rodziny. Z boku widać było dwóch mularzy w zabilonych fartuchach, mających pod nogami ceber z rozrobionym cementem i stos świeżych cegieł. Trumnę ustawiono na piasku tuż przy otworze i księżka rozpoczęli nad nią długie śpiewy. Głosy ich to wznosiły się, to opadały jak fale w rozkołysanym i sennym rytmie, któremu wtórował szum topoli, furkotanie chorągwi na wietrze i szmer pacierzy, odmawianych jakby mechanicznie przez chłopów.

Następnie proboszcz rześlewski rozpoczął mowę, ale ponieważ nie żył dobrze z nieboszczykiem, przeto polecał go więcej miłosierdziu bożemu, niż chwalił. Naokół widać było twarze krewnych Żarnowskiego, poważne i odpowiednio do chwili skupione, ale ani zbolale, ani zalane łzami, raczej obojętne, z wyrazem oczekiwania, a nawet i nudy. Trumna również zdawała się tylko czekać na zakończenie obrzędu, jakby jej pilno było do tej piwnicy i do tych ciemności, dla których była właściwie przeznaczona. Tymczasem po przemówieniu znowu poczęły się nad nią kołysać śpiewy. Chwilami milkły, a wówczas słychać było tylko hulanię wiatru po topolach. Na koniec wysoki, jakby przerażony głos zaintonował requiem aeternam... i spadł nagle jak słup kurzu skręcony wichrem – a po chwilowym milczeniu zabrzmiało pełne ulgi: „wieczny odpoczynek!” i ceremonia była skończona.

Na trumnę rzucano garści piasku, po czym wsunięto ją w otwór, który mularze poczęli zamurowywać, układając cegły jedną na drugiej i omaszczając je wapnem. Przegroda, która miała oddzielić raz na zawsze pana Żarnowskiego od świata i od światła, rosła z każdą chwilą. Gromady wiejskie opuszczały z wolna cmentarz. Do pani Krzyckiej zbliżyły się sąsiadki z Górek: pani Włócka, wiekowa i patetyczna dama z niemłodą córką, które poczuwały się do obowiązku wypowiedzenia „kilku słów pociechy” przez nikogo nie oczekiwanej i zgoła niepotrzebnej. Groński począł rozmawiać z Władysławem:

– Zauważ – mówił z cicha, patrząc na robotę mularzy. jeszcze kilka cegieł – a potem, jak mówi Dante: *aeterna silenza*. Ani żalu, ani jednej łzy i nikt tu wyłącznie dla niego nie przyjdzie. Mnie też czeka coś podobnego, a ty zapamiętaj, że tak grzebią starych kawalerów. Twoja matka ma słuszość chcą cię ożenić.

- Co prawda – odpowiedział Krzycki – nieboszczyk był nie tylko starym kawalerem, ale i odludkiem, a zresztą, czyż to nie wszystko jedno?
- Po śmierci, zapewne. Ale za życia, gdy się o tym myśli, to wcale nie wszystko jedno. Jest to może nielogiczne i głupie ta „żądza pośmiertnego żalu” – a wszelako tak jest.
- Skąd się to bierze?
- Z równie niemądrej chęci przeżycia siebie samego. Patrz: ot, robota skończona i Żarnowski zamknięty. Chodźmy. Przy bramie ozwał się turkot zajeżdżających powozów. Towarzystwo ruszyło ku wyjściu. Panie szły teraz gromadką naprzód, księża i panowie, z wyjątkiem Dołhańskiego, który rozmawiał z Angielką, postępowali za nimi.
- Nagle Krzycki zwrócił się do Grońskiego i zapytał: -
- Jak na imię pannie Anney?
- Póki jesteśmy na cmentarzu, mógłbyś myśleć o czym innym. Na imię jej Agnès.
- Ładne imię.
- W Anglii dość częste. - Czy to bogata osoba?
- I to pytanie mógłbyś odłożyć, ale jeśli ci zależy na pośpiechu, zapytaj Dołhańskiego. On takie rzeczy wie najlepiej.
- Pytam właśnie dlatego, że go widzę koło niej i słyszę przy tym, że się sady na angielszczyznę.
- To sztuka dla sztuki, gdyż on się ma ku pani Otockiej.
- Ach!?
- Równie dawno, jak bezskutecznie. Bo widzisz, nawet jemu trudno jest wiedzieć dokładnie, ile ma posagu panna Anney, tymczasem zapis, jaki nieboszczyk dyrektor Otockiej zostawił żonie, jest dokładnie wiadomy.
- Mam nadzieję, że piękna kuzynka da mu odkosza.
- Który powiększy piękną kolekcję. A ty co powiesz o kuzynkach?

– Owszem!... pani Otocka... owszem. Obie mają, jak mówią Galicjanie, „coś nobliwego”. Ale panna Marynia to jeszcze dzieciak.

Groński począł prowadzić oczyma za wysmukłą postacią idącej przed nimi panienki i rzekł:

– To taki dzieciak, który mógłby tak samo latać po powietrzu, jak chodzi po ziemi.

Aeroplan, czy co?

– Ostrzegam cię, że to moja największa adoracja. Słyszałem. Ludziom to już wiadomo.

– Tylko nie wiedzą, że ta adoracja nie jest koloru czerwonego, lecz niebieskiego.

– Tego nie bardzo rozumiem.

– Jak ją bliżej poznasz, to mnie zrozumiesz.

Krzycki, którego więcej zajęła panna Anney, chciał znów zwrócić na nią rozmowę, ale tymczasem wyszli za bramę, przed którą czekały konie. Młody człowiek jął podsadzać panie do powozu, przy czym raz jeszcze ujrzał zwróconą ku sobie na chwilę niebieską smugę oczu Angielki. Na odjezdnym matka zapytała go, czy ukończył czynności pogrzebowe i czy wraca zaraz do Jastrzębia.

– Nie – rzekł. – Umówiłem się z proboszczem, by mi pozwolił zaprosić księży do plebanii i muszę ich tam podejmować. Ale tylko powitam ich, zjem coś i wymówię się gośćmi, by wrócić jak najprędzej.

Tu skłonił się paniom, po czym zdjął ręce z powozu, rzucił okiem na dyszlowego kasztana, by zobaczyć, czy się nie strychuje: – i zawołał:

– Ruszaj!

Powozy potoczyły się tą samą drogą, którą poprzednio szedł żałobny orszak. Z surdutowych uczestników pogrzebu został, prócz Władysława, tylko Dołhański, który, jako krewny nieboszczyka, poczuwał się także do obowiązku podejmowania przybyłych na pogrzeb księży, a prócz tego

miał i inne powody, dla których postanowił dotrzymać Krzyckiemu towarzystwa.

Jakoż zaledwie wsiedli do bryczki, począł się rozglądać wśród chłopów stojących jeszcze gromadkami tu i ówdzie, po czym zapytał:

– A gdzie rejent Dzwonkowski? Krzycki uśmiechnął się i odrzekł:

– Pojechał naprzód z księżmi, ale wieczorem zobaczysz go w Jastrzębiu, bo mi się sam zaprosił.

Tak? A to żałuję, że nie wrócił z paniami. Chciałem wydobyć z Dzwonkowskiego jaką wiadomość o testamentie i myślałem, że później nie będzie można.

– Cierpliwości. Dzwonkowski mówił mi, że testament ma być pojutrze otwarty w jego kancelarii i że musimy na to przyjechać. – Właśnie chciałem wiedzieć dziś, czy jutro lub pojutrze

warto się trudzić. Jeśli wujaszek puścił nas – jak to mówią – na bieżącą wodę, to pani Włócka słusznie wystąpiła ze słowami pociechy. Ja przynajmniej będę jej potrzebował przez czas dłuższy.

– Jak ty możesz mówić takie rzeczy!

– Ja mówię głośno to, co wy wszyscy po cichu myślicie. Pilno mi do tego testamentu i Dzwonkowski obchodzi mnie w tej chwili więcej niż cały globus ziemski razem z pięcioma częściami świata, a to tym bardziej, że widziałem, iż przywiózł jakieś papiery.

– Co do tego, to uspokój się. Dzwonkowski jest to największy meloman, jakiego znam, który uwielbia pannę Marynię Zbyłtowską, z którą się poznał w Krynicy. Otóż wiem od Grońskiego, że do *Sonaty księżycowej*, w układzie Benois na skrzypce dorobił akompaniament na flecie i przesłał jej go do Warszawy. Dziś chciałby zobaczyć, jak to pójdzie, więc zaprosił mi się do Jastrzębia i przywiózł ze sobą sonatę, a oprócz sonaty całe paki innych nut. Zaręczam

ci też, że o niczym innym nie będzie chciał słyszeć ani mówić.

– W takim razie niech diabli porwą flet Dzwonkowskiego, skrzypce panny Zbyłtowskiej, wasz jastrzębski fortepian i muzykę w ogólności.

Na to Krzycki spojrział na niego przekornie i rzekł:

– Ostrożnie z naszym jastrzębskim fortepianem, bo jeśli wieczorem usłyszymy jaki tercet, to do fortepianu zasiędzie pani Otocka.

– Mam nadzieję, że będzie przynajmniej tak rozstrojony jak ja w tej chwili i w takim razie nie zazdroścę ani jej, ani słuchaczom. – Ale widzę, że Groński nagadał ci już jakichś plotek. Dobrze! Ja za to nie odczuwam tak jak on starokawalerskich pociągów do podlotków, a młode cyranki lubię tylko na półmisku. Niechże sobie wodzi oczyma za swoją Marynią, niech się do niej modli, a mnie da spokój. Oni tam wszyscy powariowali na muzykę i gotowi i was zarazić w Jastrzębiu. Jedna panna Anney nie gra na niczym i ma trochę rozumu.

– A! panna Anney nie gra na niczym?

– Tak. Co nie przeszkadza, że mogłaby w danym razie zagrać na mnie albo na tobie, a jeszcze łatwiej na tobie niż na mnie.

– Dlaczego łatwiej na mnie?

– Dlatego, że ja jestem taki osobliwy instrument, który chce z góry wiedzieć, ile koncert przyniesie.

Krzycki, przyzwyczajony od dawna do cynizmu Dołhańskiego wrzucił ramionami, ale nie miał czasu na odpowiedź, gdyż tymczasem przyjechali do plebanii.

III

Z Dzwonkowskiego nie mógł istotnie Dołhański nic innego wydobyć prócz opryskliwych odpowiedzi. Natomiast po

przyjęciu w plebanii stary rejent uczynił się wielce rozmowny, ale rozmawiał z Krzyckim tylko o pannie Maryni, dla której miał kult bez granic. Obecnie obawiał się też, czy pani Krzycka zgodzi się na urządzenie wieczoru muzycznego w dzień pogrzebu krewnego i obawa ta nie przestawała go trapić. W tej myśli począł dowodzić, że muzyka towarzyszyć może tak dobrze śmierci jak życiu, a poważna, towarzyszy zawsze pogrzebom i że skoro ludzie nie wymyślili nic lepszego od niej, nawet ku czci Pana Boga, przeto można przypuszczać, że ułatwia ona wzlot dusz ku niebu, a nawet i zbawienie. Krzycki przygryzał wąsa i godził się bezwzględnie na te wywody wiedząc, że staruszek ma zwyczaj łajać bez miłosierdzia oponentów – i na tego rodzaju rozmowach, w których ku wielkiej irytacji Dołhańskiego nie było żadnej wzmianki o testamencie, upłynęła im droga powrotna. W Jastrzębiu czekali na nich z herbatą, ale ponieważ wiatr ustał przed zachodem słońca zupełnie i uczynił się rozkoszny wieczór wiosenny, więc panie były wraz z Grońskim w ogrodzie. Gdy Krzycki i jego towarzysze udali się tam za nimi, zastali panią Krzycką i panią Otocką nad brzegiem stawu, a pannę Anney z Marynią w łodzi na stawie. Czerwony blask przesycił całkiem powietrze; zapach bzów rosnących niedaleko brzegu mieszał się z wonią torfu, rzęsy i ryb. Woda była ciemnozielona na krańcach od olch i wierzb, które ją obrębiały, w środku zaś, na rozlewie, złota, z odbłyskami purpury i pawich piór. Łódź płynęła w świetle ku szczyrkowi, którego wąski pasek od strony ogrodu służył jako miejsce lądowania. Panna Zbyłtowska siedziała w środku czołna, a panna Anney, stojąc z tyłu, prowadziła je jednym wiosłem, popychając statek a razem i sterując z niepospolitą wprawą. Na tle wody i nieba odrzynała się od stóp do głów jej silna, wysmukła postać, z podaną naprzód piersią, przechylająca się zgodnie z ruchem wiosła. Chwilami przestawała nim robić, a gdy

łódź, płynąc coraz wolniej, zatrzymywała się w końcu na gładkiej toni – widać było w lustrzanym przeźroczu drugą łódkę, drugą pannę Marynię i drugą pannę Anney. Był w tym obrazie wielki wiejski spokój. Blask na niebie robił się coraz czerwiejszy, jak gdyby pożar obejmował całą zachodnią stronę. Wysoko nad stawem pod płonąca kopułą nieba ukazały się sznury dzikich kaczek, powiązane jakby z czarnych krzyżyków. Drzewa stały nieruchome i ciszę przerywał tylko odgłos tartaku, dochodzący od strony grobli. Po chwili panna Anney przybiła do brzegu. Groński, któremu chodziło o to, by „adoracja” nie zamoczyła nóg, pomógł jej wysiąść z czółna, Angielka sama wyskoczyła na piasek i zbliżywszy się do towarzystwa rzekła:

– Jak tu ładnie w Jastrzębiu.

– Bo pogoda – rzekł podchodząc Krzycki. – Wczoraj było chmurno, ale dziś śliczny wieczór.

I rozejrzawszy się po niebie dodał jak prawdziwy wiejski gospodarz:

– Jeśli tak potrwa, weźmiemy się wkrótce do siana.

A panna Anney spojrzała na niego, jakby znalazła coś niezwykłego w brzmieniu tych słów i poczęła je powtarzać tak, jak się powtarza nieznane wyrazy chcąc je utrwalić w pamięci:

– Do siana... do siana...

Towarzystwo zawróciło do domu, który bieleł się, a raczej różowił wśród lip, rozmawiając cośkolwiek o pogrzebie i nieboszczyku Żarnowskim, ale więcej o wsi, wiosennych wieczorach i muzyce. Pani Krzycka zapewniała nowo przybyłe panie, że w Jastrzębiu i przed ich przybyciem nie brakło muzyki, albowiem w parku tyle jest słowików, że czasem spać nie dają. Na to Groński, który był wielkim erudyta, jął mówić o życiu wiejskim: że jednak naprawdę, to ono jedynie uważane było od niepamiętnych czasów za istotne i normalne życie – przy czym wspomniał

homerowych królów, „którzy radowali się w sercach, licząc berłem snopy” – i rozmaitych poetów łacińskich. W końcu oświadczył, że jego zdaniem socjalizm rozbija się o rolnictwo i ziemię, dlatego że uważa ją tylko za wartość, a tymczasem ona jest i miłością, czyli, inaczej mówiąc, nie tylko się ją ceni, ale i kocha. Ludzie wiedzą, z jakimi kłopotami połączone jest życie wiejskie. a naprawdę, to tylko to jedno życie cenia, jakby w nim nie brakło nawet ptasiego mleka.

Pani Krzyckiej, która zaraz po dzieciach kochała najmocniej w świecie Jastrząb, słowa Grońskiego trafiły bardzo do przekonania, lecz Dołhański, wspomniawszy na swą wioskę, którą niegdyś miał i przepuścił, rzekł cedząc jak zwykle wyrazy:

– Ptasiego mleka może nie brak, ale pieniędzy brak. zabawne jest przy tym, że te pochwały życia wiejskiego wygłasza człowiek zamożny, który mógłby kupić sobie ziemię i zamieszkać na wsi, a którego trzeba hakami z miasta wyciągać.

Po czym zwrócił się do Grońskiego:

– Co się tyczy twoich królów homerowych, a wraz z nimi rozmaitych Wergiliuszów i Horacjuszów, to za ich czasów nie było zapewne ani takich hotelów na Riwierze, ani klubów w Nizy.

Lecz uwagę tę pominięto milczeniem, a raczej przerwał ją pasaż muzyczny zanucony starym drewnianym głosem pannie Maryni przez rejenta Dzwonkowskiego, który chciał jej wyjaśnić w ten sposób związek dwóch frazesów w koncercie Brucha. Następnie inne rozmaite frazesy odzywały się ustawicznie, dopóki towarzystwo nie wróciło do domu Groński znał manię starego człowieka i zazdrościł mu, że znalazł coś w życiu, co wypełniło mu je tak całkowicie. On sam był bardzo wykształconym dyletantem, ale nie zaczął o nic życia na stałe i nie poświęcił niczemu

swych wszystkich sił duchowych wyłącznie. Płynęło to po części z winy okoliczności, po części z jego własnej. Najgłębszą treścią jego duszy był lekki, smutny sceptycyzm. Jeden z jego przyjaciół, Kłoczewski, nazywał go Eklezjastą we fraku. Jakoż ostatnim wynikiem rozmyślań Grońskiego nad przyszłością i życiem ludzkim zarówno indywidualnym jak zbiorowym było przekonanie, że ta przyszłość i to życie może stać się z czasem inne – nigdy lepsze. Otóż myślał, że może warto by było nie szczędzić wysiłków, by kiedyś było lepiej nie warto, by było tylko inaczej. Ta myśl chroniła go jednak od krańcowego pesymizmu, rozumiał bowiem, że miara szczęścia i nieszczęścia nie leży na zewnątrz, lecz w samym człowieku, i że skoro i n a c z e j nie znaczy l e p i e j, to tym samym nie znaczy i g o r z e j . W gruncie rzeczy był przekonany, że zarówno jedno jak i drugie jest tylko pomyłką i złudzeniem, a wszystko razem, nie wyłączając życia, jedną wielką ułudą. W ten sposób kłaniał się przez morze wieków prawdziwemu Eklezjaście.

Ale będąc jednocześnie człowiekiem uczuciowym, popadał w ustawiczne sprzeczności ze samym sobą, uczucie bowiem zawsze czegoś chce – a tymczasem jego smutny sceptycyzm mówił mu, że nie warto niczego chcieć. Gryzła jego uczuciowość jeszcze i ta myśl, że jego poglądy są przeciwne życiu, a tymczasem życie jest koniecznością, a zatem, kto podgryza zwątpieniem jego korzenie, ten ludziom szkodzi. Groński nie chciał szkodzić nikomu – a zwłaszcza swoim, i z tego powodu Eklezjasta, który twierdził, że wszystko jest marnością, kłócił się w nim z patriotą, który odpowiadał, że na przykład cierpienie narodowe nią nie jest. Ale taki stan rzeczy rodził w nim ustawiczną rozterkę, tak że zazdrościł ludziom zdolnym do czynów, którzy idą przez życie bez żadnych: p o c o? i d l a c z e g o? – jak również i ludziom, oddanym bezwzględnie jednemu wielkiemu uczuciu.

Dla starego rejenta Dzwonkowskiego i dla panny Maryni takim wielkim uczuciem była muzyka, toteż Groński, ilekroć widział ich razem, tylekroć miał przed oczyma jakby żywy przykład, że jednak istnieją rzeczy, którymi można sobie wypełnić życie od zarania aż do ostatniej chwili... byle ich nadto nie analizować.

IV

Przy wieczerzy stary rejent zajęty był w dalszym ciągu również tylko muzyką i panną Zbyłtowską. Innym, z wyjątkiem pani domu, od której zależało pozwolenie na koncert, odpowiadał dość opryskliwie, a zwłaszcza Dołhańskiemu, gdy ów kilkakrotnie jeszcze usiłował wydobyć z niego jakąś wiadomość o testamencie. Gniewna i apoplektyczna twarz jego wypogodziła się dopiero po oświadczeniu pani Krzyckiej, że nie ma nic przeciw poświęceniu reszty wieczoru poważnej muzyce i że sarna rada posłucha panny Maryni, której nie słyszała od ostatniego dobroczyнного koncertu w Krynicy.

Przy końcu wieczerzy począł się staruszek znów jednak niecierpliwie uważając, że szkoda czasu na jedzenie i na rozmowy, choćby nawet o muzyce, ale lekkie, błahe, a wygłaszane przez profanów, nie mających o niej pojęcia. Zajęły go nieco dopiero wywody Grońskiego, który począł mówić o początkach muzyki i zwalczać darwinowską teorię, że pieśń i gędźba powstała w jakimś zamierzczłym okresie życia ludzkości z miłosnego oznajmiania się i nawoływania po lasach mężczyzny i kobiety. Groński podzielał zdanie tych, którzy podobnym poglądom przeciwstawiali fakt, że u najdzikszych właśnie ludów nie istnieją żadne ślady pieśni miłosnych, a natomiast istnieje muzyka i śpiew wojenny. Teoria nawoływania się po lasach wydała się paniom poetyczniejszą. Groński uspokoił je jednak, że to nie

zmniejsza cywilizacyjnego znaczenia muzyki, ale przeciwnie nawet dowodzi, że ona, wraz z tańcem, jest jednym z pierwszych czynników wprowadzających do rozproszonych gromad ludzkich pewną organizację.

– Papuasi – mówił którzy łączą się dla wykonania wojennego czy obrzędowego tańca wedle rytmu swej, choćby najdzikszej muzyki, już się czemuś poddają, już wprowadzają jakowyś ład i zawiązują pierwszy węzeł społeczny.

– To się znaczy – zauważył Dołhański – że i wszystkie narody utworzyły się z jakiegoś pierwotnego: Wlazł kotek na płotek...

– Bo tak jest! – odpowiedział gniewliwie stary rejent. Po czym, zwracając się do Grońskiego:

– Niech pan mówi dalej. Przynajmniej można się czegoś dowiedzieć.

– Niech pan mówi – powtórzyła panna Marynia.

Więc Groński jął mówić dalej o dziejach muzyki: jak przez cały ciąg wieków służyła wojnie, obrzędowi zarówno państwowym, jak świeckim i religii, a nader późno dopiero rozwinęła własne skrzydła, na których unosi się obecnie jak orzeł, nad całą ludzkością.

– Dziwna sztuka – kończył – najbardziej pierwotna, a dziś więcej od innych na nauce oparta; najściślej w pewne techniczne warunki jak gdyby w jakoweś tamy i groble ujęta, a najbardziej bezbrzeżna, najbardziej mistyczna i najbardziej przelewająca się gdzieś poza krańce bytu i życia, co właśnie może jej daje tę niepojętą władzę nad ludzką duszą – najmniej wyraźnym językiem mówiąca i najidealniejsza, a najpotężniej podniecająca do czynów... Tak!... Polskim. pułkom pruskie kapele grały pod Gravelotte Jeszcze Polska nie zginęła!... I wszędzie można obaczyć to sarno... Zagrajcie Francuzom Marsylianę, Niemcom Wacht am Rein – a ręce poczną im drgać. Nawet flegmatycznym

Anglikom i Amerykanom płoną oczy, gdy usłyszą Rulle Britania! albo Yankee Doodle... Dziwna sztuka! najbardziej kosmopolityczna i najbardziej zarazem narodowa - powszechna i indywidualna...

– Jednej rzeczy pan nie powiedział, że to chyba ze wszystkich sztuk najczystsza – dodała pani Otocka.

– Próbowano i ją znieprawić – odrzekł Groński – ale rozpasanie nie może być rytmicznym ani harmonijnym, i dlatego z tych prób urodzi się tylko jakiś antychryst muzyki. Lecz Krzycki, który się trochę nudził i wołałby był rozmawiać z jasnową panną Anney, ozwał się z widoczną chęcią zakończenia rozmowy:

– Tak, to jasne, że nie tylko każdy naród, ale i każdy człowiek ma swoją muzykę. Ja na przykład gotów jestem zawsze słuchać koncertu lub opery, ale wyznaję, że gdy czasem przy robocie w polu chłopaki i dziewczyny rozśpiewają się tak, że aż w widłach i grabiach dzwoni – to to jest właśnie moja muzyka.

– Słowianinie, Lechito, Piaście – pójdz w moje objęcia! – odpowiedział cedząc Dołhański.

Krzycki zarumienił się nieco z obawy, czy młodej Angielce i wykwintnym krewniaczkom nie wyda się za bardzo prostakiem, ale one spoglądały owszem na niego z pewną sympatią i tylko staremu klasykowi rejentowi broda poczęła się schodzić z nosem w sposób nie wróżący nic dobrego, a z ust wydobył się na wpół wyraźny pomruk:

– Niektórym wystarcza i to, gdy im zacznie w uszach dzwonić.

Ale pomiarkowawszy, że pani Krzyckiej nie mogą być miłe zaczepki skierowane przeciw jej synowi, rzucił na nią niespokojnym wzrokiem i umilkł.

Wieczera była skończona. Towarzystwo przeszło do salonu, w którym panował chłód i lekki zapach jaśminów, którego zanim zamknięto okna, nawiał z ogrodu wieczorny

powiew. W szklanych drzwiach stał wielki pełny księżyc, który niedawno podniósł się sponad olszyn za stawem – i wybijał się z wolna na niebo, rumiany jeszcze po kąpieli w wieczornych zorzach. Pani Otocka siadła do fortepianu, obok rejent począł przedmuchiwać jakby ze złością flet; za nimi zaś stanęła ze skrzypcami przy ramieniu panna Marynia. Groński patrzył z zachwytem na jej obfite ciemne włosy, na spokojne łuki brwi pod czołem po prostu niepokalanym, na drobną twarz i – szczupłą a wyrośniętą, dziecinną jeszcze postać i myślał, że sam taki widok starczy za muzykę, a przynajmniej, że taka skrzypaczka może uchodzić za jej wcielenie i symbol. Krzycki, lubo poprzednio zapisał się już do stronnictwa angielskiego, nie mógł także oczu od niej oderwać. Po skończeniu uniwersytetu towarzyszył on był matce w podróży do Włoch; zwiedzał wówczas rozmaite galerie i jakkolwiek brakło mu gruntownego artystycznego wykształcenia, jednakże przechodziło mu obecnie przez głowę, że ta dziewczyna z jasną i spokojną twarzą, pochyloną nad skrzypcami, mogłaby być posłużyć któremu ze starych mistrzów jako model do świętej Cecylii – albo do jednego z tych grajków anielskich, których widywał na obrazach Fra Angelico.

Inni słuchacze, jako to pani Krzycka i jej dzieci oraz nauczycielka i panna Anney patrzyli na nią również jak na cudowny obrazek. Ogólnego zachwytu nie podzielał tylko nauczyciel małego Stasia, Laskowicz. Był to student medyk, który z powodu zamknięcia uniwersytetu zarabiał guwernerką na dalsze studia – i który znalazł się razem ze swą nieubłaganą nienawiścią do „sytych” tego świata, jak Piłat w Credo w tym wiejskim domu. Przekonania jego nie były już dla nikogo w Jastrzębiu tajemnicą, ale tolerowano go jednak z tą całą nieopatrzoną pobłażliwością, do jakiej tylko szlachta polska jest zdolna, w myśl zasady, że i

„największy radykał musi jeść” – i w nadziei, że Staś zbyt jeszcze jest mały, aby nauczyciel mógł w „złym duchu” na niego oddziaływać.

Laskowiczowi, gdy patrzył na tę wytworną pannę, przyszło na myśl, że to jest kwiat rosnący wyżej, niżby mogły sięgnąć ręce proletariusza, a zatem wyhodowany z krzywdą proletariatu. Było to dla niego dosyć, by na obie siostry spoglądać z niechęcią i z gotowością do nienawiści.

Ale tymczasem nadeszła chwila rozpoczęcia koncertu. Przez jakiś czas jeszcze panna Zbyłtowska wodziła smyczkiem po strunach, przykręcała kołeczki skrzypiec lub, prowadząc palcem po nutach, wskazywała coś siostrze i rejentowi – po czym nastąpiła cisza przerywana tylko niewyraźną rozmową zgromadzonej za oknami służby, która po raz pierwszy w życiu miała zobaczyć grającą na skrzypcach pannę.

V

Ozwały się pierwsze akordy Sonaty księżycowej i rozpoczęły się czary. Groński, który miał wyobraźnię poety i mocny dar zmieniania wrażeń w wizję, przymknął oczy i począł ją wysnuwać z duszy. Oto błądzący promień wkrada się przez szczelinę i dotyka czoła śpiącego, jakby chciał zbudzić myśl, a potem ust, jakby chciał zbudzić słowo, a potem piersi, jakby chciał zbudzić serce. Ale strudzone ciało usnęło ciężkim snem, natomiast dusza wysuwa się z jego objęć, jak motyl z kokona i leci w przestwór. Noc jasna i cicha. W dole olchy majaczą w muślinowej mgle. Na leśnych polanach tańczą korowody nimf, którym faun przygrywa na flecie, a wokół stoją w koronach z rogów jelenie z płonącymi błękitnie oczyma. We wrzosach tlą się świętojańskie czerwce, wśród mchów fosforyzują muchomory, a spod ich baldachów drobniuchne elfy leśne przypatrują się

korowodom. Z próchniska i bajorów podnoszą się błędne ogniki i chodzą lekkie, tajemnicze, jakby szukały czegoś na próżno. Księżyc wybija się coraz wyżej na niebo i pada rosa obfita.

Po rozłogach pól wije się srebrna wstęga rzeki i widać szlaki dróg, wiodących do grodów i zamków. Przez wąskie gotyckie okna wpada do cichych sal zamkowych blask miesięczny, w którym snują się duchy zmarłych rycerzy i dziewczic. U stóp zamków śpią miasta. W spokojnym świetle bieleją dachy domów i błyszczą krzyże wież. Z kwitnących sadów wraz z oparem podnoszą się zapachy kwiatów i traw. Ale lżejsza od woni i od światła skrzydlata dusza szybuje wyżej i dalej. Mkną nisko siedliska ludzkie, mkną lasy, doliny i lśniące tarcze stawów i białe nici strumieni. Kraina spiętrza się z wolna...

* * *

A oto góry. Wśród czarnych skał śpi przejasna tarcza jeziora. W wąwozach tai się chłodny mrok. Świecą zielono igły lodowców. Po zboczach i gniazdach skalnych nocują strudzone obłoki i węże mgieł, a na szczytach, na wiecznym śniegu kładzie się światło miesiąca. Usnął i wiatr. Jak cicho, powietrznie, szeroko! Tu księżyc jedynym stróżem milczenia, a dusza ludzka jedyną żywą istotnością. Wolna jak górski orzeł, oderwana od ciała, rozkochana w przestrzeni, w pustce, w milczeniu i w wyżynach – szczęśliwa i smutna jakimś zaziemskim smutkiem - roztopiona w ciszy – buja i krąży nad przepaściami, a potem leci znów dalej, cała oddana rozkoszy lotu i pędu...

* * *

I góry znikły już pod nią, lecz teraz jakieś głosy podnoszą się i dolatują z dołu, jakby wołały ją ku sobie. To morze! Ono jedno nie uśnie nigdy i bezsenne, ogromne bije i bije falą o brzegi niby niezmiernie tętno życia. Jego potworne płuca wzdymają się i opadają wieczyście, a czasem jęczą w skardze na trud bez końca.

Pogięta roztozcz morską drga opalową łuską księżycy i srebrnymi taśmami gwiazd, a na tych rozjaśnionych szlakach widać w oddali również bezsenne jak samo morze – okręt z żaglami i z krwawym światłem w okrągłych oknach.

* * *

Lecz ty, o duszo, lecisz wyżej i wyżej. Już ziemia została gdzieś na dnie przepaści, a ty przez lekkie jak puch, pierzaste chmurki, zabłąkane na wysokościach, przebijasz się w przestwór zalany blaskiem - pusty, chłodny. Tam kładziesz się na własnych skrzydłach i pławisz się w świetlistej nicości – wyżej i wyżej!... Teraz skrzą się i mienią nad tobą złotem i purpurą klejnoty niebios, a ty igrasz i kołyszysz się wśród niedosiężnych eterów, uciszona w sobie, wyzwolona z pyłu materii – jakby za granicami czasu i przestrzeni na wpół już wniebowzięta...

* * *

Strop nieba coraz czarniejszy, a księżyc wielki jak świat świeci coraz jaskrawiej. Widać już blisko jego jaśniejące pola, poszarpane, dzikie, zjeżone szczytami gór, podziurawione czernią kraterów, głuche, mroźne, martwe... Tak unosi się w otchłaniach przestrzeni ten srebrny trupi tułacz, który oblatuje ziemię, jakby skazany wyrokiem

bożym na wieczny pęd. Nad nim i wokoło bezmiar, którego nie ogarnie mdlejąca myśl. Nowe obozy gwiazd mrugają krwawo i sino niby dalekie ogniska. Słyszać muzykę sfer. Wieczność owiewa tu już swym tchnieniem i przejmując dreszcz zaświatowy.

* * *

Wróć, rozbujany łabędziu, wróć, o duszo, wprzód, nim cię porwą jakieś tajemnicze biegi i wiry i nim oderwą cię na wieki od ziemi.

* * *

Wracasz z wyżyn wszechbytu, wykąpana w falach nieskończoności, czystsza i doskonalsza. Oto złożyłaś już skrzydła... Patrz: tam w głębi pod tobą znowu te puchy lekkich obłoków, które powitasz teraz jak coś swojego i bliskiego. W dole ziemia. Widać już skrzące się ku księżycowi garby gór, u których stóp łąka morze. A jeszcze niżej – znów mżą się omajaczone tumanem lasy, znów bielą się miasta o cichych wieżach i dachy uśpionych wiosek. Noc błędnie. Na łąkach koniuchowie rozpalili ogień i grają na piszczałkach... Koguty pieją... Świta! świta!...

* * *

Tak widział i myślał Groński. Dźwięki ucichły wreszcie i nastąpiło milczenie. Panna Marynia stała przy fortepianie z twarzą zawsze jednako pogodną, ale jakby zbudzoną ze snu. Stary rejent Dzwonkowski siedział przez chwilę ze spuszczoną głową poruszając bezzębnymi szczękami, następnie wstał, a gdy dziewczyna złożyła obok klawiatury skrzypce, ucałował zapalczywie jej rękę, po czym ją rzucił

wyzywającym wzrokiem na obecnych jakby szukając tego, kto by się ośmielił zaprotestować przeciw tej oznace hołdu albo uważać ją za rzecz zbyteczną. Nie protestował jednak nikt, albowiem pod urokiem tej muzyki stało się ze słuchającymi to, co staje się z ludźmi zawsze, gdy obwieje ich tchnienie prawdziwego geniuszu. Jak czasem we śnie zdaje się człowiekowi, że odepchnąwszy się nogą od ziemi może potem długo zataczać koła w powietrzu, tak i ich ciała stały się jakby lżejsze, mniej materialne, jakby pozbawione tych ciężkich i grubych pierwiastków, które przytwierdzają je do ziemi. Nerwy uczyniły się wrażliwsze i subtelniejsze, a dusze bardziej lotne, bliższe tej jakiejś granicy, za którą rozpoczyna się wieczność. Było to poczucie nieświadome, po przejściu którego codzienne życie miało ich ogarnąć i sprowadzić znów na dół, ale podczas tej chwilowej egzaltacji zbudziły się w nich nieznane im samym władze chwytania, pojmwania i odczuwania piękności i w ogóle takich rzeczy, których w zwykłym nastroju nie odczuwali – i nie wiedzieli, że mogą je odczuwać.

Wpływowi temu nie oparł się, mimo wszelkich uprzedzeń, nawet i niedoszły medyk, Laskowicz. Z chwilą, w której panna Marynia stanęła do gry, począł jej się ze swego mrocznego kąta w salonie przypatrywać – i badać jej postać jak anatom. Czuł, że jest w tym coś brutalnego, ale takie stanowisko sprawiało mu właśnie zadowolenie, jako odpowiednie dla badacza i dla człowieka jego przekonań. Jął w siebie wmawiać, że ta panna z tak zwanej wyższej sfery, jest dla niego tylko obiektem, który rozpatruje tak, jakby rozpatrywał trupa w prosektorium. Więc gdy przy strojeniu skrzypców schylała głowę, wymieniał sobie w duchu po łacinie nazwy jej kości ciemieniowych odpychając myśl, która mimo woli cisnęła mu się do głowy, że jest to jednak: nadzwyczaj szlachetna czaszka. Następnie, w pierwszych chwilach po rozpoczęciu koncertu, zajął się nomenklaturą

muskulów jej rąk, ramion, piersi, nóg rysujących się pod suknią i całej postawy. Ponieważ jednak był nie tylko studentem medycyny i socjalistą, ale i młodym człowiekiem, przeto ten przegląd anatomiczny skończył się niespodzianym wnioskiem, że to „jest nie dość jeszcze rozwinięta, ale nadzwyczaj ładna i ponętna dziewczyna, podobna do wiosennego kwiatu. Od tej chwili począł jej do pewnego stopnia przebaczać przynależność do sfer żyjących „z krzywdy proletariatu” – i nie mógł pozbyć się myśli, że gdyby w następstwie jakichś niesłychanych społecznych przewrotów taka „święta laleczka” znalazła się na jego łasce i niełasce, to taki stan rzeczy przyniósłby mu niewysłowioną dziką rozkosz.

Ale gdy Beethoven położył mu rękę na głowie, rozbudziły się jednak i w nim lepsze i wyższe uczucia. Widział ściągające się podczas gry usta i brwi panienki i jął przypuszczać, że „ona jednak coś czuje”. Skutkiem tego niechęć ku niej poczęła w nim topnieć jeszcze bardziej, albowiem, jakkolwiek z wolna i z trudem – na wpół uświadamiał sobie, na wpół zgadywał, że to są nie tylko ręce, ale i dusza grająca. Nie posiadał dość kultury, by muzyka przemówiła do niego tak, jak na przykład do Grońskiego, zrodziło się w nim wszelako jakieś głuche poczucie, że to jest coś takiego jak powietrze, którym wszystkie piersi mogą oddychać bez względu na to, czy kochają, czy nienawidzą. I obejmowało go pewne zdziwienie na myśl, że są rzeczy, leżące ponad rojowiskiem ludzkich namiętności. W końcu tak dalece utożsamiał muzykę z postacią grającej dziewczyny, że gdy stary rejent po skończonym koncercie ucałował jej ręce – prawie że miał ochotę uczynić to samo.

A tymczasem Władysław Krzycki mówił do panny Anney: – Jak Jastrząb Jastrzębiem, jeszcze takiej muzyki nikt tu nie słyszał. Nie jestem znawcą, ale przyznaję, że to mnie wzięło.

Przy tym, choć bywam dość często w mieście, tak się jakoś składało, że nigdy nie widział grającej na skrzypcach kobiety. A to takie ładne. Mam teraz wrażenie, że na skrzypcach powinny grywać tylko kobiety.

– Ma się takie wrażenie, gdy się widzi grającą Marynię.

– Zapewne. Zaczynam nawet rozumieć pana Grońskiego... Bo przecie pani wie, że to jego adoracja.

– Największa w świecie. I moja, i wszystkich, którzy ją znają – a będzie wkrótce i pańska.

– Nie przeczę, że będzie, tylko nie wiem, czy największa. Nastąpiła chwilowa przerwa w rozmowie, po czym Krzycki nie chcąc, by panna Anney wzięła jego słowa za niewczesny komplement, dodał:

– W każdym razie winienem jej wdzięczność za muzykę trochę inną niż ta, której na wiosnę i w lato co wieczór słuchamy.

– Jakaż to muzyka?

– Od mroku do wschodu księżycy orkiestra żabia, a potem koncert słowicy, którego zresztą zwykle nie słyszę, bo po dziennej robocie śpię kamiennym snem. Żabia kapela już rozpoczęła. To ma też swój urok. Jeśli pani chce posłuchać, wyjdźmy na werandę. Wieczór jest tak prawie ciepły, jak w lato.

Panna Anney wstała i wyszli na werandę, z której służba, która poprzednio przysłuchiwała się pod oknami grze panny Maryni, już się rozeszła – i tylko w dali białawy przesłonięte mrokiem kwitnące jaśminy. Od stawu dochodziło grzechotanie rzeszy żab, senne, a zarazem podobne do chóralnej modlitwy.

Panna Anney wsłuchiwała się przez chwilę w te głosy, po czym rzekła:

– Tak – to ma też swój urok, a zwłaszcza w taką noc.

– Czy w Anglii często bywają podobne?

– Nie tak ciche. Prawie nie ma kąta, do którego by nie

dochodził świst lokomotywy lub odgłosy fabryczne. Lubię tutejszą wieś właśnie za ten spokój i oddalenie od miast.

Więc to nie pierwszy raz widzi pani wieś polską?

Nie. Bawiłam teraz przez miesiąc u Zosi Otockiej.

– Chciałbym, żeby i nasz Jastrząb znalazł łaskę w oczach pani. Szkoda tylko, że pani od razu trafiła na pogrzeb. Zawsze to smutne. Widziałem nawet, że pani była wzruszona.

– Coś mi się przypomniało – odpowiedziała panna Anney. Po czym, chcąc widocznie zmienić rozmowę, zaczęła znów patrzeć w głąbie ogrodu.

– Jak tu wszystko kwitnie i pachnie – rzekła.

– To jaśminy i bzy. Czy pani uważała na leśnej drodze, jadąc do Jastrzębia, że brzegi lasu są wysadzone bzami? To moja robota.

– Zauważyłam dopiero przy moście, tam, gdzie stoi jakiś stary budynek. Co to za budynek?

– To dawny młyn. Niegdyś było tam w rzeczulce dużo wody, ale potem nieboszczyk wuj Żarnowski odprowadził ją do stawów rybnych w Rzęślewie i młyn stanął. Teraz to rudera, w której już od kilkunastu lat składamy siano, zamiast je trzymać w stogach. Ludzie mówią, że tam straszy, ale to ja sam puściłem w swoim czasie tę bajkę.

– Dlaczego?

– Naprzód dlatego, żeby nie kradli siana, a po wtóre, zależało mi, by tam nikt nie zaglądał.

– Cóż pan wymyślił?

– Opowiadałem, że się koło mostu konie w nocy płoszą i że się coś we młynie śmieje, co jest przy tym prawda, bo tam się sowy śmieją.

– Trzeba było może opowiadać, że tam ktoś płacze. Dlaczego?

– Dla większego wrażenia.

– A nie wiem. Śmiech w nocy na pustkowiu robi chyba większe wrażenie. Ludzie się tego więcej boją.

– I nikt tam nie zagląda?

– Nikt. Teraz zresztą, byle nie kradli siana, to mi jest wszystko jedno, ale w swoim czasie bardzo się chciałem ubezpieczyć przed ludzkimi oczyma...

Tu Krzycki ugryzł się w język, spostrzegł bowiem przy świetle księżycy, że brwi panny Anney zsunęły się lekko. Zrozumiał, że powtarzając dwa razy, iż zależało mu na tym, by nikt do młyna nie zaglądał, popełnił towarzyską nieprzyzwoitość, a co gorzej, przedstawił się młodej Angielce jak jakiś prowincjonalny samochwał, który daje do zrozumienia, że nieraz potrzebował szukać rozmaitych kryjówek. Więc chcąc zatrzeć złe wrażenie dodał prędko: .

– Będąc studentem pisałem wiersze i dlatego szukałem samotności, ale teraz to przeszło.

– To zwykle przechodzi – odpowiedziała panna Anney.

I zwróciła się ku drzwiom salonu, ale bez zbytniego pośpiechu, jakby chcąc okazać Krzyckiemu, że przyjmuje za dobrą monetę jego objaśnienie i że odwrót jej nie jest żadną manifestacją. Krzycki pozostał przez chwilę – zły na siebie, a jeszcze więcej na pannę Anney, a to właśnie dlatego, że nietakt popełnił tylko on i że nie mógł jej nic zarzucić. „W każdym razie – mówił sobie – to jakoś diablo domyślna purytanka...”

I począł powtarzać z pewną urazą jej ostatnie słowa: „To zwykle przechodzi...”

„Czyli – myślał – chciała mi dać do zrozumienia, że z takiej mąki, jaka jest we mnie, nikt nie wypiecze poety. Może być – i ja sam wiem o tym najlepiej, ale nie potrzebuję, żeby mi to kto potwierdzał.”

Pod wpływem tych myśli wrócił do salonu w niezupełnie dobrym humorze, ale tam obowiązki gospodarza odwołały

go do kuzynek i tego wieczora nie rozmawiał więcej z panną Anney.

VI

Rejent Dzwonkowski odjechał jeszcze tej samej nocy, albowiem z powodu swego urzędu musiał być od rana w mieście. Natomiast Groński, którego pani Otocka prosiła, by ją zastąpił w kancelarii, oraz Krzycki i Dołhański wyruszyli dopiero nazajutrz. Wszyscy trzej byli i zaniepokojeni, i ciekawi, jaki też będzie ten testament, o którym rejent nie wspomniął ani słowem. Dołhański nadrabiał miną, żartami – i okazywał więcej zimnej krwi, niż jej miał rzeczywiście. Głównie bowiem jemu zależało na tym, by mu coś "kapnęło". Był to człowiek, który stracił znaczny majątek, że zaś nie zmienił swych przyzwyczajzeń i żył w dalszym ciągu tak, jakby go nie był stracił, więc utrzymywał się na powierzchni życia tylko za pomocą nadzwyczajnych, niemal akrobatycznych wysiłków, z czego zresztą i sam nie robił wcale tajemnicy. W ogóle był darmozjadem i miał miliony wad, ale i pewne towarzyskie przymioty, za które go ceniono. Należąc do arystokratycznego klubu, grywał w karty nader szczęśliwie – lecz nieposzlakowanie. Nie pożyczał nigdy pieniędzy od ludzi swojej sfery, nie robił plotek i był dość wiernym przyjacielem. Brak wykształcenia wypełniał sprytem i pewną chwytnością umysłową. Drwił z siebie ile weszło, ale nie było bezpiecznie drwić z niego, a ponieważ posiadał przy tym dowcip i pewną graniczącą z cynizmem otwartość, więc nie tylko znoszono go, ale widziano chętnie. Groński, którego Dołhański szczególnie považał, tak że jemu jednemu pozwalał z siebie żartować, mówił o nim, że gdyby posiadał tyle daru robienia pieniędzy, ile go posiadał do ich rozrzucania, to byłby milionerem.

Ale w oczekiwaniu na tę zmianę przychodziły na Dołhańskiego czasem ciężkie chwile, a zwłaszcza na wiosnę, gdy gra w klubie słabła i gdy poczynały się rozjazdy. Wówczas odczuwał znużenie po zimowych wysiłkach i wdychał za tym, żeby mu coś czasem spadło bez trudu. Testament Żarnowskiego mógł być taką gratką, a choć Dołhański nie spodziewał się wiele, gdyż za życia nieboszczyka wcale mu się nie zasługiwał, a nawet otwarcie powtarzał, że go wujaszek nudzi, liczył jednakże, że może okroić mu się cośkolwiek – niechby przynajmniej na chwilowe zaspokojenie wierzących, albo jeszcze lepiej, na jakąś modną wielkoświatową plażę francuską.

Swoją drogą, wyjeżdżając z Warszawy, zapowiadał w klubie, iż wróci siedząc na poduszce wypchanej listami zastawnymi. Obecnie próbował z pewnym nieco sztucznym humorem wmówić Grońskiemu i Krzyckiemu, że właściwie to nie pani Otocka z siostrą ani Krzyccy, ale on powinien być generalnym spadkobiercą.

– Jedna z kuzynek – mówił – jest to ciepła wdówka, która ma gruby majątek po mężu, a druga to muza na dorastaniu, której powinna wystarczać ambrozja. Jaka szkoda, że nie jestem jedynym krewnym nieboszczyka.

Tu zwrócił się do Władysława:

– Krzyccy mi także niepotrzebni. Ponieważ jednak mieliście, jak słyszałem, jakieś zatargi graniczne z Rzęślewem, mam nadzieję, że nic nie dostaniecie.

– Co ci po nadziei – rzekł Groński -- ogranicz przede wszystkim swoje potrzeby.

– Przypominasz mi mego nieboszczyka ojca – odpowiedział Dołhański. .

– Zapewne, że musiał ci to często powtarzać.

- Zbyt często, a przy tym dawał mi, jako przykład, siebie, ale ja dowiodłem mu, jak dwa razy dwa cztery, że mogę i powinienem żyć na większą od niego skalę.
- Cóżes mu powiedział?
- Powiedziałem mu tak: Naprzód, papa ma syna, a ja jestem bezdzietny, a po wtóre i szlachcic jestem lepszy od papy.
- A to jakim sposobem?
- Bardzo prostym, gdyż liczę o jedno pokolenie więcej. – Brawo! – zawołał Krzycki. – Cóż ojciec na to?
- Nazwał mnie durniem, ale widziałem, że mu się to podobało. Ach! żeby pani Otockiej tak się podobały moje koncepty, jak niegdyś papie! Ale jestem przekonany, że i moja stałość, i mój apetyt na nic się nie przydadzą. Kuzyneczka jest zresztą praktyczniejszą, niż się zdaje. Myślałbyś, że obie z siostrą żyją tylko zapachem kwiatów, a jednak dowiedziawszy się o możliwym spadku, w te pędy przyjechały do Jastrzębia.
- Mogę cię zapewnić, że się mylisz. Matka zaprosiła te panie jeszcze zeszłego lata w Krynicy, a teraz, przynajmniej na tydzień przed śmiercią wuja Żarnowskiego, przypomniała im obietnicę. Odpisały, że nie mogą przyjechać, bo mają gości. Wówczas matka zaprosiła i gości.
- Jeśli tak, to co innego! – i nie tylko twoją matkę rozumiem, ale ponieważ ty jesteś przystojny chłopiec i w dodatku młodszy ode mnie, zaczynam się obawiać o najszlachetniej mi należny majątek kuzynki Otockiej.
- Możesz się nie obawiać – odpowiedział sucho Krzycki. – Czy to ma znaczyć, że wolałbyś od rubli funty? Ze względu na kurs i ja bym wolał, boję się tylko, by ich za dużo nie utonęło w kanale w drodze z Anglii.
- Jeśli ci na tym zależy – rzekł Groński – to o ścisłą liczbę możesz spytać pannę Anney. Ona jest tak szczerą, że ci z pewnością odpowie.
- Tak, ale trzeba jeszcze, żebym ja uwierzył.

– Gdybyś się znał choć trochę na ludziach, to byś jej uwierzył.

– W każdym razie obawiałbym się nieporozumienia, bo gdyby mi odpowiedziała po polsku, mogłaby się sama omylić, a gdyby po angielsku, mógłbym ja niedokładnie zrozumieć.

– Ona po polsku lepiej mówi, niż ty po angielsku. I wyznaje, że mnie to zawsze dziwi. Bo skąd?

– Przecież ci mówiłem – odrzekł z pewną niecierpliwością Groński – że uczyła się od dzieciństwa, ponieważ jej ojciec był to taki Anglik, który miał ogromną sympatię do Polaków.

– *De gustibus non est disputandum* – odpowiedział Dołhański. I następnie znów zaczął mówić o nieboszczyku Żarnowskim i o starym rejencie, przedrwiwać ruch jego bezzębnych szczęk, wściekłość spojrzeń i wreszcie zapowiadać, że jeśli mu nic nie "kapnie", to się zastrzeli pod progiem pani Otockiej albo pojedzie do Górek, by oświadczyć się o rękę panny Włóckiej.

Lecz Groński zamyślił się w czasie tej gadaniny o czym innym, a Krzycki słuchał jej z roztargnieniem, gdyż uwaga jego zwróciła znaczna ilość furmanek chłopskich, które mijali ustawicznie. Przypuszczając, że może zapomniał o jakim dniu targowym w mieście, zwrócił się do swego stangreta.

– Andrzej – zapytał – a czemu to tyle fur ciągnie do miasta?

– A to, proszę jaśnie pana, chłopci rzęślewscy.

– Rzęślewscy? Cóż oni tam mają do roboty?

– A to, proszę jaśnie pana, wedle testamentu nieboszczyka, pana Żarnowskiego, że to niby Rzęślewo ma iść na nich.

Krzycki zwrócił się do Grońskiego.

– Słyszałem rzekł – że ktoś puścił między nich taką wiadomość, nie myślałem jednak, że jej uwierzą.

A potem znów do stangreta:

– Któż im to powiedział?

Stary woźnica zawahał się nieco z odpowiedzią.

– Ludzie bają, że pan gubernier.

Krzycki począł się śmiać.

– Oj, głupie chłopcy! – rzekł. – Przecież pan Laskowicz nigdy w życiu nie widział pana Żarnowskiego. Skądże miałby wiedzieć o testamencie.

Lecz po chwili zastanowienia rzekł na wespół do towarzyszy, na wespół do siebie:

– Wszystko musi mieć jakiś cel, więc jeśli to Laskowicz zrobił, to niechże mi kto powie, dlaczego?

– Czy go o to posądzasz? – zapytał Groński.

– Nie wiem, bo dotychczas przypuszczałem, że można być socjalistą i mieć klepki w porządku...

– A! więc to ptak z tego gniazda? Powiedz mi, jak on dawno u was jest i co to za figura?

– Jest u nas od pół roku. Potrzebowaliśmy nauczyciela dla Stasia i ktoś nam go polecił. Powiedziano nam, że musi wyjechać na jakiś czas z Warszawy, by zejść z oczu policji – i oczywiście przyjąłem go tym skwapliwiej myśląc, że to chodzi o jakie sprawy patriotyczne. Później, gdy się już pokazało, że to całkiem inny gatunek, matka nie pozwoliła go jednak oddalić, w nadziei, że go nawróci... Brała go z początku na długie, serdeczne rozmowy, a mnie poleciła poprzyjaźnić się z nim. Traktowaliśmy go jak członka rodziny, a wynik był taki, że on nienawidzi nas nie tylko jako ludzi należących do nienawistnej mu sfery, ale zdaje się, że i osobiście.

– Prosta rzecz – rzekł Dolhański. – Ma wam za złe, że nie jesteście tacy, jak was sobie wyobrażał, to jest ani tak źli, ani tak głupi. I możecie być pewni, że wam tego nigdy nie przebaczy.

– Może być. W każdym razie będzie nas wkrótce nienawidził z daleka, bo się za miesiąc rozstajemy.

Rozumiem, że można i należy tolerować wszelkie przekonania, ale jest w nim przy tym, obok jego zasad i nienawiści, coś tak przeciwnego naszym wszystkim zwyczajom i coś tak obcego, że go marny już dosyć.

– Mój Władku – odpowiedział Dołhański – nie bierz tego koniecznie do siebie, bo ja mówię ogólnie, ale skoroś wspomniał o tolerancji, to ci powiem, że według mego zdania, tolerancja w Polsce nie była i nie jest czym innym, jak tylko safandulstwem – i to dziejowym safandulstwem...

– Pod pewnym względem Dołhański ma słuszność – rzekł Groński. – Być może, że w ciągu naszych dziejów tolerowaliśmy rozmaite idee i żywioły, nie tylko przez wspaniałomyślną wyrozumiałość, ale i dlatego, że naszemu lenistwu nie chciało się z nimi należycie rozprawić...

Na to zaś Krzycki, który nie lubił się wdawać w wywody ogólne, rzekł:

– To dobrze, ale to wszystko nie tłumaczy mi, dlaczego by Laskowicz miał puszczać między chłopów wiadomość, że wuj Żarnowski im zapisał Rzęślewo?

– Nie ma dotychczas pewności, czy to on – odpowiedział Groński.

– Dowiemy się o tym u rejenta, a w każdym razie w niedalekiej przeszłości.

VII

Godzina była piąta po południu. Panie siedziały na werandzie przy herbacie, gdy młodzi ludzie wrócili z miasta. Panna Anney wstała na ich widok i nie chcąc być obecną, jako osoba obca, przy rodzinnej rozmowie, odeszła pod pierwszym lepszym pozorem do swego pokoju. Pani Krzycka powitała ich z trochę sztucznym spokojem, albowiem w istocie rzeczy myśl o testamencie nie opuszczała jej ani na chwilę. Nie była ona wcale bardziej

chciwa na grosz od ogółu zwykłych śmiertelników, ale chodziło jej niezmiernie o to, by po jej śmierci, przy przyszłym podziale majątku, Władysław miał czym spłacić młodsze rodzeństwo i mógł utrzymać się przy Jastrzębiu. Otóż jakiś poważniejszy zapis ułatwiłby znakomicie taką spłatę. Prócz tego, gdzieś na dnie szlacheckiej duszy pani Krzyckiej leżała ukryta wiara, że jednak Opatrzność ma do pewnego stopnia większe obowiązki względem rodziny Krzyckich niż względem pierwszej lepszej innej. Z tego powodu, gdyby i całe Rzęślewo przypadło na dolę tej rodziny, to poddałaby się takim wyrokom Opatrzności z całą chęcią i gotowością. Na koniec, pochodząc z krwi ludzi, którzy w danym razie umieją wprawdzie poświęcić fortunę, ale nadzwyczaj lubią łatwo do niej dochodzić, pieściła się przez cały dzień myślą, że taka łatwa sposobność właśnie się zdarza.

Lecz z twarzy Władysława i Grońskiego mogła od razu wyczytać, że przywożą jakieś szczególniejsze wiadomości. Dolhański, który pierwszy wysiadł z powozu, pierwszy też rozpoczął sprawozdanie:

– Uprzedzam pytanie, co słyszać – rzekł cedząc z zimną ironią wyrazy – i odpowiadam, że wszystko najlepiej, albowiem Maćki i Bartki rzęślewskie będą miały za co jeździć do Karlsbadu.

Pani Krzycka przybladła nieco i zwróciwszy się do Grońskiego zapytała:

– Co naprawdę, panowie, przywozicie?

– Testament jest w szczegółach dosyć dziwny – odpowiedział Groński – ale napisany w zacnej myśli. Rzęślewo zapisane jest na szkołę rolniczą chłopską, a procenta od kapitałów na wysyłanie wychowawców szkoły po ukończeniu kursu na roczną lub dwuletnią praktykę do wiejskich gospodarstw w Czechach.

– Czyli, jak powiedziałem, do Karlsbadu, Marienbadu, Teplitz i innych tego rodzaju miejscowości – objaśnił Dołhański. Nastąpiła chwila milczenia. Panna Marynia, która nalewała herbatę, poczęła z imbrykiem w ręku spoglądać pytającym wzrokiem po obecnych, chcąc widocznie odgadnąć, czy to chwałą, czy ganią i czy im to sprawia przyjemność lub przykrość; pani Otocka patrzyła na Grońskiego oczyma jakby uradowanymi, a pani Krzycka wsparła się obu rękoma na lasce, której używała z powodu reumatyzmu w nogach, i po jakimś czasie zapytała głosem trochę bezdźwięcznym:

– Więc to na cele publiczne?

– Tak jest – odrzekł Groński. – Organizacją szkoły, a następnie rozdziałem funduszków na pobyt w Czechach ma się zająć Dyrekcja Szczegółowa Towarzystwa Kredytowego tutejszej guberni, a kuratorem szkoły mianowany jest Władek.

– Szkoda, że nie ja – wtrącił znów Dołhański – urządziłbym ją prędko.

– Są i szczegółowe zapisy – ciągnął dalej Groński – i te są bardziej dziwne. Zapisuje mianowicie nieboszczyk rozmaite małe kwoty służbie domowej, a dziesięć tysięcy rubli niejakej Skibiance, córce kowala dworskiego w Rzęślewie, który w swoim czasie wyemigrował do Ameryki.

– Skibiance? – powtórzyła ze zdumieniem pani Krzycka.

Dołhański zagryzł koniec wąsa, uśmiechnął się i począł mruzczyć, że szlachta odznaczała się zawsze miłością do ludu, lecz Groński spojrział na niego surowo, po czym wydobyl z kieszeni notatkę i rzekł:

– Ten ustęp testamentu brzmi tak: „Ponieważ rodzice Hanki Skiba, czyli Skibianki, wyemigrowali, podczas mego pobytu na kuracji za granicą i nie miałem możności dowiedzenia się, gdzie się znajdują, przeto obowiązuję mego krewnego, Władysława Krzyckiego, by poczynił ogłoszenia we

wszystkich dziennikach polskich, wychodzących w Stanach Zjednoczonych i w Paranie. Gdyby zaś spadkobierczyni nie zgłosiła się po odbiór zapisu w ciągu dwóch lat, całkowita suma wraz z procentami przechodzi na własność tegoż Władysława Krzyckiego”.

– A ja już oświadczyłem, że nie myślę tego przyjmować zawołał ze wzburzeniem młody człowiek.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, on zaś począł powtarzać:

– Ani myślę, ani myślę!

– Ale dlaczego? – spytała po chwili matka.

– Dlatego, że nie mogę. Niechże spadkobierczyni zgłosi się na przykład nie po dwóch, lecz po trzech latach - to cóż wówczas? Zabiorę zapis, a ją samą przepędzę za wrota? Nie!

– tego nie zrobię! Zresztą są i inne względy, o których nie chcę mówić...

Jakoż tylko tymi „innymi względami” można było wytłumaczyć tak znaczny zapis, zrobiony prostej wiejskiej dziewczynie, więc pani Krzycka umilkła i dopiero po chwili rzekła:

– Mój Władku, przecie nikt cię nie będzie zmuszał ani nawet namawiał.

Lecz Dolhański zapytał:

– Powiedz mi, czy to jest jakaś bajeczna bezinteresowność, czy zły humor z tego powodu, żeś nie dostał większego zapisu?

– Nie sądź po sobie – odpowiedział Krzycki. – A ja ci powiem to, w co zapewne nie uwierzysz, że skoro ten majątek pójdzie na taką rzecz, jak szkoła rolnicza chłopska, to się z tego cieszę i mam tym większy szacunek dla nieboszczyka. I daję ci słowo, że mówię zupełnie szczerze.

– Brawo – zawołała pani Otocka. – Aż miło słyszeć.

A pani Krzycka spojrzała z dumą naprzód na syna, potem na panią Otocką i choć poczucie zawodu tkwiło jeszcze w jej sercu, rzekła:

– Niechże więc będzie i szkoła, byle i nasi chłopci jastrzębscy mieli prawo posyłać do niej swoich synów.

– To nie ulega wątpliwości – objaśnił Groński. – Uczniów będzie tylu, ile się znajdzie miejsc, ale mogą być ze wszystkich stron, chociaż pierwszeństwo będą mieli rześlewscy.

– A co też oni mówią o zapisie?

– Było ich kilkunastu przy otwarciu testamentu, gdyż się spodziewali po prostu darowizny dworskich gruntów. Ktoś w nich wmówił, że nieboszczyk im wszystko zapisał do podziału, więc odeszli bardzo nieradzi. Słyszeliśmy, jak mówili, że to nie jest prawdziwy testament – i że nie potrzeba im żadnej szkoły.

– Najzupełniej podzielam ich zdanie rzekł Dołhański – i tym razem wbrew mojej naturze mówię poważnie. Bo obecnie panuje jakaś epidemia zakładania szkół, a nikt nie pyta, kto, czego i po jakiemu będzie w nich uczył, a zarazem, co się z nimi w końcu stanie? – Ja jestem sobie ptak niebieski, który sam nic nie robi i na wszystko patrzy, jeśli nie z góry, to z boku lecz może dlatego widzi rzeczy, których inni nie widzą. Otóż, czasem mam wrażenie, że my jesteśmy jak te dzieci, które, na przykład w Ostendzie, budują nad morzem fortece z piasku. Co dzień na plaży je wznoszą i co dzień bałwany je splukują - tak że i ślad nie zostaje.

– Poniekąd masz słuszość – rzekł Groński – z tą wszelako różnicą, że dzieci budują z radością, a my – nie.

Po czym zamyślił się i dodał:

– Jednakże prawo natury jest takie, że dzieci rosną, a dorośli wznoszą tamy już nie z piasku, ale z kamienia, o które się bałwany rozbijają.

– A niechże się porozbijają jak najprędzej – zawołał Krzycki.

Lecz Dołhański nie dał za wygraną.

– Pozwól zatem – rzekł – że póki nie dorośniemy i nie zaczniemy budować z kamienia – pozostanę pesymistą.

A Groński zapatrzył się przez chwilę w dal ogrodu jak człowiek, który się nad czymś zamyśla, a następnie odpowiedział:

– Pesymizm... pesymizm!... Ciągłe się teraz to słyszy... Tymczasem jeśli istnieje coś głępszego od optymizmu, który często uchodzi za głupotę, to mianowicie pesymizm, gdy chce uchodzić za rozum.

Dołhański rozśmiał się trochę zółciowo i zwróciwszy się do pań, rzekł pokazując na Grońskiego:

– Niech mu panie tego za złe nie biorą. Jemu często się zdarza mówić impertynencje przez roztargnienie... To dobry, a nawet i inteligentny człowiek, ale ma nieznośny zwyczaj obracać każdą rzecz na wszystkie strony, przypatrywać jej się, zastanawiać się nad nią i monologować.

Lecz panna Marynia zaperzyła się nagle w obronie swego przyjaciela · potrząsając imbryczkiem, który w tej chwili trzymała w ręku, poczęła mówić z wielkim zapałem:

– To właśnie dobrze, to właśnie rozumnie, to właśnie tak każdy powinien!...

Dołhański udał wielkie przerażenie i schyliwszy głowę zawołał:

– Kładę po sobie uszy, rejteruję i składam broń.

Groński śmiejąc się pocałował ją w rękę, ona zaś zawstydzona bardzo swjej zapalczywości i cała zarumieniona zaczęła pytać: Prawda? czy nie mam słuszności'?

Lecz Dołhański odzyskał już przytomność.

– To niczego nie dowodzi – rzekł.

– Jak to?

– Bo Groński wypowiedział raz taki aforyzm: „Nigdy nie należy iść za zdaniem kobiety, a zwłaszcza jeśli wypadkiem ma słuszność”.

– Ja? – zawołał Groński. – Odczepże się ode mnie. Nigdy nic podobnego nie powiedziałem, i niech mu pani nie wierzy.

– Ja wierzę tylko panu – odrzekła panna Marynia.

Lecz dalszą rozmowę przerwała pani Krzycka uwagą, że czas na majowe nabożeństwo. Był we dworze jastrzębskim wyłącznie przeznaczony na to pokój, zwany kaplicą. Przy głównej, przeciwległej do okien ścianie, wznosiło się coś w rodzaju ołtarza, a w nim obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Ściany, ołtarz, obraz, a nawet i świece przybrane były girlandami ziela, a stojące po bokach męsy bukiety bzów i jaśminów napępniały zapachem całą izbę. Czasem, gdy przyjeżdżał proboszcz rzęślewski, wówczas on prowadził nabożeństwo, a w razie jego nieobecności pani domu. Wszyscy domownicy – z wyjątkiem Laskowicza – przez cały maj schodzili się pod wieczór w kaplicy. Obecnie za paniami poszli i panowie, a po drodze Władysław Krzycki jął rozpytywać Grońskiego.

– Czy panna Anney jest katoliczką?

– Co prawda, to nie wiem, ale zdaje się – odpowiedział Groński. – Ale ot! wchodzi także, więc musi być katoliczką. Nazwisko może być irlandzkie.

W kaplicy świece były już zapalone, choć słońce całkiem jeszcze nie zaszło i stało w oknach niskie, złote i czerwone rzucając blask na biały obrus, którym przykryty był ołtarz, i na głowy kobiet. Przy samym ołtarzu uklękła pani domu, w drugim szeregu panie przyjezdne, a za nimi służba żeńska i stary, astmatyczny lokaj, a panowie stanęli pod ścianą między dwoma oknami. Rozpoczęły się zwykłe śpiewy, modlitwy i litanie.

Grońskiego uderzyła ich słodycz. Było w nich coś i wiosennego i zarazem wieczornego. Wrażenie wiosny czyniły kwiaty, a wieczora czerwony blask wchodzący przez okna i miękkie kobiece głosy, które powtarzając chóralnie słowa litanii, przy pominały jakby świegot ptactwa ostatni i cichnący przed zachodem słońca... „Uzdrowienie chorych, Ucieczko grzesznych, Pocieszycielko strapionych” powtarzała pani Krzycka, a owe miękkie przyciszone głosy odpowiadały jej: „Módl się za nami” - i tak modlił się ten wiejski dom w majowy wieczór. Groński, który byk sceptykiem, ale nie ateistą, naprzód odczuł, jako człowiek wysokiej kultury, estetyczną stronę tego dziecięcego: „dobranoc”, zanoszonego łagodnemu bóstwu przez kobiety. Następnie, jakby chcąc stwierdzić, że Dołhański miał słuszność mówiąc o jego zwyczaju obracania każdej rzeczy na wszystkie strony i rozmyślenia nad każdym zjawiskiem, począł rozmyślać nad objawami religijnymi. Przeszło mu przez głowę, że ta cześć oddawana bóstwu to jest jednak pierwiastek czysto idealny, na który zdobył się dopiero człowiek. Przypomnił sobie, że ilekroć razy zdarzyło mu się być w kościele i widzieć ludzi modlących się, tylekroć uderzała go ta niczym nie zapełniona przepaść, jaka dzieli świat ludzki od świata zwierząt. Faktycznie, pojęcia religijne wytworzył dopiero organizm wyższy i doskonalszy, a stąd wniosek; że gdyby istniały jakieś istoty dziesięć razy inteligentniejsze od człowieka, byłyby dziesięć razy na swój sposób religijniejsze.

– „Tak! ale na swój sposób – powtórzył Groński – i może bardzo odmienny”. – Jego dramatem duchowym (a często myślał, że i wielu podobnych do niego ludzi) było to, że absolut przedstawiał mu się jako otchłań, jako jakieś syntetyczne prawo wszelkich praw bytu. Otóż mniemał, że na pewnym stopniu rozwoju umysłowego niepodobna wyobrazić sobie tego prawa pod postacią dobrotliwego

starca albo oka w promiennym trójkącie – chyba że się bierze rzeczy symbolicznie i że się uważa, że ten starzec lub to oko wyraża tak wszechzasadę bytu, jak poziomo nakreślona ósemka wyraża nieskończoność. Lecz w takim razie, czymże będzie dla człowieka ta wszechzasada? Zawsze nocą, zawsze otchłanią, zawsze czymś niedosiężnym – zaledwie jakimś głuchym poczuciem, nie zaś jasnym pojęciem, z którego mocy można zrozumieć zjawiska bytu i odpowiedzieć na rozmaite: dlaczego? „Człowiek monologował Groński – jest zarazem i zanadto, i za mało inteligentny. Bo ostatecznie, żeby wierzyć po prostu, trzeba bezwarunkowo pozamykać rozmaite okiennice umysłowych okien i nie pozwolić sobie przez nie patrzeć, a gdy się je pootwiera, to się widzi tylko noc bez gwiazd”. Z tego powodu zazdrościł szczerze ludziom średniowiecznym, których inteligencja budowała gmachy umysłowe na niewzruszonych dogmatach, tak jak się buduje: latarnie morskie na skałach. Dante mógł objąć cały obszar współczesnej mu wiedzy i pomimo tego podróżować po piekle, czyśćcu i niebie. Dzisiejszy uczoney już by tak podróżować nie mógł, a gdyby chciał wybiec myślą poza świat zjawisk materialnych, widziałby coś takiego, co w znanym obrazie Wurtza widzi głowa ścięta, to jest jakieś pierwiastki tak nieokreślone, że równe niczemu.

Ale tragedia, wedle Grońskiego, nie leżała tylko w niedosiężności absolutu, w niepodobieństwie zrozumienia jego praw, lecz również w niepodobieństwie zgody na nie i uznania dla nich ze stanowiska ludzkiego życia. Istnieje przecie zło i niedola. Stary Testament tłumaczył je sobie łatwo stanem ciągłej niemal wściekłości swego Jahwe... Domine ne in furore tuo arguas me, neque in ira tua corripas me... a potem: sagittae tuae infixae sunt mihi et confirmasti super me manum tuam. I przyjąwszy raz tę zapalczywość i to „zmacnianie prawicy” z byle powodu, łatwo sobie było

wytłumaczyć w prosty sposób nieszczęście. Ale już i w Starym Testamencie Eklezjastes wątpi, czy wszystko na świecie jest w porządku. Nowy Testament widzi zło w materii w przeciwstawieniu do ducha – i to jest jasne. Natomiast, biorąc rzecz bezwzględnie, ponieważ wszystko jest ścisłym łańcuchem przyczyn i skutków, przeto wszystko jest logiczne, a jako logiczne, nie jest samo przez się ani złym, ani dobrym, a tylko może okazać się pomyślnym lub niepomyślnym w stosunku do człowieka. Prócz tego – to, co my nazywamy złem i niedolą, może być wedle absolutnych praw bytu i w głębiach ich mądrej ponad ludzkie pojęcie prawidłowości jakimś koniecznym warunkiem rozwoju, a zatem czymś, co samo w sobie jest zjawiskiem dodatnim.

Tak, ale w takim razie skąd człowiek ma moc przeciwstawiania swej indywidualnej myśli i swych względnych pojęć tej powszechnej logice? Jeśli wszystko nie jest złudzeniem, dlaczego myśl ludzka jest siłą istniejącą jakby na zewnątrz ogólnych praw bytu. Jest w tym coś niesłychanego, a zarazem tragicznego, że człowiek musi tym prawom podlegać, a może przeciw nim protestować. Na świecie mieli duchowy spokój tylko bogowie, a mają tylko zwierzęta. Człowiek wiecznie targa się i krzyczy: veto! takim veto jest przecie każda ludzka łza.

I tu myśli Grońskiego przybrały kierunek bardziej osobisty. Począł patrzeć na modlącą się pannę Marynię i w pierwszej chwili doznał ulgi, przyszła mu bowiem do głowy czysto estetyczna uwaga, że taką dziewczynę Carpaccio mógł był umieścić koło swego gitarzysty, a Boticelli powinien ją był przeczuć. Ale zaraz potem pomyślał, że i taki kwiat musi zwiędnąć nic zaś na świecie nie wiecznie i nie umiera bez bólu. I nagle zdjęła go obawa przyszłości, która w swej torbie podróżnej ma zawsze ukryte zło i nieszczęście, przypomniał sobie wprawdzie aforyzm o pesymizmie, który przed chwilą wypowiedział, ale nie znalazł w nim pociechy,

rozumiał bowiem, że co innego jest pesymizm płynący z wysiłku myśli, a co innego życiowy, taki, na mocy którego Dołhański pozwalał sobie w chwilach wolnych od gry w karty wzruszać na wszystko ramionami. Ale zadał sobie pytanie, czy i ten wysiłkowy pesymizm da się jakkolwiek sposób uzasadnić, i tu niespodzianie stanął mu przed oczyma drugi przyjaciel, całkiem do Dołhańskiego niepodobny, chociaż także wielki sceptyk i zarazem hedonik – doktor Porębski. Był on szkolnym kolegą Grońskiego i w ostatnich latach leczył go na nerwy, więc znał go doskonale. Otóż, pewnego razu, wysłuchawszy jego rozmaitych refleksji i narzekań na niepodobieństwo znalezienia odpowiedzi na najważniejsze życiowe pytania – rzekł mu: „To jest zabawa, na którą potrzeba czasu i środków. Gdybyś musiał pracować na chleb tak jak ja, nie zawracałbyś głowy sobie i innym. Wszystko to przypomina gonitwę psa za własnym ogonem. A ja ci powiadam: patrz na to, co cię otacza, nie na własny pępek i jeśli chcesz być zdrow, to... carpe diem!” Groński uznał wówczas te słowa za nieco brutalną i więcej lekarską niż filozoficzną radę, ale gdy przypomniały mu się obecnie, począł sobie mówić: „Rzeczywiście, ta droga, na którą ustawicznie, jakby ze złego przyzwyczajenia wchodzę nie prowadzi nigdzie, i kto wie, czy te kobiety modlące się w tej chwili z taką wiarą, nie są bez porównania rozumniejsze ode mnie, nie mówiąc już o tym, że są spokojniejsze i szczęśliwsze.”

Tymczasem pani Krzycka poczęła mówić: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko”, a kobiece głosy odpowiedziały jej natychmiast: „naszymi prośbami nie racz gardzić, ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze zachować”. Grońskiego zaś ogarnęła ogromna tęsknota za takim słodkim, opiekuńczym bóstwem, które prośbami nie raczy gardzić, a wybawia od złych przygód. Jakżeby z nim było dobrze, jaki można by mieć spokój o

drogie głowy i jaką prostotę myślenia! Na nieszczęście odszedł już był za daleko i mógł tylko tak samo tęsknić, ale nie mógł tak samo wierzyć jak te kobiety.

Groński przebiegł myślą szereg swoich znajomych i spostrzegł, że wierzących gorąco i do głębi duszy było między nimi bardzo mało, natomiast byli tacy, którzy wcale nie wierzyli, tacy, którzy chcieli, a nie mogli wierzyć, tacy, co, nie wierząc, uznawali ze względów społecznych, że wiara jest potrzebna, i wreszcie tacy, którzy byli po prostu zajęci czym innym. Do tej ostatniej kategorii należeli ludzie zachowujący na przykład zwyczaj chodzenia w niedzielę na mszę, jak zwyczaj jedzenia co rano śniadania, ubierania się we frak na wieczory lub noszenia rękawiczek. Weszło to obyczajowo w skład ich życia i na tym koniec. Tu Groński spojrzął mimo woli na Krzyckiego, albowiem młody człowiek wydawał mu się właśnie ptakiem z takiego gaju.

Jakoż tak było rzeczywiście. A jednak Krzycki nie był to człowiek ani tępy, ani bezmyślny. Na uniwersytecie filozofował trochę tak jak inni, lecz potem prąd życia i pracy poniósł go w inną stronę. Istniały wprawdzie rzeczy, które obok Jastrzębia i związanych z nim spraw codziennych obchodziły go ogromnie: obchodził go szczerze kraj, jego przyszłość, wszelkie wypadki, które mogły tak lub inaczej na nią wpłynąć – wreszcie kobiety i miłość; natomiast nad swą wiarą nie zastanawiał się więcej niż nad śmiercią, nad którą nie zastanawiał się wcale jakby w przekonaniu, że nie należy o nich myśleć, gdyż one same o każdym w swoim czasie pomyślą.

A obecnie z powodu gości w Jastrzębiu tym bardziej był o sto mil od podobnych pytań. Niegdyś, gdy jeszcze jako student jeździł podczas wakacji z matką na sumę do Rzęślewa, żywił w głębi duszy taką poetyczną nadzieję, że pewnej niedzieli rozlegnie się za drzwiami kościelnymi turkot karety, do kościoła wejdzie młoda i cudna

księżniczka, przejeżdżająca gdzieś znad Bałtyku do Kijowa, a on ją zaprosi do Jastrzębia, następnie zaś pokocha i zaślubi. Aż tu niespodzianie te młodociane marzenia spełniły się poniekąd, albowiem do Jastrzębia przybyła nie jedna, ale aż trzy księżniczki, o których mógł marzyć, ile mu się podobało – i oto klęczały teraz przed domowym ołtarzem, pogrążone w modlitwie. Począł więc patrzeć – to na panią Otocką, to na podobną do tanagryjskiego posążka postać panny Maryni i powtarzał sobie: „Matka chce mi dać jedną z nich za żonę”. I nie miał nic przeciw samej idei, ale natomiast myślał o pani Otockiej: „Ta, to książka, którą już ktoś czytał, a ta druga, to jeszcze smyk, a nawet literalnie: smyk od skrzypców!” Po chwili zwrócił jakby mimo woli oczy na głowę panny Anney, a mimo woli dlatego, że stanowiła ona najbardziej świetlisty przedmiot w pokoju, albowiem zachodzące słońce padając na jej jasne włosy przesycało je takim blaskiem, że cała głowa zdawała się płonąć. Panna Anney podnosiła od czasu do czasu rękę i osłaniała się nią, jakby chcąc potłumić ten blask, ale ponieważ promienie słońca stawały się coraz mniej gorące, więc w końcu przestała to czynić. Chwilami przy tym zakrywała jej klęczącą postać jakaś młoda, czarnowłosa dziewczyna, której Krzycki nie znał, i domyślał się tylko, że to musi być panna służąca którejś z tych pań. Lecz pod koniec nabożeństwa dziewczyna pochyliła się zupełnie, tak że Krzyckiemu nie przesłaniało już nic widoku ani jasnej głowy, ani młodych i silnych pleców.

– To byłaby największa pokusa! – mówił sobie ale matka byłaby przeciwna, dlatego że to cudzoziemka.

Lecz nagle, jakby wyrzut sumienia przyszedł mu na pamięć smutne oczy i szczupłe ramiona panny Stabrowskiej. Ach! gdyby Rzęślewo i kapitały jemu przypadły w udziale! Ale wujaszek zapisał Rzęślewo na szkołę, a kapitały na Karlsbad dla Maćków, jak mówił Dołhański – no i parę tysięcy Hance

Skibiance. Na to wspomnienie Krzycki zmarszczył się i przeciągnął ręką po czole.

„Niepotrzebniem się unosił przy matce i przy tych paniach rzekł w duszy. – Ale Grońskiemu trzeba tę sprawę objaśnić.

Jakoż po skończonym nabożeństwie zwrócił się do niego:

– Chciałbym z panem pomówić na cztery oczy o rozmaitych rzeczach. Dobrze?

– Dobrze – odpowiedział Groński. – Kiedy chcesz?

– Nie dziś, bo przedtem muszę być w Rzęślewie, by ludzi o coś wypytać, potem gospodarstwo, goście... Najlepiej będzie jutro wieczorem, albo pojutrze. Weźmiemy strzelby i pójdziemy pod las. Tam jest teraz ciąg słońek. Dołhański nie myśliwy, więc zostawimy go przy paniach.

– Dobrze – powtórzył Groński.

VIII

Jakoż zaraz następnego dnia wybrali się obaj pod wieczór ze strzelbami i psem ku staremum młynowi, a po drodze Krzycki począł rozpowiadać wszystko, o czym się wczoraj dowiedział.

– Byłem w Rzęślewie – mówił – ale tam nic dobrego nie słyhać. Chłopi rozpowiadają, że testament jest fałszywy i że skręcili go panowie, by rządzić pieniędzmi i gruntami na własną korzyść. Wiem już prawie na pewno, że tej oliwy dolewa do ognia Laskowicz. Dlaczego? – nie rozumiem, ale tak jest. Zwłaszcza bezrolni burzą się i powiadają, że jeśli cały majątek między nich rozdziela, to sami dadzą składkę na szkołę. Oczywiście, nie mają przy tym najmniejszego pojęcia, o jaką szkołę Żarnowskiemu chodziło i ile taka może kosztować.

– Co zamierzasz wobec tego zrobić? – zapytał Groński.

– Nie wiem, zobaczą, a tymczasem będę perswadował. Prosiłem także proboszcza, by im tłumaczył, o co chodzi.

Gadałem z kilku starszymi gospodarzami. Zdawało się, że im trafił do przekonania. Na nieszczęście z nimi jest tak, że każdy pojedynczo wzięty bywa rozsądny i nawet rozumny, a gdy się do wszystkich razem gada, to jakbyś głową w mur bił.

– To nic dziwnego – odrzekł Groński. – Weź dziesięć tysięcy doktorów filozofii, a zrobi się z nich tłum rządzący się odruchami.

– Być może – rzekł Krzycki – ale ja nie tylko o testamencie chciałem mówić. Widziałem się też ze starym karbowym rześlewskim i dowiedziałem się ogromnie ciekawych rzeczy. Oto, niech pan sobie wyobrazi, że nasze domysły były fałszywe i że Hanka Skibianka nie jest córką wuja Żarnowskiego.

– A to zdawało się takie oczywiste! Ale jakież są na to dowody?

– Bardzo proste. Skiba był rodem z Galicji i przywędrował do Rześlewa z żoną i córką, która miała około pięciu lat, a że Żarnowski, póki był zdrow, siedział murem na wsi i wtedy przynajmniej od dziesięciu lat nigdzie nie wyjeżdżał, więc tym samym nie mógł być ojcem dziewczyny.

– To istotnie sprawę rozstrzyga. Nie rozumiem tylko, dlaczego zapisał jej dziesięć tysięcy rubli?

– A, to cała historia! – odpowiedział Krzycki. – Trzeba panu wiedzieć, że nieboszczyk, choć jak się teraz okazuje, kochał chłopów, trzymał jednak swoich ludzi okrutnie ostro. Gospodarzył też starym systemem, to się znaczy, wymyślał od rana do wieczora. Powiadali, że jak zaczął kłąć w ganku, to go było do wpół wsi słychać. Pewnego tedy razu przyszedł do kuźni, znalazł coś nie w porządku i zaczął besztuć kowala od ostatnich słów. Kowal kłaniał się i słuchał w pokorze, ale zdarzyło się, że mała Hanka była wtedy przed kuźnią i widząc, co się dzieje, wzięła patyk i nuż okładać Żarnowskiego po nogach: „Bedzies ty na tatusia

krzycho!” Nieboszczyk podobno w pierwszej chwili osłupiał, ale potem, jak się zaczął śmiać, tak mu i gniew na kowala od razu przeszedł...

– Podoba mi się ta Hanka – rzekł Groński.

– Toteż i wujowi tak się to podobało, że tego samego dnia posłał rubla kowala i kazał jej przyjść z dziewczyną do dworu. Od tej pory ogromnie ją polubił. Kazał ją uczyć czytać starej gospodyni – i sam tego doglądał. Dziecko się też do niego przywiązało i tak to trwało całe lata. W końcu ludzie zaczęli gadać, że pan chce wziąć kowalównę całkiem do dworu i wychować na pannę, ale, zdaje się, że to nie była prawda. Chciał ją zapewne wychować tylko na tęą wiejską kobietę i wyposażyć. Skibowie, u których była jedynaczką, mówili podobno, że za nic by jej nie oddali. Wiem zresztą to tylko, co mi karbowy opowiadał, bo nasze stosunki z nieboszczykiem były wówczas tak jak zerwane, właśnie z powodu tego młyna, spod którego zabrał nam wodę na swoje stawy.

– A następnie Skibowie wyemigrowali?

– Tak jest. Ale przedtem Żarnowski zaczął chorować, przeniósł się do Warszawy, potem siedział za granicą i te stosunki jakoś się rozluźniły same przez się. Gdy Skibowie wyemigrowali, dziewczyna miała już siedemnasty rok. Wuj, wróciwszy na śmierć do Rzęślewa, tęsknił jakoby do niej i czekał od niej wiadomości. Ale ponieważ poprzednio przeniósł nawet i meble z Rzęślewa do miasta, więc ona nie przypuszczała widocznie, żeby wrócił, i nie wiedziała, dokąd pisać.

– Zapis najlepiej dowodzi, że o niej nie zapomniał – rzekł Groński. – I z całego tego testamentu pokazuje się, że to był jednak człowiek z większym sercem, niż ludzie myśleli.

– Z pewnością – odrzekł Krzycki.

Czas jakiś szli w milczeniu, po czym Władysław zaczął znów mówić:

– Co do mnie, to jednak wolę, że ona nie jest córką nieboszczyka.

– Dlaczego? Czy to ma jakiś związek z zapisem?

– Nie. Zapisu w żadnym razie nie przyjmę - nigdy!

– To dobrze, ale powiedz mi, dlaczegoś ty się tak ostro od tego zastrzegła, że aż to wszystkich dziwiło.

– Bo jest jedna okoliczność, której ani matka, ani nikt się nie domyśla, a którą panu szczerze wyznam. Oto ja tę dziewczynę w swoim czasie zbałamuciłem.

A Groński zatrzymał się nagle, spojrzał na Krzyckiego i zawołał:

Masz tobie!

I ponieważ sam nie brał takich rzeczy lekko, a prócz tego poprzednie opowiadanie Krzyckiego wzbudziło w nim dla tej Hanki sympatię, więc zmarszczył brwi i zapytał:

– Bójże się Boga! Dziecko zbałamuciłeś? Co nazywasz swoim czasem?

Lecz Krzycki odpowiedział dość spokojnie:

– Nie zatrzymujmy się, bo pies za daleko odleci – i tu wskazał na biegnącego przed nimi białego wyżła. – Dziecka nie zbałamuciłem, bo ona miała wtedy szesnaście lat; stało się to przed siedmiu, gdy byłem jeszcze studentem i przyjechałem na wakacje do Jastrzębia.

– Czy były jakie następstwa?

– O ile wiem, to nie. Rozumie pan, że przyjechawszy następnych wakacji i nie zastawszy już ani jej, ani Skibów, nie śmiałem dopytywać, bo na złodzieju czapka gore. Ale dziś zapytałem mimochodem karbowego, czy Skibowie nie dlatego wypadkiem wyemigrowali, że dziewczynie zdarzyła się przygoda. Powiedział mi, że nie.

– To tym lepiej i dla niej, i dla ciebie.

– Z pewnością, że lepiej, gdyż inaczej rzecz byłaby się wydała i doszła do uszu matki.

– I w takim razie ty miałbyś przykrości?

W głosie Grońskiego brzmiała ironia, ale Krzycki, zajęty własnymi myślami nie zauważył jej wcale i rzekł:

– W takim razie miałbym przykrości, bo matka jest w tych rzeczach ogromnie surowa. Toteż dziś, przy większym zastanowieniu, jestem jak wilk, który nigdy nie robi szkody w tej okolicy, w której ma gniazdo. Wówczas byłem głupszy i mniej ostrożny.

– Niechże cię лихо porwie! – zawołał Groński. – Bo co?

Nic. Mów dalej.

– Ja niewiele więcej mam do powiedzenia. Wracając ,jednak do zapisu, to pojmuje pan, dlaczego nie mogłem go przyjąć?

– Może i pojmuje, ale „wymień mi swoje wymienite powody” – jak mówi Szekspir.

– Gdyż zbałamucić dziewczynę, to się na wsi zdarza, ale zbałamuciwszy ją zabrać to, co było dla niej przeznaczone – tego byłoby nadto. A może ona tam gdzie w Ameryce biedę klepie?

– Wszystko jest możliwe – odpowiedział Groński.

Więc gdyby ogłoszenia, które porobię, nie doszły do ,jej wiadomości, to w takim razie ja używałbym jej pieniędzy, podczas gdy ona marłaby z głodu. Nie! Wszystko ma swoje granice. Ja nie jestem jakiś nadzwyczajny skrupulat, ale są rzeczy, których bym po prostu nie mógł zrobić.

Powiedz mi – ale tak szczerze czy ty masz do niej jaki sentyment?

– Powiem otwarcie, że zupełnie o niej zapomniałem. Teraz mi się przypomniała i oczywiście nie mogę mieć do niej żadnej niechęci. Nawet owszem!... Tego rodzaju wspomnienia nie mogą być przecie przykre, chyba że się łączy z nimi jaka zgrzyzota... Ale myśmy byli prawie dziećmi – a zbliżył nas czysty wypadek.

– To pozwól sobie zadać jeszcze jedno pytanie. Gdyby nieboszczyk Żarnowski zapisał był jej całe Rzęślewo i

wszystkie kapitały, a w razie jeśli ona się przez dwa lata nie zgłosi – tobie, czy odrzuciłbyś taki zapis?

– Nie mogę odpowiadać na pytania, nad którymi się nie zastanawiałem. Nie chciałbym się przedstawić panu ani lepszym, ani gorszym niż jestem. To jednak pewna, że ogłoszenia bym porobił i robiłbym je przez całe dwa lata. Zresztą, co panu zależy na mojej odpowiedzi?

I nagle przerwał, albowiem od strony pobliskiego brzeźniaka doszedł ich jakiś dziwny głos, podobny jakby do chrapania, a jednocześnie nad wierzchołkami brzoźek i liwiny ukazał się na tle zorzy spory szary ptak, lecący w prostej linii ku zarośłom po drugiej stronie łąki.

– Słonki! – zawołał Krzycki. I skoczył naprzód.

A Groński, podążając za nim, myślał:

"Ten nie czytał zapewne Nietzschego, a jednak w jego żyłach płynie razem z krwią jakieś szlacheckie nadczołwiecznictwo. Gdyby mu ktoś uwiódł jego siostrę, strzeliłby mu w łeb jak psu, ale ponieważ chodzi o wiejską dziewczynę, więc ani się zatroska".

Po czym ustawili się obaj na skraju brzeźniaka. Czas jakiś trwała zupełna cisza, po czym dziwny głos rozległ się powtórnie nad ich głowami i ukazała się druga słonka. Groński strzelił i chybił; Krzycki poprawił – i widać było, jak zniżonym lotem –zapadała w dalsze zarośla. Biały pies zamajaczył przez chwilę w mroku krzaków i niebawem wrócił niosąc zabitego ptaka w pysku.

Była już postrzelona – ozwał się Krzycki to pan zabił.

A Groński odpowiedział:

- Uprzejmy z ciebie gospodarz.

I znów zapadła cisza, której nie mącił nawet i szelest liści, gdyż nie było żadnego powiewu. Lecz po jakimś czasie zachrapały nad ich głowami naraz dwie słonki, jedna tuż za drugą, do których Groński nie mógł strzelać, lecz które Krzycki rzucił dwójką bardzo czysto. Wreszcie zlitowała

się jakaś desperatka i nad Grońskim, albowiem przeciągnęła nad nim tak wygodnie, jakby mu chciała usunąć wszelkie trudności. Sam on zawstydził się prawie tej radości, jaką odczuł, gdy po strzale usłyszał uderzenie ptaka o ziemię i zgodnie ze swym nałogiem rozmyślania o każdym objawie, doszedł do wniosku, że jest to dziedzictwo z czasów niezmiernie pierwotnych, w których zręczność myśliwska stanowiła o bycie człowieka i jego rodziny. Ale dzięki tym wywodom nie strzelił wcale jeszcze do jednej sztuki, która przeciągnęła bliżej skrajów zarośli – i na której ciągnął się widocznie, gdyż przez dłuższy czas oczekiwali na próżno. Tymczasem ściemniło się zupełnie – i po chwili ze zmroku wynurzył się biały wyżeł, a za nim Krzycki.

– Przyszliśmy za późno – rzekł – ale to nic. W każdym razie są cztery sztuki dla czterech pań. Jutro postaramy się o więcej. – To była tylko mała przerwa w twoich wyznaniach – odpowiedział Groński, przewieszając strzelbę przez ramię. W wyznaniach? – zapytał Krzycki. – Aha! – tak...

– Mówiłeś, że was zbliżył czysty wypadek...

– Rzeczywiście tak było. Ale teraz muszę iść naprzód, a pan niech idzie w ślad za mną, bo tu miejscami mokro. Tędy dojdziemy do mostu, a przy moście będzie droga.

Jakoż dopiero, gdy znaleźli się na drodze, począł opowiadać:

– Zaczęło się i skończyło wszystko we młynie, który już wówczas służył na skład siana – a trwało nie dłużej nad dwa tygodnie. Było tak: poszedłem niegdyś ze strzelbą na wychodnego, na kozła, bo tu często wychodzą kozy wieczorami z zagajnika nad strugę. Chmurzyło się tego dnia mocno, ale że od strony zachodniej było pogodnie, myślałem, że przejdzie. Zasiadłem o kilekaset, a nawet i więcej kroków od młyna, bo bliżej leżało płótno na łące, którego mogły się kozy strachać – i w jakieś pół godziny później kozła rzeczywiście zabiłem. Ale tymczasem poczęło padać i wnet zrobiła się taka ulewa, jakiej w Jastrzębiu nie

pamiętam. Porwałem mojego kozła za zadnie nogi i zacząłem machać co sił do młyna. Po drodze spostrzegłem, że płótno ktoś zabrał. Wpadam tedy do młyna i zakopuję się po uszy w siano, aż tu słyszę: oddycha ktoś tuż przy mnie. Pytam: kto tam jest? Jakiś cienki głos odpowiada mi: "Ja". – Co za ja? – "Hanka". – A co ty tu robisz? – "Przyszłam po płótno". – Poczęło tak grzmieć, iż myślałem, że się młyn rozleci –i dopiero gdy uspokoiło się trochę, dowiedziałem się za pomocą ciągłych pytań, że moja towarzyszka jest z Rzęślewa, że się woła: Skibianka i że skończyło się jej szesnaście "roków" na świętą Annę. Wówczas ale daję panu słowo, jeszcze bez żadnej złej myśli tylko dla konceptu i dlatego, że się tak zwykle gada z miejskimi dziewczynami – mówię do niej: A dasz buziaka? Nie odpowiedziała nic, ale że w tej chwili huknął piorun, więc przytuliła się do mnie – może ze strachu. A ja pocałowałem ją w same usta – i dalibóg – miałem takie wrażenie, jakbym pocałował w pachnący kwiat; więc zrobiłem to drugi raz, trzeci i tak dalej, a ona nie oddała mi pierwszego pocałunku, a oddała któryś tam, dziesiąty, czy dwudziesty – a gdy burza przeszła i trzeba się było rozstać, miałem jej ramiona na szyi a jednocześnie policzek mokry od jej łez... Bo popłakiwała sobie, nie wiem, czy po utraconym wianku, czy dlatego, że odchodził.

Grońskiemu przyszła mimo woli na myśl piosenka obłąkanej Ofelii:

On się zerwał, drzewi otworzył, wdziewa suknię ranną.
Wpuścił pannę, lecz od niego nie wyszła już panną.

A Krzycki mówił dalej:

– Na odchodnym powiedziała mi, iż wie, że ja jestem panicz z Jastrzębia, że widywała mnie co niedziela w Rzęślewie i że patrzyła na mnie jak na cudowny obraz...

- Ach, ty przecież jesteś przystojny do obrzydliwości – przerwał z pewną irytacją Groński.
- Ba! mam już trzy, albo cztery siwe włosy.
- Zapewne od urodzenia. Jak często widywaliście się potem?
- Zanim odszedłem, zapytałem ją, czy następnego wieczora będzie się mogła wymknąć. Odpowiedziała, że tak, ponieważ wieczorami zbiera zawsze blichujące się płótno z łąki, z obawy, by kto nie ukradł, a przy tym latem sypia nie z tatusiami w chałupie, ale w stodole, na sianie. I schodziliśmy się już potem codziennie. Ja musiałem się ukrywać przed stróżami nocnymi, więc wykradałem się przez okno do ogrodu, choć to była niepotrzebna ostrożność, bo stróże spali tak, że raz jednemu zabrałem trąbę i kij. Zabawne też było i to, że z Hanką widywaliśmy się tylko w nocy i że właściwie nie wiedziałem nigdy dobrze, jak ona wygląda, chociaż przy księżycu wydawała mi się ładna.
- A w kościele?
- Nasza ławka kolatorska jest blisko ołtarza, a dziewczęta klęczą w głębi. Tyle tam takich samych czerwonych i żółtych chustek, tyle ponatykanych w nie kwiatów, że trudno coś odróżnić. Chwilami zdawało mi się, że ją z daleka widzę, ale dokładnie nie mogłem się nigdy przypatrzeć. Wakacje skończyły się też wkrótce, a gdy na następne przyjechał, Skibowie już wyemigrowali.
- Nie pożegnałeś się z nią?
- Wyznaję, że nie. Wołałem tego unikać.
- A nie zatęskniłeś do niej nigdy?
- Owszem. W Warszawie tęskniłem do niej ogromnie i przez pierwszy miesiąc byłem w niej po prostu zakochany. Po powrocie do Jastrzębia, gdy znowu zobaczył młyn – także, ale jednocześnie rad już byłem, że wszystko jak w wodę wpadło i że matka o niczym się nie dowie!

Tak rozmawiając skręcili z bocznej drogi na aleję prowadzącą do dworu, którego niskie światła w odległości mniej więcej wiorsty to błyskały poprzez gałęzie lip, to chowały się, przesłonięte gęstwiną liści. Noc już zrobiła się zupełna, gwiazdzista i pogodna. Było jednak dość ciemno, bo księżyc jeszcze nie zszedł i tylko miedziana poświata na wschodniej stronie nieba zwiastowała, że zejdzie lada chwila. Nie było żadnego wiatru. Wielkie nocne milczenie przerywały tylko ledwie dosłyszalne poszczekiwanie psów w dalekiej, uśpionej wsi. Groński i Krzycki poczęli mimo woli mówić ciszej. Jednakże nie wszystko spało, bo o kilkaset kroków od alei migotało na łące nad rzeką ognisko.

– To chłopci konie pasą i łapią przy świetle łuczywa raki – rzekł Krzycki. – Słyszę nawet, że jeden odjeżdża.

Jakoż w tej samej chwili dał się słyszeć na łące zgłuszony przez trawę tętent kopyt końskich, a prawie zaraz potem rozległ się donośny głos drugiego pastucha, który wśród ciszy nocnej wołał przeciągle za odjeżdżającym:

– Wojtek!... A przywieź ta i więcej szczypek, bo mi nie starczy!

Nocny jeździec, wyjechawszy na drogę, przesunął się niebawem jak cień koło rozmawiających, jednakże poznał widocznie młodego dziedzica, gdyż mijając zdjął czapkę i ozwał się:

– Niech będzie pochwalony! – Na wieki wieków!

I czas jakiś szli w milczeniu.

Krzycki począł pogwizdywać z cicha, to wołać na psa, lecz Groński, który rozmyślał ciągle nad tym, co się stało we młynie, rzekł:

– Czy wiesz, że gdybyś ty był na przykład Anglikiem, to wasza sielanka skończyłaby się prawdopodobnie inaczej – i miałbyś czyste wspomnienie na całe życie, w którym byłaby ogromna poezja...

– My mniej jadamy ryb, więc mamy inny temperament niż Anglicy, a co do poezji, może jej trochę i tak było...

– Nie tyle inny temperament, ile inny obyczaj, a w nim więcej folgi... Oni mają dusze zdrowsze, a zarazem samodzielniejsze i nie zapożyczają moralności z francuskich książek...

Po czym zamyślił się przez chwilę i następnie mówił dalej:

– Ty powiadasz, że w waszym stosunku było i tak trochę poezji. Zapewne! – ale patrząc tylko od strony Hanki, nie od twojej. W niej istotnie jest coś poetycznego, albowiem wnosząc z twoich własnych słów, to ona kochała cię prawdziwie.

– To z pewnością – przerwał Krzycki. – Kto wie, czy kiedykolwiek w życiu będę tak kochany.

– Ja też myślę, że nie. I dlatego dziwię się, że ten kamień tak wpadł w toń twojej niepamięci i że się po nim tak wszystko w tobie wygładziło.

Krzyckiego dotknęły nieco te słowa, więc odrzekł:

– Otwarcie mówiąc, to ja panu opowiedziałem to wszystko tylko w tym celu, by wytłumaczyć, dlaczego nie przyjmuję zapisu – i w naiwności duszy myślałem, że mnie pan pochwali. A pan wyszukuje tylko na mnie miejsc bolących. Jużci wolałbym ostatecznie, żeby się to nie było stało – ale skoro się stało, to lepiej mi o tym nie myśleć. Bo gdybym ja miał tyle milionów, ile po wsiach znajdzie się co rok zbałamuconych dziewczyn, to bym nie tylko Rzęślewo, ale pół powiatu zakupił. Mogę jednak pana zapewnić, że ani one same nie patrzą na to, jak na tragedię, ani też rzecz nie kończy się nieszczęściem. Byłoby też po prostu śmieszne, gdybym to brał więcej do serca niż Hanka, która prawdopodobnie wcale tego do serca nie brała i... nie bierze.

– Skąd to wiesz?

– Bo tak zwykle bywa. A gdyby zresztą było przeciwnie, to cóż zrobić? Przecie nie pojedę szukać jej za oceanem. W

księżce wyglądałoby to może bardzo romantycznie, ale w rzeczywistości – mam gospodarstwo, którego nie porzucę, i rodzinę, której mi nie wolno poświęcić. Taka Hanka, której, mówiąc nawiasem, trochę mi pan zakwasił wspomnienie, może być najpocziwsza dziewczyna, ale ożenić się – przecie z nią nie ożenię, więc koniec końców, co mogę zrobić?

– Nie wiem. Ale musisz się chyba zgodzić, że jest pewien moralny niesmak w takim położeniu, w którym człowiek po spełnionej winie pyta następnie siebie lub drugich: co mogę zrobić?

– O, to tylko *facon de parler* – odpowiedział Krzycki – albowiem w gruncie rzeczy wiem doskonale. Porobię ogłoszenia i na tym się wszystko skończy. Pokutę, którą mi ksiądz w swoim czasie zadał, odprawiłem i więcej pokutować nie myślę i nie będę. A na to Groński:

– *Sero molunt deorum moloae*. Rozumiesz, co to po polsku znaczy?

– Objąwszy gospodarstwo w Jastrzębiu, posiałem moją łacinę na jego polach – ale nie wzeszła!

– To znaczy: późno mielią młyny bogów.

Krzycki zaś począł się śmiać i ukazując ręką w kierunku starego młyna, rzekł:

– Ten już nic nie zmiele. Za to zaręczam.

Dalszą rozmowę przerwało im spotkanie blisko już bramy dwóch niewyraźnych postaci, z którymi się niemal potracili, albowiem chociaż księżyc już zeszedł, w starej alei lipowej było prawie zupełnie ciemno.

Krzycki był przekonany, że to przyjezdne panie używają wieczornej przechadzki, ale dla pewności zapytał:

– A kto tam?

– To my – odpowiedział nieznanym niewieści głos. – Mianowicie, kto?

– Służąca pani Otockiej i panny Anney.

Młody człowiek przypomniał sobie dziewczynę, której czarna główka zasłaniała mu w czasie majowego nabożeństwa rozświetlone włosy Angielki.

– Aha! – rzekł. – Nie boją się to panienki chodzić w takich ciemnościach? Jeszcze którą wilkołak porwie.

– Nie bojemy się – odpowiedział ten sam głos.

– A może ja jestem wilkołak!

– Wilkołak tak nie wygląda.

Rozpoczęły się śmiechy dwóch dziewczyn, ale obie cofnęły się nieco i w tej samej chwili jasny promień księżycy, który przedarł się przez liście, oświetlił białe czoło, czarne brwi i połyskujące zielonawo białka oczu jednej z nich.

Krzycki, któremu pochlebily słowa, że wilkołak tak nie wygląda, popatrzył w te oczy i rzekł:

– Dobranoc!

– Dobranoc!

Panie z Dołhańskim były już w jadalnym pokoju, gdyż z podaniem wieczerzy czekano tylko na myśliwych, którzy po powrocie poszli się przebrać. Panna Marynia przysiadła się do dzieci na końcu stołu i rozmawiała po trochu z nimi, po trochu z Laskowiczem; ten zaś opowiadał jej coś z wielkim ożywieniem przypatrując się jej uporczywie, ale i z czujnością, by nie zwrócić na to niczyjej uwagi. Groński zauważył to jednak od pierwszej chwili wejścia, a ponieważ młody student zaciekawiał go i niepokoił od czasu, jak się dowiedział o jego agitacji wśród rześlewskich chłopów – pragnął wmieszać się do rozmowy. Ale panna Marynia przerwała ją prawie w tej samej chwili i wysłuchawszy ostatniego zdania przyłączyła się do innych pań, które słysząc poprzednio z ganku strzały w stronie starego młyna, poczęły dowiadywać się o rezultat polowania. Pokazało się przy tym, że ani panna Anney, ani obie siostry nie widziały inaczej słonek jak na półmisku, więc gdy stary służący przyniósł na rozkaz Krzyckiego cztery martwe ofiary,

oglądały je z ciekawością, wypowiadając przy tej sposobności słowa spóźnionego współczucia dla ich tragicznego losu i wypytyując o ich sposób życia. Władysław Krzycki, którego świat zwierzęcy zaciekał i zajmował od wczesnych lat, jął rozpowiadać przy kolacji o dziwnych obyczajach tych ptaków i ich tajemniczych ciągach – przy czym zwracał się szczególnie do pani Otockiej, albowiem uderzyły go po raz pierwszy jej niezwykła uroda. W ogóle wolał on inny, mniej subtelny rodzaj piękności i cenił przede wszystkim kobiety hoże, zauważył jednak, że tego wieczoru pani Otocka wyglądała wprost nadzwyczajnie. Jej niezmiernie delikatna cera wydawała się jeszcze delikatniejszą przy czarnej i naszytej koronkami sukni, a w oczach jej, w rysunku ust, w wyrazie twarzy i w całej postawie było coś tak dziewczęcego, że kto by nie wiedział o jej wdowieństwie, wziąłby ją za pannę, a nawet za panienkę z dobrego wiejskiego domu. Władysław od pierwszej chwili przyjazdu tych pań zapisał się wprawdzie do stronnictwa panny Anney – obecnie musiał wszelako przyznać w duchu, że młoda Angielka nie jest okazem rasy tak wyrafinowanej – i co gorzej – że wydaje mu się dziś znacznie mniej ładna od tej „subtelnej kuzynki”.

Ale zrobił zarazem jedno dziwne odkrycie, a mianowicie, że to spostrzeżenie nie tylko nie zmniejsza jego sympatii dla jasnowłosej panny, ale poniekąd go rozczula i usposabia jeszcze przyjaźniej. Miał takie przecucie, jakby tym porównaniem do pani Otockiej wyrządził jakąś niezasłużoną krzywdę angielce, za którą powinien ją przeprosić. „Trzeba się będzie trzymać – pomyślał – bo inaczej wpadnę”. Począł jednak szukać niebieskiej smugi tych dziwnych oczu i znalazłszy ją – pić kropla po kropli jej zamglony lazur.

Tymczasem pani Krzycka chcąc dowiedzieć się, jakie są najbliższe zamiary siostr, jeła wypytywać panią Otocką, czy wyjadą tego lata za granicę i dokąd.

– Mnie – mówiła – doktor wysyła z powodu moich reumatyzmów na kąpiele borowinowe, ale bardzo bym była rada spędzić gdzieś z wami jeszcze jedno lato.

– I nam wspólny pobyt w Krynicy zostawił jak najmiłsze wspomnienie – odpowiedziała pani Otocka. – Właściwie, to my jesteśmy zupełnie zdrowe i chętnie siedziałybyśmy na wsi, a jeszcze chętniej zaprosiły do nas ciotkę z całym domem, gdyby nie to, że czasy takie niespokojne i nie wiadomo, co jutro będzie. Ale jeśli się uspokoi, to ciocia po kuracji koniecznie musi do nas zjechać.

To powiedziawszy ucałowała bardzo serdecznie rękę pani Krzyckiej, która odrzekła:

– Jakaś ty dobra i kochana. Ja z całego serca pojechałabym do was, tylko że przy moim zdrowiu człowiek musi słuchać nie serca, ale różnych ukrytych dolegliwości. Przy tym czasy są rzeczywiście niespokojne i rozumiem, że samym kobietom trochę straszno siedzieć teraz na wsi. Czy masz jakich pewnych ludzi w Zalesinie?

– Ja naszych ludzi się nie obawiam, gdyż oni bardzo byli przywiązani do mego męża, a teraz to przeszło na mnie. Mój mąż dużo im świadczył dobrego. Nauczył ich przede wszystkim patriotyzmu, a jednocześnie zaprowadzał rozmaite urządzenia, których gdzie indziej nie było. Mamy ochronę, szpital, kąpiele, sklepy, szkółki owocowe dla rozdawania drzewek. Nawet studnie artezyjskie pozakładał mąż, żeby we wsi było dość zdrowej wody.

Dołhański usłyszawszy to przychylił się ku Krzyckiemu i szepnął:

– Fantazje kapitalisty. Uważał żonę i Zalesin za dwa cacka, z którymi się pieścił, a bawił się w filantropa, bo miał za co. Lecz pani Krzycka spytała znowu:

– Kto rządzi teraz Zalesinem?

A młoda wdowa, otrząsnąwszy się z chwilowych smutnych wspomnień, odpowiedziała z uśmiechem:

– W okolicy mówią tak: że Zalesinem rządzi Dworski (jest to dawny rachmistrz mojego męża, bardzo do nas przywiązany), Dworskim rządzą ja, a mną Marynia.

– I to prawda – wtrąciła panna Anney – z tym dodatkiem, że i mną.

Na to panna Marynia poczęła kiwać głową i rzekła:

– Żeby ciocia wiedziała, jak one czasem na mnie rządzą!

– Jakoś tego nie widzę, ale myślę, że przyjdzie czas, że i tobą będzie ktoś rządził.

– Już przyszedł! – wyrwało się panie Maryni.

– No? A to ciekawam! Któż to jest ten despota?

A mała skrzypaczka, wskazując prędkim ruchem paluszka na Grońskiego, rzekła:

– Ten pan.

– To teraz rozumiem - rzekł Dołhański – dlaczego wówczas, gdy wróciliśmy od rejenta, miałem nad głową imbryczek pełen ukropu.

Groński zaś ruszył ramionami jak człowiek, w którego wmawiają rzeczy wprost niesłychane, i zawołał:

– Ja?... despota? Ależ ja jestem ofiara najbardziej zahipnotyzowana ze wszystkich.

– To pan Laskowicz jest hipnotyzerem, nie ja – odrzekła panienka.– Sam mi to przed kolacją powiedział i tłumaczył mi, co to jest hipnotyzm.

Groński zwrócił wzrok na drugi koniec stołu, w stronę studenta, i ujrzał jego oczy wyteżone, uporne i błyszczące, utkwione w pannę Marynię.

„Ależ – pomyślał – on istotnie próbuje na niej swojej siły”
Więc zmarszczył brwi, a zwróciwszy się ku niej, rzekł:

– Tego, co jest hipnotyzm, naprawdę nikt dobrze nie wie. Widzi się objawy i nic więcej. Ale jak też tłumaczył go pan Laskowicz?

– Mówił to, co już dawniej słyszałam, że osoba uśpiona musi wykonać wszystko, co każe ten, który ją uśpił – i że nawet rozbudzona, zawsze mu podlega.

– To nieprawda! – odpowiedział Groński.

– I ja tak myślę. Utrzymywał przy tym, że i mnie potrafiłby bardzo łatwo uśpić, ja zaś czułam, że wcale nie.

– Doskonale! A czy takie rzeczy panią zajmują?

– Hipnotyzm mniej. Jak ma być coś tajemniczego, to wolę słuchać o duchach, a zwłaszcza podobają mi się historie, które opowiada jeden nasz sąsiad w Zalesinie, o małych duszkach. Mówi, że się nazywają skrzaty, że broją w starych domach i że można je widzieć, gdy się w nocy patrzy przez okno do pokoju, w którym się pali na kominie. Biorą się wtedy za łapki i tańczą przed ogniem.

– To jakieś wesołe duszki.

– I nie złośliwe, choć psotne. Sąsiad nasz, staruszek, wierzy w nie święcie i kłóci się o nie z proboszczem. Powiada, że u niego ich pełno i że mu płatają ciągle figle: czasem pociągają za sznurek od zegara, żeby dzwonił, czasem chowają pantofle lub inne rzeczy, hałasują w nocy, zapręgają świerszcze do łupin od orzechów i jeżdżą nimi po pokojach; w kuchni zjadają kożuszki z mleka i rzucają groch do ognia, który strzela. Ale gdy im się nie dokucza, to bywają nawet życzliwe, wypędzają pająki, myszy i pilnują, żeby grzyb nie stoczył podłóg. Ten nasz sąsiad był to niegdyś człowiek bardzo wykształcony, ale na starość zdziwaczał i opowiada to wszystko zupełnie serio. My, naturalnie, śmiejemy się z tego, przyznam się jednak, że chciałabym bardzo, żeby istniał taki jakiś inny świat – dziwny i tajemniczy. Byłoby z tym tak dobrze i ładnie, i mniej smutno...

Tu poczęła spoglądać przed siebie nieco rozmarzonymi oczyma, po czym tak mówiła dalej:

– Pamiętam też, że gdy rozmawialiśmy nieraz z panem o obrazach Boecklina, o tych faunach, nimfach i driadach, które on malował, to żałowałam zawsze, że tego wszystkiego nie ma w rzeczywistości. A czasem tak jakoś mi się zdawało, że to może jest, tylko my tego nie widzimy. Bo prawda, panie, że ktoś wie, co się dzieje w lesie w południe albo w nocy, kiedy tam nikogo nie ma, albo przy księżycu we mgle, albo na stawach? Wiara w taki świat nie jest przecie całkiem dzieciństwem, skoro wierzymy w aniołów.

– Toteż ja wierzę w duszki, w nimfy, w driady i w aniołów odrzekł Groński.

– Naprawdę? – spytała. – Bo pan mówi zawsze ze mną „jak z dzieckiem”.

A on odpowiedział jej tylko w myśli: „Mówię jak z dzieckiem, ale uwielbionym”.

Lecz dalszą rozmowę przerwał służący, który oznajmił Krzyckiemu, że przyjechał ekonom z Rzęślewa i że w pilnej sprawie chce się widzieć z „jaśnie paniczem”. Krzycki przeprosił towarzystwo i ze zwykłymi u wiejskich gospodarzy słowami: „Cóż tam znowu?” wyszedł z pokoju. Ale ponieważ wieczerza była prawie skończona, więc niebawem ruszyli się wszyscy za przykładem pani domu, która jednak przez chwilę na próżno usiłowała się podnieść, albowiem od dwóch dni reumatyzm dokuczał jej coraz mocniej. Podobne ataki zdarzały się często i w takich razach syn przeprowadzał ją zwykle z pokoju do pokoju. Tym razem przysłała jej w pomoc siedząca najbliższej panna Anney – i otoczywszy ją ramieniem, podniosła ją lekko, zręcznie i bez żadnego wysilenia.

– Dziękuję pani, dziękuję - odrzekła pani Krzycka – bo inaczej musiałabym chyba czekać na Władzia. A, mój Boże, jak to dobrze być taką mocną.

– O, ze mnie prawdziwy Samson – odpowiedziała swym miłym, przyciszonym głosem panna Anney.

Lecz w tej chwili Władysław, który widocznie przypomniał sobie, że trzeba odprowadzić matkę, wpadł do pokoju, i ujrawszy co się dzieje, zawołał:

– Niech pani pozwoli. To mój obowiązek. Pani się zmęczy.

– Ani trochę.

– Ach, Władku – odrzekła pani Krzycka – doprawdy nie wiem, które z was silniejsze.

– Czy naprawdę tak? – zapytał patrząc zachwyconymi oczyma na wysmukłą postać dziewczyny.

A ona poczęła mrugać oczyma na znak, że tak naprawdę, przy czym jednak zacerwieniła się, jakby wstydząc się swej niekobiecej siły.

Krzycki jednak pomógł jej usadzać matkę przed stołem, na którym zwykła była kłaść wieczorami w saloniku pasjansy. Przy tej sposobności przycisnął mimo woli ramieniem ramię panny Anney i gdy poczuł to młode, jakby stalowe ciało, oblał go nagle war żądz, a zarazem ogarnęło go poczucie jakiejś elementarnej, niesłychanie błogiej siły. Gdyby był Grońskim i czytał kiedy w życiu Lukrecjusza hymn do Wenus, byłby umiał siłę tę uświadomić i nazwać. Ale ponieważ był jeno dwudziestosiedmioletnim zdrowym szlachcicem, więc tylko pomyślał, że za taką chwilę, w której wolno by mu było przycisnąć do piersi całą podobną dziewczynę, warto by oddać Jastrząb, Rzęślewo – a nawet i życie.

Ale tymczasem musiał wracać do rzęślewskiego ekonoma, który czekał w kancelarii z pilną sprawą. Rozmowa z nim trwała tak długo, że gdy Krzycki pojawił się znowu – salonie, młode panie odeszły już były do siebie, tak, że zastał tylko matkę, która czekała go umyślnie, chcąc dowiedzieć się, o co chodzi, a z nią Grońskiego i Dolhańskiego, który grał sam ze sobą w bakarata.

- Jakie nowiny? zapytała pani Krzycka.
- Zupełnie niedobre. Tylko niech się mama nie niepokoi, bo tu przecie Jastrząb, nie Rzęślewo – i ostatecznie możemy na to wszystko machnąć ręką. Ale swoją drogą tam się dzieją dziwne rzeczy i Kapuściński w każdym razie dobrze zrobił, że tu przyjechał...
- Na Boga, któż to jest Kapuściński? – zawołał Dołhański wypuszczając monokl z oka.
- Ekonom z Rzęslewa. Otóż powiada, że tam pojawiły się jakieś niezbrane figury, podobno z Warszawy, i rządzą się jak szare gęsi po niebie. Wydają rozkazy, zwołują chłopów, burzą ich, przyrzekają im grunta, każą nawet zajmować inwentarze i obiecują, że w całej Polsce wkrótce tak będzie, jak w Rzęslewie...
- A cóż chłopci? cóż chłopci? – przerwała pani Krzycka.
- Jedni wierzą, drudzy nie wierzą. Niektórzy rozumniejsi próbowali się opierać, ale tym grożą po prostu śmiercią. Parobcy dworscy nie chcą już jednak słuchać Kapuścińskiego i powiadają, że tylko bydło będą paśli i karmili, ale żadnej innej roboty nie tkną. Kilkunastu komorników wybiera się już do lasu z siekierami i zapowiadają, że gajowych, jeśli będą bronili wrębu – pobiją. Kapuściński stracił zupełnie głowę i przyjechał do mnie, jako do jednego z egzekutorów testamentu, pytać o radę.
- A tyś mu co poradził?
- Ja, ponieważ mi oświadczył, że w Rzęslewie nie jest pewny życia, poradziłem mu przede wszystkim, by został na noc u nas w Jastrzębiu. Chciałem pierwiej pogadać z matką i z wami, bo istotnie rada jest trudna i położenie ciężkie. Przecie taki stan rzeczy nie może się ostać i prędzej, później skrupi się wszystko na samych chłopach. Temu trzeba koniecznie zapobiec. Ja powiem otwarcie, że od dwóch dni myślałem o tym, czyby się kuratorstwa tej przyszłej szkoły i w ogóle praw rzęslewskich nie zrzec. Wahałem się tylko

dlatego, że to służba publiczna, naprawdę jednak, to ja mam tyle do roboty w Jastrzębiu, że nie wiem, do czego pierwszej ręki przyłożyć. Ale teraz skoro chodzi o to, by ratować chłopów, i skoro łączy się to z pewnym niebezpieczeństwem, to już się nie mogę cofnąć.

– Ja będę się o ciebie bała, ale cię rozumiem – rzekła pani Krzycka.

– Myślę więc, że przede wszystkim trzeba będzie zaraz jutro pojechać do Rzęślewa, ale jeśli tam nie znajdę żadnego posłuchu, to wówczas co?

– Nie znajdziesz – rzekł Dołhański nie przestając rozdawać kart. Jeśli pojedziesz, to ja pojedę z tobą – oświadczyła pani Krzycka.

– Tego by tylko brakowała! Niechże mama pomyśli, że w takim razie byłbym okropnie skrępowany i na pewno nie bym nie wskórał.

Po czym ucałował jej rękę i począł powtarzać:

– Nie, nie! Mama rozumie, że to byłoby jeszcze gorzej, i gdyby się mama uparła, to wołałbym wcale nie jechać.

Groński wsparł głowę na rękę i myślał, że łatwiej jednak jest analizować siedząc przy biurku rozmaite objawy życiowe, niż zdobyć się na radę wobec zdarzeń doraźnych. Dołhański zaś przestał wreszcie grać z sobą w bakarata i rzekł:

– W jakim my jednak jesteśmy położeniu, to przechodzi wszelkie pojęcie. Bo przecie w każdym innym kraju wezwałoby się policję i rzecz skończyłaby się tego samego dnia.

Na to Krzycki zawołał prawie z gniewem:

– Co do tego, to pozwól! Już ja tam nie będę wzywał policji, nie tylko przeciw naszym chłopom, ale nawet i przeciw takim zakazanym figurom, jakie w tej chwili siedzą w Rzęślewie. Co to, to nie!

– A więc, niech żyje okres prawdziwie wolnościowy!

Lecz Groński podniósł głowę i ozwał się:

– Kto wie, czy wezwanie policji nie byłoby na rękę tym jegomościom.

– A to jakim sposobem?

– Bo sami mogą w porę dać nurka, a później burzyć lud i wołać na całą Polskę: „Patrzcie, kto wzywa na chłopów policję”.

– To jest trafna uwaga – rzekł Krzycki. – Teraz zaczynam rozumieć rozmaite rzeczy, których przedtem nie rozumiałem.

– Mnie – zaczął mówić z wolna Dołhański – od chwili otwarcia testamentu nic a nic nie obchodzi ani Rzęślewo, ani jego mieszkańcy. Jednakże podczas rozdawania kart przyszła mi jedna myśl. Władek pojedzie tam jutro zupełnie niepotrzebnie. Może tylko oberwać guza bez żadnego dla nikogo pożytku...

– Do tego jeszcze nie doszło i tego się wcale nie obawiam. Nasza rodzina siedzi w Jastrzębiu od niepamiętnych czasów i chłopci okoliczni na żadnego Krzyckiego ręki nie podniosą...

– Przede wszystkim nie przerywaj mi odrzekł Dołhański. Jeśli nie oberwiesz guza, a i ja przypuszczam, że może nie, to nie znajdziesz, jak sam przed chwilą przewidywałeś, posłuchu. Gdybyśmy pojechali my dwaj – to jest ja i Groński – to także nic nie wskóramy, albowiem widziano nas na pogrzebie i czcigodni Słowianie rzęślewscy patrzą na nas jak na ludzi, którzy mają w tej sprawie swój własny interes. Tam trzeba, żeby przyjechał ktoś nieznany i nie namawiał, ale jak człowiek, który ma prawo i siłę rozkazał chłopom, by zachowali się spokojnie. Skoro wam tak o nich chodzi, to jest jedyna droga. Otóż z mocy niezbadanych wyroków Opatrzności istnieją przecie w tym miłym kraju i demokraci narodowi, których, mówiąc nawiasem, nie znoszę jak siódemki treflowej w kartach, ale którzy mają podobno,

jeśli nie mniej spocone, to i nie mniej ciężkie pięści od socjalistów. Czy z tymi nie załatwić się za pomocą tamtych?

– Ależ naturalnie! naturalnie! zawołał Groński. – Chłopi mają ostatecznie i więcej ufności do partii narodowej.

– Ja też do niej całym sercem należą – rzekł Krzycki – ale siedząc kamieniem w Jastrzębiu nie wiem, do kogo się udać.

– W każdym razie nie do mnie – odpowiedział Dołhański.

Lecz Groński, który jakkolwiek nie należał do żadnych stronnictw, znał jednakie całe miasto, z łatwością wskazał adresy i sposób, w jaki można partię zawiadomić, po czym rzekł:

– A teraz dam jedną radę, taką samą, jaką ty, Władku, dałeś Kapuścińskiemu, a mianowicie, żebyśmy poszli spać, albowiem zwłaszcza pani i tu zwrócił się do gospodyni domu – od dawna się to należy. Czy zgoda?

– Zgoda – odpowiedział Władysław – ale zaczekajcie jeszcze parę minut. Po odprowadzeniu matki odprowadzę i was na górę.

Jakoż w kilkanaście minut powrócił, lecz zamiast obiecanego gościom: dobranoc! przysunął się do nich i rozpoczął na nowo przerwana rozmowę.

– Nie chciałem przy matce mówić wszystkiego – rzekł żeby jej nie niepokoić. W gruncie rzeczy sprawa przedstawia się daleko gorzej. Oto, mówiąc naprzód o tym, co nas dotyczy, wyobraźcie sobie, że ci przybysze zaraz po przyjeździe pytali przede wszystkim o Laskowicza i że Laskowicz był dziś po południu w Rzęślewie, a wrócił na godzinę przed naszym powrotem z polowania. Teraz jest już zupełnie pewne, że mamy agitatora tu, między nami...

– To go wyrzuć – przerwał Dołhański. – Ja na twoim miejscu byłbym to dawno zrobił, choćby dlatego, że on ma oczy osadzone tak blisko jedno od drugiego jak pawian. U człowieka oznacza to fanatyzm i głupotę.

– Niezawodnie, że skończę z nim wkrótce, a skończyłbym pomimo późnej godziny natychmiast, gdyby nie to, że chcę się wpieryw uspokoić, żeby nie zrobić jakiej głupiej awantury. Ja tego nie lubię; ale swoją drogą, tym apostołom z Rzęślewa nie radzę zaglądać mi tu do Jastrzębia. Dalibóg nie radzę!

– Czy mają zamiar złożyć ci wizytę?

– Prawie. A jeśli nie mnie osobiście, to moim parobkom. Zapowiedzieli w Rzęślewie, że w całej okolicy będą urządzali strajki rolne.

– Tym bardziej przyda się moja rada, by ten klin wybić drugim.

– Niezawodnie. Zabiorę się też do tego niezwłocznie.

– Wiem – rzekł Groński – że oni chcą przeprowadzić strajki rolne w całym kraju. To się nie uda, gdyż żywioł chłopski tę robotę odeprze. Oni, jako ludzie przeważnie z miast, nie zdają sobie sprawy ze stosunku człowieka do ziemi. Będą wszelako częściowe szkody i zamęt się powiększy, a o to im tylko chodzi. Ach! – szekspirowskie „słońce głupoty” nie tylko świeci nad naszym krajem, ale jest w zenicie.

– Jeśli o takim słońcu mowa – odpowiedział Dołhański – to możemy powiedzieć jak ongi królowie hiszpańscy: że w naszych posiadłościach nie zachodzi ono nigdy.

A Groński mówił dalej, podnosząc brwi i przymrużając w zamyśleniu oczy:

– Socjalizm... dobrze! To przecie rzecz starsza od Meneniusza Agryppy. Płynie ta rzeka przez całe wieki. Czasem, gdy przykryją ją inne idee, nurtuje pod ziemią, potem zaś znów wydestaje się na światło dzienne. Czasem upada, czasem wzbiera i rozlewa... Obecnie mamy powódź i to bardzo groźną, która może zatopić nie tylko fabryki, miasta i kraje, lecz nawet cywilizację... Grozi to przede wszystkim Francji, gdzie dobrobyt i pieniąż wyrugowały wszelkie inne idee. Socjalizm jest tego następstwem

koniecznym. Kapitał ożeniony z demagogią nie mógł spłodzić innego dziecka, że zaś to dziecko ma głowę potwora i kretyna, to tym gorzej dla jego ojca. Pokazuje się, że zbytnie bogactwo może być narodowym niebezpieczeństwem. Ale to nic dziwnego. Przywilej jest niesprawiedliwością, z którą ludzie walczyli od wieków. Otóż dawniej mieli przywileje książęta, duchowieństwo i szlachta. Dziś nikt nie ma żadnych – pieniądź na wszystkie. Oczywiście, że występuje do walki przeciw niemu praca.

– To mi zaczyna trącić apologią socjalizmu zauważył Dołhański.

– Nie. Tu nie jest apologia. Bo przede wszystkim, patrząc na rzecz z góry, czymże jest ten nowy prąd, jeśli nie jednym więcej złudzeniem w gonitwie ludzkości za szczęściem. Co do mnie, to twierdzą tylko, że socjalizm przyszedł, a raczej, że w naszych czasach ogromnie wezbrał, ponieważ musiał wezbrać. Chodzi tylko o to, jak się przedstawia i czy nie mógłby mieć innej twarzy. I tu się zaczyna moja krytyka. Ja Socjalistom nie uważam za grzech socjalizmu, tylko właśnie to, że idea zaczyna w ich szkole nabierać coraz bardziej rysów złośliwego idioty. Naszym – zarzucam głupotę wprost bajeczną, co bowiem mógłby ktoś powiedzieć na przykład o mrówkach, które by wytoczyły sprawę robotnic i gryzły się o nią w chwili, gdy na mrowisku leży mrówkojad i połyka je tysiącami?

– Prawda! – zawołał Krzycki.

– A przecie – zakończył Groński – na naszym mrowisku leży całe stado mrówkojadów.

Tu Dołhański wypuścił znów monokl z oka:

– Żebyśmy nie poszli spać pod nieprzyjemnym wrażeniem – rzekł – opowiem wam anegdotę, która ma pewien związek z tym, co mówi Groński. W czasie ostatniej wystawy w Paryżu jeden czarny król we francuskim Kongo, zasłyszawszy o niej, oświadczył, że chce na nią jechać.

Zarząd kolonii, któremu zależało na tym, by wysłać do Paryża jak najwięcej egzotycznych figur, nie tylko się na to zgodził, ale przesłał rzeczonemu monarsze kilka koszul, z oświadczeniem, że we Francji jest to ubranie konieczne. Naturalnie, że koszule wywołały podziw i zdumienie powszechne. Król zwołał ministrów, kapłanów i naczelników stronnictw chcąc się z nimi naradzić, jak się tego rodzaju ubranie wkłada. Po długich debatach, przy których nie obyło się zapewne bez starcia miejscowych realistów z miejscowymi narodowcami i postępowcami, wątpliwości zostały wreszcie usunięte. Król włożył rękawy koszuli na nogi, tak że mankiety miał na kostkach. Dolny brzeg koszuli, który w tym wypadku stał się górnym, ściągnięto mu sznurkiem pod pachami w ten sposób, że gors wypadł mu na plecach, a otwór na szyję... nieco niżej. Uradowany z rozwiązania trudności władca uznał nawet, że to jest ubranie, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej pod pewnym względem bardzo praktyczne, a przede wszystkim nadzwyczaj efektowne.

– Dobrze – rzekł śmiejąc się Groński – ale co to ma za związek z tym, o czym mówiłem poprzednio?

– Większy, niż ci się zdaje – odpowiedział Dołhański – albowiem faktem jest, że rozmaici Słowianie gotowi są tak nosić wolność, a nasi socjaliści tak socjalizm, jak ten murzyński król tę europejską koszulę.

To rzekłszy schwytał na nowo monokl okiem i oświadczył, że ponieważ w cnotliwym Jastrzębiu i z takimi kompanami nie może być mowy o nocnej „partyjce”, przeto żegna towarzystwo i idzie spać. Za jego przy, kładem poszli Groński i Krzycki. Władysław wziął lampę i począł świecić gościom, ale na schodach zwrócił się jeszcze raz ku nim z twarzą, na której malował się zły humor i rzekł:

– Niech też diabli porwą i to, że te wszystkie awantury przychodzą wówczas, gdy w Jastrzębiu mamy takie miłe kobiety!

– Strzeż się – odpowiedział Dołhański – i wiedz, że nic się nie ukryje przed moim okiem. Gdyś pomagał pannie Anney przeprowadzać matkę, wyglądałaś jak machina elektryczna. Gdyby ktoś przeciągnął przez ciebie druty, mógłbyś oświecić nie tylko dwór, ale i czworaki.

A Krzycki podniósł w górę lampę tak, aby światło nie padało mu na twarz, albowiem uczuł, że w tej chwili zacerwienił się jak student.

IX

Władysław Krzycki posiadał tę szczęśliwą naturę, że położywszy się spać, w kilka minut później zapadał w kamienny sen, trwający aż do rana. Tej nocy jednak nie mógł zasnąć, albowiem wrażenia całego dnia, a zarazem i ostatnie słowa Dokhańskiego wprowadziły go w stan rozdrażnienia i gniewu. Zły był na Rzęślewo, na „awantury”, które się w nim działy, na Dołhańskiego, że zauważył wrażenie, jakie na nim czyniła młoda miss – a zwłaszcza, że pozwolił Dołhańskiemu sobie o tym mówić – i w ostatku, na samą Bogu ducha winną pannę Anney. Po pewnym też czasie, przewracając się z boku na bok, rozpoczął z nią rozmowę, w której wziął na się rolę człowieka, który nie zapiera się wprawdzie, że jest "grubo" pod urokiem, niemniej jednak patrzy na rzeczy trzeźwo i rozumnie. Więc naprzd przyznał pannie Anney, że jest ładna i miła, i że ma ogromnie sympatyczny głos, dziwnie pociągające spojrzenie i ciało jak marmur (ach, jakie ciało!) – wszelako zastrzegł sobie stanowczo, by nie myślała, iż się w niej zaraz zakochał, a zwłaszcza, zakochał bez pamięci. Przyznać – przyzna jej wszystko, czego sama sobie życzy, ale od

przyznania do zakochania się jest jeszcze dalej niż od zakochania się do małżeństwa, o którym przecie nie może być mowy. Przede wszystkim jest cudzoziemką, a matka ma pod tym względem swoje uprzedzenia – i zresztą słuszne – albowiem i on sam wolałby mieć przy sobie na resztę życia jakąś polską duszę, nie zaś obcą. Prawda, że w niej jest coś dziwnie swojskiego, ale bądź co bądź nie jest Polką. – „Jednaka krew ma swoje znaczenie, to tam darmo! - mówił w dalszym ciągu do panny Anney. – Więc skoro jesteś Angielką, to wyjdźże sobie za jakiegoś Anglika albo Szkota, bylebyś nie wymagała ode mnie, żebym z taką małpą zawierał przyjaźń albo znajomość, gdyż się bez tego doskonale obejdę.” I w tej chwili chwyciła go taka nagła a niespodziewana antypatia do tego e w e n t u a l n e g o Anglika „z wystającą szczęką” albo Szkota „z gołymi kolanami”, iż uczuł, że przy lada nieporozumieniu gotów byłby każdego z, nich obić. Ale przez ów napad gniewu wybił się zupełnie z tego stanu półdrzemki półjawy, w którym rzeczywistość miesza się z urojeniem-i otrzeźwiawszy doznał jednak wielkiej ulgi na myśl, że ów zamorski narzeczony istnieje tylko w jego wyobraźni, a jednocześnie napłynęła mu do serca fala wdzięczności dla panny Anney. „Ja się tu z nią kłócę i robię zastrzeżenia – myślał – a ona tymczasem przytuliła tam swoją jasną głowę do poduszki i śpi w najlepsze.” Tu krew rozigrała się w „im znowu, ale rozpedził niebawem zdrożne marzenia, co przyszło mu tym łatwiej, że poczęła go ogarniać mgła tęsknoty za uczciwą miłością i za tą przyszłą, jeszcze bezimienną istotą, która miała z nim dzielić życie. Jął znowu ale już pokorniej - rozmawiać z panną Anney i zapewniać ją, jakby z pewną melancholią, że chodzi mu nie o nią samą, bo wie, że gdyby nawet nie było innych przeszkód, to ona by go zapewne nie chciała- ale o to, by ta przyszłą towarzyszką jego życia, była choć trochę do niej podobna..., żeby miała

takie samo spojrzenie i taką samą tę dziwną magnetyczną siłę, której on, jeśli się dotychczas nie poddał, to chyba jakimś cudem. Co do panny Anney osobiście – otwarcie mówi, że winien jej tylko wdzięczność. Jemu nigdzie przecież nie jest tak dobrze, jak w tym kochanym Jastrzębiu, ale swoją drogą nie może i temu zaprzeczyć, że w tej zakazanej dziurze zrobiło się po jej przyjeździe tak rzeźwo i jasno, jakby kto okiennice poodmykał, a po wyjeździe nastaną znów ciemności, pustka i nudy jeszcze większe, niż były przedtem. Toteż za te jasne chwile chętnie ucałowałby jej ręce, a nawet, gdyby się jej zdawało, że to nie dosyć – to i nogi. Tymczasem przeprasza ją za te szalone myśli, które mu przyszły do głowy, gdy w salonie przycisnął jej ramię, jakkolwiek bowiem zawsze jest tego zdania, że za jej wzajemność można by oddać życie, to natomiast twierdzi jednocześnie stanowczo, że Dołhański jest bałwan i cynik, który wdaje się w nie swoje rzeczy i którego słów nie warto brać w rachubę. Tu porwała go powtórna złość na Dołhańskiego i począł w dalszym ciągu przewracać się z boku na bok, póki wreszcie późna godzina, młodość głodna snu i znużenie nie posypały mu makiem oczu.

Był jednak w jastrzębskim dworze ktoś, kto także spędzał często bezsenne noce i także rozmawiał z osobą nieobecną, a mianowicie Laskowicz. Po tym wszystkim; co zaszło i co się w ostatnich dniach wyjawilo, gotował się do ostatniej pożegnalnej rozprawy z rodziną Krzyckich, rozumiał bowiem, że dalszy jego pobyt w Jastrzębiu jest niemożliwy. A jednak obecnie chciałby był w nim pozostać choć jeszcze parę dni, by dłużej patrzeć na pannę Marynię Zbytowską i dłużej się – jak sam to nazywał – narkotyzować. Jakoż rzeczywiście od pierwszej chwili, w której usłyszał ją grającą, zajęła ona tak jego myśli, jak dotychczas nie zajęła ich nigdy żadna inna kobieta. Naprzód, do gotowych formuł, którymi posługiwał się z dogmatyczną wiarą w sędzie o

ludziach, należało przekonanie, że kobiety należące do tak zwanych klas sytych są to istoty bezmyślne. Tymczasem z formułą tą trzeba się było od razu rozstać, gdy przez skrzypce przemówiła do niego dusza. Następnie zdziwiło go to, że były w tej panience jakby dwie istoty, z których jedna przejawiała się w muzyce jako wysoka artystka, skupiona, pełna w sobie egzaltacji, roztopiona w fale dźwięków i grająca tak, jakby pociągała smyczkiem po własnych nerwach – druga występowała w życiu codziennym i w zwykłych z ludźmi stosunkach. Ta ostatnia wydawała się na pierwszy rzut oka, jeśli nie pospolitą, to zwyczajną, pełną prostoty, a nawet i wesołości dziewczyną, która prychała jak kot, gdy na przykład Dołhański mówił rzeczy dla niej niemiłe, przekomarzała się z Grońskim, opowiadała niedorzeczności o duchach lub uciekała do ogrodu, by ku wielkiemu strachowi Grońskiego i starszej siostry wozic się czołnem po stawie. Laskowicz nie znał zupełnie świata i nie był wcale człowiekiem subtelnym, jednakże spostrzegł i on, że nawet w tej zwyczajnej dziewczynie było coś takiego, co czyniło z niej jakby małe bóstewko, otoczone cichym uwielbieniem. Ona sama nie zdawała sobie widocznie z tego sprawy i patrząc na taki stan rzeczy jak na coś, co rozumiało się samo przez się, żyła życiem kwiatu albo ptaka. Ufna, że nie spotka ją od nikogo nic złego, pogodna, jasna, żyjąca poza nędzą i lichotą życia, poza jego troskami, poza jego zimnym wichrem, który załzawia oczy, i poza pyłem, który brudzi, podobna była do czystego źródła, na które ludzie patrzą jak na błogosławione i boją się, by nie zmacić jego przeźrocza. Zdawało się, że otoczenie nie wymaga od niej nic więcej, jak żeby istniała – tak jak nie wymaga się nic więcej od arcydzieła. Laskowiczowi, ilekroć na nią spojrzął, przychodziło na myśl wspomnienie z lat dziecinnych. On i jego starszy brat – który przed kilku laty, wpadłszy w suchoty, skończył samobójstwem na Riwierze – byli synami

przekupki, posiadającej kram z poświęcanym towarem woskowym, z medalikami, różańcami i obrazkami przy jednym z kościołów warszawskich. Obaj bracia wychowali się wskutek tego poniekąd w kruchcie i byli w ciągłych stosunkach z księżmi. Owóż zdarzyło się, że stary kanonik, proboszcz tego kościoła, kupił na licytacji alabastrowy posążek jakiejś świętej i nie wiadomo dlaczego ułożył sobie, że to jest nie tylko dzieło, ale i arcydzieło Canowy. Posążek, który był istotnie ładny i bardzo misterny, został umieszczony po poświęceniu pod imieniem św. Apolonii w osobnej niszy w murze, w pobliżu jednego z ołtarzy – i od tej chwili staruszek proboszcz otoczył go wielką czcią jako świętość i szczególniejszym staraniem jako największą osobliwość kościelną. Przyprawiał do niego swych gości i pobożniejszych parafian, każąc im podziwiać robotę i gniewając się, gdy kto pozwolił sobie na jaką uwagę krytyczną. Oczywiście, podziw kanonika podzielał organista, dzwonnik, cała służba kościelna i obaj chłopcy. Laskowiczowi mimo woli nasuwała się często teraz myśl, że panna Marynia jest taką św. Apolonią wśród swego otoczenia. Z tego powodu, zaraz pod pierwszym wrażeniem nazwał ją „świętą laleczką”. Ale przypomniał sobie również, że gdy w swoim czasie stracił wiarę – a stracił ją jeszcze w gimnazjum, które, mówiąc nawiasem, ukończył z pomocą starego kanonika wówczas brała go nieraz ochota stłuc tamten alabastrowy posążek. Obecnie paliła go jeszcze większa, bo granicząca z namiętnością chęć stłuc ten żywy. I bynajmniej nie dlatego, by miał być mu nienawistny. Przeciwnie. Nie mógł i on oprzeć się urokowi tej kochanej przez wszystkich dziewczyny, tak jak nikt nie może się oprzeć urokowi jutrzeńki albo wiosny: Stało się nawet tak, że to, co drażniło go w niej i oburzało – to jednocześnie parło go ku niej z niepohamowaną siłą. Więc pociągała go jej przynależność do tego świata, którego samo istnienie

uważał za niesprawiedliwość społeczną, za zbrodnię i za krzywdę; nęciła go pomimo wewnętrznej zgryzoty i ta nawet myśl, że pod takie kwiaty proletariats jest tylko nawozem. Lepem była mu jej subtelna kultura i jej artyzm, choć takie rzeczy uważał za zbyteczny i niepotrzebny dla ludu okwiat życia; ponętą było jej zupełne niepodobieństwo do kobiet, z którymi się aż do przyjazdu na wieś stykał, upojeniem jej cała postać. Nigdy poprzednio nie był pod jednym dachem z podobną istotą, więc zapamiętał się i stracił głowę na jej widok, a chociaż nie uświadomił jeszcze i nie ochrzcił imieniem miłości tych sił, które poczynały grać mu w piersiach – prawdą było, że w ciągu tych kilku dni rozgorzał jak wulkan – i rozkochał się na zabój. Przystawał zaś z nią obecnie często, gdyż Marynia poprzyjaźniwszy się wielce z małą Anusią i ze Stasiem spędzała z nimi całe dnie. Chodzili razem za staw, do tartaku i do owego starego młyna, o którym Krzycki wspomniał pannie Anney, i do lasu. Laskowicz, jako guwerner Stasia, musiał im towarzyszyć i mimo woli brać udział w ich zabawach i gonitwach. Kilkakrotnie próbował z nią rozmawiać o socjalizmie, ale te rozmowy nie szły, naprzód dlatego, że przeszkadzały im dzieci, a po wtóre i z tej przyczyny, że panna Marynia dawała odpowiedzi tak proste, tak wyjęte z dobrego serca i tak pełne litości dla wszelkiej biedy, że nie można im było przeciwstawiać żadnych doktryn. Istocie, której zdziwione oczy zachodzą mgłą na wspomnienie ludzkiej niedoli i która gotowa jest w każdej chwili oddać wszystko co posiada, nie potrzeba dowodzić, że musi i powinna to uczynić. Laskowicza zbijał z tropu nie jej opór, ale właśnie to, że ona najczęściej przyświadczała mu, dodając, że „przecie i religia tak nakazuje”. Wobec tego, cały jego aparat wojenny okazywał się zupełnie zbyteczny i przygotowane argumenty rozsypywały się jak piasek.

Musiał jednak podziwiać i prostotę jej serca, i taką czystość myśli, z jaką nigdy dotychczas się nie zetknął. Czasami brał jej jedno i drugie za złe, gdyż zdawało mu się, że nie wolno jest nikomu żyć życiem tak zabezpieczonym od wszystkiego co brudzi, plami i zapyła. Ale jednocześnie wielbił ją za to i zachwycał się nią jak poetycką wizją, że zaś ta wizja była zarazem młodą, uroczą jak wiosna dziewczyną, więc poddawał się jej urokowi i z każdym dniem zapadał głębiej w miłość. Czuł jednak głucho, że jest w tej namiętności coś z żądz Murzyna do białej kobiety, a co więcej, że w tak zwróconej miłości tkwi jakby odstępstwo od zasad. Toteż w samym zarodzie zatrzał ją jadem nienawiści i wilczym popędem zniszczenia.

I oto pewnej nocy, w wigilię właśnie dnia, w którym miał ostatecznie opuścić Jastrząb, począł wzywać „świętą laleczkę”, aby do niego przyszła. Przyjmując bezkrytycznie, a również i z całą przesadą właściwą fanatyzmowi i młodości wszystko, co książki podawały jako ostatnie wyniki badań lub zjawisk w dziedzinie naukowej, wierzył, że hipnotyzm jest to tajemnicza i olbrzymia siła, która gdy może być zastosowana, staje się wówczas nieprzepartą. Mając się na mocy prób czynionych między kolegami za hipnotyzera i poczytawszy delikatną i wrażliwą panienkę za doskonałe medium, był najgłębiej przekonany, że może ją uspić i rozkazywać jej z odległości. Sumienie szeptało mu wprawdzie, że to, co ma zamiar uczynić, jest nadużyciem nauki, ale on głużył ów głos wmawiając w siebie, że to będzie jednocześnie zwycięstwo proletariusza nad tym światem, nad którym nie wolno mieć litości – i że człowiek należący do obozu, który wypowiedział wojnę na śmierć i życie całej budowie społecznej i „przewartościował” wszelkie pojęcia będące dotychczas w obiegu, ma prawo i musi być bezwzględny.

Przede wszystkim jednak pragnął zdobyć tę wykwinną i niepokalaną dziewczynę, opanować nie tylko jej ciało i duszę, ale i jej wolę – uczynić z niej coś swojego, ściągnąć ją ku sobie, rozbudzić w niej śpiące instynkty kobiece, otworzyć przed nią zamknięte drzwi namiętności, rozplomienić ją, ogarnąć, zmiąć, a potem mieć blisko przy piersiach – na zawsze. I na myśl o tym ogarniała go jakaś dzika radość, podobna do takiej, jaką szaleńcom daje profanacja rzeczy otoczonych czcią i obawą, a zarazem wzrastała w nim żądza i miłość. Czuł, że po tym wszystkim i za to wszystko pokochałby ten swój łup, tę swoją ofiarę bez pamięci.

Lecz ponieważ był tylko szaleńcem o sercu raczej dziewczym, nie zaś człowiekiem zepsutym, więc chwilami ogarniała go jednak tkliwość tak wielka, że gdyby wezwania jego odniosły jakiś skutek, byłby może nie posunął się aż do występku. Ale były to chwile przelotne, po których wyteżając całą siłę woli i wzrok swych blisko osadzonych oczu w stronę sypialnego pokoju panny Maryni, mówił i rozkazywał jej: „Wstań! – nie zapalaj świecy – nie budź siostry – otwórz cicho drzwi i idź w ciemnościach po szlaku moich myśli, póki nie przyjdiesz tu do mnie, w moje ramiona, na moje piersi”. I wyobrażał sobie, że lada minuta zobaczy ją, podobną do tamtego alabastrowego posążka, wchodzącą w jednej koszuli mechanicznym krokiem lunatyczki, srebrną, uśpioną, z przechyloną w tył głową, z zamkniętymi oczyma, a otwartymi ustami, pijącą blask księżyca, który świecił w oknie. Potem nasłuchiwał w ciszy i skupiając jeszcze silniej wolę powtarzał znów z takim naciskiem, jakby wykuwał każde słowo z kamienia: „Wstań! – nie zapalaj świecy, nie budź siostry, otwórz drzwi – idź po szlaku moich myśli – i przyjdź!”

Byłoby to zaś istotnie bardzo straszne, gdyby nie jedna szczęśliwa okoliczność, a mianowicie, że jej się ani śniło

wstawać, otwierać drzwi, iść po szlaku jego myśli – itd. Przeciwnie. Spała tak cicho, jakby jaki pochyłony nad nią anioł odpędzał od niej ruchem skrzydeł sny niespokojne i gorączkowe. Małe domowe duchy jastrzębskie, takie, o jakich opowiadała Grońskiemu, nie mąciły jej także wypoczynku. Może niektóre spędzały z okien ćmy, by nie czyniły hałasu bijąc głowami o szyby, może inne wdrapując się na firanki i ramy przypatrywały się jej z daleka bystrymi oczkami i szeptały sobie wzajem: „Śpi dziewczyna, która nam grywa na skrzypcach – śpi! – cyt! – nie budźmy jej!” – I choć zapewne brała je ochota pokręcać kołeczki u skrzypców i trącać kosmatymi paluszkami w struny, nie czyniły tego jednak przez poczciwość i gościnność. – Otworami okiennic wdzierał się księżyc, czyniąc jasne, posuwające się z wolna plamy na przeciwległej ścianie i cisza była wielka, tylko gdzieś za domem pogwizdywali koło zabudowań stróże nocni, a w samym domu stary szafkowy zegar, który odmierzał życie kilku już pokoleń, mówił i dalej z rezygnacją: „tak! – tak! tak!” zapadającym w przeszłość sekundom.

A Laskowicz wysyłał w dalszym ciągu ze swego pokoju rozkazy, które nie dochodziły do niczyjej świadomości. I dziwna rzecz! Wewnętrznie mówiło mu coś z trzeźwą, prawie zupełną pewnością, że dziewczyna nie przyjdzie, a jednak wierzył, że powinna była przyjść. Dopiero po długim czasie poczęło się w nim budzić poczucie, że jeśli nie przyjdzie, to on razem ze swym hipnotyzmem gra rolę durnia. Wreszcie ogarnęło go zmęczenie, zniechęcenie i gniew na samego siebie. Sen odbiegał go niepowrotnie. Godzina płynęła za godziną. Za oknem niebo wgłębiło się i pozieleniało na wschodzie, a wkrótce obramowało się na dolnym krańcu różową przeźroczą wstążką jutrzeńki. Młody student, nie rozbierając się wcale, otworzył okno, by odetchnąć rzeźwym porannym powietrzem. W ogrodzie

rozpoczął się już pierwszy świątek ptactwa, a od strony niezbyt odległego stawu dochodziły, wraz z zapachem akacji, głosy czapli i przytłumione jakby jeszcze senne kwakanie dzikich kaczek. Po niejakiem czasie we wsi zaskrzypiał żuraw studzienny.

Laskowiczowi przyszło wówczas do głowy, że jest to ostatni świt widziany przez niego w Jastrzębiu, że jutro obudzi się w mieście i nie zobaczy ani panny Maryni, ani małej Anusi Krzyckiej, którą jedną polubił wśród mieszkańców jastrzębskiego dworu. I uczyniło mu się trochę żal. Ale ponieważ rozumiał, że po przybyciu jego kolegów partyjnych do Rzęślewa i po wizycie ekonoma Kapuścińskiego u Krzyckiego jest to rzecz nieunikniona, wolał przeto sam pierwiej zażądać dymisji, niż ją otrzymać. W tym celu postanowił napisać list do Władysława i oświadczyć, że ma już dość pedagogicznych obowiązków; przewidywał zresztą, że i tak muszą się zobaczyć, choćby przy wypłacie pensji, i że przyjdzie zapewne między nimi do zasadniczej rozprawy, która może zajść daleko – miał nawet na wszelki wypadek przygotowany rewolwer. Uznał jednak, że nim to nastąpi, suchy i stanowczy list będzie krokiem najbardziej zgodnym z jego ambicją – więc gdy rozwidniło się zupełnie, zasiadł zaraz do pisania.

Krzycki zaś zbudził się tego poranku wraz ze wschodem słońca, albowiem na wsi budził się tak zawsze, bez względu na to, czy położył się wcześniej czy później. Czuł jednak w kościach, że za mało miał wypoczynku, i przeciągając swoje tęgie ramiona mówił sobie, że opłaciłoby się to tylko w takim razie, gdyby panna Anney dowiedziała się kiedykolwiek, że to z jej powodu się nie wysypia, i gdyby go pożałowała choć trochę. Tymczasem począł sobie przypominać, co ma do roboty w dniu dzisiejszym, i ułożył plan następujący: przede wszystkim wziąć tusz i wygnać z kości znużenie, następnie pojechać jeszcze przed śniadaniem

do Rzęślewa i „zajrzeć trochę w oczy tym jegomościom”, a jeśli będzie można, to pogadać z chłopami; potem wrócić, skończyć po śniadaniu z Laskowiczem i wyprawić go do miasta końmi, które miały przywieźć doktora, a resztę czasu poświęcić pisaniu listów, gospodarstwu i gościom. W Rzęślewie postanowił być koniecznie, dlatego że jakkolwiek zgadzał się w duchu z Dołhańskim, że tam nie ma na razie nic do zrobienia, jednakże nie chciał, by te panie mogły pomyśleć, że nie pojechał tam z obawy.

Ułożywszy wszystko w ten sposób, narzucił na siebie byle jak ubranie i wsunąwszy stopy w pantofle udał się do łaźienki nie przewidując, że spotka go tam nadzwyczajny wypadek i że za chwilę zobaczy nie taki wprawdzie alabastrowy posążek, o jakim marzył całą noc Laskowicz, ale w każdym razie coś podobnego do Diany w wodotrysku. W tej samej bowiem sekundzie, w której otworzył drzwi, zaszumiały strumienie wody i przy świetle niebieskich szyb łaźienki ujrzał stojącą pod tuszem nagą i operloną błękitnie postać niewieścią, z pochyloną nieco głową i z rękoma podniesionymi do włosów, które czarną falą przesłaniały jej twarz. Trwało to jedno mgnienie oka. Przytłumiony krzyk i stukot zamykanych drzwi rozległy się razem. Krzycki popędził jak wicher do swego pokoju i wzburzony a zarazem i przerażony chwycił drżącą ręką karafkę, nalał szklanek wody, wypił ją i jął powtarzać bezładnie: „Co się stało? Kto to był? Dla Boga, co się stało!” W pierwszej chwili sądził, że to mogła być pani Otocka albo panna Marynia i w takim razie awantura byłaby ogromna. Te panie wyjechałyby zapewne z Jastrzębia, a jemu wypadłoby się chyba oświadczyć o rękę tej, którą ujrzał w tak rajskiej postaci. „A czy to moja wina? – myślał – dlaczego nie zamknęła drzwi? przecież tam jest zasuwka!” Wypił znów szklanek wody, by ochłodzić wzburzoną krew i pomyśleć spokojniej, co teraz zrobić i kto była ta nimfa. Jakoż po chwili doszedł do

przekonania, że to jednak nie mogła być żadna z dwu siostr. Naprzód, dlaczego by miała wstawać tak rano? – po wtóre, obie były szczupłe, a ta postać była tęszsza i w ogóle zbudowana tak, że – aj! aj! I wreszcie doszedł, kto to był: niezawodnie nikt inny, tylko ta czarnuszka, która mu przesłaniała w czasie nabożeństwa pannę Anney i którą spotkał w ciemnej alei wracając z Grońskim z polowania. Ale jeśli tak, to nie stało się nic bardzo strasznego, a nawet przeciwnie!... Przyszło mu do głowy, że te niebieskie szyby to wszelako dobry pomysł, bo w takim oświetleniu zjawisko było po prostu cudne. I na myśl o nim uczuł potrzebę wypicia trzeciej szklanki wody. Nie uczynił tego jednak, natomiast po jakimś czasie poszedł znów do łazienki, która była już pusta, i po wychłodzeniu się należyty ubrał się i pośpieszył do stajen. Tam kazał osiodłać konia i ruszył w cwał do pobliskiego Rzęślewa.

Dzień był pogodny, godzina jeszcze bardzo wczesna. Ale cała natura rozbudziła się już i zroszona, skąpana w słońcu, zdawała się po prostu krzyżeć z radości, zupełnie jak wiejska dziewczyna, gdy ze zbytku życia i zdrowia wyśpiewuje z przymkniętymi oczyma aż do zapamiętania: „Oj, dana! oj, dana!...” Ptactwo rozdzwoniło się tak, że aż liście trzęsły się na drzewach. W dalekiej dąbrowie rozlegało się kukanie kukułki, wilgi pogwizdywały wśród konarów wysokich drzew; w głębi leśnej odzywał się głosem tartakowej piły stary kruk, pilnujący pełnego gniazda, a od czasu do czasu wybuchał podobny do śmiechu wrzask sojek. Krzycki wyjechał z lasu na odkrytą drogę. Tu po jednej stronie była ruń zbóż, po drugiej łąka, od której zawiewało torfem i wiosną, cała zarośnięta złotym kaczeńcem i różową smółką, drgającą w ciepłe słonecznym i pod łagodnym tchnieniem wiatru jakby z rozkoszy. Ta rozkosz, ta powszechna radość i bujność życia przepelniła również piersi Krzyckiego. Czuł w sobie taki rozmach młodości i sił,

że gotów byłby wyzwąć na rękę całe setki socjalistów, ale zarazem i przycisnąć do serca cały świat, a zwłaszcza wszystkie kobiety poniżej lat trzydziestu. Biała wizja Diany pokryta łuską błękitnych pereł poczęła mu znów przesuwając się przed oczyma, ale wówczas pomyślał, że gdyby tak zamiast czarnych splotów na pochylonej głowie bogini zobaczył był złote, to byłby chyba padł.

Wśród tych widzeń i wrażeń przyjechał do Rzęślewa, gdzie jednak, zgodnie z przewidywaniem Dołhańskiego, nie mógł nic sprawić. „Apostołowie”, którym chciał zajrzeć w oczy, odjechali po jednodniowym pobycie do miasta; gospodarze byli w polu przy robocie, każdy na swoim zagonie; okiennice w plebanii były jeszcze pozamykane, gdyż proboszcz od kilku dni czuł się niezdrów. W dworskich czworakach nie ozwała się żadna żywa dusza i dopiero stary gumienny oznajmił Krzyckiemu, że parobcy po napojeniu bydła wygnali je na pastwisko, a sami poszli, nie pytając nikogo o pozwolenie, na odpust do Brześni, dokąd pociągnęło także wielu gospodarzy i komorników.

Był to więc strajk służby folwarcznej i otwarta samowola, ale na razie Krzycki nie mógł nic na to poradzić. Kazał tylko gumiennemu powiedzieć parobkom, że przyjadą do Rzęślewa i zrobią porządek tacy panowie, przed którymi te włóczykije, co tu wczoraj były, od razu uciekły, jak tylko się o tym dowiedziały – po czym zawrócił i w pół godziny później był już w Jastrzębiu.

Tam służący oznajmił mu, że wszyscy jeszcze śpią prócz pana Laskowicza, który polecił mu oddać list. Krzycki wziął list i poszedł z nim do kancelarii. Przeczytawszy go zadzwonił na służącego:

– Czy pan Laskowicz był ubrany, kiedy oddawał list? – Tak jest – i pakował rzeczy.

– Zapytaj go, czy może przyjść do mnie do kancelarii, a jeśli może, to proś.

Po chwili młody student wszedł do pokoju.

Krzycki wskazał mu ręką na krzesło stojące koło biurka i rzekł:

– Dzień dobry panu! Dowiaduję się z pańskiego listu, że pan chce opuścić Jastrzęb i to zaraz. Przypuszczam, że pańskie powody są dostateczne, a więc rozmowę o nich uważam za zbyteczną i nie będę pana zatrzymywał. Oto jest pańska należność, a konie będą gotowe na tę godzinę, na którą pan sobie życzy.

Lecz Laskowicz, który w stosunkach pieniężnych był niezmiernie rzetelny, przeliczywszy pieniądze rzekł:

– Pan mi wypłaca całą pensję, a tymczasem, ponieważ to ja sam uwalniam się przed terminem, więc za ostatni miesiąc mi się nie należy.

I rzucił dość niegrzecznie pozostałą resztę na biurko.

Krzyckiemu zadrgały trochę policzki koło wąsów, ale ponieważ zarzekł się wobec Grońskiego, że nie zrobi żadnej awantury, i sam sobie to obiecał, więc odpowiedział spokojnie:

– Jak pan woli.

– A co do odjazdu – rzekł Laskowicz – to chciałbym odjechać zaraz.

– Jak pan woli – powtórzył Krzycki. – Posyłam za godzinę po doktora do matki, więc jeśli to panu dogadza, może pan jechać tymi końmi.

– Owszem.

– Zatem to rzecz ułożona. Zaraz wydam dyspozycję.

To rzekłszy wstał i zamknął biurko, jakby chcąc zaznaczyć, że zamyka i rozmowę. Laskowicz spojrział na niego z przebłyskami w oczach nienawiści. Nie szukał on awantury, ale ją przewidywał, więc stanął przed Krzyckim napięty jak łuk. Tymczasem nie zdarzyło się nic podobnego i przygotowany na wszelki wypadek rewolwer na nic się nie przydał; nie przyszło nawet do wzmianki o liście, chociaż

był on napisany w sposób twardy i szorstki. A jednak było coś przykrego w tym zimnym tonie, w jakim przemawiał Krzycki, i pewna obraza w tej skwapliwości, z jaką przyjął propozycję wyjazdu. Laskowiczowi, który brał wszystko po swojemu, wydawało się, że w tej lodowatej rozmowie zaznaczyło się i coś więcej, a mianowicie, stosunek człowieka zamożnego, który posiada Jastrząb, biurko z pieniędzmi, konie i powozy, do bezdomnego biedaka. Że ze swej strony nie zrobił nic, by ten stosunek polepszyć, a raczej dużo, by go pogorszyć, i że od samego przyjazdu zamknął się w nieprzyjaznej dla tych ludzi doktrynie, jak w skorupie żółwia, o tym w tej chwili nie myślał. Wszystko to razem wzburzyło w nim żółć do tego stopnia, iż prawie żałował, że nie przyszło do jakiego zajścia. Ale ponieważ w słowach Krzyckiego nie było nic takiego, do czego by się można przyczepić, więc tylko wyszedł z kancelarii bez pożegnania i ze zdwojoną nienawiścią.

A Krzycki zadzwonił, dał rozkaz, by za godzinę konie były gotowe oraz by z powodu piątku ogrodnik zajęł się połowem ryb, po czym dopiero jął się trochę zastanawiać, czy sprawa z Laskowiczem przeszła tak, jak sobie życzył. Był z siebie rad i nierad. To, że potrafił być lakonicznym i stanowczym – zimnym a grzecznym i że nie dopuścił do grubiańskiej kłótni, przejmowało go zdać sprawę, nie był bowiem na to psychologicznie dość wyrobionym. Powtarzał sobie, iż takie sceny „są zawsze nieprzyjemne – i cała rzecz!” W rzeczywistości istniała jednak i inna jeszcze przyczyna. Oto całe jego zachowanie się, które wydawało mu się wielce umiarkowanym, rozsądnym i nieledwie dyplomatycznym, nie wypłynęło bezpośrednio i szczerze z jego temperamentu, a nawet było wprost przeciwne jego niezbyt głębokiej, ale otwartej i porywczej naturze. Gdyby był postąpił zgodnie z nią, byłby albo poczubił się z młodym studentem, albo powiedział mu na przykład tak: „Panie Laskowicz,

nadstawiałeś nam tu kolce jak jeź i zawracałeś ludziom głowy, a skoro odjeżdżasz, to daj rękę i bądź zdrow! ” I jedno, i drugie byłoby lepiej do jego charakteru dostrojone i nie miałyby w sobie tego rozdzwiewku, którego Krzycki nie uświadamiał, ale który odczuwał.

Lecz dalsze rozmyślenia przerwał mu służący oznajmieniem, że śniadanie gotowe i że goście są przy stole. Jakoż wszyscy zgromadzili się już w jadalnym pokoju, w którym pachniała kawa i szumiał samowar. Krzyckiemu na widok białych sukien pań i ich świeżych, wypoczętych twarzy zrobiło się od razu tak jasno w duszy, że w jednej chwili zapomniał o wszelkich przejściach i niesmakach. Pocałował na „dzień dobry” w rękę panią Otocką, a następnie niby przez roztargnienie pannę Anney, ale tak mocno, że zarumieniła się jak wiśnia, po czym uścisnął rękę panny Maryni, przywitał się z mężczyznami i począł wołać wesoło:

– Kawy! kawy! bo od wschodu słońca wypilem tylko dwie szklanki wody i głodny jestem jak wilk.

– Czy to kuracja, czy miałeś gorączkę? – zapytał Groński.

– Może miałem gorączkę, ale byłem swoją drogą konno w Rzęślewie i załatwiłem tysiąc spraw...

– Cóż „sielskie, anielskie” Rzęślewo? – przerwał Dołhański.

– A nic! Żle... Tych zakazanych figur, którym chciałem się przypatrzeć, już nie ma. Ale teraz chcę przede wszystkim kawy i nie odpowiadam na żadne pytania.

Panna Marynia w zastępstwie pani Krzyckiej, która z powodu reumatyzmu dłużej pozostawała w łóżku, naląła mu kawy, a on pocałował za to w rękę także i młodą kuzyneczkę, z czego była rada, sądząc, że to jej dodaje powagi.

– To mi się należy jako wicegospodyni – rzekła, potrząsając

głową. – A zwłaszcza ze względu na wiek – dodał Dołhański.

Ona zaś nie pokazała mu języka tylko dlatego, że była zbyt dobrze wychowana.

Lecz Dołhański, który cierpiał na katar żołądka, popatrzył z zazdrością na zajadającego Krzyckiego i rzekł:

– Ależ apetyt. Czysty kanibal!

– Zrób i ty przed śniadaniem konno milę drogi, a będziesz miał taki sam apetyt. Zresztą kanibal, nie kanibal, ale to pewna, że gdym tu wszedł, gotów byłem zjeść choćby ten oto bukiet, który stoi przede mną.

– Przyjdą może takie czasy, w których szlachta nie będzie miała nic innego do jedzenia – odrzekł Dołhański.

Ale panna Marynia chwyciła co prędzej bukiet i śmiejąc się przesunęła go na drugą stronę stołu.

– Po kawie nie ma już obawy – zawołał Krzycki. – Ale jakie ładne polne kwiaty! Czy to panie same nazbierały?

– My jesteśmy śpiochy – odpowiedziała pani Otocka – nazbierała ich służąca Aninki.

Tym zdrobniałym imieniem nazywały obie siostry pannę Anney.

Krzycki obrzucił ostrym wzrokiem panie, ale że twarze ich były zupełnie spokojne, więc pomyślał: "Kwiatów nazbierała i o przygodzie nie wspomniała".

A panna Anney obracając powoli bukiet i przypatrując mu się zaczęła mówić:

– W środku jest kwiat jabłoni – dziewczyna nic dobrego obłamała jakieś drzewko, za co trzeba ją będzie wygderać – to są sasanki, to kluczyki, a to jasnota, która już przechodzi.

– Zadziwiająca jednak rzecz, jak pani mówi po polsku – zauważył Dołhański – przecież pani zna nawet nazwy roślin!

– Słyszałam je z ust wiejskich dziewcząt w Zalesiu u Zosi – odrzekła panna Anney. – Mam przy tym widocznie

zdolności językowe, bo nauczyłam się od nich nawet i mówić po wiejsku.

– Naprawdę – zawołał Krzycki – umiałaby pani co powiedzieć po chłopsku? Niech pani co powie! Niech pani powie! – prosił składając ręce.

Ona zaś poczęła się śmiać i wzdragać, ale na koniec pochyliła głowę i przyłożywszy wierzch dłoni do czoła, jak czynią onieśmielone wiejskie dziewczuchy, ozwała się przeciągając nieco każde słowo:

– Ja by ta i umiała, ino ze nie śmiem...

Rozległy się śmiechy i brawa, tylko pani Otocka spojrzała na zadowoleniem, a nawet niejaką dumą. Natomiast – z pewnego niesmaku, jaki pomimo tej dumy odczuwał, nie umiał sobie nią jakimś dziwnym wzrokiem, a ona zmieszała się rzeczywiście, ale była przy tym tak ładna, że Krzycki pogrążył się do reszty.

– A! to można głowę stracić! – wołał z niekłamanym zapalem. – Słowo daję, można głowę stracić!

Groński zaś, który na równi ze wszystkimi wpadł w dobry humor, rzekł z cicha:

– A nawet, consummatum est!...

Lecz dalszą rozmowę przerwał im powozowy turkot, który dał się słyszeć na dziedzińcu i umilkł przed gankiem.

– Co to? – zapytał Groński.

– Posyłam po doktora dla matki – odpowiedział wstając Władysław. – Kto ma jaki interes do miasta, niech powie. Dołhański i Groński wstali również i wyszli z nim do sieni.

– A ja właśnie chciałem cię prosić o konie – rzekł Groński.

Wiem, że macie tylko jedno siodło damskie w Jastrzębiu, więc zamówiłem drugie i muszę odebrać je z poczty osobiście. Nie chciałem mówić o tym przy paniach, bo to ma być niespodzianka.

– Dobrze – odpowiedział Krzycki – ale dam panu chyba inny powóz, bo tym odjeżdża Laskowicz, a zapewne wolałby pan z nim nie jechać.

– On? – zawołał Dołhański. – To jego nie znasz! On gotów by jechać ze starą ciotką Belzebuba, byle tylko móc ciągnąć ją za język i samemu gadać i rozprawiać.

– Trochę w tym prawdy – rzekł Groński. – Ze mnie istotnie gaduła. Owszem, chętnie pojedę z Laskowiczem i postaram się go rozgadać, bo on mnie jednak zajmuje. Skończyłeś tedy z nim dziś rano?

– Tak. Muszę nawet pójść na chwilę do matki, by jej to powiedzieć. Skończyłem, a w dodatku skończyłem spokojnie. Ja przynajmniej byłem zupełnie spokojny.

– To tym lepiej. Idźże do matki, a ja pójdę do siebie po płótniankę, bo na drodze musi być kurz porządny. Zaraz wracam.

Jakoż wrócił po chwili, przybrany w biały płócienny kitel. Jednocześnie służący zniósł kuferek Laskowicza, a wkrótce pokazał się on sam, zamknięty w sobie i posepny jak noc, albowiem myśl, że nie zobaczy już swego „alabastrowego posążka” napelniała go bólem i żalem, tym bardziej że po owych hipnotycznych wysiłkach, gdy dzień roztrzeźwił go, poczuwał się jakby do winy względem niego. Mógł wprawdzie, zamiast połykać z niepotrzebnym pośpiechem śniadanie na górcie w swoim pokoju, zejść na dół i patrzeć na pannę Marynię jeszcze przez jakie pół godziny, ale nie chciał tego uczynić naprzód dlatego, by nie spotkać się z Krzyckim, a po wtóre, czując, że grałby w tym towarzystwie rolę Piłata w Credo. W tej chwili jednak żałował, że nie zeszedł i że nie napelnił sobie nią oczu po raz ostatni.

Ale czekała go miła niespodzianka, gdyż i młode panie w towarzystwie Dołhańskiego i Władysława wyszły na ganek, a następnie mała Anusia, z którą żył w przyjaźni, dowiedziawszy się, że pan Laskowicz odjeżdża, nadbiegła z

oczyma wezbranymi łzami z buzią w podkówkę i pęczkiem kwiatów w garstce, by pożegnać. Młody student wziął od niej kwiaty, ucałował jej rączkę i z ciężkim sercem siadł w powozie obok Grońskiego, który tymczasem gawędził z panią Otocką.

Anusia zeszła ze stopni ganku i stanęła tuż przy drzwiczkach, co widząc, panna Marynia pośpieszyła również za nią i widocznie w obawie, by powóz w chwili odjazdu jej nie potrącił, wzięła ją za rękę, a następnie zaczęła pocieszać:

– Przecie pan Laskowicz cię nie zapomni – mówiła pochylając się nad dziewczynką – i pewnie do ciebie napisze, jak bardzo zatęskni, to i powróci.

Po czym, podnosząc oczy wprost na Laskowicza: – Prawda, panie, że pan jej nie zapomni?

Zaś Laskowicz spojrział w głąb jej przeźroczytych źrenic, jakby je chciał przejrzeć do dna, i rzeczywiście wzruszony, odpowiedział z naciskiem:

– Nie zapomnę.

– A widzisz! – uspokajała Anusię panna Marynia. Lecz w tej chwili zbliżył się Krzycki.

– Matka kazała pana pożegnać – rzekł. I natychmiast zawołał na woźnicę:

– Jazda!

Powóz ruszył, zatoczył koło w okrąg dziedzińca i znikł w alei za bramą.

Panna Anney i obie siostry udały się teraz do pani Krzyckiej chcąc jej dotrzymać towarzystwa przy śniadaniu, które w dniach dolegliwszych cierpień pijała w łóżku. Krzycki przypomniawszy sobie, że rano kazał łapać ryby, poszedł wprost przez ogród do stawu zobaczyć, czy połów wypadł pomyślnie.

Lecz zanim doszedł do brzegu, spotkał niespodzianie na skrócie cienistego grabowego szpaleru swoją poranną wzię „Diany w wodotrysku”.

Dziewczyna zatrzymała się na jego widok i naprzód przez twarz jej przeleciał jakby żywy płomień, po czym zbladła tak, że czarny meszek nad jej ustami zarysował się wyraźnie. I stała nieruchomie, ze spuszczonej oczyma i falującą piersią, pomieszana i zawstydzona.

Lecz on ozwał się z całą swobodą:

– Dzień dobry panience, dzień dobry! A jak panience na imię?

– Paulina – szepnęła nie podnosząc oczu.

– Ładne imię!

Po czym uśmiechnął się trochę po szelmowsku i dodał:

– Ale, panno Polciu... na drugi raz... tam jest zasuwka.

– Ja się chyba utopię - zawołała jakimś histerycznym głosem dziewczyna.

A on ją mówić tonem perswazji:

– Dlaczego? Po co? Przecie tu nie ma niczyjej winy, to czysty przypadek. Ja nikomu o tym nie powiem, a żem widział takie śliczności, to tylko moje szczęście!

I poszedł do ryb.

Ona zaś przeprowadziła zamglonymi oczyma jego urodziwą postać i stała jeszcze długo zamyślona na miejscu, albowiem wydało jej się, że z powodu tej, im tylko wiadomej, tajemnicy zapadło między nimi coś takiego, co ich już będzie łączyło zawsze.

A potem, gdy przypomniała sobie, jak ją widział ten cudny panicz jastrzębski – dreszcz przeszedł ją od stóp do głowy.

X

Groński był to człowiek łagodnego charakteru i wielce dobrotliwy. Mimo niejakej skłonności do filozoficznego

pesymizmu, nie był jednak pesymistą w stosunkach do ludzi i życia. Inaczej mówiąc, w teorii myślał często jak Eklezjastes, w praktyce wolał wstępować w ślady Horacjusza, a raczej tak żyć, jak by żył Horacjusz, gdyby był chrześcijaninem. Ciągłe przestawanie ze światem starożytnym dało mu pewną pogodę, nie pozbawioną wprawdzie melancholii, ale cichą i harmonijną z powodu wysokiego wykształcenia i czytania, które pozwoliło mu zetknąć się ze wszelkimi ideami, jakie kiedykolwiek przechodziły ludziom przez głowy, i obznajmić się ze wszelkimi formami życia ludzkości, stał się niezmiernie wyrozumiałym i najskrajniejsze nawet czyjeś zasady nie potrafiły doprowadzić go do takiego stanu, by miał krzyknąć jak paw z przerażenia. Ta głęboka wyrozumiałość i to przeświadczenie, że wszystko, co przychodzi, musi przejść, nie pozbawiając go energii myśli i słowa, pozbawiły go jednak w pewnej mierze zdolności do czynu. Był więcej widzem, niż aktorem na scenie świata, ale widzem życzliwym, żywo odczuwającym i nadzwyczaj ciekawym. Sam też przyrównywał się czasem do człowieka, który siedząc nad rzeką i przypatrując się jej biegowi wie wprawdzie, że musi się ona stoczyć do morza i zginąć w nim, ale interesuje się jednak i ruchem fali, i prądem, i wirami, i mgłą podnoszącą się z toni, i grą światła na wodzie. Grońskiego, poza jego rzeczywistym zamiłowaniem do języków i autorów starożytnych, zajmowała i polityka, i nauka, i literatura, i sztuka, i. współczesne kierunki społeczne, i wreszcie prywatne stosunki ludzkie, a te ostatnie do tego nawet stopnia, że niechętni zarzucali mu zbytne zamiłowanie do wiadomości o bliźnich. Z tej ogólnej życiowej ciekawości płynęło również jego gadulstwo i chęć rozprawiania o wszystkim, co przesunęło mu się przed oczyma. On sam uświadamiał sobie to zresztą doskonale i usprawiedliwiał się żartobliwie przed przyjaciółmi

powołując się na Cyncerona, który według niego był jednym z największych rozprawiaczy i wścibskich, jakich pamięć zachowała nam historia. Ale obok tych słabości posiadał Groński wysoce rozwiniętą zdolność współczucia ludzkim bólom, ludzkim myślom i w ogóle był człowiekiem wielce uczuciowym. Kochał bardzo szczerze Polskę taką, jaką ją chciał mieć, to jest szlachetną, oświeconą, kulturalną, jak najbardziej europejską, a jednak nie zatracającą swych lechickich rysów i trzymającą w ręku chorągiew z białym orłem. Ów orzeł wydawał mu się jednym z najszlachetniejszych symbolów na ziemi.

W zakresie uczuć osobistych pokochał jako człowiek i jako esteta pannę Marynię Zbyłtowską, ale pokochał ją, jak sam mówił, na błękitno, nie na czerwono. Z początku podziwiał w niej "muzykę i gołębia", potem, nie posiadając bliższej rodziny, przywiązał się do niej jak starszy brat do małej siostry lub jak ojciec do dziecka. Ona zaś, wdzięczna za to przywiązanie, a zarazem ceniąc jego rozum i charakter odpłacała mu całym sercem.

Grońskiego otaczała w ogóle ludzka przyjaźń i sympatia, albowiem nawet obcy, nawet ludzie oddzieleni od niego całą przepaścią wierzeń i przekonań – nawet tacy, których niecierpliwił jego nałóg przykładania z łada powodu palca do czoła i głośnego myślenia, cenili w nim tę zdolność współczucia, tę ludzkość i tę wyrozumiałość, które były jakby otwarte drzwi w gościnnym domu.

Odczuwał to i Laskowicz. Gdyby mu było przyszło jechać na przykład z Dołhańskim, byłby raczej wolał iść piechotą i ponieść swoje tobołki na plecach. Ale Dołhański udawał w Jastrzębiu, że go wcale nie widzi, Groński zaś witał się z nim uprzejmie i kilkakrotnie rozpoczynał z nim rozmowę, która tylko dlatego nie stała się nigdy dłuższą, że sam Laskowicz ograniczał ją i przerywał. Teraz jednak siedząc obok Grońskiego prawie był rad z jego towarzystwa. Żywił

w duszy nadzieję, że Groński mówiąc o osobach pozostałych w Jastrzębiu powie coś o panie Zbyłtowskiej, a pragnął choćby tylko usłyszeć jej imię. Był przy tym wzruszony pożegnaniem z małą Anusią, albowiem zdarzyło mu się po raz pierwszy w życiu, by ktoś żegnając się z nim miał łzy w oczach – i wdzięczny temu trafowi, który sprawił, że panna Marynia rozmawiała z nim w chwili odjazdu, więc serce odtajało w nim nieco i gotów był rozgadać się szczerzej, zwłaszcza z człowiekiem, do którego nie czuł żadnej antypatii.

Jakoż nie czekał na to długo, albowiem zaledwie dojechali do końca alei, gdy Groński z taką jakąś dobrotliwą i poufną troską starszego człowieka, który nie rozumie, co się stało, i gotów jest zrzędzić, położył mu dłoń na kolanie i rzekł:

– Panie, co wyście nabroili w Rzęślewie? Teraz tam może przyjsć do bardzo ciężkich zajść, a wy podobno chcecie wszędzie robić coś podobnego?

– W Rzęślewie zrobiliśmy to – odpowiedział Laskowicz czego wymagało dobro naszej idei.

– Ale przecie chodzi o szkołę gospodarczą, a takie szkoły są konieczne dla ludu potrzebne. Dlaczego pan rozpuścił między chłopami wiadomość, że grunta mają być między nich rozdzielone?

Laskowicz zawahał się, czy nie zostawić pytania bez odpowiedzi, ale rozbroiła go twarz Grońskiego, zarazem życzliwa i zmartwiona, więc począł mówić:

– Każda partia musi mieć oczy na wszystko, aby wiedzieć, co się w kraju dzieje i korzystać ze sposobności. W wypadku rzęślewskim okiem partii byłem ja, a w dalszym ciągu postępowałem wedle nadesłanych mi wskazówek. Oczywiście, nie mogliśmy przewidzieć, jak nieboszczyk rozporządzi swym majątkiem. Ale to wszystko jedno. Nie potrzebujemy szkół zakładanych przez klasy, z którymi jesteśmy w wojnie – i prowadzonych w ich duchu.

- Wy nie potrzebujecie, ale lud ich potrzebuje.
- Lud nauczy się rolnictwa i bez pomocy szlachty, jak będzie miał na czym się uczyć. Więcej mu przyniosą korzyści szlacheckie grunta niż szlacheckie szkoły. Tę ziemię w Rzęślewie chłopci uprawiali od setek lat i gdyby liczyć po groszu za dzień pracy, to zapłacili za nią sto razy tyle, niż warta.
- Ale wy możecie rozbudzić tylko żądzę na ziemię, a nie możecie jej dać. Przy czym pozwól pan sobie powiedzieć, że jesteście względem własnej doktryny nielogiczni. Bo przecie waszym celem jest upaństwowić ziemię. Otóż w takim na przykład Rzęślewie ziemia oddana na szkołę jest poniekąd upaństwowiona, a rozdzielona między chłopów, staje się tylko rozdrobnioną własnością osobistą.
- Upaństwowienie ziemi to nasz cel ostateczny, a zatem odległy. Tymczasem chcemy mieć lud w naszym obozie, więc używamy takich środków, jakie do tego wiodą. My nie możemy dać ziemi, ale lud sam ją weźmie.
- W najlepszym dla was razie będzie ją tylko chciał wziąć. Przypuśćmy, że w takim Rzęślewie gospodarze, komornicy i parobcy rozchwyatają i rozdzielą między siebie grunta. To wówczas co? Widzi pan te zatargi, a następnie te nahajki, te sądy i te krwawe egzekucje, które na nich spadną.
- Czy pan sądzi, że to nie woda na nasz młyn? Im tego będzie więcej, tym będzie bliżej końca.
- A więc się dobrze domyślałem! – rzekł Groński przypomniawszy sobie, co mówił Krzyckiemu i Dołhańskiemu, że sprowadzenie policji może być na rękę agitatorom.
- Laskowicz chciał już zapytać, czego się Groński tak dobrze domyślał, lecz ów uprzedził go i mówił dalej:
- Jest jedna szczególna rzecz! Oto gdy któremu z was zdarzy się nieszczęście, gdy spadnie nań więzienie, zesłanie lub śmierć, wtedy my – ludzie do waszego obozu nie

należący – ludzie, którym wypowiedzieliście wojnę na śmierć, mówimy: szkoda zapału, szkoda obłądnego poświęcenia, szkoda młodej głowy i żałujemy was. A wy nie żałujecie tego ludu, którego się niby głosicie obrońcami. Urządziliście strajki fabryczne i przeciągnęliście już strunę tak, że pęknie, a jeśli ją potem fabrykanci nawiążą, to będzie jeszcze krótsza niż była. Już tysiące ludzi mrze głodem. A teraz chce wam się strajków rolnych, po których chleb drożeje i będzie go mniej. I kto na tym ucierpi? Znowu lud. Doprawdy, czasem trudno się oprzeć myśli, że wy doktrynę kochacie więcej od ludu.

A na to Laskowicz odrzekł jakimś twardym i tępym głosem:
- To jest wojna. Ofiary muszą być.

Groński zaś spojrzawszy mimo woli na niego i ujrzawszy jego oczy, osadzone blisko jedno przy drugim, pomyślał:

- Nie!... takie jednak oczy istotnie mogą patrzeć tylko wprost przed siebie i nie są w stanie objąć szerszego widnokręgu. Czas jakiś jechali w milczeniu. Wstał lekki południowy wiatr i przynosił im kłęby kurzu, wraz z zapachem końskiego potu. Z przydrożnych zarośli nadlatywały roje bąków i cięły tak konie, że furman co chwila ogarniał ich grzbiety biczyskiem i kłął. Nagle Groński zapytał:

- Ofiary! Ale jakiemu bóstwu składacie te ofiary? Do czego dążycie i czego chcecie?

- Chleba powszedniego dla ludu i powszechnej wolności. – A tymczasem zamiast chleba dajecie mu kamień. Co zaś do wolności, to proszę pana, byś wziął pod uwagę dwie myśli. Pierwsza z nich da się wyrazić tak: Biada narodom, które kochają więcej wolność niż ojczyznę! Naturalnie, nie mówię o narodach podbitych, abowiem w takim położeniu pojęcia wolności i ojczyzny stają się niemal identyczne. Ale pomyśl pan, co naprawdę zgubiło politycznie Polskę i co gubi obecnie Francję, która w naszych oczach rozsypuje się jak beczka bez obręczy? Czy nie ukochanie większe wolności

niż ojczyzny? A drugą myślą, która mi często przychodzi do głowy, jest, że wolność przechodząca granice określone przez pomyślność i bezpieczeństwo narodu potrzebna jest tylko dla kajdaków. Będziesz pan zapewne uważał to ostatnie zdanie za szczyt zacofania, ale niemniej to jest prawda.

Na twarzy Laskowicza odbiło się jakby podejrzenie i obraza, lecz tak było widoczne, że Groński nie chce go dotknąć osobiście, tylko wygłasza pogląd ogólny, że jednak nie przerywał dalszej rozmowy.

– Wolność stowarzyszeń i syndykatów – rzekł – za pomocą których broni się proletariąt, nie znosi żadnych ograniczeń. Pan zresztą miesza pojęcia ojczyzny i państwa - a jako realisście chodzi panu przede wszystkim o państwo.

A Groński począł się śmiać.

– Ja realista? – powtórzył. – Ja do nich nie należę. To są ludzie niegłupi i po większej części dobrej wiary, ale popełniają jeden błąd. Oto wychodzą orać pod wiosenne zasiewy w grudniu, to jest wówczas, gdy lemiesz nie chwyta zamrożonej ziemi. Albo jeśli ktoś woli inne porównanie: kupują sobie letnie ubrania w czasie najcieplejszej zimy. Nie wiem... może słońce kiedyś zaświeci i zrobi się ciepło, gdyż wszystko jest na świecie możliwe, ale tymczasem podmrażają sobie uszy, a ubranie mole zjedzą.

I myśląc już tylko o realistach, tak mówił dalej:

– Realisści chcą się liczyć z tą właśnie rzeczywistością, która nie chce się liczyć ani z nimi, ani z nikim innym. Bo przypuść pan na przykład, że temu stronnictwu jest na imię Piotr i że ten Piotr zwraca się do Rzeczywistości – zresztą zupełnie szczerze – i tak do niej przemawia: „Słuchaj, Dziewico! oto gotów jestem cię uznać, a nawet pokochać, ale ty natomiast pozwól mi trochę stanąć na własnych nogach, odetchnąć i rozprostować zbolące kości”. A Rzeczywistość odpowiada mu na to z całą uralską

uprzejmością: „Piotrze, synu Piotra! wychodzisz z kwestii, a zatem odbieram ci głos. Nie o to bowiem chodzi, byś mnie uznał albo pokochał, ale o to, żebyś porozpinał i zdjął pewne ubranie, które mówiąc nawiasem, może mi się przydać, a sam położył się na powrót na tej ławce; co zaś do reszty, zaufaj w moją siłę i mój bat”. – Gdyby mnie słyszał jaki realista, może by mi zaprzeczył, ale w duchu przyznałby mi słuszność, gdyż taki jest obraz rzeczy.

– Zgodzi się pan na to – zawołał z pewnym tryumfem Laskowicz – że my jedni bijemy po łbie tę Rzeczywistość.

– Wy ją niby bijecie – odpowiedział Groński – ale wasz kułak odskakuje od jej kamiennego łba i trafia w dołek własnego społeczeństwa, które traci do reszty oddech i mdleje. Wy przez to pomagacie nawet tej Rzeczywistości.

I tu przypomniawszy sobie znów, co mówił o mrowisku i mrówkojadach, powtórzył to Laskowiczowi.

Lecz Laskowicz nie zgodził się na porównanie uważając, że ma ono tylko pozory prawdy, gdyż stosunków ludzkich nie można mierzyć stosunkami w mrowisku. Kto dąży do tego, by proletariats uczynić potężnym, ten tym samym daje narodowi nową siłę, wystarczającą na odparcie napaści i zamachów. Tylko na tej drodze jest wszystko do odzyskania, choćby z tej prostej przyczyny, że się będzie miało gotowych sprzymierzeńców w proletariacie narodów obocznych, które z wrogów staną się przyjaciółmi.

– To jest także ugodowość, tylko od dołu – rzekł Groński. – A właśnie dlatego nieprzeparta i skuteczna, że od dołu. Bo słyszy się ciągle: Polska! Polska! Ale ci, którzy to co chwila powtarzają, łączą tę Polskę z rozmaitymi takimi przeżytkami jak religia, kościół, konserwatyzm – które już pokrywają się pleśnią – albo z trupami, które już gniją. My jedni łączymy Polskę z ideą potężną, młodą i żywotną, do której należy przyszość, choćby dlatego że stoi przy niej cała młodzież.

– Naprzód, nie cała ani nawet jej połowa – odpowiedział Groński. – Po wtóre, kościół już przeżył i jeszcze przeżyje niejedyn prąd społeczny, a po trzecie, wasza idea jest tak stara, jak stara jest bieda na świecie. Jeśli zaś pan chcesz twierdzić, że ta postać, którą jej nadali Lassale i Marks, jest nowa, to powiem panu tak: wasz dzisiejszy socjalizm ma istotnie jeszcze dość gęstą czuprynę, ale gdy wyłysiecie, nikt nie będzie mu tak urągał jak młodzież.

– Pan mówi ciągle aforyzmami; na szczęście jednak aforyzmy to jakby papierowe lampy, zawieszane na drzewach dialektyki: w mroku je widać, przy świetle słońca gasną.

– A oto jest gotowy aforyzm – odpowiedział uśmiechając się Groński. – Nie, panie, to, co ja mówię, ma inne znaczenie. Ja chcę powiedzieć, że wasze państwo socjalistyczne, jeśli je kiedykolwiek założycie, będzie takim poddaniem osobistości ludzkiej urządzeniom społecznym, takim wtłoczeniem człowieka w tryby i koła powszechnego mechanizmu, taką kontrolą i taką niewolą, że nawet dzisiejsze państwo pruskie jest w porównaniu świątynią wolności. I oczywiście, rozpocznie się natychmiast reakcja. Prasa, literatura, poezja, sztuka wydadzą wam w imię indywiduum i jego swobody nieubłaganą wojnę – i wiesz pan, kto będzie niósł chorągwie tej opozycji? Młodzież! To jest taka prawda jak to, że te czajki latają, ot tam, nad łąkami.

I wskazał na stado czajek zataczające koła nad grudzią, na której pasło się bydło. Po czym dodał:

– We Francji już się to rozpoczyna. Niedawno kilka tysięcy studentów przebiegało ulice Paryża z okrzykami: „Precz z Rzeczpospolitą!”

– To jest kołowacizna – odpowiedział Laskowicz – ale to walka z mieszczańskim radykalizmem, nie z nami. My także nim pogardzamy. Burzuje myślą, że radykalizm osłoni ich w

danym razie przed zemstą proletariatu, lecz się zawiodą. Tymczasem niechący torują drogę rewolucji.

– W tym muszę panu przyznać słuszość – odpowiedział Groński. – Widziałem w Kairze, jak przed powozami baszów biegną saisy, krzycząc: „Z drogi! Z drogi!” Tę samą służbę spełnia w stosunku do was radykalizm.

– Tak! – potwierdził z rozjaśnioną twarzą Laskowicz.

A Groński zdjawszy binokle począł je przecierać z kurzu i mrugać oczyma.

– Lecz i między wami – rzekł – są już także różnice. Inny charakter ma socjalizm francuski, inny niemiecki lub angielski, a i w ich łonie tworzą się już przeciwne obozy. Z tego powodu nie będę mówił o socjalizmie w ogóle. Mnie chodzi o ten niby krajowy wyrób, którego pan jesteście agentem, albowiem z tego, coś mi powiedział, wnoszę, że należysz do tak zwanej Polskiej Partii Socjalistycznej.

– Tak – odpowiedział z energią Laskowicz.

Groński zaś nałożył na powrót przetarte binokle i rozwinął wszystkie żagle:

– Twierdzisz pan zatem, że wy imię Polski połączyliście z młodą i potężną ideą, przez co wpuściliście w jej żyły młodą krew. A ja odpowiem, że sama idea, jakakolwiek ona jest – tak zwyrodniała w waszych umysłach, że przestała być społeczną ideą, a stała się społeczną chorobą. Zaszczepiliście Polsce chorobę i nic więcej. Nowy polski gmach trzeba budować z cegieł i kamienia – nie z dynamitu i bomb. A w was nie ma ni cegieł, ni kamienia. Wy jesteście tylko krzykiem nienawiści. Porzuciliście starą Ewangelię, a nie umiecie stworzyć nowej, wskutek czego nie ma w was zadatków życia. Imię wasze jest Błąd – i dlatego wypadkowa waszych działań będzie zawsze przeciwna waszym założeniom. Bo przeciągnąwszy strunę strajkową nie doprowadzicie ludu do czego innego, jak do słabości i nędzy, a ze słabych nędzarzy nie potraficie zbudować silnej

Polski. To przecie oczywiste. A przy tym na jednej i tej samej głowie nie można nosić dwóch czapek, chyba że jedna będzie pod spodem. Otóż pytam, co tu jest pod spodem? Czy wasz socjalizm jest tylko środkiem do zbudowania Polski, czy wasza Polska jest tylko przynętą i hasłem, które ma przyciągnąć do waszego obozu lud? Socjalistom, którzy zwa się socjalistami bez dodatków i nie twierdzą, że są w jednej osobie rybą i rakiem, muszę przyznać, że są logiczniejsi. Ale wy łudzicie sami siebie. Naprawdę jest tak, że wy, choćbyście chcieli uczynić coś polskiego, to nie zdołacie, albowiem w was samych nie ma nic polskiego. Szkoła, któraście przeszli, nie odjęła wam, bo nie mogła odjąć, języka, ale urobiła wasze umysły i dusze w ten sposób, że jesteście nie Polakami, lecz Rosjanami nienawidzącymi Rosji. Jak na tym wyjdzie Polska i Rosja, to inna rzecz, ale tak jest. Wam się w tej chwili zdaje, że robicie rewolucję, a to jest tylko mała rewolucji i w dodatku obcej. Wy jesteście złym kwiatem obcego ducha. Dość wziąć wasze dzienniki, waszych pisarzy, poetów i krytyków! Cały ich aparat umysłowy jest obcy. Prawdziwy ich cel, to nawet nie socjalizm i nie proletariatus, ale zniszczenie. W ręku żagiew, a na dnie duszy beznadziejność i wielkie nihit! A przecież wiadomo, skąd to rodem. Galicyjski socjalizm to także nie Apollo Belwederski, ale jednak ma już inne rysy i mniej szerokie kości policzkowe. Nie ma w nim tej wściekłości, lecz nie ma i tej rozpacz, i tego smutku, które są tak przeciwne kulturze łacińskiej. Wy jesteście jak owoc, z jednej strony zielony, z drugiej gnijący. Wy jesteście chorzy. Tą chorobą tłumaczy się ten bezgraniczny brak logiki, polegający na tym, że krzycząc przeciw wojnom robicie wojnę, krzycząc przeciw sądom wojennym skazujecie bez żadnych sądów; krzycząc przeciw karze śmierci, wtykacie ludzom w ręce browningi, mówicie: „zabij!” Tą także chorobą tłumaczą się wasze szalone porwy i wasza zupełna

obojętność na to, co dalej będzie, jak również na los tych nieszczęsnych ludzi, z których robicie swe narzędzia. Niech mordują, niech ograbiają kasy, a czy potem zawisną na stryczkach, czy staną się łajdakami – mniejsza wam o to. Wasze nihil pozwala wam pluć na krew i na etykę. Wy otwieracie na rozcież drzwi nawet znanym łajdakom i pozwalacie im reprezentować nie własne łajdactwo, ale waszą ideę. Wy, ogólnie mówiąc, nosicie w sobie zatrutą i Polskę łączyście z zatrutą. W waszej partii są niechybnie ludzie poświęcenia i dobrej wiary, ale ślepi, którzy w swej ślepotcie służą komu innemu, niż myślą.

Groński wiedział, że mówi na próżno, ale bądź to z nałogu, bądź dlatego że chciał wyładować wszystko, co się w nim zebrało, nie przestawał mówić, dopóki turkot kół na bruku miejskim nie zgłuszył jego słów. Przed hotelem pożegnali się jednak z Laskowiczem chłodno, gdyż poglądy Grońskiego dotknęły do żywego młodego medyka. Nie przyznawał on Grońskiemu bynajmniej słuszności i już to nawet, że podobne poglądy na jego partię mogą istnieć, napełniało go na razie gniewem i oburzeniem. Mówił sobie wprawdzie: „Nie warto odpowiadać, gdyż to nie nasze umysły są obce, tylko nasza idea jest nowa, społeczeństwo zaś jest jak człowiek, który przemieszkawszy całe lata w jednym domu zawsze niechętnie przeprowadza się do innego, choćby ten inny był lepszy”. A jednak słowa Grońskiego ukłuły go tak głęboko, że nienawidził go w tej chwili tak prawie jak Krzyckiego i byłby dużo dał za to, by móc podeptać i skruszyć nienawistne sobie zarzuty. Na nieszczęście zabrakło mu na to czasu, a przy tym znużenie po bezsennej nocy poczęło go ogarniać coraz bardziej.

A Groński udał się na pocztę, odebrał pakę z siodłem, następnie zajechał do doktora, lecz dowiedziawszy się, że ów dopiero za godzinę będzie wolny, zostawił pod jego drzwiami powóz, sam zaś poszedł odwiedzić starego reagenta

Dzwonkowskiego i zarazem oddać mu list Krzyckiego z zaprosinami do Jastrzębia.

Rejent rad przyjął zaprosiny, gdyż i bez nich wybierał się do Krzyckich, by, jak mówił, zobaczyć swe „oczko w głowie” i posłuchać cudownych skrzypiec. Tymczasem zaczął rozmawiać z Grońskim o wypadkach, które zaszły w mieście i okolicy. Był nimi tak przejęty i poruszony, że opuściła go zwykła gniewliwość, a natomiast ze słów jego przebiegał gorzki smutek i ciężka troska o przyszłość społeczeństwa, które zdawało się tracić głowę. Strajki fabryczne a po części i rolne rozszerzały się coraz więcej. W mieście przestały działać piece wapienne i stanęła jedyna fabryka cementu. Robotnikom, którzy nie mając żadnych oszczędności żyli już poprzednio z dnia na dzień, zbrakło od pierwszej chwili chleba. Za wzorem Warszawy zawiązał się na miejscu komitet do zbierania składek, by zapobiec głodowi. Ale wskutek tego wytwarzało się takie położenie, że ludzie najprzeciwiejsi bezrobociom podtrzymywali je niejako dostarczając chleba próżnującym. „Prawdziwe błędne koło! – mówił strapiony staruszek. – Nie dać – to głód i rozpacz rzuca robotnika w ramiona socjalistów, dawać – to także im na rękę, ponieważ będą mieli z czego podtrzymywać bezrobocie i przekonają lud o swej wszechmocy”. Opowiadał dalej, że socjaliści zbierają składki i poza komitetem, a raczej wymuszają je od bojaźliwych postrachem – i że byli i u niego, ale im odpowiedział, iż dał na chleb, a nie da na bomby. Grozili mu śmiercią, za co wyrzucił ich za drzwi.

I na chwilę zamilkł, albowiem przyrodzona mu zapalczliwość wzięła w nim górę nad smutkiem, począł tylko toczyć gniewnie oczyma i poruszać tak zawzięcie szczękami, jakby chciał zjeść wszystkich socjalistów, razem z ich czerwonym sztandarem.

A następnie, wysapawszy się, mówił dalej:

– Onegdaj przysłali mi wyrok śmierci, który zapewne wykonają, gdyż oni niby wypowiedzieli wojnę rządowi, a mordują własnych rodaków. No! mniejsza o to! Trzy dni temu zabito w mieście majstra blacharskiego i dwóch robotników z fabryki cementu. W Wilczodołach, o parę wiorst stąd, napadnięto i poraniono pana Baczyńskiego i zrabowano za jedną drogą monopol. Szremski – ten doktor, po którego pan przyjechałeś i którego optymizm stoi mi już kością w gardle, powiada, że to burza przechodnia. Tak! wszystko przechodzi – i pojedynczy ludzie, i całe narody. Boję się, że właśnie nasz przechodzi. Bo stajemy się narodem bandytów, a byndytyzm nie może być instytucją stałą. No! Oczywiście, ludziom z bojówki sprzykrzyło się już rabować na rachunek partii i wołać na swój. Albo ja wiem, czy dziś dojedziemy żywi do Krzyckich? Ba! Krzycki powinien się strzec więcej niż inni. Uchodzi za człowieka zamożnego, więc tym bardziej będą go mieli na oku. Ja do Jastrzębia pojedę, bo jeśli mnie mają zamordować, to chcę usłyszeć jeszcze przedtem nasze cudowne dziecko. Ale po prawdzie Krzyccy, zamiast zapraszać nowych gości, powinni wyprawić tych, którzy u nich bawią. Szremski, gdyby miał rozum, toby jutro wszystkich porozpędzał.

– Słyszałem, że to tęgi człowiek – rzekł Groński.

– Tęgi diabeł! – odpowiedział oburkliwie rejent. – A wy pamiętajcie, kogo macie między sobą, i że to o nią chodzi.

Groński, chociaż zaniepokojony i zatroskany opowiadaniem Dzwonkowskiego, nie mógł jednak wstrzymać się od uśmiechu usłyszawszy ostatnią jego przestrożę, albowiem, przetłumaczona na zwykłe słowa, znaczyła ona: „pal was licho, byle małej skrzypaczce nie stało się nic złego!” Ale ponieważ gdy chodziło o Marynię, sam gotów był pisać się na coś podobnego, więc począł tylko uspokajać staruszkę; że w Jastrzębiu jest, licząc gości i ludzi dworskich, za dużo rąk i za dużo broni, by można było obawiać się napadu – i że

przy tym prawdopodobny wyjazd pani Krzyckiej położy koniec pobytowi gości. Dalszą rozmowę przerwało przybycie doktora Szremskiego, który wpadłszy jak bomba oświadczył, że już jest na resztę dnia wolny i że może jechać.

Groński począł mu się przypatrywać z wielką ciekawością, albowiem słyszał o nim jeszcze w Warszawie jako o oryginalnej i wybitnej osobistości, w dodatnim tych słów znaczeniu.

Był to młody zupełnie człowiek, o płowych włosach i smagłej, jak u Cygana cerze, żywy jak ogień, kipiący zdrowiem, nieco krzykliwy i rozmachany. W mieście i okolicy grał niepoślednią rolę, nie tylko dlatego że miał największą praktykę lekarską, ale i dlatego że należał do najczynniejszych ludzi na wszelkich polach. Porywał się do każdej roboty jak do ataku, a dzięki trzeźwej, lubo skojarzonej z niesłychanym temperamentem myśli, to, co robił, robił przeważnie rozumnie i dobrze. Był on jakby uosobieniem tego częstego w Polsce zjawiska, że gdy wśród ogółu nie tylko skrepowanego, ale opieszałego i leniwego z natury, znajdzie się człowiek z energią i z ideą, to sam jeden robi tyle, ile by nie potrafił zrobić żaden Niemiec, Francuz lub Anglik. Szremski i sam brał się do wszystkiego, i zmuszał do roboty innych z takim rozmachem, że przezywano go doktorem—Ostrogą. Zakładał tajne szkoły, czytelnie, ochrony dla dzieci, spółki i stowarzyszenia ekonomiczne; był we wszystkim i dawał na wszystko pieniądze, których zarabiał dużo, lubo całe tłumy biednych leczył darmo. Miejscowi socjaliści nienawidzili go, albowiem swoją popularnością i swymi wpływami na robotników udaremniał ich robotę. Władze patrzyły nań podejrzliwie i krzywo. Człowiek, który kochał swój kraj, organizował życie, szerzył oświatę i dawał pieniądze na cele publiczne, musiał w ich oczach być podejrzanym i

zasługiwał co najmniej na zesłanie do „oddalonych guberni”. Na szczęście dla niego gubernatorowej zdawało się, że jest chora na nerwy, a kapitan miejscowej żandarmerii miał istotnie początki basedowej choroby. Owóz gubernatorowa, która przez swe stosunki zrobiła męża gubernatorem i rządziła, jak chciała, gubernią, była zdania, że gdyby nie "l'homme qui rit", jak nazywała doktora, to mogłaby spaść wieczna żałoba na gubernatora, a kapitan żandarmów bał się zarówno stosunków gubernatorowej jak basedowej choroby. Miał on wprawdzie gotowy raport, który uważał za arcydzieło swego życia – i chorował może także i z tego powodu, że arcydzieła nie śmiał wysłać władzom wyższym. Nieraz w marzeniach aresztował doktora, badał go, zmuszał do wydania współników, marzył wreszcie, że arcydzieło dałoby się spożytkować, gdyby wypadkiem przeniesiono gubernatora i jego samego do innej guberni, ale były to tylko marzenia. W rzeczywistości raport pozostał w głębi szuflady, a doktor, który go czytał (albowiem kapitan pokazał mu go na dowód, co mógłby zrobić, a czego nie robi) – śmiał się tak szczerze i tak był siebie pewny, że kapitanowi samo przez się przychodziło do głowy, iż rzeczywiście i z gubernatorową, i z basedówką nie ma żartów.

Doktor zaś śmiał się dlatego, że z natury był człowiekiem nadzwyczaj wesołym. W danym razie umiał wprawdzie myśleć i mówić poważnie, ale w chwilowych spotkaniach i dorywczych rozmowach, w których nie było czasu na gruntowne rozprawy, wołał ślizgać się po powierzchni przedmiotu, sypać conceptami i opowiadać anegdoty, które powtarzano potem w mieście i którymi sam się stale cieszył. Nieuleczalny optymista, wnosił wraz ze swym optymizmem i ze swoją rozpromienioną twarzą otuchę i dobrą myśl wszędy, gdzie się pokazał. Z chorymi żartował z ich choroby i żartami rozpędzał ich strach. Wesołość jego podbijała

ludzi, a gruntowna wiedza lekarska i skuteczna opieka nad ich zdrowiem i życiem zapewniała mu nad nimi pewien rodzaj panowania. Z tego powodu nie robił sobie nic z miejscowych "grubych ryb" i w ogóle z nikogo. Tak było i z rejentem, którego ciągał pasja i opryskliwość znane były w mieście do tego stopnia, iż stosunki towarzyskie utrzymywali z nim tylko ci, których obchodziła wyjątkowo muzyka. Doktor, który i z muzyki stroił żarty, szukał jego towarzystwa umyślnie, by się z nim przekomarzać, a potem ku wielkiej radości i swojej, i swych słuchaczy opowiadać o jego wybuchach.

I teraz też wleciał z łoskotem jak wichur, zapoznał się z Grońskim, rozpytał o zdrowie pani Krzyckiej i o piękne panie bawiące w Jastrzębiu, o których już słyszał, po czym, spojrzawszy na strapioną twarz rejenta zawołał wesoło:

– Cóż to za mina! Żle nam na świecie, czy co? Siedemdziesiąt pięć lat! Wielka rzecz! Wprawdzie to nie wiek siły, ale siła wieku! Proszę pokazać puls!

Tu, nie pytając rejenta, chwycił jego rękę i wydobywszy zegarek począł liczyć:

– Raz dwa! – raz dwa! – raz dwa! – Żle! Puls zakochanego i pewnego trochę zgagi! Tak zwykle bywa. Więcej jak dwadzieścia pięć lat taka maszyna nie pójdzie... Najwyżej trzydzieści! Dziękuję!

To rzekłszy, puścił rękę staruszka, którego mina poprawiła się na poczekaniu, pomyślał bowiem, że dwadzieścia pięć lat, dodane do tego, które przeżył, uczyniłyby wiek wcale ładny.

Udając jednak nadąsanego, odpowiedział:

– Zawsze te koncepta! Doktor myślisz, że mnie chodzi o te marne dwadzieścia pięć lat. Nie warto teraz żyć. Przecie pan wiesz, co się dzieje. Właśnie dlatego mam taką minę, że mówiliśmy o tym z panem Grońskim. Zgagę też mam – no!

Ale zapytuję, co z nami będzie, jeśli za nimi pójdzie cały lud?

Ale doktor począł wymachiwać rękoma i zaprzeczył stanowczo. Ani cały lud, ani jego połowa, ani setna część. A i ci nawet, którzy powiadają, że należą do socjalistów, mówią tak pod terrorem lub przez nieporozumienie.

– Dam panom dwa następujące przykłady – mówił. – Ja mieszkam na dole, a pode mną w suterenie jest warsztat ślusarski. Otóż dziś rano słyszałem urywek takiej rozmowy między moim famulusem a ślusarzem: ślusarz powiada – „Ja jestem socjalistą, to tam nie ma gadania!” – „Jak to nie ma gadania, mówi mój służący, to pan w Boga nie wierzy i Polski pan nie kocha?” – „A dlaczego ja mam nie wierzyć w Boga i Polski nie kochać?” – „Bo socjaliści nie wierzą w Boga i Polski nie kochają!” A ślusarz na to – „Tak, a to niech ich choroba tłucze!” – Oto w jaki sposób ludzie należą do socjalistów! Nie powiadam, że wszyscy, ale wielu! – Ha! I począł się śmiać.

– Doktor zawsze znajdziesz anegdotę – fuknął rejent – ale powiedzmy sobie prawdę: do nich należą tysiące.

– To niech przeprowadzą choć jednego posła w Królestwie odparł doktor. – Bomby głośno pękają, więc je się słyszy lepiej niż inną robotę. A ile tysięcy ludzi brało udział w pochodzie narodowym? Czy ci także należą do nich? Gdy w fabryce dziesięciu zawiesi na kominie czerwoną chorągiew, to zdaje się, że cała fabryka jest czerwona – a to nieprawda!

– Więc dlaczego inni jej nie zedrą?

– Prosta rzecz! Dlatego, że ją zdziera policja.

– I dlatego – dodał Groński – że ci nie mają browningów, a tamci je mają.

– Niezawodnie – mówił dalej doktor. – Ja z robotnikami mam dziesięć razy więcej stosunków niż każdy dyrektor fabryki. Ja wchodzę do ich mieszkań i zaglądam w ich życie domowe. Ja ich znam. Socjalizm tarosi się z biurokracją,

więc wielu się zdaje, że do niego należą. Ale do bojówek zapisał się tylko żywiol najciemniejszy i najgorszy. Ci już się przeradzają w bandytów i nic dziwnego! Odebrano im przecie sumienia, a dano rewolwery. Ale większość – ta lepsza i uczciwsza większość, ma pod żebrami polskie serca, i dlatego ten diabeł, który ich chce zagarnąć, nazwał się dla przynęty polskim. Ach! szkół im tylko! oświaty, nauki dziejów polskich, by się nie dali oszukać – ot, czego trzeba – ot! ot!

I z rozmachu chwycił staruszka za ramiona i począł nim obracać.

– Szkół, rejencie, szkół, na miłosierdzie boskie! A rejentowi krew uderzyła z oburzenia do głowy.

– Coś się pan wściekł! – wołał. – Czego pan mną trzęsiesz jak gruszką!

– Prawda – rzekł puszczając go doktor – prawda! Ale bo do jakiego stopnia niektórzy z tych biedaków nie mają o niczym pojęcia – to aż płakać się chce i śmiać razem.

– Nie: śmiać się nie chce – rzekł Groński.

– Wie pan, że czasem tak! – zawołał doktor. – Bo posłuchajcie mego drugiego przykładu. Zeszłej niedzieli byłem zmęczony jak pies i pojechałem trochę odetchnąć do Gorceńskiego lasu, za miasto. W lesie idzie naprzeciw kilkunastu robotników, którzy także wybrali się widocznie na majówkę. Widzę, że niesie jeden czerwoną chorągiew na świeżo ostruganym kiju. Zapewne przyniósł ją w kieszeni i dopiero w lesie przyczepił. Dobrze! myślę sobie – socjaliści! Aż tu, gdy już byli blisko, słyszę, że ten, który niesie chorągiew, śpiewa w niebogłosy na nutę: Bartoszu! Bartoszu to, co wam powtórzę – i daję słowo, nic nie ujęm, nic nie dodam:

Kościuszko – choć był szewc,
Oj, dobrze Niemców kropił!
Oj, dobrze Niemców kropił!

Tylko wielka szkoda,

Że nam się utopił!
Tylko wielka szkoda,
Że nam się utopił! –

– A pocziwina! – zawołał Groński – uściskałbym go i zafundował mu historię polską czasów ostatnich.

– Czekaj pan! – zawołał doktor. – Zatrzymuję tedy moich socjalistów dziwnego nabożeństwa (pokazało się, że prawie wszyscy byli znajomi) i powiadam im: „Bójcie się Boga, obywatele, przecie Kościuszko nie był szewc, nie kropił Niemców i nie on się utopił, tylko ksiązę Józef Poniatowski. Przyjdźcie do mnie, dam wam książkę o Kościuszcze, Kilińskim i księciu Józefie Poniatowskim, boście z nich zrobili jeden bigos”. Poczęli mi dziękować, a wtedy ja znów pytam: „A gdzie to podział się orzeł z waszej chorągwi? poszedł szukać grzybów czy co?” Stropili się i sam chorąży jął mi tłumaczyć, dlaczego nie ma orła: „A to, powiada, proszę pana doktora, powiedzieli nam tak: Nie bierzcie chorągwi z orłem, bo jeśli wam ją odbiorą, to orła sponiewierają i będzie wam wstyd i hańba”. Tak! Oto w jaki sposób oszukują polskie serce naszego ludu.

Lecz rejent nie chciał rozstać się ze swymi czarnymi okularami.

– Więc co – zapytał — więc pan twierdzisz, że gdyby nie to i owo, to nie byłoby wcale u nas socjalizmu?

– Jest na całym świecie, więc byłby i u nas – odparł doktor – tylko gdyby n i e t o i o w o, to nie szedłby z nim razem rozbój, zdziczenie, ślepotą – i nie byłby taki, jak ten dzisiejszy, który przezwiał się polskim, chociaż czuć go o milę dziegiem.

– Brawo – zawołał Groński. – To samo innymi słowy powiedziałem dziś komuś po drodze z Jastrzębia.

– Aj! Jastrząb! – rzekł doktor spoglądając na zegarek – tu się gada, a trzeba jechać!
– A może pan rejent pojedzie z nami – zapytał Groński – jest powóz na cztery osoby.
– Mogę. Wezmę tylko flet, no! – odrzekł rejent.
– No! – powtórzył przedrzeźniając go Szremski. – Aha! flet! To w Jastrzębiu będzie serenada, a tu socjaliści zrabują tymczasem kancelarię.
Rejent, który już szedł po flet, zawrócił nagle i sapiąc zapalczywie rzekł:
– Przysłali mi dziś wyrok śmierci.
– Ba! ja już ich mam dwa – odpowiedział wesoło Szremski. I w kwadrans później ruszyli do Jastrzębia, przy czym Groński i doktor zbliżyli się do siebie wielce i gadali tak po drodze, że jak sam Groński później mówił, nie byłoby gdzie szpilki wetknąć.

XI

Odległość między miastem a Jastrzębiem nie wynosiła więcej nad półtorej mili drogi. Z tego powodu Groński, rejent i Szremski byli już około czwartej na miejscu. Czekano ich z obiadem, ale tymczasem Władysław poprowadził panie do tartaka, więc doktor udał się do pani Krzyckiej, a Groński kazał rozpakować siodło i zanieść je do pokoju panienki. Po upływie pół godziny młode towarzystwo wróciło i przywitawszy rejenta, zebrało się w salonie w oczekiwaniu na obiad. Rejent na widok panny Maryni zapomniał o wyrokach śmierci, o wypadkach w mieście, o socjalizmie i o całym świecie – i po ucałowaniu jej rąk zagarnął ją wyłącznie dla siebie. Groński począł wtajemniczać panią Otocką w powody swej wyprawy do miasta, a Krzycki rozmawiał z panną Anney i zajmował się nią tak, jakby w salonie nie było nikogo więcej. Znać było,

że jego poranny okrzyk: "można głowę stracić!" był tylko stwierdzeniem objawu, który potęgował się z każdą chwilą. Nadzwyczaj urodziwa, młoda jego twarz jaśniała jakby od zorzy, gdyż istotnie miał w piersiach zorzę nowego, radosnego uczucia, która promieniowała przez oczy, przez uśmiech ust, przez każdy ruch i przez słowa, z jakimi zwracał się do panny Anney. Czar obejmował go coraz większy, tajemniczy magnes ciągnął go z coraz większą siłą do tej jasnowłosej dziewczyny, patrzącej niebieską smugą, młodej, hożej, ponętnej. Nie próbował już nawet opierać się tej sile. Groński zauważył nawet, że okazuje swój zachwyt zbyt wyraźnie – i że przy matce miarkowałby się zapewne starannie. Czują to i panna Anney, gdyż od czasu do czasu rumieńce przebiegały przez jej twarz i cofała cokolwiek krzesło spoglądając przy tym jakby z pewną obawą na obecnych, czy zbyt uprzejmość dla niej młodego gospodarza domu nie zwraca zanadto uwagi. Ale rzecz była jej jednak widocznie miła – bo i w jej oczach paliła się jakaś cicha radość. Zresztą patrzył na nią od czasu do czasu tylko Dołhański. Inni byli zajęci sobą nawzajem.

Przybycie doktora przerwało rozmowy. Krzycki po przedstawieniu go paniom począł wraz z nimi wypytywać go o zdrowie chorej, lecz doktor nie miał widocznie ochoty do obszerniejszej rozmowy, odpowiedział bowiem kilkoma słowami, mówiąc przy tym wedle swego zwyczaju tak głośno, że Dołhański nałożył ze zdziwienia monokl na oko.

– Nic złego! Monsummano! Monsummano! albo coś podobnego! Zapiszę wszystko! Nic złego! nic.

– Ale co to jest Monsummano? – zapytał Władysław.

– To taka ciepła dziura we Włoszech, w której wypacają się reumatyzmy. Rodzaj czyścica, po którym następuje zbawienie! Przy tym Włochy! piękna podróż... Wypiszę wszystko szczegółowo.

Groński, który dużo jeździł po Włoszech, znał jednak i tę miejscowość, począł więc rozpowiadać o niej zaciekawionym paniom. Tymczasem Krzycki rozmawiał z doktorem o zdrowiu matki, który wszelako słuchał go z roztargnieniem, powtarzając: "wszystko wypiszę", kręcąc głową i spoglądając jakby z pewnym zaciekawieniem to na niego, to kolejno na panie. Nagle uderzył się dłonią w kolano, aż się rozległo i zakrzyknął:

– Co za bajeczne twarze w tym Jastrzębiu i jakie czaszki! Ha! Dołhański wypuścił monokl, panie spojrzwały ze zdziwieniem, a Krzycki począł się śmiać.

– Doktor ma zwyczaj głośno myśleć – rzekł.

– A jeszcze głośniej wrzeszczeć – burknął rejent.

– Jak pański flet! – odpowiedział śmiejąc się doktor.

Lecz w tej chwili służący oznajmił, iż obiad gotów, co usłyszawszy pani Otocka zwróciła się z jakimś szczególnym uśmiechem do siostry i rzekła:

– Maryniu, tak jesteś roztargana, że musisz się przyglądzić. Panienka zaś podniosła ręce do głowy, ale że w salonie nie było żadnego zwierciadła, więc trochę stropiona, rzekła:

– Przepraszam, zaraz wrócę.

I pobiegła do swego pokoju, ale niebawem wróciła jeszcze więcej roztargana z rumieńcami i z rozpromienioną twarzą:

– Siodło damskie! – zaczęła wołać – prześliczne siodło damskie!

I wodząc oczyma po obecnych, ukazała na Grońskiego:

– To pan?

– Muszę się przyznać – rzekł rozkładając ręce i pochylając głowę Groński.

Ona zaś miała taką chęć pocałować go w rękę, że gdyby nie obecność doktora i rejenta, byłaby to zapewne uczyniła. Tymczasem zaczęła mu dziękować z ogromną i zupełnie dziecinną radością.

– Pani ma, widzę, wielką ochotę na konną jazdę? – rzekł Szremski.

A ona odpowiedziała mu z nadzwyczajnym zapałem:

– Ja mam na wszystko ochotę!

– Masz sobie! – zawołał rozbawiony doktor.

– Byle się znalazł spokojny koń, inaczej o wypadek nietrudno! – zauważył rejent.

Pokazało się jednak, że się znajdzie, gdyż w oszczędnym gospodarstwie jastrzębskim konie stanowiły jedyny dział leżący poza rachunkiem. Krzycki utrzymywał wprawdzie, że hodowla ich się opłaca, ale hodował je jednak nie dla zysku, lecz przez tę tradycyjną miłość do nich, której nadmiar już ksiądz Skarga wyrzucał przed kilkuset laty jego przodkom w wymownych słowach: „milszy wam syn kobyli, niż syn boski!” – koni więc nie brakło w Jastrzębiu i rozmowa o nich jak również o konnej jeździe trwała, ku wielkiemu niezadowoleniu rejenta, przez cały obiad. Obecni dowiedzieli się, że panna Marynia nie była jednak zupełną nowicjuską, gdyż w Zalesinie u siostry jeździła latem prawie codziennie w towarzystwie starego rządcy na grubopłaskim kucu, który się nazywał Pieróg. Siostra nie pozwalała jej jeździć na żadnym innym koniu, „a cóż to jest za przyjemność siedzieć na Pierogu?...” Opowiadała też, że ten Pieróg miał taki brzydki zwyczaj, że wracał do domu nie wtedy, kiedy ona chciała, ale wtedy, kiedy sam chciał, i żadne prośby ani groźby nie mogły go od raz zrobionego postanowienia odwrócić. Zazdrościła też szczerze pannie Anney, która jeździ doskonale i która objeżdżała wszystkie konie w Zalesinie, nawet takie, które przedtem wcale pod siodłem nie chodziły. Ale w Anglii wszystkie kobiety jeżdżą, u nas zawsze się ktoś o kogoś boi. Spodziewa się jednak, że w Jastrzębiu, przy tylu doskonałych jeźdźcach „Zosia” nie będzie się o nią bała i że po obiedzie zrobią

zaraz jaką wycieczkę konną, w której i jej będzie wolno wziąć udział, chwala Bogu nie na Pierogu.

Krzycki, któremu uśmiechały się dalekie konne wyprawy w towarzystwie panny Anney i którego opowiadanie o Pierogu wprowadziło zarówno jak i wszystkich w doskonały humor, zwrócił się do panny Maryni i rzekł:

– Dam pani konia o żelaznych nogach, który zwie się Pływak, bo i pływa doskonale. Ma lat sześć, nie boi się niczego i ma rozumu za trzy konie. Co do wycieczki, to dzień jest długi i moglibyśmy ją jeszcze zrobić, gdyby nie to, że zaczyna się chmurzyć.

– Wypogodzi się z pewnością – odrzekła panna Marynia a ja ubiorę się zaraz po obiedzie.

Jakoż po obiedzie goście nie zdążyli wypić jeszcze czarnej kawy, gdy pojawiła się na werandzie przybrana w czarną, obcisłą amazonkę. Była w niej po prostu cudna, ale tak wążiutka i wysmukła, że Groński, patrząc na nią ze zwykłym uwielbieniem, pierwszy zaczął żartować.

– Czysty flecik – rzekł. – Wiatr porwie taką słomkę, tym bardziej że się zrywa.

I rzeczwiście, silne podmuchy zachodniego, ciepłego wiatru zaczęły pochylać wierzchołki drzew, a po niebie pędziły obłoki, które tu i ówdzie tworzyły już na błękitcie wielkie rude i skłębione zawały.

Krzycki jednak wydał rozkaz siodłania koni, a wkrótce poskoczył i sam do stajni, by dopilnować tej roboty. Panna Anney udała się na górę, aby przebrać się odpowiednio – a za jej przykładem poszli Groński i Dołhański. Na werandzie została tylko pani Otocka, rejent, doktor i przybrana w amazonkę panna Marynia, która rzucała niespokojne spojrzenia na przemian ku stajniom i na niebo zachmurzające się coraz bardziej. Jakoż po pewnym czasie spadły pierwsze krople dżdżu, a niebawem zdarzyła się ważniejsza do wyprawy przeszkoda, albowiem nadjechały

niespodzianie sąsiadki z Górek, panie Włockie, te same, które były na pogrzebie Żarnowskiego. Oczywiście, że wobec tego konna wycieczka przepadła.

Panie Włockie przybyły, aby dowiedzieć się, jak jest ze zdrowiem pani Krzyckiej, a zarazem z prośbą o radę i ratunek do Władysława, gdyż w Górkach wśród służby dworskiej i folwarcznej wybuchnął nagle strajk rolny, tak że stary stangret zaledwie zgodził się przywieźć je do Jastrzębia, albowiem grożono mu za to obiciem. Obie panie były mocno przerażone, mocno upudrowane i patetyczniejsze niż zwykle. Po pierwszych też powitaniach, wzajemnych przedstawieniach i krótkiej rozmowie o reumatyzmach pani Krzyckiej matka zwróciła się przy poobiedniej herbacie z rzewnymi słowami do Władysława, zaklinając go, by jak dawny rycerz pospieszył z obroną uciśnionej niewinności. Mówiła, że jej o nią samą nie chodzi, gdyż po stratach, jakie przeżyła, i cierpieniach, przez jakie przeszła, „cichy grób” na rześlewskim cmentarzu byłby dla niej najwłaściwszym schronieniem; ale zostaje sierota, której jeszcze się coś od życia należy; niechże nad tą sierotą, dla której w każdej chwili gotowa życie poświęcić, rozciągnie się jakaś przyjazna opieka i uchroni ją od ciosów i zamachów! Na to sierota odrzekła, że to nie o nią chodzi, ale o spokój mamy – i w ten sposób rozmowa zmieniła się prawie wyłącznie w dialog między tymi paniami, w którym słowa: „pozwól dziecko!” – „niech mama pozwoli!” powtarzały się co chwila i który z nadmiaru obustronnej gotowości do poświęcenia stał się w końcu prawie cierpki. Krzycki, znający te panie od dawna, słuchał z wielką powagą, pani Otocka patrzyła na dno filiżanki nie mając odwagi spojrzeć na pannę Marynię, panna Marynia ściągała kąciki ust, rejent sapał i żuł, a doktor wykrzykiwał swoje: Ha! tak rozgłośnię, że aż muchy zrywały się z siatkowych kloszów przykrywających masło i pieczywo.

Lecz na dworze rozpełtała się tymczasem burza i grzmoty przerwały ofiarny dialog między matką i córką. W pokojach pociemniało; za oknami słychać było przez czas jakiś szum ulewy i błyskawice rozświecały chmurną powłokę. Ale trwało to krótko, po czym Krzycki jął odpowiadać i obiecywać pomoc tym paniom, zawsze z należytą powagą, ale zarazem z jakimś szczególnym wyrazem twarzy, który zwiastował, że młody frant chowa coś niespodziewanego w zanadrzu. Oświadczył więc, że gotów jest sięść na koń i otoczyć opieką Górki; następnie uspokajał te panie, że objawy, którymi się tak przeraziły, są przejściowe, że w Rzęślewie jest chwilowo to samo, ale niewątpliwie wkrótce znajdą się środki zapobieżenia złemu. Na koniec zwrócił się do pani Włóckiej matki i ukazując na Dołhańskiego rzekł niespodzianie:

– Nie wiem tylko, czy opieka moja będzie skuteczna, albowiem muszę czuwać jednocześnie nad Rzęslewem i nad Jastrzębiem, w którym mamy obecnie tak miłych gości. Ale jest tu pan Dołhański, człowiek znany z odwagi, energii i zaradności, który i mnie udzielił najlepszej rady co do Rzęslewa. Otóż, gdyby on chciał mi pomóc albo gdyby sam zgodził się wziąć w ręce sprawy Górek i Kwaśnoborza, jestem pewien, że zaprowadziłby tam spokój w ciągu kilku dni – i że pod jego skrzydłami żadne niebezpieczeństwo nie zdołałoby pań dosięgnąć.

Oczy wszystkich, a przed innymi oczy matki i córki zwróciły się teraz na Dołhańskiego. Ale jeśli Krzycki, który chciał się pomścić nad nim za „wtrącalstwo”, liczył na to, że wprowadzi go w niespodziany kłopot, to się pomylił, gdyż Dołhański skłonił się z zimną krwią paniom z Górek i odrzekł cedząc jak zwykle każde słowo:

– Z największą przyjemnością, ale musimy przeczekać deszcz.

– Więc pan zgadza się być naszym rycerzem? – zawołała pani Włócka wyciągając ku niemu ręce, a zarazem przypatrując mu się ze zbudzoną nagle uwagą i zdziwieniem.

– Z największą przyjemnością – powtórzył Dołhański. Bezrobocie skończy się jutro.

Jego zupełna pewność siebie zaimponowała trochę wszystkim, a zwłaszcza obu paniom z Górek, jednocześnie zaś zimny ton, z jakim mówił, sprawił, że pani Włócka straciła na razie swą zwykłą patetyczną swadę i dopiero po chwili odrzekła:

– Dziękuję w imieniu sieroty.

Lecz sierota wolała widocznie sama podziękować, gdyż wyciągnęła obie dłonie do Dołhańskiego i po krótkim milczeniu, które mogło tłumaczyć się wzruszeniem, ozwała się głosem podobnym do cichego szmeru liści:

– Mnie o mamę chodzi...

– I mnie również – zapewnił Dołhański.

Lecz matka z córką zwróciły się znów wzajem ku sobie:

– Pozwól, dziecko – ja tu jestem niczym!

– Pozwoli mama – mama jest wszystkim.

– Ależ przepraszam cię, dziecko...

Ale przepraszam mamę...

I walka o całopalenie rozpoczęła się powtórnie na dobre – nie trwała jednak długo, gdyż naprzód doktor począł tak hałasować, że trudno się było dosłyszeć, a po wtóre, pani Krzycka, której młody medyk pozwolił wstać i przenieść się na fotel, przysłała z wiadomością, że prosi panie do siebie. Po ich odejściu, doktor udał się do kancelarii Krzyckiego, by opisać szczegółowo, gdzie i jak należy prowadzić kurację, rejent zaś zajął się w sieni swym fletem. Groński, Dołhański i Krzycki zostali przez chwilę sami.

Wówczas Dołhański zwrócił się do Władysława: – Co to są Górki i Kwaśnobórz?

- Włók około pięćdziesięciu, a jest jeszcze i Żabianka.
 - Tak, słyszałem... Grunta?
 - Prawie jak w Rzęślewie. W Żabiance bodaj lepsze.
 - Tak, słyszałem. Stan majątków?
 - I zły i dobry. Zły, bo te panie nic nie wkładają. Dobry, bo nie mają długów i każdy grosz, który z gospodarstwa przyplywa, gdy raz wpadnie do pończochy, to już świata bożego nie ogląda.
 - Tum ich czekał – rzekł Dołhański.
 - One są równie skąpe jak patetyczne, a kto wie, czy nie bardziej skąpe.
 - Niech zbierają!
- A Groński począł się śmiać i cytować:
- Sic vos non vobis nidificatis aves – sic vos non vobis mellificatis apes...
 - Tak! – rzekł Dołhański. Po czym nagle do Grońskiego:
 - Jutro oświadczam się o rękę kuzynki Otockiej.
 - Jesteś dziś pełen niespodzianek – odrzekł Groński.
 - Czekaj! I dostaję odkosza.
 - Niewątpliwie.
 - Ale chcę mieć czyste sumienie. Potem jadę do Górek.
 - To już wiadomo. I uśmierzasz wzburzone fale bezrobocia.
 - W ciągu jednego dnia. Jak mnie tu widzicie.
- Po czym wskazał na Krzyckiego:
- Ten *simplex servus Dei* stał się mimowolnym narzędziem w rękę Opatrzności. Ona zresztą często posługuje się małuczkimi... Za to, gdy zbankrutujesz na Jastrzębiu, zwróć się do mnie, do Górek.
 - O ile ich przedtem nie zniwelujesz – odrzekł śmiejąc się Krzycki – z ciebie tęgi niwelator!
 - Żyjemy w wieku powszechnej niwelacji. Ale jak też na imię pannie Włóckiej?
 - Kajetana.

– Plait-il?

– Kajetana – powtórzył Krzycki. – Jej ojcu było na imię Kajetan, a ona na jego pamiątkę nazywa się Kajetana.

– To powiedzże mi, dlaczego tak zasobna Kajetana dochowała się w stanie dziewiczym do lat trzydziestu kilku?

– Ściśle do trzydziestu pięciu. To mówiła mi niedawno moja matka, która pamięta dzień jej urodzin. Co do tego, że za mąż nie poszła, rzecz jest prosta. Partii jej nie brakło, ale te panie nosiły się zawsze ogromnie wysoko. Tu wokoło siedzi tylko zwykła szlachta; no... a między Krzyckimi nie było w odpowiednim wieku kawalera. – Ty i pod tym względem odpowiesz ich marzeniom...

– To dobrze! – odpowiedział Dołhański – tylko to imię!... Kajetana, Kajetana! To mi wygląda na jakiś rodzaj karety, czy łodzi!... Bo ja wiem!...

XII

Groński i Krzycki uważali zapowiedź Dołhańskiego za żart, za jeden z takich konceptów, jakie często przychodziły mu do głowy, on jednak dotrzymał słowa, albowiem nazajutrz oświadczył się całkiem poważnie pani Otockiej, a po otrzymaniu równie poważnego kosza pojechał do Górek i osiadł tam na czas pewien. Młode panie, a nawet i pani Krzycka, były tym wszystkim wielce rozbawione i rozciekawione, zwłaszcza gdy nadeszła wiadomość, że strajk rolny w Górkach ustał tegoż samego dnia, w którym Dołhański się tam pojawił. Ustał on wprawdzie po kilku dniach i w Rzęślewie, po części siłą rzeczy z wrośniętego w chłopskie dusze przekonania, że ze „świętą ziemią” nie ma żartów, a po części z powodu wiadomości, która rozeszła się po wsi, iż ktoś z jakiegoś komitetu ma przyjechać i sprawę sądzić. Tak było ze służbą dworską. Co do chłopów i gospodarzy, ci nie chcieli jeszcze zgodzić się na szkołę i nie

wyrzekli się objęcia dworskich gruntów, ale również oczekiwali tego k o g o ś z obawą i nadzieją, wierząc święcie, że nie testament i nie prawo, ale ta jakaś nieznaną siłą będzie o wszystkim stanowiła. Tymczasem nastąpił jednak po wsiach dni spokojniejsze – i pomimo doniesień dzienników o zwiększającym się w miastach zamęcie Krzycki wierzył, iż miejscowa burza już przeszła, a tę jego wiarę podzielali i goście. Ponieważ doktor zapowiedział, że z wyjazdem pani Krzyckiej należy zacząć tylko do pierwszej ulgi w jej cierpieniach, więc Władysław postanowił korzystać, jak mógł najlepiej, z tego krótkiego już czasu, przez jaki młode panie miały pozostać jeszcze w Jastrzębiu. Rozpoczęły się wycieczki konne, które odbywały się, o ile deszcz nie stanął na przeszkodzie, co rano i były szczególnie miłe Krzyckiemu z tego powodu, że jeżdżący trochę po łacinie Groński dotrzymywał towarzystwa swej "adoracji", on zaś mógł spędzać całe godziny sam na sam z panną Anney. Jeżdżąc oboje doskonale, wysuwali się zwykle naprzód i najczęściej ginęli z oczu w oddaleniu. Czasem puszczali się w cwał i upajali się szalonym pędem, powietrzem, słońcem i sobą wzajem. Czasem jechali równo, wolno, strzemię w strzemię – i wówczas kłopotliwe, a pełne niewypowiedzianej rozkoszy milczenie, w jakie chwilami zapadali, zawiązywało między nimi jakieś węzły, jeszcze silniejsze od tych, jakie zawiązywała rozmowa. Krzycki ogarniał wzrokiem postać złotowłosej panny, podobną na koniu do boskich kształtów greckiego albo etruskiego dzbana – i poił nią oczy; słuchał jej głosu i zdawało mu się, że to jest muzyka jeszcze doskonalsza od tej, która płynęła ze skrzypiec panny Maryni. W chwilach, gdy podszedł na koń dziewczynę, podstawił dłoń pod jej stopę, całą siłą woli musiał powstrzymać się, by nie przyklęknąć i nie przycisnąć do tej stropy ust i czoła. I nieraz myślał, że gdyby ośmielił się to uczynić, to chciałby pozostać w takiej

postawie jak najdłużej. Rwały się ku tej kobiecej istności wszystkie jego zmysły. Miłość jego stawała się z każdym dniem podobniejszą do wiru, który wszystko w siebie wciąga i pochłania. Zdawało się Krzyckiemu, że powietrze, słońce, pola, lasy, łąki, zapach drzew i kwiatów, śpiew ptasi i wieczorne granie panny Maryni to tylko jakieś żywioły tej miłości, które do niej należą, wchodzi w jej skład – i które bez niej byłyby czymś błahym i beztreściwym. Lecz przede wszystkim ten wir chwycił jego samego i pogrążał go coraz głębiej z siłą, której z każdym dniem coraz słabiej próbował się opierać z tej prostej przyczyny, że ta otchłań wydawała mu się otchłanią szczęścia. Krzycki nie oddawał już panny Anney żadnemu Anglikowi „z wystającą szczęką” ani Szkotowi „z gołymi kolanami”, ale nie byłby jej oddał za całą Anglię i Szkocję. Przestał w sobie wmawiać, że to jest tylko typ kobiety, którą mógłby pokochać, a natomiast wyznał sobie szczerze, że to jest osoba, którą pokochał. Miłość zrodziła w nim jasną i stanowczą wolę, więc myślał już z całą ścisłą logiką uczucia, że tę droższą mu nad wszystko i najbardziej pożądaną istotę chce zdobyć, zabrać i mieć na całe życie. Droga do tego była tylko jedna – przeto postanowił na nią wstąpić z taką bezwzględną gotowością, z jaką człowiek chce być szczęśliwym. Nieraz też drżało mu na ustach wyznanie, które jednak powstrzymywał i odkładał z dnia na dzień, naprzód z powodu lęku, jaki odczuwa każde rozkochane serce, a po wtóre, przez wyrachowanie. Jeżeli bowiem miłość jest ślepa, to z pewnością nie na to, co przynosi jej korzyść. Umie ona nawet korzyści i przeszkody ważyć na tak delikatnych wagach, że pod tym względem jest może najostrożniejszym, najbardziej przewidującym i najprzebieglejszym z ludzkich uczuć. Otóż Krzycki zauważył, że między jego matką a panną Anney zawiązuje się sympatia, którą ze strony młodości, zdrowia i siły wytwarza pewna przyjazna opieka, ze strony słabości i

starszego wieku – wdzięczność. Wszystkie trzy panie były wielce troskliwe o jego matkę, ale ani troskliwość pani Otockiej, ani Maryni nie była tak czujna i tak skuteczna jak troskliwość panny Anney. Pani Krzycka otwarcie mówiła, że nawet Władysław nie przetacza z pokoju do pokoju z taką zręcznością fotelu, do którego przykuła ją chwilowa niemoc, nawet on nie umie tak wszystkiego przewidzieć i tak jej dogodzić, jak ta jasnowłosa „angielska dobra wróżka”. A Krzyckiemu przechodziło nieraz przez głowę, że zapewne „dobra wróżka” czyni to wszystko przez dobroć i przez szczerą przyjaźń dla matki, ale także i dlatego, by ją sobie zjednać. I serce drżało mu z radości na myśl, że może nadejść chwila, w której życzenia matki zbiegną się z tym, czego on sam najmocniej w życiu pragnął. Obawiał się, że przedwczesnym wyznaniem może rozciąć te węzły, które zawiązywały się same przez się, i dlatego powściągał słowa, które nieraz paliły mu jakby płomieniem usta.

Zresztą wyznaniem było między nimi wszystko: rozmowy, milczenie, spojrzenia. Krzycki nie śmiał i nie chciał dotychczas powiedzieć jej wyraźnie, że ją kocha, chciał natomiast każdym słowem torować sobie drogę i zbliżać się do tej upragnionej chwili. Tymczasem zdarzało mu się, że albo z powodu braku tchu nie mógł wcale przemówić, albo też, że mówił zupełnie co innego, niż zamierzał. Raz, gdy jechali wśród wybujałych ozimin i gdy powiew wiatru pochylał ku nim żdźbła żyta, a wraz z nimi czerwone maki i szare kostrzewy, postanowił jej powiedzieć, że cały Jastrząb skłania się do jej stóp, a powiedział z wielkim biciem serca i głuchym nie swoim głosem, „że zboża miejscami się pokładły”. Po czym nazwał się w duchu idiotą i zgryzł się przypuszczeniem, że i jej podobny o nim sąd musiał niezawodnie przyjść do głowy. Zdawało mu się też, że ona bez porównania lepiej nad sobą panuje i że mówi zawsze tylko to, co chce. Wskutek tego, nawet wówczas gdy trochę

przez kokieterię a trochę dlatego, że miała taki zwyczaj, powtarzała jak echo jego wyrazy i odpowiadała mu na przykład, że „zboża miejscami się pokładły” – dopatrywał w jej słowach niesłychanego znaczenia i rozważał je potem godzinami.

Lecz miewał także, zwłaszcza rankami, chwile większego uciszenia się zmysłów i większego spokoju, w których słowa jego mniej były podobne do nie sformowanych w szereg żołnierzy, maszerujących każdy w inną stronę. Czasami tematu do tych spokojniejszych rozmów dostarczały jakieś sprawy zewnętrzne, a najczęściej troska z powodu bliskiej rozłąki. Krzycki krył się wówczas za matkę i w jej imieniu wypowiadał to, czego nie śmiał wypowiedzieć we własnym.

– Wyobrażam sobie – rzekł nazajutrz po drugiej wizycie doktora – jak matka będzie tam tęskniła za panią!

A dziewczyna, której widocznie przyszło do głowy, że nie tylko matka, ale i syn będzie tęsknił zupełnie dostatecznie, spojrziała nań trochę przekornie rozemgloną smugą swych dziwnych oczu i odrzekła:

– Ja jestem taki przelotny ptak! Matka pana prędko odzwyczai się ode mnie.

– O, ręczę pani, że nie! – zawołał Krzycki.

Po czym dodał:

– Ja matkę znam! Ona ogromnie panią pokochała.

— Nie ma przecie trzech tygodni od naszego przyjazdu. Czyż można kogo tak prędko pokochać?

Na to Krzycki odrzekł z głębokim przekonaniem:

– Można! daję pani słowo, że można.

Było coś tak naiwnego w sposobie i tonie tej odpowiedzi, że panna Anney nie mogła powstrzymać uśmiechu. Lecz on spostrzegł to i począł mówić szybko, jakby chcąc się wy tłumaczyć i usprawiedliwić:

– Alboż wiadomo, skąd się bierze kochanie? Nieraz od pierwszego rzutu oka na ludzką twarz ma się takie wrażenie,

jakby się znalazło kogoś, kogo się od dawna szukało. Są jakieś nie zbadane siły, które wzajem przyciągają ludzi, choćby się przedtem nigdy nie widzieli i choćby żyli z dala od siebie.

– A czy takie istoty muszą się zawsze spotkać kiedyś ze sobą?

– Nie – odpowiedział – myślę, że nie zawsze. Ale wtedy może ciągle tęsknią, same nie wiedząc za czym, i czują wieczną pustkę w życiu.

I tu jakby mimo jego woli poczęła przemawiać jego ustami szczerą poezją młodości i uczucia:

– Pani nazwała się ptakiem przelotnym – mówił. – Kochanie to także ptak – tylko nie przelotny, lecz chyba raczej przylotny... Bo nadleci niespodzianie gdzieś z dala, zza gór, zza mórz, zagnieździ się w sercu i poczyną śpiewać taką pieśń, że człowiek słuchając jej chciałby zamknąć oczy i nie zbudzić się nigdy.

I tak mówiąc, aż pobladł ze wzruszenia. Przez chwilę targła nim jak wichler chęć, by zeskoczyć z konia, objąć ramionami nogi dziewczyny i zawołać: „Tyś jest to kochanie, więc nie odlatuj, mój ptaku drogi!” Ale jednocześnie chwycił go ogromny lęk przed tą chwilą – i przed tą nocą, która by go ogarnęła, gdyby jego prośba okazała się daremną.

Więc tylko odkrył głowę jakby chcąc odsłonić rozpalone czoło. Długą ciszę, jaka między nimi zapadła, przerywało tylko parskanie koni, które szły teraz stępą, roniąc spod wędzideł białą pianę.

Po czym panna Anney ozwała się jakimś niezwykłym, przygłuszonym głosem, który brzmiał trochę jak przestroga:

– Słyszę, że pan Groński z Marynią nadjeżdżają.

– Tak – odpowiedział Krzycki.

Jakoż druga para zbliżyła się niebawem – wesola i ożywiona. Panna Marynia poczęła już o kilka kroków wołać:

- Pan Groński opowiadał mi śliczne rzeczy o Rzymie. Żałujcie państwo, żeście nie słyszeli.
- Więcej o okolicach Rzymu niż o Rzymie – rzekł Groński.
- Tak. Byłam w Tivoli, byłam w Castel Gandolfo, w Nemi... Cuda! Będę teraz póty męczyła Zosię, póki tam naprawdę nie pojedziemy – i pan Groński z nami.
- A mnie zabierzesz? – zapytała panna Anney.
- A jakże! Pojedziemy wszyscy na jesień albo na przyszłą wiosnę. Czy państwo także mówili o jakiej wyprawie? Przez chwilę nie było odpowiedzi.
- Nie – odpowiedziała wreszcie panna Anney. – My mówiliśmy o ptakach przelotnych.
- Teraz przecie wiosna i ptaki nie odlatują.
- A jednak panie zbierają się do odlotu – ozwał się z westchnieniem Krzycki.
- Prawda – odpowiedziała Marynia – ale dlatego, że ciocia wyjeżdża. A i ona (tu pokazała szpicrutą na pannę Anney) namawia nas, żebyśmy pojechały wszystkie trzy tam, dokąd doktor ciocię wysła.
- Po czym do Krzyckiego:
- Pan nie uwierzy, jaka ona pocziwa i jak ciocię pokochała.
- Ja nie uwierzę, ja? – zawołał z zapałem Krzycki.
- Lecz panna Anney, która przed chwilą zapytywała go, czy można kogo tak prędko pokochać, zmieszała się ogromnie i puściwszy lejce poczęła obu rękoma poprawiać coś przy kapeluszu, chcąc zakryć nimi spłonioną jak zorza twarz.
- Krzycki miał niebo w sercu, a panna Marynia czas jakiś spoglądała swymi przezroczystymi oczyma to na niego, to na nią, gdyż nie było już i dla niej tajemnicą, że Krzycki był po uszy zakochany – a rozciekawilo ją to i bawiło niesłychanie.

XIII

– Niech pan obaczy, com dziś otrzymał – rzekł Władysław, podając Grońskiemu list, który nadszedł między innymi poranną pocztą.

Groński spojrział i zmarszczył brwi.

– Ach! – rzekł – wyrok śmierci. – Tak.

– Z pieczętką PPS. Ci szafują nią hojnie... – Tak jak i sądy wojenne.

– Wart Pac pałaca. Rejent ma wyrok także, a doktor podobno kilka. Co o tym myślisz?

– Je m'en fiche! Ale bawi mnie położenie. Nie wiem, czy pan słyszał, że dwa miesiące temu straż ziemska wykryła w Jastrzębiu szkołę tajną, którą przed rokiem założyłem, bo tak kazało mi sumienie. Jest to sprawa, mimo że ją smarowałem, jeszcze niezupełnie zasmarowana, skutkiem czego obecnie mam nad głową pięć rządu i pięć socjalistów. Wesoło – co?

– Mnie nieraz przychodzi do głowy, że gdzie indziej ludzie nie potrafiliby chyba żyć w podobnych warunkach, a my jednak, nie tylko żyjemy, ale czasem i śmiejemy się naprawdę wesoło.

– Taka widać nasza żyłowata, lechicka natura.

– Może być. Musisz się wszelako strzec, a kobiety trzeba wyprawić.

– Trzeba, trzeba – powtórzył Krzycki – i to za granicę, bo w Warszawie nie jest bezpiecznie. Ale niech pan o tym głupim wyroku nie mówi ani matce, ani nikomu.

– Oczywiście.

– Matka i tak chce koniecznie, bym z nią pojechał i ja się od tego nie uchylam – o nie, bynajmniej! Ale nadchodzi lato, a potem przyjdą zniwa. Ekonom jest dość uczciwy człowiek, ale muszę jednak dać mu przed wyjazdem szczegółowe instrukcje, jak i co ma robić. Po rozjeździe wszystkich

chciałbym tu posiedzieć jeszcze z tydzień albo dziesięć dni. Matka nie będzie sama i bez opieki, bo naprzód pojedzie z nią młodsze rodzeństwo, a po wtóre, słyszał pan, co mówiła kuzynka Marynia, że i te panie wybierają się tam, gdzie ona będzie. Całe życie będę wdzięczny pannie Anney za ten projekt, bo dla matki nie może być nic miłszego i lepszego.

– Mnie się zdaje, że i dla syna – rzekł uśmiechając się Groński.

Krzycki przez chwilę milczał, a potem zaczął obu dłońmi przyciskać skronie i odpowiedział:

– Tak. Po co miałbym wypierać się tego, do czego sam przed sobą jużem się przyznał i co wszyscy widzą prócz matki, która tylko dlatego nic jeszcze nie spostrzegła, że teraz rzadziej widuje nas razem. Ale ona także ją pokochała. Kto by jej nie pokochał? Takie drogie, złote stworzenie... Ja dlatego tylko z matką nie mówiłem, że ona ułożyła sobie panią Otocką i będzie jej przykro rozstać się z tą myślą. Boję się, żeby nie odczuła jakiejś urazy. A to przecie byłoby okropnie niesłuszne. Zresztą, ja wiem tylko to, co się we mnie dzieje – więcej nic. Nie śmiem nawet powiedzieć, że mam powód do złudzeń. I boję się, żeby wszystko od razu nie prysło jak bańka mydlana... Ach, jaki byłbym nieszczęśliwy! Ja już świata za nią nie widzę... Po prostu nie wiedziałbym, co zrobić ze sobą, z Jastrzębiem i z całym życiem.

I chwyciwszy rękę Grońskiego, mówił dalej:

– Gdyby tak pan pogadał z panią Otocką i dowiedział się przez nią, czy ja mogę mieć jakąś nadzieję. Bo one przecie przyjaciółki – i pewno nie mają dla siebie tajemnic. Gdyby pan chciał to dla mnie zrobić, a w swoim czasie pomówić i z matką! Ale z panią Otocką jak najprędzej! dobrze?

– Ja z panią Otocką chciałem już o tym mówić – odrzekł Groński – ale wyobraź sobie, że odpowiedziała mi, iż nie może mi nic powiedzieć, gdyż panna Anney powierzyła jej

pewną osobistą ważną tajemnicę, której nie ma prawa wyjawić. Wyznaję, że mnie to zdziwiło. Oczywiście, tajemnica nie może mieć nic uwłaczającego dla panny Anney, gdyż inaczej pani Otocka nie byłaby z nią w tak serdecznej przyjaźni, w jakiej jest. A one są jak siostry i w Warszawie mieszkają nawet razem, a przynajmniej drzwi w drzwi. Zresztą pani Otocka jest, o ile mi się zdaje, szczerze po twojej stronie i czasem miałem nawet takie wrażenie, jakby jej coś zależało, aby przyszło do tego, do czego przyszło. Co do Maryni, to ta strzyże uszkami, ale i na tym koniec. W każdym razie bądź pewien, że nie masz w tych paniach nieprzyjaciółek, a jeśli chcesz wiedzieć moje osobiste zdanie, to w pannie Anney tym bardziej.

– Dałby Bóg! dałby Bóg! – odpowiedział Krzycki. – Dodał mi pan trochę otuchy i trochę mi lżej oddychać.

– Aleś ty, widzę, zapadł po uszy – zauważył Groński.

– Daję panu słowo, że wolałbym jeden jej palec albo promień włosów niż wszystkie kobiety na świecie. Nie miałem pojęcia, żeby można było się tak dać i oddać. Czasem już sam nie wiem, co się ze mną dzieje i co będzie, bo niech pan tylko pomyśli: przecie ja mam Jastrząb, gospodarstwo, sprawy rześlowskie, wyjazd matki, a tu o niczym nie mogę myśleć tylko o niej, o niej – i do niczego nie mam głowy. Żal mi każdej chwili, w której na nią nie patrzę. Dziś na przykład dostałem wezwanie od Dyrekcji, żebym przyjechał w interesie testamentu i Rześlewa – i odkładałem to na jutro. Nie mogę, po prostu, nie mogę! Pojechałbym na noc, gdyby nie to, że Dyrekcja w nocy zamknięta.

– Pamiętaj jednak o wyroku śmierci.

– A niech ich tam diabeł razem z ich wyrokiem albo niech mi wreszcie w łeb strzelą. Jeszcze bym też o nich myślał, zwłaszcza po tym, co mi pan powiedział. Ale skąd pan wie, że pani Otocka jest po mojej stronie? To pocziwe, złote

serca te obie kuzynki! Jak to pan powiedział? – że i ona nie jest moją nieprzyjaciółką? Dzięki Bogu choć i za to! Bo przecie nie miałyby za co mnie nienawidzić. Ale niech pan jeszcze pomówi z panią Otocką. Nie chodzi o to, żeby zdradziła jaką tajemnicę, tylko żeby, znając pannę Anney, powiedziała cośkolwiek... tak czy owak... pan wie, o co mi chodzi... choćby o odrobinę pewności...

– Owszem – rzekł śmiejąc się Groński – poszukam sposobności jeszcze dziś.

– Dziękuję! dziękuję!

Jakoż sposobność znalazła się łatwo, gdyż pani Otocka miała także wiadomość, którą pragnęła podzielić się z Grońskim, i w tym celu przysłała po niego swoją pannę służebną z zaproszeniem, by przyszedł do alei grabowej nad stawem. Gdy się tam zeszli, podała mu, zupełnie tak, jak przed chwilą Krzycki, list który nadszedł tą samą poranną pocztą i rzekła:

– Niech pan przeczyta i poradzi, co z tym zrobić.

List był od Laskowicza do Maryni i brzmiał, jak następuje:

Wielka idea jest jak olbrzymi ptak, skrzydła jej rzucają cień na ziemię, ale sama pławi się w słońcu.

Kto nie wzleci z nią razem w górę, tego otoczy ciemność. A ciemność to śmierć.

W tej ciemności widzę Ciebie jak alabastrowy posąg. Z tej nocy dochodzi mnie głos twej muzyki.

I oto, w mej samotnej izbie myślę o Tobie – i żał mi Cię. Albowiem mogłabyś być lotnym piórem w skrzydłach olbrzymiego ptaka-idei i oddychać czystym powietrzem zawrotnych wyżyn, i grać w blasku legionom żyjących, a ty oddychasz powietrzem grobów i grywasz życiu, które mrze, i duszom, które więdną, i – nic ludziom, lecz cieniom.

Żał mi Cię – srebrna moja.

I myśli moje lecą jak orły ku Tobie.

Gdyż dotychczas w sile mojej tkwiła część szczęścia ludzkości, ale nie było w niej m e g o szczęścia.

Dopiero Ty wnikłaś nagle przez oczy moje jako światło, a przez uszy moje jako muzyka i napełniłaś pierś moją tęsknotą do rzeczy, których nie znałem przedtem – i napełniłaś mnie Twą treścią, jak potrzebą i widzeniem i świadomością m e g o szczęścia.

Przetom Cię umiłowal tego samego wieczora, w którym ujrzałem Cię i usłyszałem po raz pierwszy.

Odtąd, choć Ty nie jesteś przy mnie, jam jest przy Tobie i pójdę za Tobą, gdziekolwiek będziesz.

Albowiem Tyś mi jest potrzebna, ażebym żył, a jam Ci potrzebny, by Cię wskrzesić...

Aby wyrwać Cię z zatury: spośród mających umrzeć!

A oddać Cię wielkiej idei – i wysokościom, i światłu, i zastępom żywych, którzy cierpią głód chleba i pieśni.

Ciebie i Twą muzykę.

Niech zaturata nie spada na was obie.

O, umiłowana!...

Pewnej nocy wzywałem Cię, aleś Ty nie usłyszała mnie i nie przyszła. Teraz znów wyciągam do Ciebie ręce i mówię ci: przyjdź i uśnij na moim sercu.

A gdy nadejdzie czas przebudzenia, to Cię zbudzę na krótkie chwile rozkoszy, którą daje miłość, i na trud bez końca, o który woła idea.

Na trud, a może i na męczeństwo!

Lecz w męczeństwie dla nowych zórz życia więcej jest szczęścia niż w mroku, zaduchu, popiele i pieśni grobów.

Więc pójdź, choćby na męczeństwo.

I póki nasze istnienia nie spłyną w morze nicości – zostań przy mnie.

O, umiłowana!

Na twarzy Grońskiego odbiła się troska. Przez jakiś czas on i pani Otocka szli w milczeniu.

– Co z tym zrobić, panie? i co to znaczy?

– To jest rzecz przykra i kłopotliwa, a list znaczy, że Laskowicz, który podobnej istoty do Maryni w życiu nie widział, zakochał się w niej, jak sam pisze, od pierwszego poznania. Ja to zresztą po kilku dniach zauważyłem, i jeśli o tym z panią nie mówiłem, to tylko dlatego, że Laskowicz miał i tak wkrótce wyjechać. Ale on zakochał się głową, nie sercem, gdyby bowiem było przeciwnie, to zamiast tych górnych wyrazów zapożyczonych jakby z jakiejś szkoły literackiej znalazłby prostsze i serdeczne. Jego egzaltacja może być szczerą, może go pochłaniać i trawić jak gorączka, może trwać lata całe, ale główne jej źródło wypływa z głowy, nie z serca.

Lecz pani Otocka, której w tej chwili bynajmniej nie chodziło o analizę uczuć Laskowicza, przerwała dalsze wywody.

– Ale co mamy wobec tego robić i jak postąpić? Mnie idzie o Marynię.

– Oczywiście – odpowiedział Groński – i niech mi pani wybaczy te niewczesne refleksje, ale zawsze lepiej jest wiedzieć, z kim i z czym ma się do czynienia. Moim zdaniem, najlepiej jest nic nie robić, tak jakby list wcale nie przyszedł. Można by go wprawdzie Laskowiczowi odesłać, ale byłoby w tym coś nadzwyczaj pogardliwego, a ten list zasługuje może na to, by go wrzucić do kominka, ale podług mnie, nie zasługuje na pogardę. Jest on, jeśli pani pozwoli mi się tak wyrazić, narwany i zuchwały, ale zachowuje pewną miarę w wyrażeniach i nie ma w nim nic zbyt brutalnego. Przy tym wypowiada on raczej myśli, które Laskowiczowi do głowy przychodzą, niż jakiegokolwiek rzeczywiste nadzieje i to do tego stopnia, że można by prawie Maryni wytłumaczyć, że to jest nie list do niej, ale

poemat dla niej zresztą niezbyt udany... A cóż Marynia?
jakie to na niej zrobiło wrażenie i co mówi?

– Marynia – odrzekła z pewną komiczną troską pani Otocka – jest trochę obrażona, trochę zakłopotana i przestraszona, ale w skrytości serca, i trochę dumna, że ktoś do niej taki list napisał.

– Otóż to! byłem tego pewien – zawołał śmiejąc się mimo woli Groński.

Po chwili zaś począł mówić poważniej:

– Przyjdą pewno i dalsze listy, ale ponieważ ton ich może stać się jaskrawszy, trzeba namówić małą, żeby ich nie czytała. Jeśli pani pozwoli, to ja się tego podejmę. Potem panie wyjadą do Warszawy, potem wkrótce za granicę i rzecz skończy się sama przez się.

– Co prawda – odrzekła pani Otocka – to i ja chciałabym już wyjechać z Jastrzębia jak najprędzej. Ciotce tu nie jesteśmy potrzebne i raczej stanowimy zawadę w przygotowaniach przed podróżą, a wyznaję, że mnie ogarnia strach. Niech pan przeczyta jeszcze raz ten list uważnie. Przecie tam jest groźba dla wszystkich mieszkańców Jastrzębia, a nawet i dla Maryni, jeśli zostanie z nami.

Groński pomyślał, że Krzycki otrzymał jednocześnie wyrok śmierci – i w pierwszej chwili przeszło mu przez głowę, że mogło to mieć związek z listem Laskowicza. Ale po chwili przypomniał sobie, że podobne wyroki przesłano doktorowi i nawet staremu rejentowi, więc dla uspokojenia pani Otockiej rzekł:

– Teraz są czasy ciągłych pogroźek i wszyscy je otrzymują, ale nie sądzę, by Laskowicz przestrzegał Marynię przed jakim bliskim zamachem grożącym nam w Jastrzębiu. Chce on zapewne tylko powiedzieć, że fala socjalizmu zmiecie wszystkich, którzy nie płyną z nią razem, a więc i nas. Ale ponieważ chodzi o spokój pani i Maryni, więc co do

wyjazdu, to owszem! Dlaczego byśmy nie mieli choćby jutro wyjechać.

– Ja już o tym myślałam, ale ciocia bardzo nalega, żebyśmy na nią zaczekały – i Aninka jej przyrzekła.

– To niech ona zostanie, a panie niech jadą. Ach! więc to panna Anney wstrzymuje wyjazd? Dobra nowina dla Władka! Czy mogę mu ją powiedzieć? Przed chwilą prosił mnie właśnie, żebym się czegoś od pani dowiedział – bo już biedak ledwo żyje. Jest to najbardziej zakochany mydłek, jakiego można spotkać w granicach dawnej Rzeczypospolitej.

– Więc to już tak daleko zaszło?

– Ale jak! widocznie w powietrzu jastrzębskim jest coś podniecającego. Tu się wszyscy kochają – otwarcie albo skrycie.

Słyszac to, pani Otocka zapłonila się niespodziewanie jak piętnastoletnia dziewczyna, a choć przytrafiło jej się to często i z lada powodu, jednakże Groński nie mogąc odgadnąć, co jej przyszło w tej chwili na myśl, spojrzal na nią z pewnym zdziwieniem.

– Jakże – rzekł – Władek, Laskowicz, Dołhański. Ale Dołhański ma najwięcej energii, bo po ostatniej kłesce wyruszył zaraz na nową wyprawę, a Władek się boi.

– Czego? – zapytała podnosząc oczy pani Otocka.

– Naprzód kłeski, z której myśli, że już by się nie podniósł, a po wtóre rozprawy, która go czeka z matką.

– Kuzynka Władzia czeka może jeszcze i co innego, ale Aninki nie potrzeba się bać.

– Umrze z radości, jak mu to powiem – a swoją drogą ja, jako znany pani wścibski, mogę umrzeć z ciekawości.

– Cóż, kiedy nie mam prawa o tym mówić.

– Nawet gdy wyjedziemy z Jastrzębia?

– Nawet wówczas. Wszystko zresztą samo się wkrótce wyjaśni.

– W takim razie postaram się dożyć tej chwili, a tymczasem wracam do Władka, by powiedzieć mu dobrą nowinę i oznajmić o naszym wyjeździe. O liście Laskowicza wcale mu nie wspomnę, albowiem on jutro rano wybiera się do miasta i gdyby się spotkali, mogłoby dojść do brzydkiej awantury.

XIV

Krzycki nie pojechał jednak nazajutrz po rozmowie z Grońskim do miasta, albowiem dano mu znać, że sesja wykonawców testamentu Żarnowskiego została na tydzień odroczone. Stało się to z tej przyczyny, iż za dwa dni miał się rozpocząć zjazd okolicznych obywateli w sprawie zabezpieczenia starości oficjalistów wiejskich i służby dworskiej oraz w bardziej jeszcze palącej sprawie wprowadzenia języka polskiego do gmin, o co chodziło zarówno sędziom gminnym jak i gromadom wiejskim. W tych obradach Krzycki postanowił wziąć udział koniecznie, ale ponieważ miały się one odbywać tylko w godzinach przedpołudniowych ułożył sobie, iż będzie wyjeżdżał na nie co rano, a po południu wracał do domu. Ze względu na niewielką odległość Jastrzębia od miasta, było to zupełnie możliwe.

Jednakże zawiodła go nadzieja, że owe dwa dni będzie mógł poświęcić wyłącznie gościom, a raczej najdroższemu z gości w Jastrzębiu, gdyż sprawy rześlewskie poczęły się psuć na nowo i zajęły mu wszystek niemal czas. Bezrobocie służby folwarcznej ustało wprawdzie w Rześlewie tak zupełnie, że interwencja, którą doradzał Dołhański, stała się zupełnie zbyteczna i trzeba ją było powstrzymać. Ale natomiast ze strony pojedynczych komorników, a nawet niektórych gospodarzy, zaczęły się szkody w lesie. Krzycki na czele miejscowych i jastrzębskich leśników musiał od rana do

wieczora uganiać się za szkodnikami, którzy kryli się wprawdzie na jego widok, służbie jednakże stawiali się groźnie, wszystkim zaś obiecywali bliską pomstę. Leśnicy pootrzymywali niezdarne listy z obietnicą, że "dostaną kulą w łeb i dziedzic też". Ale dziedzic, któremu nie brakło młodocianej energii ani nawet chęci do przygód, wcale nie zaniechał obrony rzeźlewskich lasów, a co więcej wpadł osobiście do Rzeźlewa i zwoławszy szkodników zapowiedział im sąd i karę.

A następnie udał się w oznaczonym terminie na obrady. Miał to być ostatni dzień pobytu w Jastrzębiu pani Otockiej, Maryni i Grońskiego, którzy postanowili ostatecznie wyjechać nazajutrz do Warszawy. Panna Anney na prośby pani Krzyckiej zgodziła się zostać jeszcze dni kilka i wyruszyć dopiero z nią razem. Władysław zapowiedział, że wróci, jak będzie mógł najwcześniej, by spędzić pożegnalny wieczór razem ze wszystkimi i posłuchać po raz ostatni zaczarowanych skrzypiec panny Maryni. Mówił także, że przywiezie zapewne ze sobą rejenta i doktora.

Wskutek tego czekali ich na obiad. Tymczasem koło godziny czwartej Groński zasiadł w swoim pokoju do listu do Dołhańskiego, panna Marynia wygrywała na górze codzienne egzercycje, pani Otocka siedziała u chorej, a panna Anney wyszła na ganek niby dlatego, by fotografować stare i ogromne drzewa otaczające z dwóch stron dziedziniec, a w rzeczywistości, by patrzeć, czy nie wraca ten; na którego w domu czekali. Toteż zamiast fotografować poczęła gubić wzrok i duszę w cienistej głębi starej lipowej alei. Nadzieja, że wkrótce ujrzy w tej głębi tuman kurzu, konie i powóz, a następnie, że z tego powozu, który zatrzyma się przed gankiem, wyskoczy chyża postać młodzieńcza, napełniała ją cichą radością. Oto za chwilę zobaczy przed sobą tę twarz urodziwą, sympatyczną, szczerą, te oczy, które mówią jej w każdym spojrzeniu sto

razy więcej niż usta, i usłyszy ten głos, który wnika jej aż do serca i drga w nim jak muzyka. Na tę myśl ogarniało pannę Anney takie słodkie, spokojne uczucie, jak gdyby była dzieckiem i jak gdyby jakaś kochana ręka kołysała ją lekko do snu lub jakby spoczywała w łodzi, którą łagodna fala niesie gdzieś w dal nieznaną a promienną. Dać się kołysać i dać się nieść, powierzyć się fali, nie myśląc na razie o tym, gdzie się łódź zatrzyma, to było wszystko, czego w takich chwilach pożądało serce dziewczyny. Ale i w innych, w których zadawała sobie pytanie: co będzie dalej? – patrzyła z wiarą w przyszłość. Niekiedy tylko, zwłaszcza gdy sen nie chciał kleić jej oczu, przelatywały jej przez głowę, jakby ciemne motyle, niepewności i obawy, ale i wówczas nawet mówiła sobie, że jeżeli niebo zachmurzy się w przyszłości, to obecnie ma nad sobą cudną pogodę – i każdy dzień podobny jest do kwiatu, a ona te kwiaty zrywa jeden po drugim i kładzie je na piersiach. Więc myślała, że już dlatego warto żyć, a nawet umrzeć.

Ale w tej chwili, choć dusza jej roztapiała się w słońcu, w pogodzie, w szmerze liści i w wielkim, pełnym światła wiejskim spokoju, nie miała wcale ochoty umierać, albowiem zdawało jej się, że razem z powietrzem wdycha w siebie radosne ukojenie. Wszystko, co ją otaczało, poczęło tracić cechy rzeczywistości, a zmieniało się w jakąś błękitną wizję, w jakąś pół jawę, pół sen – o szczęściu. Z tego rozmarzenia zbudził ją dopiero ten właśnie widok, w oczekiwaniu którego siedziała blisko od godziny na ganku. Oto na samym końcu alei pojawił się upragniony kłęb kurzu i zbliżał się z niezwykłą szybkością. Panna Anney oprzytomniała zupełnie. W pierwszej chwili chciała odejść. – „Trzeba, trzeba! - mówiła sobie – inaczej o n gotów pomyśleć, zem go tu wyglądała!” - I oburzyłyby się szczerze, gdyby jej kto powiedział, że właśnie tak było. – Lecz kolana jej stały się nagle tak słabe, że usiadła na

powrót; chwyciła tylko za aparat, by mogło się zdawać, iż znalazła się na ganku tylko dla zdejmowania fotografii. Tymczasem tuman zbliżał się do bramy wjazdowej ciągle z tą samą szybkością. Wkrótce, zupełnie zgodnie z obrazem, jaki ułożyła sobie poprzednio dziewczyna, wynurzyły się z kurzawy siwe głowy lejcowych koni. Błyskawiczne wrażenie radości wstrząsnęło panną Anney: „Jakże lecą i jak mu pilno!” Lecz zaraz potem pomyślała, że chyba konie poniosły, gdyż poczęła ją dziwić szybkość pędu. Byli już tak blisko bramy, że mogła dojrzeć rozwiane grzywy, rozdęte krwawe chrapy i szalony ruch nóg końskich. Nagle wstała i w oczach jej odbił się lęk, spostrzegła bowiem, że stangret siedzi pochylony tak, iż widać tylko wierzch jego głowy – bez czapki. Tymczasem rozhukane konie wpadły w bramę; woźnica spadł na zakręcie, a powóz niewiele wolniejszym biegiem jął zataczać półkole brzegiem gazonu. W powozie, na tylnym siedzeniu był tylko sam Krzycki z głową podniesioną do góry i opartą o powozową poduszkę. Krzyk przerażenia wyrwał się z piersi panny Anney. Konie w mgnieniu oka dopadły przed ganek i przywykle zatrzymywać się przed nim, zaryły się kopytami w ziemię. Krzycki poruszył się i blady jak trup, z krwią na kołnierzu i rękawie ubrania – wysunął się z powozu i gdy dziewczyna podbiegła ku niemu, zawołał chwytając ustami powietrze:

– Nic!... Jestem ranny, ale to nic!...

I runął na ziemię u jej stóp.

A ona podniosła go w jednej chwili ze zdumiewającą w kobiecie siłą i podtrzymując go ramionami i piersią, poczęła krzyczeć:

– Ratunku! Na pomoc! Na pomoc!

XV

W chwili gdy panna Anney podniosła ranionego Władysława, służba była na drugim końcu domu. Najbliżej, bo w sieni przy bilardzie, znalazły się pani Otocka i Marynia. Te, wypadłszy na ganek i widząc pannę Anney podtrzymującą rannego, poczęły za jej przykładem krzyczeć wniebogłosy. Ona tymczasem usadziła go na ławce w ganku i otoczywszy go ramieniem wołała o wodę. Obie siostry pobiegły po nią do kredensu i zaalarmowały cały dom. Zleciało się wszystko, co żyło. Pojawił się i Groński, który jednak w pierwszej chwili stracił głowę i dopiero opamiętawszy się wysłał co prędzej panią Otocką do pani Krzyckiej, by ją ostrzegła o wypadku. Tymczasem panna Anney kazała przenieść służbie rannego, sama zaś musiała zająć się przez chwilę swą służącą, która na widok Krzyckiego poczęła wyć i spazmować. Groński poleciał do stajni, by natychmiast wyprawić konie po doktora.

Lecz zanim wniesiono rannego do jego pokoju, nadbiegła matka, która na wiadomość o nieszczęściu zapomniała o swoich reumatyzmach i sama pomagała w przenosinach syna, w rozbieraniu go i układaniu na łóżku, a następnie poczęła mu obmywać rany gąbką. Władysław popadł z powodu znacznego upływu krwi w długie omdlenie, a po odzyskaniu na krótko przytomności zemdlął powtórnie, skutkiem czego nie mógł dać żadnych objaśnień o wypadkach. Powtórzył tylko kilkakrotnie: „W lesie, w lesie!” – z czego można było wywnioskować, że napad miał miejsce nie na gościńcu publicznym, ale w granicach Rzęślewa lub Jastrzębia.

Tymczasem ozwał się przed gankiem turkot bryczki, a w chwilę później Groński wywołał pannę Anney z jej pokoju, w którym zmieniała naprędce ubranie zalane krwią.

– Jadę sam – rzekł. – Stangret jest także ranny i zajęła się nim gospodyni, a żaden z fernali nie chce jechać. Wszyscy się boją i odmawiają stanowczo. Gotów jechać tylko stary lokaj Antoni, ale myślę, że on jeszcze mniej umie powozić niż ja.

– Trzeba natychmiast jechać po doktora – odpowiedziała panna Anney przykładając dłonie do rozpalonych policzków – ale trzeba się zająć i obroną domu. Niech pan biegnie jeszcze do czworaków i pośle po gajowych, żeby tu przyszli z bronią. Inaczej tamci gotowi go tu dobić.

– Prawda!

A ona mówiła spieszenie dalej:

– Trzeba też posłać po ludzi do tartaku i dać im strzelby. Parobcy ruszą się za ich przykładem. Prawdopodobny jest napad na dwór, a tu same kobiety. Pan musi się zająć obroną. Niech pan idzie natychmiast i posyła po gajowych.

Groński uznał słuszość tych rad i ruszył niezwłocznie ku zabudowaniom folwarcznym. Było istotnie możliwym, że napastnicy, nie wiedząc, jaki skutek odniosły ich strzały, zechcą się o tym przekonać; aby w danym razie dokończyć roboty. Tak stało się już w kilku wypadkach, a wobec tego chodziło o wszystkich, przede wszystkim zaś o kobiety. Grońskiemu, który nie był człowiekiem energicznym, ale nie był też i tchórzem, dodała energii myśl o droższej mu nad wszystko w świecie Maryni. I natychmiast rozesłał parobków po gajowych, jak również do tartaku, gdzie pracowało kilkunastu ludzi, o których wiedziano zarówno we dworze jak na wsi, że czytują „Polaka” -i nie boją się nikogo. Czeladź dworska ochłonęła też bardzo prędko z pierwszego przerażenia. Powód tego był taki, że ranny stangret, lubo nie widział napastników, którzy strzelali z gąszczów, twierdził jednak z wszelką pewnością, że to „rzęślewiaki napadły na dziedzica” z powodu zatargów o las. To odjęło sprawie wszelką tajemniczą grozę, chłop zaś

nie boi się niebezpieczeństwa, ale tajemnicy. Przy tym, ponieważ między ludźmi z Jastrzębia i Rzęślewa istniała pewna zastarzała niechęć, datująca jeszcze od czasu sporów o graniczną strugę, więc jak tylko wieść o zamachu rzęślewiaków rozeszła się po wsi, jastrzębiacy nie tylko przestali się bać, ale jęła się w nich rodzić chęć pomsty. Parobcy dworscy poczuli się teraz wstydzić tego, że odmówili jazdy po doktora. Inni, dowiedziawszy się, że Rzęslewo chce napaść na jastrzębski dwór, pochwytali za widły i powyciągali koły z płotów. Groński, który wiedząc o przyslanym Władysławowi wyroku śmierci z miasta, inaczej patrzył na sprawę, zachował swój pogląd dla siebie, rozumiejąc, że chłop, chociaż zrazu często okazuje jakąś niezwykłą lęklivość, jednakże gdy raz zdecyduje się wyciągnąć kół z płota, to już nie złęknie się byle kogo.

Więc rad z takiego obrotu rzeczy, zabrał ze sobą tęgiego fornala, który podjął się zawieźć go do miasta, i wrócił do dworu, by ruszyć po doktora. Lecz tu czekała go niespodzianka, albowiem przed gankiem nie było już ani śladu bryczki, w ganku zaś stał stary lokaj Antoni z twarzą bezradną i panna Marynia, blada, przestraszona, ze łzami w oczach, która ujrzawszy go poczęła wołać:

– Jak pan mógł pozwolić jej samej jechać! Jak pan mógł pozwolić?!

– Panna Anney sama pojechała do miasta?! – zakrzyknął Groński.

I na twarzy jego odbiło się takie zdumienie, iż łatwo było odgadnąć, że nie stało się to z jego wiedzą i wolą.

– Na Boga! – mówił – wyprawila mnie na folwark dla zarządzenia obrony i ani mi do głowy nie przyszło, że tymczasem skoczy na bryczkę i pojedzie. Ani mi do głowy nie przyszło.

Ale Marynia nie przestała lamentować.

– Zabiją ją w lesie, zabiją – powtarzała załamując ręce. Groński, by ją uspokoić, obiecał jej, że natychmiast wyśle pomoc, ale wróciwszy na folwark zaczął rozumować: jeśli sam siądzie na koń i pojedzie, to nic nie wskóra, a zostawi dom bez męskiej głowy i Marynię bez obrony; jeśli wyśle parobków, to nim dojadą do lasu, panna Anney go minie. Musiała przecież jechać co koń wyskoczy. Można jej było zabezpieczyć jako tako powrót, ale posyłać ludzi dla zabezpieczenia jej przejazdu przez las w stronę do miasta było stanowczo zbyt późno.

Uznał to i Dołhański, który nie wiedząc o niczym powrócił wypadkowo w pół godziny później z Górek do Jastrzębia. Dowiedziawszy się o wypadku i o wyprawie panny Anney, nie mógł się jednak wstrzymać od okrzyku:

– Ależ to dzielna dziewczyna! Chciałbym być Krzyckim. Po czym idąc z Grońskim, by zobaczyć ranionego, dodał:

– Trzeba będzie wyjść na jej spotkanie i ja się tym zajmę. Władysław był już zupełnie przytomny i chciał wstawać. Nie uczynił tego tylko na prośby i zakłęcia matki. Obaj przyjaciele nie powiedzieli mu oczywiście, kto pojechał po doktora. Oznajmili mu tylko, że doktor niebawem przyjdzie i po krótkim czasie wyszli, mając co innego do roboty. Dołhański objął teraz komendę nad zaimprovizowaną załogą, która miała bronić dworu.

Groński nie spodziewał się w nim tak nadzwyczajnych zasobów energii, zimnej krwi i pewności siebie. Udzieliło się to wnet służbie leśnej i dworskiej i organizacja obrony nie poszła trudno. Dwaj gajowi jastrzębscy i jeden rześlewski, który nadszedł później, posiadali własne strzelby, a we dworze znalazło się sześć sztuk broni myśliwskiej Władysława, w tym dwa sztucery. Dołhański rozdał cały ów arsenał ludziom umiejącym obchodzić się z bronią. Ze wsi zgłosiło się kilku czeladzi gospodarskiej, którzy odbyli wojnę japońską. W tych warunkach można się

było nie obawiać napadu, zwłaszcza że nie mógł już przyjść niespodzianie. Robotnicy z tartaku, wielce uświadomieni narodowo, mieli nawet ochotę, „żeby się coś zdarzyło” – i żeby mogli pokazać, jak się nieproszonym gościom "wyciera zęby".

Urządziwszy wszystko w ten sposób Dołhański powierzył Grońskiemu obronę dworu i kobiet. Uspokoił je jednak przedtem co do panny Anney zapewnieniem, że wracał z Górek przez te same lasy i przejechał bezpiecznie. Była to istotnie prawda. Ale co więcej, nie spotkał wcale Angielki, którą powinien był spotkać, z czego wypadało, że odważna, ale i roztropna panna pojechała widocznie inną, poboczną drogą. Ponieważ jednak do miasta nie było daleko i powrotu jej należało się wkrótce spodziewać, przeto wzięwszy dwóch gajowych uzbrojonych od stóp do głów ruszył na jej spotkanie. Groński znów musiał podziwiać jego „tupet” i pomysłowość, z jaką przesłał w imieniu „Komitetu Centralnego” rozkaz do chłopów na wieś, by w razie, jeśli usłyszą strzały w lesie, szli na pomoc z całą gromadą. Chłopi nie wiedzieli, co to jest „Komitet Centralny”, Dołhański również. Wiedział tylko, że sama nazwa uczyni wrażenie, a domyśl, że jest to jakaś polska władza, zapewni jej tym chętniej posłuch.

Lecz były to zbyt ostrożności, gdyż pokazało się, że w lesie jastrzębskim i w rześlewskim, który ciągnął się wzdłuż drugiego brzegu drogi, nie ma nikogo. Ci, którzy strzelali do Krzyckiego, wynieśli się, widocznie w obawie pościgu, z należyтым pośpiechem, albo też czekając nocy zataili się gdzieś w dalekich zaroślach należących do innych wsi. Jeden z gajowych, który poprzednio wypytał dokładnie stangreta o miejsce, w którym była zasadzka, znalazł jednakże, przetrząsając pobliskie gąszcza, wystrzelone gilzy browningów, wskutek czego upadło przypuszczenie, że zamachu dopuścili się komornicy rześlewscy. Dołhański nie

wątpił już, iż to, co się stało, było następstwem wyroku, o którym dowiedział się od Grońskiego. Ale to właśnie wydawało mu się „bardziej interesującym”. Pomyślał, że spotkać napastników i rozprawić się z nimi we właściwy sposób, byłby to rodzaj hazardu, wcale nie pozbawiony pewnego uroku. Jakoż znaleziono wkrótce jeszcze kilka pustych gilz browningowych, lecz dalsze poszukiwania pozostały bez rezultatu.

Wówczas Dołhański zawrócił na gościniec, prowadzący do miasta, i w pół godziny później spotkał wracającą co koń wyskoczy pannę Anney, za którą siedział w tyle bryczki doktor.

W mieście byk dzień targowy, zdarzyło się więc, że w tym samym czasie kilkanaście fur z Jastrzębia i z Rzęślewa wracało do domów i na drodze ruch był dość znaczny. Wskutek tego panna Anney nie przestraszyła się widokiem idących naprzeciw trzech zbrojnych ludzi, a po chwili, poznawszy Dołhańskiego, zaczęła wstrzymywać konie.

– Jak ranny? – zapytała.

– Przytomny. Dobrze.

– Co w domu?

– Nic nowego.

– Chwała Bogu!

Bryczka pomknęła znów i po chwili skryła się w kłębach kurzawy, a Dołhański, nie mając dalej nic do roboty, zawrócił również do Jastrzębia.

Idący za nim gajowi poczęli rozmawiać ze sobą i udzielać sobie wzajem uwag o pannie, „co tak powozi jak najlepszy furman”, Dołhańskiemu zaś został również w oczach obraz młodej i urodziwej dziewczyny, z lejcami w rękach, z rozognioną twarzą i rozwianym włosom. Ile w tym wszystkim było odwagi i rozmachu! Nigdy dotychczas panna Anney nie wydawała mu się tak urocą. Wiedział od Grońskiego, w jaki sposób wyrwała się do miasta i

zachwycał się nią szczerze. – „To nie nasze przezroczyście i trzęsące się z lada powodu galaretki - mówił sobie: to życie! to dzielność! to krew! ” – Podziwiał on zawsze wszystko, co angielskie, zacząwszy od Izby Lordów, a skończywszy na wyrobach z żółtej skóry, ale obecnie podziw jego wzrósł jeszcze. „Jeżeli i jej posag oblicza się nie na złote polskie, ale na gwineje –monologował dalej - to Władek w czepku się rodził”. I ponieważ był egoistą, a przy tym człowiekiem odważnym, więc po chwili przestał sobie zaprzętać głowę Krzyckim oraz niebezpieczeństwem, jakie groziło wszystkim i jemu samemu, a począł rozmyślać o swym położeniu w świecie. Przypomniał sobie, że raz jeden w życiu mógł się sprzedać za gruby posag, ale z takim dodatkiem, że wołał się wszystkiego wyrzec. Gdyby jednak znaleźć dodatek podobny do panny Anney! I nagle ogarnął go pewien żal, że po poznaniu jej nie zajął się nią bliżej i nie starał się wzbudzić ku sobie jej zajęcia. Kto wie, myślał, czy w swoim czasie nie byłoby to możliwe. Ale w takim razie może należało przedstawić się jej bardziej rycersko i romantycznie, a mniej klubowo i drwiąco. Widocznie to nie był jej genre. Przede wszystkim jednak nie należało się ludzić co do pani Otockiej. Dołhański podejrzewał od pewnego czasu kuzynkę o ukryty sentyment dla Grońskiego i jednocześnie nie mógł zrozumieć, co w Grońskim mogło się kobietom podobać. Obecnie jednak ogarnęło go pewne z wątpienie o sobie samym, czuł bowiem wbrew dobrej opinii, jaką miał o sobie, że było w nim coś chybionego, że w jego wewnętrznym mechanizmie brakło jakiegoś kółka, bez którego cały mechanizm nie szedł jak należy. „Jeżeli bowiem – rozmyślał dalej – ja mogę się utrzymać na powierzchni tylko przez bogaty ożenek, a mój genre nie podoba się ani pani Otockiej, ani pannie Anney, ani w ogóle kobietom, tedy jestem podwójnym durniem – raz dlatego, iż myślałem, że będzie się podobał, po wtóre, że nie mogę się

zdobyć na to, by go zmienić”. A czuł, że istotnie nie będzie się mógł na to zdobyć, i z powodu lenistwa, i z obawy, by się nie wydać śmiesznym.

– A wobec tego trzeba będzie chyba skończyć na Kajetanie z przyległościami!

W kwaśnym usposobieniu powrócił do Jastrzębia i zarządzwszy strażę nocną udał się do domu, gdzie zastał nowiny lepsze. Doktor stwierdził, że Władysław ma rozerwany lewy bark, ponieważ jednak strzał dany był z dołu ku górze, przeto kula przeszła nad szczytem płuca. Druga obsunęła się po żebrze rozdzierając na znacznej przestrzeni skórę, trzecia zniosła koniec małego palca. Rany były bolesne, ale nie niebezpieczne. Stangret dostał tylko obcierkę po głowie. Najciężej postrzelony był lewy lejcowy koń, który jednak z powodu małego kalibru kuli, zdołał wraz z innymi docwałować do domu i zdechł dopiero w godzinę po powrocie.

Wszystko to jednak dowodziło, że napad nie był jakąś doraźną zemstą bezrolnych rzęślewskich za obronę lasu, ale uplanowanym zamachem. Z tego powodu Groński był zdania, że pani Otocka z Marynią powinny wyjechać nazajutrz. Sam chciał odprowadzić je do kolei i wrócić. Ale one obie oświadczyły, że teraz właśnie zostaną dopóty, dopóki wszyscy nie będą mogli wyjechać. Panna Marynia pierwszy raz w życiu pokłóciła się przy tej sposobności z Grońskim i skończyło się oczywiście na tym, że on ustąpił. Zresztą wyjazd nie został na długo odłożony, doktor bowiem obiecał, że za jaki tydzień można będzie przy zachowaniu wszelkich ostrożności przewieźć rannego do Warszawy. Pannie Anney nikt nie próbował nawet doradzać natychmiastowego wyjazdu.

Na tych naradach zeszła reszta wieczoru. Koło dziesiątej doktor Szremski zrobiwszy, co do niego należało, chciał wyjechać do miasta, ale ze względu na panią Krzycką został

na noc, a ponieważ był utrudzony bardzo, udał się do pokoju Grońskiego i usnął zaraz. Panie podzieliły między sobą pracę w ten sposób, że obie siostry miały czuwać nad panią Krzycką, która po chwilowym podnieceniu zapadła ciężko na bicie serca i duszność panna Anney zaś, na spółkę z Grońskim, podjęła się sp4dziew mm przy rannym.

XVI

Na świecie czynił się pierwszy brzask, gdy Władysław rozbudził się po przerywanym i trochę gorączkowym śnie. Czuł się niezłe, tylko paliło go pragnienie, począł więc szukać oczyma, czy nie ma przy nim kogoś, kto by mu mógł podać wody, i spostrzegł siedzącą pod oknem pannę Anney. Musiała już czuwać od dawna, albowiem drzemała z dłońmi bezwładnie spoczywającymi na kolanach i z głową pochyloną tak nisko, że Władysław dojrzał w pierwszej chwili tylko jej jasne włosy, oświetlone światłem zielonej lampy. Drgnęła jednak natychmiast, jakby przeczuwając, że chory się rozbudził – i mogło mu się zdawać, iż odgaduje jego myśli, gdyż zbliżywszy się na palcach zapytała:

– Czy nie podać wody?

Krzycki nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się i mrugnął oczyma na znak zgody, po czym, gdy mu podała napój, wypił go chciwie, a następnie objąwszy lekko swą zdrową ręką jej dłoń, przycisnął ją do ust i trzymał przy nich długo.

– Moja najdroższa ręka!... – szepnął.

I znów przycisnął wargi do jej dłoni.

Panna Anney nie próbowała nawet jej cofać, tylko drugą ręką wyjęła z niej szklankę i postawiła ją na szafce przy łóżku, sama zaś pochyliła się nad nim i rzekła:

– Panu trzeba spokoju... Ja zostanę tu, póki pan nie wyzdrowieje, ale teraz trzeba myśleć tylko o zdrowiu, tylko o zdrowiu. Głos jej brzmiał tonem cichej i łagodnej

perswazji. Krzycki puścił jej dłoń. Przez czas jakiś poruszał ustami, ale nie można było dosłyszeć żadnego słowa i widocznie osłabł ze wzruszenia, gdyż poblądł, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

Panna Anney poczęła obcierać mu chustką twarz i mówiła dalej:

– Niech się pan uspokoi. Gdybym spostrzegła, że panu szkodzę, nie mogłabym tu przychodzić, a ja tak chcę być teraz przy panu. Ani słowa o niczym, póki nie pogoją się rany, ani słowa. Niech mi pan to obieca.

Nastała chwila milczenia.

– Niech pani pójdzie spocząć! – ozwał się błagalnym głosem Krzycki.

– Pójdę, pójdę, chociaż wcale nie jestem zmęczona. Przez pierwszą połowę nocy siedział przy panu pan Groński, a ja spałam. Doprawdy, że nie jestem zmęczona – i wyśpię się jeszcze w dzień. Niech się pan stara usnąć. Trzeba nie patrzeć na mnie i zamknąć oczy, to sen sam przyjdzie. Dobranoc! a raczej dzień dobry! bo na świecie już dzień.

Jakoż na niebie różowiły się już i złościły zorze poranne, a słońce miało zejść lada chwila. Światło zielonej lampy mdlało coraz bardziej i zlewało się z blaskami dnia. Władysław chcąc okazać, jak słucha każdego słowa swej umiłowanej opiekunki, przymknął oczy udając, że śpi, ale po pewnym czasie na korytarzu dały się słyszeć kroki i wszedł doktor w towarzystwie służącej panny Anney, na którą przychodziła kolej czuwania. Doktor zaspany był okrutnie, tak że zamiast oczu widać mu było tylko dwie szparki otoczone nabrzękłymi powiekami – ale wesół i hałaśliwy jak zwykle. Obejrzał bandaż, uznał, że opatrunki trzymają się dobrze, zbadał puls chorego, znalazł, że wszystko w porządku; następnie pootwierał sam okna, by odświeżyć przesycone jodoformem powietrze.

– Pyszny poranek – mówił – co? Zdrowie z nieba leci. Okna niech będą otwarte cały dzień. Jak tylko zaprzęgna, pojedę do miasta, bo mam chorych; którzy nie mogą czekać. Ale wrócę wieczorem i przywiozę dozorcę do posług przy rannym...

Po czym zwrócił się do panny Anney:

– Niech tylko pani nie przyjdzie do głowy samej po mnie jechać. Ranny się ma doskonale i gorączki – ledwo tam, ledwo! Panią Krzycką zobaczę jeszcze przed odjazdem. Nie trzeba jej przez cały dzień puszczać z łóżka – i niech jej kuzynki pilnują. Panu także zalecam łóżko. Oddychać można, wzdychać – nie. Ha! Wrócę koło piątej wieczorem – oczywiście, jeśli mi nie każą połknąć po drodze paru pigułek z socjalistycznej apteki. To modne teraz lekarstwo i trzeba przyznać, że działa szybko.

– Co się dzieje z matką? – zapytał zaniepokojony Władysław. Na to Szremski zwrócił się znów do panny Anney:

– Niech mu pani każe leżeć cicho, bo mnie nie słucha. Matka pańska nie ma piętnastu lat. Wczoraj zerwała się zapomniawszy o reumatyzmach i osłabionym mięśniu sercowym, kładła pana do łóżka, czekała na mój przyjazd, była przy opatunku – i dopiero, gdy dowiedziała się, że panu nic nie grozi – od razu: bach! Trzeba było ją położyć do łóżka. Z naszymi kobietami tak zawsze. To muchy nie kobiety! Ale matce nic. Zwykła reakcja po chwilowym napięciu nerwów. Gdy przyszła do siebie, kazałem jej leżeć i nie pokazywać się tu pod karą śmierci dla., pana. Tym jednym ją wstrzymałem. Inaczej tkwiłaby tu przez całą noc. Teraz pilnują jej pańskie filigranowe kuzynki, które także omal nie poprzewracały koziołków. Miałbym czworo pacjentów w jednym domu. To żniwo – co?! Na szczęście znalazła się przynajmniej jedna dusza z innymi nerwami, która nie zemdląła poetycznie. Ha!

– Ależ gada! – pomyślał Krzycki.

Lecz doktor począł spoglądać z wielkim uznaniem na pannę Anney i mówił dalej:

– Rulle Britannia! Aż miło patrzeć, jak mi Bóg miły! Co za zdrowie, co za nerwy! Przesiedziała od północy do rana – i nic! Jakby świeżo strząsnęła z siebie rosę! Powtarzam jeszcze raz: aż miło patrzeć! i idę do stołowego pokoju zobaczyć, czy mi nie dadzą kawy przed wyjazdem, bom głodny.

Ale przed odejściem rzekł jeszcze do panny Anney i jej służącej:

– Pani niech idzie ze mną napić się przed snem czego ciepłego, a panienka niech siedzi przy panu Krzyckim. Trzeba mierzyć temperaturę i zapisywać. W razie czego dać znać panu Grońskiemu, któremu powiem, żeby tu zaglądał. Do widzenia!

I przepuściwszy przed sobą pannę Anney, która na odchodnym uśmiechnęła się do rannego i powtórzyła: „do widzenia!”, wyszedł za nią. W stołowym pokoju zastali nie tylko kawę, ale dwie siostry oraz Grońskiego i Dołhańskiego, gdyż w domu nikt się nie kładł. Pani Otocka i Marynia przesiedziały noc przy pani Krzyckiej, która zapadła ciężiej, niż mówił synowi doktor, i tak nawet ciężko, iż była chwila wątpliwości, czy zbudzi się z długiego omdlenia. Obie „filigranowe” siostry były nadzwyczaj wyczerpane, a panna Marynia miała powieki koloru zupełnie liliowego. Groński chciał koniecznie, by doktor zbadal ją i zapisał jej coś wzmacniającego.

Lecz on potrzymano ją przez chwilę za puls rzekł:

– Przepiszę pani jako lekarstwo maksymę Konfucjusza, który powiada: „Jeśli prawdę chcecie wiedzieć, lepiej siedzieć niżli stać, lepiej leżeć niżli siedzieć, niżli leżeć lepiej spać”.

– Dobrze – odpowiedziała – ale po tym wszystkim, co zaszło, nie wiem, czy zasnę.

– To niech pani kto zaśpiewa: „A! a! kotki dwa, szare bure obydwu!” Byłe nie siostra, bo siostrze zapisuję także to samo – aż do skutku!

Turkot bryczki przerwał dalszą rozmowę. Doktor połknął gorącą kawę i począł się żegnać. Dołhański wyszedł za nim i siadłszy na konia, którego trzymał stajenny, oświadczył, że odprowadzi go przez las.

– Jeśli to dla mego bezpieczeństwa, to zupełnie niepotrzebne rzekł doktor.

– Ja co dzień jeżdżę konno – odpowiedział Dołhański a prócz tego chcę zobaczyć, czy do jastrzębskich lasów nie przybyła znów jaka majówka.

– Nie – rzekł śmiejąc się doktor. – Myślę, że teraz nieprędko się pojawią. Oni mają w tych rzeczach pewną metodę. Wolą być myśliwymi niż zwierzyną, a rozumieją, że teraz może przyjść do obławy. Za jakiś tydzień lub dwa, gdy się dowiedzą, że zamach się nie udał, trzeba się będzie mieć bardziej na ostrożności.

– Kiedy Krzycki będzie mógł wyjechać?

– Zależy od tego, czy ma zdrową krew, a przypuszczam, że ją ma. Zresztą nie potrzebuje czekać w Jastrzębiu na zupełne wyzdrowienie. Sianem się wykręcił - nie ma co mówić. Bo gdybym był nie przyjechał tego samego dnia, mogłoby przyjść do jakiego małego zakażenia. Ale tak, to aseptyka robi swoje. Ach ta Angielka, która patrzy niebieską mgłą! To mi kobieta – co? Wiesz pan, że ja w pierwszej chwili mało koziołka nie przewróciłem z oburzenia na panów, żeście jej pozwolili jechać w takich warunkach. Dopiero sama mi powiedziała, jak to było. Jeśli się w niej nie zakocham, to jestem marynowanym śledziem bez mleczka!

– Nie radzę – rzekł Dołhański – gdyż zdaje się, że na tym ładzie zjawił się już Wilhelm Zdobywca.

– Sądzi pan! Może być! może! I mnie to przychodziło do głowy.

– Czy dlatego, że angielska pruderia i angielski shocking poszły w kąt?

- Nie. Nie tylko dlatego. Pielęgnować rannych, to kobieca rzecz – i wobec tego shocking musi iść w kąt. Nawet wczorajsza jej wyprawa dowodziłaby tylko odwagi i energii. Ale przez tę niebieską mgłę przechodzą ku naszemu rannemu jakieś takie ciepłe promienie, że oj! To zresztą wcale nie przeszkodzi mi się zakochać. Skoro stary Dzwonkowski zakochał się w pańskiej małej kuzynce, to dlaczego ja nie miałbym sobie pozwolić.

– Tak samo mógłby się kochać w świętej Cecylii – rzekł Dołhański.

– Moja kuzynka to nie kobieta o dwóch nogach, ale symbol. I nagle przerwał, albowiem usłyszał jakieś głosy dochodzące z głębi lasu i puścił ku nim konia.

„Jednakże ten klubowiec nie ma duszy na ramieniu” – pomyślał doktor.

Ale alarm był próżny, gdyż byli to tylko chłopcy wiejscy, pasący bydło. Doktor, który już zlął z bryczki, ażeby w danym razie pośpieszyć Dołhańskiemu z pomocą, zobaczył ich niebawem między krzakami leszczyny. Po chwili ukazał się Dołhański – i wciskając w oko monokl, który mu wytrąciła jakaś gałązka, rzekł:

– To tylko niewinny wiejski obrazek: pastuszkowie i krowy w cudzym lesie – nic więcej.

Po czym pożegnał doktora i wrócił do domu.

Panna Anney nie poszła jeszcze spać, gdyż zastał ją rozmawiającą z Grońskim i zajętą zwijaniem jodoformowej gazy. Na jego widok podniosła oczy od roboty i zapytała:

– Nic nowego w lesie?

– Owszem, zdarzyło się coś z doktorem. Postrzelony. Na to zerwali się oboje z Grońskim:

- Co? gdzie? w lesie?
– Nie! W Jastrzębiu – odpowiedział Dołhański.

XVII

Władysław zastosował się z całym posłuszeństwem do zleceń panny Anney, ponieważ zdrzemnął się znów zaraz po jej odejściu i rozbudził się dopiero wówczas, gdy promienie słońca, które tymczasem wytoczyło się wysoko na niebo, padły na jego głowę. Wówczas począł marszczyć czoło, poruszać brwiami i wreszcie, otrząsnąwszy się na wpół z drzemki, poprosił o spuszczenie rolety. Czarnowłosa dziewczyna zbliżywszy się do okna chciała ją spuścić, ponieważ jednak uczyniła to zbyt skwapliwie i nie pottrzymała sznurka, przeto roleta opadła tak nagle, że wyrwała się całkiem z osady i runęła na dolną ramę okna. Wtedy dziewczyna wstydząc się swej niezręczności wskoczyła na krzesło, z krzesła na ramę i poczęła na nowo umocowywać roletę w kółkach. Krzycki patrzył na jej przegiętą postać, na wzniesione do góry ramiona i na czarny zwinięty warkocz niezupełnie jeszcze przytomnym wzrokiem, mrugając oczyma, jakby nie mógł przypomnieć sobie na razie, kto to jest – i dopiero, gdy zeskoczyła z ramy ukazując przy tym zgrabne i pełne nogi w czarnych pończochach, rozpoznał, kogo ma przed sobą i rzekł:

- Ach, to panna Polcia!
– To ja – odpowiedziała dziewczyna. – Przepraszam pana, iż narobiłam hałasu.

I zapłonila się jak róża pod jego wzrokiem, a jemu przypomniało się, jak widział ją, przybraną tylko w niebieskie perelki wodne, więc spojrział na nią z większą ciekawością i ozwał się:

- Nic nie szkodzi. Dziękuję panience za troskliwość.

Przy czym poruszył na znak podziękowania leżącą na kołdrze ręką, ale poczuwszy jednocześnie przejmujący ból skrzywił się i syknął.

A ona siadła na brzegu łóżka i pochylona nad nim, pytała z ogromnym niepokojem:

– Boli? – Boli.

– Może co podać, może kogo zawołać?

– Nie, nie!

Przez pewien czas trwało milczenie. Władysław marszczył się, zaciskał zęby, po czym odetchnął głęboko i rzekł jakby z pewną złością:

– To mnie urządzili te gałgany!

– O, żeby tak wpadli w moje ręce! – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby.

I taka niezgłębiona nienawiść rozblęła w jej oczach, a cała twarz przybrała wyraz takiego okrucieństwa, że mogłaby służyć za wzór do twarzy Gorgony. Krzycki zdumiał się na ten widok tak dalece, że zapomniał o bólu.

I znów zapadło milczenie. Dziewczyna opamiętała się po chwili, tylko policzki pobrały jej tak, że ciemny meszek nad ustami zaznaczył się wyraźniej – i zaczęła wypytywać:

– Co zrobić, żeby panu ulżyć?

Głos jej brzmiał teraz taką troską serdeczną, że Krzycki uśmiechnął się do niej i odpowiedział:

– Nic, chyba pożałować.

A ona w jednej chwili zaniósła się spazmatycznym płaczem, rzuciła się twarzą na jego nogi i objawszy je ramionami poczęła je przez kołdrę całować. Krucząc jej głową i całym przegiętym ciałem wstrząsnęło łkanie.

– Papienku, panno Polciu – wołał Krzycki.

I musiał powtórzyć to kilkakrotnie, zanim go usłyszała. Wreszcie podniosła się i zakrywszy oczy rękoma podeszła do okna, przycisnęła twarz do szyby i czas jakiś pozostała bez ruchu. Następnie jęła wycierać chustką oczy i poprawiać

pospiesznie roztargane włosy, jakby w obawie, by ktoś wszedłszy niespodzianie nie odgadł tego, co zaszło. Krzykiem zaś przebiegły przez głowę wszystkie chwile, w których się z nią stykał, począwszy od spotkania w ciemnej alei, gdy powiedziała mu, że wilkołak tak nie wygląda, i od wizji w łazience, aż do rozmowy po owej wizji w szpalerze grabowym nad stawem. Przypomniawszy sobie, jak od owej pory rumieniła się lub bladła na przemian przy każdym spotkaniu na jego widok, jak spuszczała oczy i jak wodziła nimi za nim, gdy jej się zdawało, że on tego nie widzi. Krzycki brał to z jednej strony za następstwa wypadku w łazience, z drugiej za podziw dla swej urody. Podziw ów głaskał wprawdzie mile jego męską próżność, ale się nad nim nie zastanawiał, gdyż mając głowę zajętą samą panną Anney niewiele się zajmował jej służącą. Teraz jednak zrozumiał, że jest to coś więcej niż mizdrzenie się fertycznej pokojóweczki do żadnego panicza i że ta dziewczyna zakochała się w nim bez pamięci i w sposób jakiś chorobliwy. Miłość jego do panny Anney była jednak zbyt głęboka i pochłaniająca zmysły, by miał się z takiego stanu rzeczy ucieszyć lub przewidywać, że po wygojeniu się ran będzie mógł w kawalerski sposób z uczuć dziewczyny skorzystać. Przeciwnie. Myśl, że mimo woli je wzbudził, wydała mu się przykrą i uciążliwą. Przejęła go obawa, co z tego może wyniknąć. Przyszło nań jakby widzenie jakichś kłopotów, zajęć i zawikłań, które tego rodzaju namiętność może zrodzić. Zrozumiał, że to jest ogień, z którym igrać lekkomyślnie nie można, że trzeba być ostrożnym i nie dawać żadnej zachęty. Postanowił też mimo litości i sympatii, jaką dla dziewczyny w głębi serca odczuwał, unikać nadal wszelkich rozmów, wszelkich żartów, wszystkiego, co mogło ją do niego zbliżać, spoufalać i wywoływać w przyszłości podobne do dzisiejszego wybuchy. Przeszło mu nawet przez głowę prosić panny

Anney, by jej więcej nie przysyłała, ale porzucił ten zamiar, spostrzegłszy, że taka prośba mogłaby wzbudzić niesmak lub rzucić na niego cień śmieszności. Ostatecznie doszedł do wniosku, że przede wszystkim należy nie wypytywać o nic dziewczyny, nie żądać żadnych wyjaśnień, co znaczył ten wybuch, te łzy – trzymać się zimno i z daleka.

Tymczasem dziewczyna, uspokoiwszy się pod oknem, zbliżyła się znów do łóżka i ozwała się pokornym, jakby złamanym głosem:

– Przepraszam pana. Niech się pan na mnie nie gniewa.

On zaś przymknął oczy i dopiero po długiej chwili odpowiedział:

– Ja się, panienko, nie gniewam, ale potrzebuję spokoju.

– Przepraszam – powtórzyła jeszcze pokorniej.

Jednakże zauważyła natychmiast, że on mówi jakimś innym tonem, bardziej suchym i zimnym niż poprzednio, i ogromna niepewność odbiła się na jej twarzy, nie wiedziała bowiem, czy to jest chwilowe niezadowolenie chorego, który istotnie chce spokoju, czy też obraza panicza, za to, że ona, dziewczyna służebna, ośmieliła się zdradzić ze swymi uczuciami. Bojąc się jednak narazić mu się w czym powtórnie, zamilkła i siadłszy na tym samym krześle, na którym siedziała panna Anney, wzięła z komody przyniesioną poprzednio robotę i poczęła szyc spoglądając jednakże od czasu do czasu z wielkim niepokojem i jakby z bojaźnią na Władysława.

Krzycki rzucał również na nią ukradkowe spojrzenia i widząc jej regularne, ale jakby z kamienia wykute rysy, mocno zakreślone brwi, ciemny meszek nad ustami i energiczny, niemal zacięty wyraz twarzy, myślał, że człowiekowi, który by rozbudził zmysły i uczucia takiej dziewczyny, łatwiej by było pozawiazywać rozmaite węzły, niż je potem rozwiązać.

XVIII

Doktor, wbrew oczekiwaniu, nie przybył tego dnia z powodu nadmiaru zajęć i kilku ważniejszych operacji, których musiał niezwłocznie dokonać. Przysłał natomiast młodego dozorcę szpitalnego, biegłego w opatrywaniu ran, oraz list, w którym prosił Grońskiego o oświadczenie paniom, by uważały odłożony przyjazd za dowód, że rannemu istotnie nic nie grozi. Władysław nierad był jednakże z tej wiadomości, albowiem rany dokuczały mu mocno – i zwłaszcza obdarta kulą wzdłuż żebra skóra dawała mu się dotkliwie we znaki, a po wtóre matka jego czuła się gorzej. Powtórzyły się duszności, po których przyszło ogólne osłabienie, tak iż mimo najgorętszej chęci nie mogła się podnieść z łóżka. Pani Otocka nie odstępowała jej cały dzień, a wieczorem miała ją zastąpić panna Anney, która jednakże, potrzebując spoczynku po ubiegłych wrażeniach i spędzonej bezsennej całej nocy, wysłana została spać przez obie siostry i przez Grońskiego. – Rolę gospodyni w Jastrzębiu objęła panna Marynia, albowiem chciała koniecznie być w czymś pożyteczną, a nie pozwolono jej zajmować się chorymi. Natomiast powierzono jej wszystkie klucze, zarząd domu oraz narady i rachunki z kucharzem, którego się trochę bała i nie lubiła za to, że patrzył na nią jak na dziecko, które się bawi, nie jak na osobę, która rządzi. Nadrabiała też miną pełną nadzwyczajnej powagi, ale swoją drogą „kochany pan”, to jest Groński, musiał jej obiecać, że znajdzie się niby wypadkiem w czasie rachunków w tym samym pokoju. Ponieważ po przybyciu na trzeci dzień doktora okazało się, że stan Władysława jest zupełnie pomyślny, a duszności pani Krzyckiej mijają i nerwy przychodzą do porządku, przeto nastrój ogólny w Jastrzębiu stał się spokojniejszy i weselszy. Dołhański rolę generalissimusa wszystkich sił

zbrojnych jastrzębskich, a Groński rolę wojskowego poczęli spełniać z pewnym humorem. Szremski przywiózł też drugiego felczera, który odtąd miał zmieniać się codziennie z przybyłym poprzednio, ca usuwało potrzebę ciągłego dozoru i zbyt wielu trudów dla pań miejscowych. Z takiego obrotu rzeczy był niezadowolony tylko Krzycki, rozumiał bowiem, że teraz panna Anney już nie będzie spędzała dni i nocy w jego pokoju i że prawdopodobnie nie ujrzy jej aż do chwili, w której sam będzie mógł opuścić łóżko. Jakoż tak się stało. Kilka razy na dzień przychodziła pode drzwi, wypytywała o jego zdrowie, przysyłała przez dozorców, co było potrzeba, a także „dobranoc” i „dzień dobry”, ale do pokoju nie wchodziła. Władysław tęsknił, po cichu kłął, zatruwał życie dozorców, a gdy dowiedział się od Dołhańskiego, z jakim zachwytem Szremski odzywał się o pannie Anney, począł go posądzać, że umyślnie nasłał dozorców, by w ten sposób utrudnić mu jej widywanie.

Pani Krzycka wstała czwartego dnia i czując się znacznie lepiej odwiedzała syna codziennie i przesiadywała u niego całe godziny. Władysław zadawał sobie nieraz pytanie, czy też ona domyśla się jego uczuć. I nie był pewien. Wiedzieli wprawdzie o nich wszyscy goście w domu, ale było możliwością, że ona jedna nie odgaduje nic, gdyż już na znaczny czas przed wypadkiem w lesie nie wychodziła prawie ze swego pokoju, skutkiem czego widywała ich rzadko razem. Krzycki zastanawiał się często nad tym, co mu należy uczynić: mówić z matką zaraz czy odłożyć to na później. Za pierwszą myślą przemawiał ten wzgląd, że matka, póki jest ranny i leży w łóżku, nie będzie śmiała wystąpić z surową opozycją z obawy, by nie pogorszyć jego stanu. Ale z drugiej strony takie wyrachowanie w sprawie, w której chodziło o umiłowaną istotę i o całe szczęście życia, wydawało mu się dziś marną chytrą. Myślał prócz tego, że wymuszać zgodę matki chorobą byłoby czymś

ublizającym i pannie Anney, przed którą drzwi domu jastrzębskiego i ramiona całej rodziny powinny się były otworzyć jak najszerzej i najradośniej. Ale powstrzymywał go jeszcze jeden wzgląd. Oto, mimo rozmowy, którą w swoim czasie miał z Grońskim, mimo słów zamienionych z panną, mimo jej troskliwości, poświęcenia, odwagi, z jaką nie zawahała się jechać po doktora, wreszcie mimo tych widomych oznak uczucia, które można było wyczytać w każdym jej spojrzeniu, Krzycki jeszcze wątpił i nie chciał uwierzyć we własne szczęście. Był młody, niedoświadczony i zakochany nie tylko po uszy, ale i po studencku, więc pełen na przemian niepewności, nadziei, radości i zwątpień. Wątpił również i o sobie. Czasem czuł u ramion jakieś skrzydła, a w duszy chęć wysokich lotów i utajoną zdolność do czynów wprost bohaterskich, a czasem myślał: „Któż ja jestem, by taki kwiat miał paść mi na piersi? Są ludzie, którzy mają talent, są, którzy mają naukę, inni – miliony, a ja co? Jestem zwykły rolnik-szlachciura, który całe życie będzie kopał jak kret ziemię - czy ja zatem mam prawo zaprzęgać do takiego życia, a raczej zamykać do podobnej klatki takiego rajskiego ptaka, który buja swobodnie po przestworzu na radość i podziw ludziom?” – I ogarniała go rozpacz. Lecz gdy wyobrażał sobie, że może nadejść chwila, w której ten rajski ptak odleci raz na zawsze, to patrzył na to ze zdumieniem jak na nieszczęście zbyt wielkie, na które jednak nie zasłużył. Miewał wszelako i godziny nadziei, zwłaszcza z rana, gdy czuł się zdrowszy i silniejszy. Wówczas wspominając wszystko, co zaszło od pierwszego jej przybycia do Jastrzębia i spotkania na pogrzebie Żarnowskiego, aż do tej ostatniej nocy, w której przycisnął do ust jej rękę, nabierak lepszej otuchy. Przecież powiedziała mu wówczas: „ani słowa o niczym, póki nie pogoją się panu rany”. Więc tym samym dała mu prawo powtórzyć jej w przyszłości, że mu jest droższa od całego

świata – i oddać jej w ręce swoją dolę, swoją przyszłość i całe życie. Niech z tym zrobi, co chce.

A tymczasem matka przywyknie do niej, oswoi się z nią i przywiąże jeszcze więcej. I tak matczyne serce pełne jest podziwu i wdzięczności za to, co dla niego uczyniła, a z ust jej nie schodzą słowa: „Bóg ją tu zesłał!” – Krzycki uśmiechnął się na myśl, że jednak matka przypisuje poświęcenie i odwagę młodej dziewczyny nie jakimś gorętszym uczuciom, ale wyjątkowo pocziwemu sercu oraz angielskiemu wychowaniu potęgującemu energię zarówno mężczyzn jak i kobiet. Powtarzała też kilkakrotnie i jeszcze i pani Otockiej, że chciałyby wychować Anusię na taką dzielną kobietę, dać jej tyle sił, zdrowia i tyle miłości dla „bliźnich”. Pani Otocka uśmiechała się także, słuchając tych pochwał, a Władysław myślał, że panna Anney może jednak nie dla wszystkich „bliźnich” uczyniłaby to samo – i ta myśl napełniarka go szczęściem. Ostatecznie był prawie pewien, że matka zgodzi się na jego małżeństwo z panną Anney, ale chodziło mu o to, jak się zgodzi. I pod tym względem nie byk zupełnie spokojny. Pani Krzycka byka osobą w stosunku do dawniejszych wymagań i pojęć więcej niż średnio wykształconą, posiadała wysoką ogładę towarzyską, czytywała sporo książek, władała biegle językiem francuskim i włoskim, za młodych lat bywała za granicą, a jednak tylko najbliżsi mogli wiedzieć, ile kryło się w niej narodowych i rodowych uprzedzeń i do jakiego stopnia wszystko, co nie było polskim – jeśli zwłaszcza od biedy nie pochodziło z Francji, wydawało się jej niezwykłym, obcym, dziwacznym, a nawet i rażącym. Okazało się to wypadkiem jeszcze przed zamachem na Władysława, gdy raz zobaczyła u panny Anney angielską książkę do nabożeństwa i otworzywszy ją spostrzegła modlitwy zaczynające się od: „O Lord!...”

Owóz, należąc do pokolenia, które nie uczyło się jeszcze po angielsku - i zasiedziawszy się od lat całych w Jastrzębiu, pani Krzycka nie wyobrażała sobie inaczej „lorda”, jak pod postacią długiej figury z żółtymi faworytami, przybranej w kraciaste ubranie – i ku wielkiej uciesze panny Maryni żadną miarą nie mogła zrozumieć, jak można tak tytułować Boga. Próżno Władysław tłumaczył jej, że i po francusku, i po polsku daje się Bogu analogiczne tytuły, uważała bowiem, że jest to zupełnie co innego – i wymogła na pannie Anney obietnicę, że będzie się modliła na polskiej książce, którą obiecała jej kupić.

Mogło wreszcie i to odgrywać swoją rolę, że panna Anney nie była prawdopodobnie szlachcianką. Krzycki obawiał się, że matka, nawet zgodziwszy się na małżeństwo, będzie w głębi i skrytości duszy uważać je jednak za mezalians. Myśl ta drażniła i gniołła go niepomierne i była jednym z powodów, dla których rozmowę z matką odkładał aż do przyjazdu do Warszawy.

Jeszcze bardziej gniewał go przymus leżenia w łóżku, tak że po trzech dniach zapowiadał każdego wieczora, że nazajutrz wstanie, a gdy czwartego panna Anney z Marynią powiedziały mu przez drzwi „dzień dobry”, wstał istotnie, ale dostawszy z osłabienia zawrotu głowy musiał się położyć na powrót.

Miał się jednak coraz lepiej, tęsknił coraz bardziej i bezczynność dawała mu się coraz więcej we znaki.

– Dosyć mam już tego rozgadanego Szremskiego – mówił do Grońskiego – dosyć opatrunków i jodoformu. Zazdroszczę nie tylko panu, ale nawet i Dołhańskiemu, który zajeżdża mi po wertepach konie i podobno dociera nawet do Górek.

– Dociera – odpowiedział wesoło Groński – i co mi daje do myślenia, to to, że czyni z tego tajemnicę i przestał ze mną o tych paniach rozmawiać.

Było to słuszne, ale tylko w połowie, gdyż Dołhański wpadał istotnie do Górek, ale natomiast niezupełnie przestał o tych paniach rozmawiać, albowiem nazajutrz wróciwszy właśnie od nich wszedł do pokoju Władysława, pachnący jeszcze koniem i rzekł:

– Wyobraźcie sobie, że pani Włócka dostała rozkaz od jakiegoś komitetu spod ciemnej gwiazdy, by wypłaciła pod karą śmierci tysiąc rubli na cele „partyjne”.

– Masz tobie! – zawołał Groński. – Ale teraz to zwyczajna rzecz. Kto wie, czy podobne rozkazy nie czekają już na naszych biurkach w Warszawie.

– No, ale cóż? – zapytał Władysław.

– A nic - odpowiedział Dołhański. – Te panie posprzeczały się naprzód trochę o to, która którą własną piersią zasłoni, potem zemdlały, potem przyszły do siebie, potem zaczęły się ze sobą żegnać w przewidywaniu rychłej śmierci, a na koniec udały się do mnie po radę, co robić.

– A ty coś im poradził?

– Ja poradziłem, by wykonawcom rozkazu, którzy zgłoszą się po pieniądze, powiedziały, że plenipotentem i kasjerem ich jest pan Dołhański, mieszkający pod takim to a takim adresem w Warszawie.

– Naprawdę takeś poradził?

– Daję wam słowo.

– W takim razie przyjdą do ciebie niewątpliwie.

– Wyobraźcie sobie, jak się obłowią! Ja także będę miał w tych nudnych czasach rozrywkę.

– Pozwól – rzekł Groński – czasy są ciężkie, to pewna, ale chyba nikt nie może powiedzieć, że są nudne.

– Jak dla kogo – odpowiedział Dołhański. – Jeśli kiedy pożyczę od ciebie pieniędzy, wówczas będę się musiał do twoich upodobań stosować, ale przedtem mnie na dyskusję polityczną nie wyciągniesz. Tymczasem powiem ci tylko tyle, że ja jestem taki mikrobia społeczny, który może ostać

się jedynie wśród zupełnego spokoju. Ja potrzebuję, by bridge szedł w klubie normalnie, a wkrótce będzie to niemożliwe. Te czasy są może dla ciebie zajmujące, ale nie dla mnie.

– Bądź co bądź – zauważył Groński – odbywa się pewne przewietrzanie zapleśniałych stosunków, a skoro sam się przyrównałeś do mikroba, to tym samym przyznajesz, że te czasy są dezynfekcją.

Na to Dołhański zwrócił się do Krzyckiego:

– Podziękuj Grońskiemu – rzekł – bo dezynfekcję zaczęto od ciebie, z czego prosty wniosek, że ty jesteś mikroba szkodliwszy ode mnie.

– Ożeń się, ożeń – odpowiedział wesoło Władysław. – Dobry posag wyleczy cię z pesymizmu.

– Być może, gdyż w takim razie będę miał za co opuścić ten miły kraj i osiąść gdzie indziej. Powiedziałem ci już raz, że Opatrzność często przemawia przez usta niewiniątek. Ale i o ożenieniu się należało pomyśleć wówczas, gdy w perspektywie były nie jakieś Górki, czy Dołki, lecz coś około czterech milionów franków.

– Miałeś taką sposobność?

– Jak mnie tu widzicie. Zdarzyło się w Ostendzie jedno stare belgijskie czupiradło, owdowiałe po fabrykancie konserw i mające gotówką kwotę jak wyżej, które chciało wyjść za mnie – i to na poczekaniu.

– I co?

– I nic. Pamiętam, co mi powiedział Cześ Birkowski, który bawił wówczas w Ostendzie: „Rób, powiada, interes, w najgorszym razie dwa miliony zostawisz babie i puścisz ją kantem, a dwa miliony weźmiesz sam i będziesz się bawił jak król...”

– A ty co na to?

– A ja na to powiadam tak: „Jak to, ja miałbym dawać z moich własnych, krwawo zapracowanych pieniędzy dwa

miliony brzydkiej i starej babie? – za nic!” – A teraz myślę, że dla konceptu puścił fortunę, i że mogą przyjść czasy, w których będę się miał do odstąpienia „z powodu zwinięcia interesu” za mniejszą cenę.

Groński i Władysław poczęli się śmiać, lecz Dołhański, który mówił z większą goryczą, niż przypuszczali, ruszył ramionami i rzekł:

– Cieszcie się, cieszcie! – Jeden już oberwał, a drugi, da Bóg, także sianem się nie wykręci. Ładne czasy! Chaos, anarchia, orgia polityczna, brak jakiegokolwiek władzy, taniec dynamitu z nahajką i upadek bridge’a! ŚmieJCie się!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM II

I

Jednakże to, co Dołhański mówił o braku jakiegokolwiek władzy, okazało się niezupełnie słuszne, albowiem po upływie tygodnia dała znak życia i władza. Nadeszła pokaźna siła zbrojna wraz z żandarmami i policją. Naturalnie, sprawcy zamachu na Krzyckiego nie oczekiwali cały tydzień na przyjscie do Jastrzębia wojskowej odsieczy, gdyż widocznie mieli interesy i w innych stronach powiatu. Wskutek tego lasy jastrzębskie jak również rześlewskie okazały się puste. Natomiast w samym Jastrzębiu zaaresztowano kilkunastu ludzi, między innymi obu gajowych, stangreta, który był ranny w czasie napadu i wszystkich robotników z tartaku. We dworze poczęto sprawdzać nader dokładnie paszporty, spisywać protokoły i poddawać ścisłym badaniom gospodarzy i gości, nie wyłączając kobiet. Z tych badań okazało się, że władze w istocie rzeczy przybyły wcale nie dlatego, że na właściciela Jastrzębia został wykonany zamach, ale w celu pochwylenia niebezpiecznego rewolucjonisty, niejakiego Laskowicza, który wedle najdokładniejszych informacji, zebranych przez policję, ukrywał się w Jastrzębiu, osłaniany powszechną znową jego mieszkańców. Oświadczenie Krzyckiego, że w swoim czasie paszport tego Laskowicza odesłał do policji i że Laskowicz, jeśli wyjechał z miasta, to musiał go odebrać – jak również zaręczenia wszystkich obecnych, że Laskowicza w Jastrzębiu nie ma, nie znalazły żadnej wiary. Władze były zbyt doświadczone i ostro kute, by podobnym bredniom uwierzyć i widzieć w nich co innego, jak

„nieprawomyślność, brak szczerości i serdecznego wylania”. Poddano też najskrupulatniejszej rewizji cały dom, począwszy od strychu aż do piwnic. Pukano w ściany, celem przekonania się, czy nie ma w nich tajnych kryjówek. Szukano wśród sukien i bielizny damskiej, w piecach, pod dywanami, w szufladach i pudełkach od pastylek z fenacetyną, które woził ze sobą Groński, na koniec w zabudowaniach dworskich, w żłobach stajennych, w centryfudze od mleka, w młynkach ze smołą, a nawet w ulach, których mieszkanki, przejęte widocznie ogólną nieprawomyślnością panującą w Jastrzębiu, sprzeciwiały się jednak rewizji w sposób zarówno nieprawomyślny jak dotkliwy. Ale ponieważ poszukiwania, mimo całej dokładności i inteligencji, z jaką zostały przeprowadzone, nie dały żadnego pomyślnego wyniku, zabrano przeto we dworze sto kilkadziesiąt tomów książek, rejestra, gospodarskie, całą prywatną korespondencję gospodarzy i gości, fiszki kościane do gry w karty, dzwonek z Napoleonem, maszynkę do golenia się, barometr – i mimo pozwolenia jakie posiadał Krzycki, wszelką broń myśliwską, nie wyłączając strzelby strzelającej korkiem, która była własnością małego Stasia. Sam Władysław byłby został niechybnie aresztowany jako „wspólnik” Laskowicza, gdyby nie to, że nadjechał doktor, który leczył kapitana na basedówkę, a zwłaszcza gdyby nie depesza, którą zniecierpliwiony do ostateczności Dołhański pokazał kapitanowi przed wysłaniem jej do miasta. Była ona zaadresowana do wielce wpływowego generała W., z którym Dołhański grywał w klubie w bridge'a i zawierała skargę na brutalność i samowolę rewizji. To ostudziło w znacznej części gorliwość kapitana i jego podkomendnych, którzy poprzednio, przy rewizji paszportów, zauważyli, że Dołhański jest istotnie członkiem klubu. W ten sposób Władysław zachował wolność, z dodatkiem tylko dozoru

policyjnego, a mały Staś odzyskał strzelbę strzelającą korkiem. Broni jednak kapitan nie mógł zwrócić, miał bowiem rozkaz, czarno na białym, konfiskowania nawet starych strzelb myśliwskich w całej okolicy.

– Doux pays! doux pays! – wołał po odejściu policji Dołhański. – Rewolwery posiadają obecnie tylko bandyci. Wobec tego podaję się do dymisji jako dowódca sił zbrojnych jastrzębskich, zarówno lądowych jak i wodnych. Jesteśmy teraz na łasce i niełasce!

– Jedźcie państwo jutro do Warszawy – rzekł doktor. – Tu nie ma żartów.

– Jedźmy do Warszawy – powtórzył Dołhański - i tam, nie tracąc czasu, zapiszmy się do ekspropriatorów-socjalrewolucjonistów, uważam bowiem, że jest to jedyne w kraju Towarzystwo Ubezpieczeń, które naprawdę ubezpiecza.

– Od wypadków – dodał Krzycki – a ubezpieczyć się można u mojego osobistego przyjaciela i „wspólnika” Laskowicza.

Na to znów Dołhański:

– Ten wspólnik dał ci już nawet na rachunek zaliczkę W przyszłości zapewne jeszcze coś otrzymasz.

Grońskiemu przyszedł na myśl i list Laskowicza do panny Maryni, o którym wśród mężczyzn w Jastrzębiu on jeden wiedział – i nienawiść osobista młodego medyka do Krzyckiego. Było dość prawdopodobnym, że Laskowicz widział we Władysławie współzawodnika i przyszłego pretendenta do ręki panny Maryni - a gdy przy tym Krzycki popsuł jego robotę w Rzęślewie, mógł istotnie pofolgować nienawiści i ze względów osobistych, i w imię „sprawy”. Sam Laskowicz był może człowiekiem po swojemu uczciwym, ale etyka partii była przecież także w stosunku do przestarzałej moralności rewolucyjną i na takie rzeczy pozwalała.

Lecz obecnie nie było czasu długo nad tym rozmyślać, więc po chwili Groński machnął ręką i rzekł:

– Czy Laskowicz umoczył w tym rękę, czy nie, to się może później pokazać. Teraz trzeba się zająć czym innym. Ja zapowiadam stanowczo, że jutro rano wywożę stąd moje panie, ale chciałbym, ażeby cały Jastrząb poszedł za moim przykładem.

Po czym zwrócił się do Szremskiego:

– Czy Władysław może jutro jechać?

– On? Choćby do Anglii – odpowiedział doktor.

Groński i Dołhański uśmiechnęli się po tych słowach, a Władysław zarumienił się jak student i rzekł:

– To trzeba oznajmić paniom.

– A jutro powszechny exodus! – dodał Groński.

I poszedł do pań, które wiadomość o postanowieniu przyjętym z widoczną ulgą. Obie siostry postanowiły zabrać do swego mieszkania w Warszawie panią Krzycką, ale ona nie przyjęła tych zaprosin, chcąc mieszkać razem z synem, i zgodziła się dopiero wówczas, gdy Groński oświadczył, że bierze Władysław do siebie, i zaręczył, że nie zabraknie mu opieki ani wygod. Panna Anney, której mieszkanie leżało drzwi w drzwi z mieszkaniem pani Otockiej, ofiarowała je również na użytek młodych członków rodziny Krzyckich i ich nauczycielki. Ale kwestię tę odłożono aż do przybycia do Warszawy. Tymczasem doktor: pozwolił Krzyckiemu wstać, dlatego by nie wyruszał w drogę wprost z łóżka. Przed wieczorem całe towarzystwo zgromadziło się na werandzie ogrodowej. Brakło tylko Dołhańskiego, który pojechał do Górek, albowiem postanowił doradzić pani Włóckiej i panie Kajetanie, by również przeniosły się do miasta Władysław, po znacznej utracie krwi i dłuższym leżeniu w łóżku, wyglądał blado i mizernie, ale twarz jego nabrała przez to bardziej subtelny wyraz i stała się istotnie niezwykle piękną. Obecne panie zajmowały się nim,

jako chorym, z nadzwyczajną troskliwością. Był tą osobą, ku której zwracało się ogólne współczucie, więc choć od czasu do czasu émiło mu się w oczach, upewniał matkę, że mu jest dobrze - i rzeczywiście rad oddychał świeżym, przedwieczornym powietrzem. Chwilami ogarniała go jakby lekka senność. Wówczas przymykał powieki i rozmowa cichła, lecz gdy je podnosił znowu, widział wpatrzony w siebie oczy matki i trzy oświecone zachodzącym słońcem młode twarze kobiece, które wydawały mu się wprost anielskie. Otaczała go miłość i przyjaźń, więc było mu istotnie dobrze. Serce wezbrało w nim uczuciem wdzięczności i zarazem żalem, że się te dobre dni jastrzębskie już kończą. W duszy żywił nadzieję, że nie wyjeżdża z Jastrzębia na długo, i obiecywał sobie rychło wrócić, a obiecywał z taką mocą, z jaką człowiek pragnie szczęścia. Jednakże czasy były tak dziwne, tak niepewne i tyle mogło zająć wypadków, których niepodobna było przewidzieć, iż mimo woli rodziła mu się w sercu obawa, jaki obrót wezmą bieżące zdarzenia, jaka będzie przyszłość kraju i co za rok lub dwa stanie się z tym Jastrzębiem, który stał mu się teraz istotnie drogi, albowiem tu otworzyły się przed nim te drzwi, za którymi ujrzał wielką jasność szczęścia. Miłość potrzebuje gniazda, jak ptak. Otóż Krzycki wprost nie umiał sobie wyobrazić swojej jasnowłosej panny i siebie gdzie indziej jak w Jastrzębiu. Ale za to serce poczynało mu bić ze zdwojoną siłą, gdy spoglądając na nią, puszczał wodze marzeniom i wyobrażał sobie, że może za rok, albo i prędzej, będzie siedziała na tej samej werandzie jako pani tego domu i jako jego żona. Wówczas zwracał się ku niej i zapytywał ją duszą i oczyma: „Czy ty odgadujesz i odczuwasz moje myśli?” Ale ona, może dlatego, że krępowała ją obecność tylu świadków, nie odpowiadała na jego spojrzenia, siedząc jakby w zamyśleniu i wodząc wzrokiem za jaskółkami, które kręciły się chybk

wysoko nad drzewami ogrodu i nad stawem. Krzyckiego, gdy na nią teraz spoglądał, przejęło jakby podziwem pewne przeciwieństwo między jej dorodną postacią, silnymi ramionami i wypukłą piersią, a drobną dziewczęcą twarzą. Ale widział w tym tylko nowy urok i nowe ponęty, pod których mocą przelatowała chwilami przez jego miłość piekąca żądza, podobna prawie do bólu i tłumiąca oddech w piersiach.

Tymczasem słońce zniżyło się znacznie i poczęło się kapać w rozplamionych zorzach wieczornych. Ze skoszonych świeżo trawników dochodził mocny zapach przygrzanych przez dzienny upał kopek siana. Wszelako powietrze stało się pod wieczór rzeświesze, albowiem od olszyn, okalających staw, dolatywało od czasu do czasu chłodne tchnienie, tak jednak słabe i lekkie, że nawet liście nie poruszały się na drzewach. Jaskółki zataczały kręgi coraz wyżej nad zarumienioną roztoczą stawu. Na wysokiej topoli z uciętym wierzchołkiem klekotał w gnieździe bocian, to przechylając głowę w tył, to spuszczać ją w dół, jakby się kłaniał zachodzącemu słońcu lub odprawiał wieczorne nieszpory.

– Zagram i ja co na pożegnanie Jastrzębiowi – ozwała się nagle panna Marynia.

– Ach, kochane stworzenie! – rzekł Groński – może pójsć po pulpit i nuty?

– Nie. Będę grała z pamięci.

I to rzekłszy oddała pannie Anney album z widokami Jastrzębia, a sama pobiegła na górę i niebawem wróciła ze skrzypcami. Przez chwilę trzymała je oparte o ramię i, podnosząc w górę oczy, namyślała się, co wybrać - i wybrała: Ich grolle nicht Schumanna. Rozlewne tony napełniły ciszę ogrodową. Poczęły śpiewać, marzyć, tęsknić i płakać, kołysać się, uciszać i śnić, a z nimi czyniły to samo dusze ludzkie. Smutek stawał się smutniejszym, tęsknota

mocniej tęskniącą, miłość rzewniej i głębiej rozkochaną. A „bóstewko” grało wciąż, białe w swej muślinowej sukni, spokojne, z zamyślonymi oczyma, zagubionymi gdzieś w nieskończonej dali, niepokalane i jakby wniebowzięte przez muzykę i własną grę. Grońskiemu wydawało się, że ma przed sobą jakąś lilię mistyczną - i rozpoczął do niej w duszy jakby litanie, w której każde słowo było uwielbieniem małej skrzypaczki za to, że gra i że wzbudziła w nim miłość tak pozbawioną najdrobniejszego nawet pyłu ziemi, jakby była nie dziewczyną, złożoną z krwi i ciała, ale naprawdę jakąś lilią mistyczną.

A ona tymczasem przestała grać i zwiesiła rękę ze skrzypcami wzdłuż sukni. Nikt jej nie dziękował, nikt nie ozwał się ani słowem, albowiem wszyscy słuchali w dalszym ciągu tej muzyki, która jak echo grała jeszcze w nich samych. Pani Otocka przysunęła się mimo woli do Grońskiego, jakby pociągnęło ich ku sobie wspólne uwielbienie dla ukochanej dziewczyny.

W oczach pani Krzyckiej zabłyśły łzy, na które złożyły się i wywołane urokiem muzyki wspomnienia lat dawnych, i obecne cierpienia, i świeży niepokój o syna, i niepewność przeszłości. Panna Anney siedziała w zadumie, podtrzymując bezwiednie między kolanami album, który w czasie gry Maryni wysunął się z rąk - a przez otwarte drzwi, w zamroczonej już głębi salonu, widać było jakąś niewyraźną postać niewieścią, która widocznie przysłuchiwała się także muzyce.

Nieco silniejszy powiew, który zawiął od olszyn, zbudził wszystkich jakby z półsnu. Wówczas pani Krzycka zwróciła się do syna:

– Od stawu idzie chłód. Może byś wrócił do pokoju?

– Nie – odpowiedział – tak mi dobrze, jak dawno nie było. I zaczął upewniać ją, że nie czuje żadnych dreszczów, a

następnie odwoływać się do doktora, któren, ukołysany muzyką, nie od razu zrozumiał o co idzie.

– Czy Władzio może zostać? – zapytała pani Krzycka.

– Może, może, tylko jak słońce zajdzie, trzeba się lepiej okryć. Następnie spojrzął na zegarek i dodał:

– A na mnie czas jechać; ale ja mam tak mało podobnych wieczorów, że okrutnie mi niesporo. Bóg widzi, jak niesporo!

I jął trzeć dłonią swoje spracowane czoło. Pani Krzycka i Władysław zapowiedzieli mu na to, iż za nic nie puszcza go przed kolacją. Szremski spojrzął powtórnie na zegarek, ale zanim zdążył im odpowiedzieć, na werandzie ukazała się ta sama postać niewieścia, która poprzednio słuchała muzyki z głębi pokoju - lecz tym razem z dwoma pledami na ramieniu.

– To ty, Polciu – rzekła panna Anney – ach, jakaś ty rozumna!

A panna Polcia poczęła okrywać Władysława pledem. Okryła mu jednym ramiona, drugim nogi - przy czym klękła i pochyliła się tak, że jej piersi wsparły się na chwilę o kolana Krzyckiego.

– Dziękuję, panienko, dziękuję – powtarzał nieco zrnieszany.

Ona zaś spojrziała mu przelotnie w oczy, a następnie odeszła bez słowa.

– Ale ja zabrałem pani pledy – ozwał się Władysław, zwracając się do panny Anney.

- Nic nie szkodzi, ja jestem ciepło ubrana. Tylko niech pan uważa, żeby zranione ramię było dobrze okryte.

I zbliżywszy się ku niemu poczęła zasuwać lekko i starannie róg pledu między poręcz krzesła i jego ramię.

– Nie urażam pana? – spytała.

– Nie, nie. Jak ja mam dziękować?

I patrzył na nią tak rozkochanymi oczyma, że pani Krzyckiej po raz pierwszy przyszło na myśl, iż jest w tym może coś więcej niż wdzięczność.

Spojrzała raz i drugi na delikatną twarz pani Otockiej i westchnęła, a serce ścisnęło się jej obawą, niepokojem i żalem. To był jej ideał dla syna, to ukryte marzenie. Polubiła wprawdzie z całej duszy młodą Angielkę i gdyby w jej żyłach nie krążyła obca krew, nie miałyby jej nic do zarzucenia, ale jednakże pierwsze to przelotne podejrzenie, że ów gmach, który od chwili zbliżenia się z panią Otocką, budowała w duszy, może runąć, było jej niezmiernie przykre. Przez chwilę uczuła jakby niechęć do panny Anney. Postanowiła też przyglądać się od tej pory obojgu baczniej - i rozmówić się z Grońskim.

Lecz dalszy ciąg wieczora przywrócił jej otuchę, gdy bowiem towarzystwo przeszło do salonu, wydało jej się po pewnym czasie, że to, co widziała na werandzie, było złudzeniem. Jakoż istotnie dzień ten nie zakończył się dla Władysława i panny Anney tak pogodnie, jak to zapowiadał zachód słońca. Powiał między nimi jakiś chłodniejszy wiatr, pani Krzycka nie mogła zaś wiedzieć, że przyczyną tego ze strony jej chłopaka jest zazdrość! Oto panna Anney po powrocie do pokoju, rozpoczęła na uboczu ze Szremskim tak długą rozmowę, że Władysława poczęło to drażnić! Obaczył, że ona mówi nie tylko z ożywieniem, ale jakby i z przymileniem; widział rozjaśnioną twarz doktora, z której łatwo było wyczytać, że ta rozmowa robi mu szczerą przyjemność - i w serce ukąsił go wąż. Tego, co mówiła panna Anney, nie mógł dosłyszeć, zdawało mu się tylko, że o coś nalega. Natomiast Szremski nie umiał rozmawiać cicho, więc do podsłuchujących uszu Krzyckiego dochodziły od czasu do czasu oderwane zdania: „Miałem zamiar dopiero za tydzień!” - „Ha!”, „Któż się oprze!”, „Skoro tak,

to tak!” – „Wiadomo, że Anglia zaborcza!” „Dobrze, dobrze!”

Władysław ułożył sobie, że z całym możliwym chłodem zapyta pannę Anney, kogo tam znowu Anglia podbiła i czy dzienniki mówią o czymś podobnym, lecz gdy ona i Szremski złączyli się po skończonej rozmowie z resztą towarzystwa zmienił zamiar i z całą godnością obrazonego studenta, który gotów robić na przekór nie tylko ukochanej istocie, ale i sobie, postanowił okryć się płaszczem obojętności. W tej myśli zwrócił się do pani Otockiej i z niezwykłym zajęciem jął wypytywać o gospodarstwo w Zalesinie i prosić, by mu pozwoliła je zobaczyć, a gdy powiedziała, że zrobi jej tym wielką przyjemność, dziękował tak gorąco, że to właśnie wprowadziło w błąd matkę. Panna Anney próbowała kilkakrotnie wziąć udział w rozmowie, lecz spotkawszy się z jego obojętnymi odpowiedziami, zdziwiona i trochę dotknięta, poczęła słuchać, co mówił Groński.

Po kolacji Szremski oświadczył, że musi jechać. Przez chwilę rozmawiał jeszcze z Grońskim, po czym pożegnał panie, powtarzając: "Do jutra, na dworcu!" - Poleciał też Krzyckiemu, by natychmiast udał się do siebie i dobrze przed drogą wypoczął. Groński po odprowadzeniu doktora, odprowadził i Władysława, a gdy znaleźli się sam na sam, widząc jego minę i domyśliwszy się łatwo, o co mu chodzi, zapytał:

– Coś ty dziś taki godny?

A Krzycki odpowiedział z pewnym rozdrażnieniem:

– Czuję się jeszcze słaby, ale zresztą jestem taki, jak zwykle. Lecz Groński ruszył ramionami:

– To są zwykle nieporozumienia zakochanych, ale ty jesteś przede wszystkim dzieciak i zrobiłeś jej przykrość. A wiesz za co? Za to że uprosiła Szremskiego, by cię odprowadził aż do Warszawy.

We Władysławie zadrżało serce, lecz nadrobił miną i nie dał się jeszcze przejednać:

– Nie czuję się wcale słaby i obejdę się bez jego pomocy. A na to Groński: .

– Dobranoc tobie - oraz twojej logice. I odszedł.

Krzycki zaś, gdy go rozebrano i położono do łóżka, poczuł nagle łyzy w oczach i począł przeproszać z nadzwyczajnym rozrzewnieniem... poduszkę.

II

Groński, bardzo z natury uczynny i do przyjaciół przywiązany, był zarazem człowiekiem dość zamożnym i wysoce kulturalnym, wskutek czego Władysław znalazł w jego mieszkaniu nie tylko taką opiekę, jaką dać może jedynie szczerą życzliwość, i nie tylko wygodę, ale nadto rozmaite rzeczy, których brakło w Jastrzębiu. Znalazł mianowicie książki, trochę obrazów, sztychy, różne drobniejsze dzieła sztuki, a przy tym mieszkanie obszerne, pęknię powietrza i przestrzeni i nie przeładowane przedmiotami zbytku. Panowała w nim, dzięki gospodarzowi, wysoka umysłowa i estetyczna atmosfera, wśród której młody „dziedzic” czuł się wprawdzie mniejszym i mniej pewnym siebie, niż w Jastrzębiu, ale którą oddychał z przyjemnością. – Brała go jednak obawa, czy dłuższym pobytem nie sprawi kłopotu starszemu przyjacielowi, i zaraz następnego wieczora począł się z nim targować, by go wypuścił do hotelu.

– Nawet Szremski uważa mnie już za zdrowego – mówił – czego najlepszym dowodem jest, że za trzy dni pozwolił mi wyjść na miasto.

– Słyszałem o pięciu – odpowiedział Groński.

– Ale to było wczoraj, więc nie licząc dzisiejszego; zostaje trzy. Pan ma swoje przyzwyczajenia, które musi dla mnie

zmieniać. Tu przecie aż miło na wszystko patrzeć, więc będę i tak do pana zachodził, ale to jest co innego przyjść na godzinę albo nawet na dwie, a co innego wnosić zamieszanie w zwykły tryb życia.

– Powiem ci tylko jedno – odpowiedział Groński – oto pani Otocka i panna Marynia uważają mnie za starego kawalera, obiecały mi tu jutro lub pojutrze zajść, jak to zresztą już nieraz czyniły i same, i w towarzystwie panny Anney. Widzisz ten fotel: w nim siadywała podczas muzyki twoja płowowłosa. Idź, idź do hotelu! – zobaczymy, czy cię tam kto prócz matki odwiedzi.

– Pan jest zanadto dobry.

– Ja jestem stary egoista. Bo widzisz, mam tu trochę rupieci, które w ciągu życia zebrałem, ale jednej rzeczy, choćbym był bogaty jak Morgan razem z Jay Gouldem, nie będę mógł, niestety, nigdy kupić – to jest młodości. A ty jej masz tyle, że mógłbyś bank założyć i akcje wypuszczać. Od ciebie idą po prostu promienie. Niechże mnie trochę oświecą i ogrzeją. Inaczej mówiąc, daj sobie spokój i siedź, jeśli ci u mnie wygodnie.

– Ja się tylko nie chcę rozpieszczać, bo szczerze mówię, że czuję się już zupełnie na siłach.

– To tym lepiej. Podziękuj Bogu, pannie Anney i Szremskiemu, że ci podróż nie zaszkodziła. Tego się trochę obawiałem.

– Ona mi nie zaszkodziła, ale też nie pomogła.

– Co do czego?

– Bo miałem nadzieję, że po drodze powiem mojej jasnej królownie, co chowam w duszy, tymczasem pokazało się, że to była głupia nadzieja. Siedzieliśmy jak śledzie w przedziale, Szremski sterczał ciągle nade mną jak kat nad dobrą duszą i nie i i było ani przez chwilę sposobności.

– Nie czyń nigdy wyznań w wagonie, albowiem z powodu huku i hałasu giną najpatetyczniejsze ustępy. Zresztą,

ponieważ Laskowicz nie wyprawiał cię na tamten świat, więc sposobność łatwo się znajdzie.

– Czy pan jednak naprawdę myśli, że to była robota Laskowicza?

– Nie. Mówię tak: Laskowicz, jak na przykład mówi się o Anglikach: John Bull. Ale jeśli się kiedy dowiem na pewno, że to on, to się bardzo nie zdziwię, albowiem takie położenie, w którym można dogodzić sobie i przysłużyć się dobrej sprawie, rzadko się zdarza.

– Jak to, dogodzić sobie i przysłużyć się dobrej sprawie?...

– Dobrej w jego rozumieniu. Alboż nie żyjesz potem i krwią I ludu?

– To dobrze. Ale dlaczego moja śmierć miałaby mu dogodzić osobiście?

– Bo cię znenawidził, kogo innego zaś pokochał, a ciebie uważał za współzawodnika.

Usłyszawszy to Krzycki podskoczył jak oparzon:

– Co, on by śmiał?...

– Upewniam cię, że on by śmiał – odpowiedział spokojnie Groński. – Tylko tyle, że się mylił. Ale że nie zabrakłoby mu odwagi, na to złożył dowody, pisząc coś w rodzaju miłosnego wyznania do Maryni.

Krzycki otworzył szeroko oczy i począł mrugać:

– Co takiego?...

– Nie chciałem ci o tym mówić w Jastrzębiu, gdyż jeździłeś wówczas do miasta, więc obawiałem się, że go możesz spotkać i zrobić grubą awanturę. Ale obecnie mogę ci wszystko powiedzieć: Laskowicz zakochał się w Maryni i napisał do niej list, który, oczywiście, pozostał bez odpowiedzi.

– I myślał, że ja także kocham się w Maryni?

– Pozwolisz, że nie byłoby to nic nadzwyczajnego. Mógł coś zasłyszeć. Kto się kocha, temu się zwykle zdaje, że każdy sięga po przedmiot jego miłości. Rozumiesz, że Laskowicz

mi się z tym nie zwierzał, ale taka jest moja hipoteza, która, jeśli jest błędna, to tym dla Laskowicza lepiej. Partia przysłała ci wyrok śmierci na skutek jego raportów, a jemu to było na rękę z powodów osobistych. Zresztą w zamachu mógł osobiście nie brać udziału...

– Czy pan go po tym liście widział?

– Jakże mogłem go widzieć, skoro pisał po wyjeździe. Ale szczęście, że poradziłem pani Otockiej, że tę elukubrację spaliła, gdyby bowiem znaleziono list przy rewizji w Jastrzębiu, rozumiesz, jakie policyjna przenikliwość wyprowadziłaby stąd wnioski.

W oczach Władysława błysnął gniew.

– Wolę, że nie chodzi o pannę Anney – rzekł – ale jednak Laskowiczowi nie radzę się ze mną spotkać. Bo żeby taki pawian, jak powiada Dołhański, śmiało podnieść oczy w naszym domu na naszą krewną i jeszcze do niej pisać, to uważam po prostu za obelgę dla nas, której mu nie daruję.

– Prawdopodobnie nigdy go nie spotkasz, gdyż on się obecnie kryje, a jeśli go spotkasz, to ani palcem nie ruszysz.

– Ja? to mnie pan nie zna. Dlaczego?

– Między innymi ze względu na nasze miłe położenie. Zastanów się: pojedynków oni nie przyjmują – i bogdaj w tym jednym mają rację. Więc co? Obijesz go laską lub wytargasz uszy?

– Całkiem możliwe.

– Poczekaj! Naprzód w jego liście nie było nic podobnego do obelgi, a po wtóre co dalej? Zabiorą was na policję, tam spostrzegą, że złapali rewolucyjnego ptaszka, który był od dawna poszukiwany, i ześlą go na Sybir, albo nawet i powieszą. Czy możesz wziąć coś podobnego na swoje sumienie'?

– Niechże takie czasy licho porwie! – zawołał Krzycki człowiek ciągle jest w położeniu bez wyjścia.

– Jak zwykle między dwiema anarchiami odpowiedział Groński – zresztą to tylko mały przykład.

Dalszą rozmowę przerwało im wejście służącego, który dał Grońskiemu kartę wizytową, a ten spojrzawszy na rzekł:

– Prosić!

Po czym do Władysława:

– Czy ty znasz Świdwickiego? – Nazwisko obilo mi się o uszy, ale nie znam.

– To krewny nieboszczyka męża pani Otockiej. Bardzo osobliwa figura.

W tej samej chwili Świdwicki wszedł do pokoju. Był to człowiek czterdziestoletni, łysy, wysoki, chudy, z twarzą inteligentną i gorzką, a zarazem zuchwałą. Ubrany niedbale, w suknie, które wydawały się na niego zbyt szerokie, miał jednak w sobie coś zdradzającego przynależność do wyższych sfer towarzyskich.

– Jak się masz, Świdwa? – odezwak się Groński.

Po czym przedstawivszy Władysława, pytał w dalszym ciągu:

– Co się z tobą działo? Nie widziałem cię od wieków.

– Przecie wyjeżdżałeś?

– Tak, aleś ty i przedtem nie pokazywał się z jaki miesiąc.

– Na starość robię się pustelnikiem.

– Czemu tak?

– Albowiem nudzi mnie głupota ludzi, którzy uchodzą za rozumnych, i złość ludzi, którzy uchodzą za dobrych. Zresztą włóczę się teraz od rana do wieczora po ulicach. Ach! - istnieją Noce Atyckie i Noce Florenckie, ja zaś mam ochotę napisać: Dni warszawskie! Rozkoszne dni! Tytuły pojedynczych rozdziałów: „Ręce do góry!” – „Ruki w wierzch!” – „Precz z gęsią!” itd. Czy wiesz, że w tej chwili tyle jest wojska i patrolów na ulicach, iż kto inny na moim miejscu byłby dziesięć razy aresztowany.

– Wiem, ale ty jak sobie radzisz?

– Ja chodzę wszędzie tak spokojnie, jak po własnym pokoju. A sposób jest prosty. Oto, o ile nie jestem naprawdę pijany – udaję pijanego. Nie uwierzycie, panowie, jakie współczucie i jakie uznanie budzi obecnie człowiek cięty. I podług mnie, to jest zupełnie słuszne, kto bowiem „wstawia się” od rana do wieczora, ten z pewnością jest człowiekiem niewinnym i dobrze myślącym, na którego tak zwany ład społeczny może liczyć z całą ufnością.

– Zapewne. Ale kad społeczny, który opiera się na takich ludziach, nie stoi na pewnych nogach.

– Kto dziś stoi na pewnych nogach? Doktryny upajają nie gorzej od alkoholu--więc w tej chwili wszyscy są pijani. Zatacza się państwo, zatacza się rewolucja, zataczają się partie, a ktoś trzeci stoi z boku i patrzy, rychło się zwałą na ziemię. Wówczas przyjdzie i zrobi porządek. I niech sobie przyjdzie jak najprędzej.

– Tym trzecim powinniśmy być my.

– Tym trzecim jest Niemiec, a my jesteśmy głupcy. My zaczęliśmy od wzięcia się za łby i doszliśmy do takiego stanu, że

jedynym zbawieniem dla naszej duszy społecznej byłaby porządna wojna domowa.

Tu umilkł i po chwili zwrócił się do Krzyckiego:

– Widzę, że pan robisz wielkie oczy, a jednak tak jest. Wojna domowa to pyszna rzecz! Nic tak nie wyjaśnia położenia i nie oczyszcza powietrza. Ale doprowadzić się do tego stanu i nie móc jej zrobić - to dopiero szczyt nieszczęścia albo głupoty.

– Wyznaję, że nie rozumiem - rzekł Krzycki. A Groński machnął ręką:

– I nie staraj się, gdyż po kwadransie rozmowy nie będziesz wiedział, co jest czarne, a co białe, i dostaniesz szumu w głowie albo i gorączki, której jako ranny, powinienes się wystrzegać.

– Prawda! – rzekł Świdwa. – Słyszałem, a bogdaj nawet czytałem o pańskim wypadku w jakimś dzienniku i zwróciłem na to uwagę właśnie dlatego, że w domu pańskim bawił Groński i Otocka z siostrą. Ja jestem krewny nieboszczyka starego Otockiego. Musiały się kobieciny wystraszyć. Ale jeśli myślą, że tu bezpieczniej niż na wsi, to się mylą.

– Sądząc z tego, co się widzi, to istotnie nie jest tu bezpieczniej. Nie był pan jeszcze u tych pań?

– Nie. Ja tam nie lubię zachodzić.

Na to Krzycki, bardzo z natury porywczy i czupurny, zmarszczył brwi i patrząc w oczy Świdwickiego odpowiedział:

– Nie pytam o przyczynę, bo to do mnie nie należy, ale się dziwię – i muszę pana uprzedzić, że to są i moje krewne.

– Za którymi młody rycerz musiałby się ująć – odpowiedział Świdwicki spoglądając jakby z pewnym upodobaniem na Władysława. – Ach, nie! Gdybym miał nawet zamiar powiedzieć co przeciw tym paniom, nie powiedziałbym tego w tym domu, gdyż Groński rzuciłby mnie ze schodów, a ja mam do niego interes. To, co powiedziałem – jest najwyższą dla nich pochwałą, a dla mnie prostą przykrością.

– Przepraszam, ale znów nie rozumiem.

– Bo, widzi pan, dla przeciętnego Polaka mieć dla kogoś szacunek i nie móc ostrzyć na nim zębów to zawsze nieprzyjemna rzecz. A ja nie mogę o nich mówić tak, jak bym chciał, to jest z ujmą. Nie znoszę idealnych kobiet! – przy tym zauważyłem, że jeśli mi się czasem zdarzy spędzić u nich wieczór, to staję się jakby porządniejszym człowiekiem – to jest zaś luksus, na który w dzisiejszych czasach nie można sobie pozwalać.

Władysław począł się śmiać, a Groński rzekł:

– Mówiłem ci, że na pewno dostaniesz szumu w głowie.

Po czym do Świdwickiego:

– Jeśli mu się pogorszy, to namówię go, by ci posłał rachunek doktora i apteczny.

– Skoro tak, to sobie idę – odpowiedział Świdwicki – ale ty chodź ze mną do innego pokoju, bo mam do ciebie interes, a wolę, żebyś mi odmówił bez świadków.

I pożegnawszy się z Władysławem wyszedł. Groński odprowadził go do przedpokoju i po chwili wrócił ruszając ramionami. – Cóż to za dziwny jegomość – rzekł Krzycki. – Bez niedyskrecji: czy on nie chciał pożyczyć od pana pieniędzy?

– Gorzej – odpowiedział Groński. – Tym razem chodziło o kilka rycin Falka. Odmówiłem stanowczo, gdyż on pieniądze najczęściej oddaje, a raczej pozwala je odebrać ze swego dożywocia - natomiast książek, rycin i tym podobnych rzeczy nigdy. – Zbiera?

– Przeciwnie: rozrzuca, rozdaje, gubi, niszczy - bo ja wiem! Będziesz go teraz często widywał, gdyż pożyczania rycin odmówiłem, ałem pozwolił, by przychodził je oglądać i studiować. Zapewnia, że pisze o Falku książkę.

– Ach, więc to literat?

– Może mógłby nim być. – Ponieważ będziesz go spotykał, więc muszę cię przed nim trochę ubezpieczyć. Określę ci go krótko: To jest człowiek, któremu Pan Bóg dał dobre nazwisko, duży majątek, piękność, wielkie zdolności i dobre serce, a on potrafił to wszystko zmarnować.

– Aj! nawet i dobre serce?

– O tyle, że jest to człowiek raczej szkodliwy. To lepiej, że on nic nie pisze. Bo, widzisz, może się zdarzyć, że komuś gnije mózg, tak jak ludziom chorym na suchoty gniją płuca. Ale nikt nie ma prawa karmić narodu zgnilizną swoich płuc lub swego mózgu. A takich jest teraz wielu. Świdwicki nie działa na szczęście publicznie, ale robi to w zakresie stosunków prywatnych. Wiesz, jak on przy tym tłumaczy to,

że niczego w życiu nie dokonał? Tym, że aby czegoś na świecie dokonać, trzeba w coś wierzyć, a żeby w coś wierzyć, trzeba posiadać taką pewną dozę głupoty, jakiej on nie posiada. I nie mówię tylko o rzeczach religijnych. On nie wierzy po prostu, by coś mogło być prawdziwym lub nieprawdziwym, słusznym lub niesłusznym, dobrym lub złym. Ale Balzac mądrze powiada: Qui dit doute, dit impuissance. Świdwickiego drażni to jednak i napelnia goryczą, że jest niczym, więc ratuje się paradoksem i wyraca umysłowe koziołki. Widziałem raz kłowna, który bawił publiczność tym, że nadawał swojej czapce najrozmaitsze dziwaczne i śmieszne kształt. Świdwicki robi to samo z prawdą i logiką. Jest to także kłown, ale zgorzkniały i przekorny. Z tego powodu jest zawsze przeciwnego zdania niż ten, z którym mówi. Dzieje się tak zwłaszcza wówczas, gdy jest pijany, a upija się co wieczór... Wówczas patriocie będzie mówił, że ojczyzna jest głupstwem, wobec człowieka wierzącego będzie drwił z wiary, konserwatyście powie, że tylko anarchia i rewolucja są coś warte, socjaliście, że proletariat posiada „pyski” (słyszałem, jak się tak wyraził), tylko dlatego, ażeby on, „nadczołowiek”, miał w co bić, gdy mu przyjdzie ochota. I tak ciągle. Błyska w rozprawach paradoksami, ale czasem zdarzy mu się wypowiadać rzeczy uderzające, dlatego że we wszelkiej krytyce jest zawsze część słuszności. Jeśli chcesz, to urządzę ci kiedy takie widowisko, chociaż on ma dla mnie pewne względy, naprzód dlatego, że mnie lubi, a po wtóre, że oddałem mu w życiu parę usług. Obiecał mi zapłacić za nie czarną niewdzięcznością, ale tymczasem nie napastuje mnie z taką energią jak innych.

– A że to nikt nie połamał mu dotychczas kości – zauważył Władysław.

– On się przed tym bynajmniej nie cofa. Sam nawet szuka często awantur i nie ma roku, żeby nie wywołał jakiegoś zajścia.

– W knajpach?

– Nie tylko, albowiem należąc z nazwiska i związków rodzinnych, do tak zwanych wyższych warstw towarzyskich, ma i wśród nich dużo znajomych. Dwa lata temu obili go wprawdzie artyści w jakiejś knajpce, ale na przykład i Dolhański, z którym się wzajem nie znoszą, postrzelił go zeszłej wiosny w pojedynku.

– A, to ja wówczas słyszałem jego nazwisko: teraz sobie przypominam.

– Możesz słyszał je i dawniej, albowiem poprzednio miał kilka rozpraw o kobiety, gdyż w dodatku jest to wielki kobieciarz. Ostatecznie to szelma jest niepohamowana.

– A co do kobiet, czy dotychczas?

– To nie stary człowiek. Od pewnego czasu jest wszelako w takiej fazie, że podobają mu się nie panie, ale ich służące. Wyobraź sobie, że niedawno jeszcze tak mu wpadła w oko służąca panny Anney – ta sama brunetka, która cię doglądała trochę w Jastrzębiu, że chodził za nią czas jakiś krok w krok. Mówił, że zwymyślała go kiedyś na schodach, ale to właśnie ujęło go jeszcze bardziej.

Krzycki na wzmiankę o „brunetce, która go doglądała w Jastrzębiu”, zmieszał się tak wyraźnie, że Groński to zauważył, ale nie wiedząc, co zaszło między nią a Władysławem, sądził, iż rozkochanego młodzieńca uraziła myśl, że koko panny Anney kręcą się podobne figury, jak Świdwicki. Więc, chcąc zatrzeć wrażenie, rzekł:

– On powiada, że nie lubi zachodzić do tych pań, ale i pani Otocka nie przyjmuje go wcale z entuzjazmem. Robi to tylko przez pamięć dla męża, który byk jego ciotecznym bratem i niegdyś opiekunem jego-majątku. Zresztą być może, że i Świdwickiemu nieswojo wśród takich kobiet.

– Bo mikroby nie lubią czystego powietrza.
– To pewna, że jest w nim jakiś morał insanity. Ja się do niego przyzwyczaiłem, ale są rzeczy, których i ja w nim nie znoszę. Niech sobie bluzga na wszystko – pal go sześć – ale niech pewnych rzeczy nie tyka. Nie masz pojęcia o tym pogardliwym politowaniu, o tej niechęci i prawie nienawiści, z jaką on się odzywa o wszystkim, co jest polskie. I tu już ja mówię: hola! Pomimo naszych dobrych stosunków, o mało raz nie doszło między nami do awantury. Bo jak zaczął strzykać pewnego wieczora żółciowymi dowcipami na całą Polskę, powiedziałem mu tak: Ten lew jeszcze nie kona, a choćby konał, to wiesz, kto kopie konającego lwa? – Nie zachodził potem do mnie przez miesiąc – ale czy nie miałem słuszności? Rozumiem, że z goryczą i nawet z jadem może mówić o swym narodzie jakiś wielki bohater, któremu zapłacono niewdzięcznością – ale Świdwicki to przecież nie Milcjades, ani Temistokles. A takie wylewy żółci są wprost szkodliwe, bo on, jako umysł niezmiernie błyskotliwy, znajduje naśladowców – i tworzy modę; wskutek której rozmaite snoby, które nic nigdy dla Polski nie zrobiły, ostrzą na tej ośelce swoje zwapniałe rozумы. Rozumiem krytykę, choćby nieubłaganą, ale jeśli się to staje koniem, a raczej osłem, z którego się nigdy nie zsiada, to jest i złe, bo odbiera się chęć do życia tym, którzy muszą jednak żyć i paskudne, bo to jest plwanie na społeczeństwo, często wprawdzie grzeszne, ale przede wszystkim niesłuchanie niefortunne. Pesymizm nie jest rozumem, ale surogatem rozumu, a zatem i oszustwem takim, jakiego dopuszcza się kupiec sprzedający na przykład cykorię zamiast kawy. A z takim surogatem spotkasz się teraz na każdym kroku w życiu i w literaturze...
Tu Groński umilkł na chwilę, a Krzycki podniósł brwi w górę i rzekł:

– Z tego, co pan mówi, widzę, że ten Świdwicki to wielka małpa.

– Czasem myślę, że to jest człowiek bajecznie nieszczęśliwy – i dlatego nie zrywam z nim stosunków... Przy tym on ma do mnie jakiś rodzaj przywiązania, a to zawsze rozbraja. Na koniec, wyznaję otwarcie, iż mam tę czysto polską słabość, gwoli której pobbłaża się i przebacza u nas wszystko ludziom, którzy nas bawią. On zaś bywa czasem bardzo zabawny, zwłaszcza gdy się rozgada i gdy tylko do pewnej miary głowę zaproszy.

– Ale ostatecznie, jeśli nic nie robi, tylko gada, to z czego on żyje?

– On nie należy do ludzi biednych. Niegdyś byk bardzo zamożny, potem stracił większą część majątku. Ale w końcu nieboszczyk Otocki, który byk najpocziwszym w świecie człowiekiem, a przy tym bardzo praktycznym, widząc, do czego idzie, wziął wszystko w ręce, ocalił sporo i zmienił kapitał na rentę dożywotnią. Świdwicki otrzymuje z tego kilka tysięcy rubli rocznie i choć wydaje więcej, niż powinien, ma jednak z czego żyć. Gdyby nie pik, żyłby nawet dostatnio, gdyż jednej tylko namiętności nigdy nie miał - mianowicie do kart. Powiada, że na to trzeba mieć umysłowość Murzyna. Z tego właśnie powstała awantura z Dołhańskim. Ale zresztą oni się nie znosili wzajem od dawna. Obaj są, jak się ktoś wyraził, komiwojażerami podróżującymi w cynizmie - i robią sobie konkurencję.

–Spomiędzy tych dwóch wolę jednak Dołhańskiego – rzekł Krzycki.

– Bo cię bawi, a Świdwicki nie miał dotąd sposobności. Wiecznie ta sama polska słabość! – odpowiedział Groński.

A po chwili dodał:

– W Dołhańskim łatwiej zobaczyć dno.

– A na dnie pannę Kajetanę.

– Obecnie może i naprawdę tak jest. Czy wiesz, że

Dolhański przywiózł te panie następnym po nas pociągiem? Mówił mi też, że wybiorą się zaraz z wizytą do twojej matki i do pani Otockiej.

– Pan oczywiście też dziś do nich zajrzy?

– Tak. Ja tam zachodzę codziennie. A ponieważ tobie nie wolno jeszcze wychodzić, zaproszę je jutro na popołudniową herbatę.

– Serdecznie panu dziękuję. Mnie nie wolno wychodzić, ale mógłbym wyjechać.

– Powiadał mi służący, że jutro od rana, z rozkazu partii, strajk dorożkarzy.

– Więc jakże te panie będą mogły jutro przyjechać?

– Prywatnym swoim powozem. Chyba, że zakażą jeździć nawet prywatnym...

– W takim razie i matka nie będzie mogła do mnie zajrzeć?

– Jeśli na ulicach będzie spokojnie, to przyprowadzę ją i odprowadzę. Czasem tak bywa, że jednego dnia ulice są burzliwe jak morze, a drugiego ciche i głuche. Oczywiście, jest to względne bezpieczeństwo, gdyż kto dziś wychodzi na miasto, ten nigdy nie może zaręczyć, że wróci. Nie ci, to tamci mogą mu wsadzić w bok nóż albo bagnet. Ale dla kobiet jest stosunkowo bezpieczniej.

– W takim razie lepiej jednak, żeby matka wcale mnie nie odwiedzała. Wolę popiłować się jeszcze przez te trzy dni, które wyznaczył mi Szremski, niż narażać ją albo którąkolwiek z tych pań. Niech pan odłoży swój five o'clock.

– Bodaj że trzeba będzie tak zrobić! Ale twoja matka nie zgodzi się na to, żeby cię przez trzy dni nie widzieć. A może i kto inny będzie się napierał, bym nie odkładał.

Twarz Władysława zajaśniała głęboką i tkliwą radością.

– Matce niech pan powie, że niepokój o nią może mi zaszkodzić i sprowadzić gorączkę, a k o m u i n n e m u, że mu całuję brzeg sukni.

– Nie. Takie rzeczy trzeba mówić samemu.

– Obym jak najprędzej mógł to nie tylko powiedzieć ale i wykonać. Tymczasem mam do pana prośbę, bym mógł wysłać na miasto służącego. Jeśli się będzie bał, niech mi tylko skrzyknie posłańca. Chciałbym temu k o m u i n n e m u posłać trochę kwiatów.

– To poślij i kuzynkom, gdyż inaczej matka twoja zdziwi się przedwcześnie.

– Na pewno by się zdziwiła, albowiem z powodu swej choroby tak mało widywała nas razem, że nie mogła pomiarkować się w położeniu. Ale ja niebawem wszystko jej wyznam.

– Powiem ci tylko, co mi powiedziała pani Otocka. Powiedziała mi tak: „Niech Władysław nie mówi z matką przed ostateczną rozmową z Aninką, gdyż inaczej nie będzie mógł jej powiedzieć wszystkiego”.

Krzycki spojrzął Grońskiemu bystro w oczy.

– A pan nie wie, o co idzie?

– Wiesz, że o brak ciekawości nie można mnie posądzać odpowiedział Groński – ale sądziłem, że pani Otocka ma dostateczne do milczenia powody i dlatego nie wypytywałem o nic.

III

Groński odłożył istotnie swój five o'clock, pani Krzycka odwiedzała jednak syna czasem dwa razy dziennie, twierdząc słusznie, że jako starszej kobiecie, grozi jej mniejsze, niż komukolwiek niebezpieczeństwo. Władysław spędzał z nią długie godziny, rozmawiając o wszystkim, a najwięcej o panie Anney. Po ostrzeżeniu Grońskiego, nie wyznał wprawdzie matce swych uczuć dla młodej Angielki i nie wspominał ani słowem o swych zamiarach, ale już to samo, że jej imię nie schodziło mu prawie z ust, że przypisywał jej wyłącznie swe ocalenie i ciągle mówił o

długu wdzięczności, jaki względem niej zaciągnął on sam i cała rodzina, dało pani Krzyckiej do myślenia. Poprzednie podejrzenie, które jej przebiegło przez głowę w wigilię wyjazdu z Jastrzębia, wróciło i utrzymywało się coraz mocniej. Nie przypuszczała wprawdzie, by Władysław powziął już jakieś niezłomne postanowienie, ale doszła do wniosku, że się „podkochał” i że ostatecznie ta jasnowłosa dziewczyna podobała mu się bardziej od kuzynki Otockiej. Przejęło to panią Krzycką smutkiem. W drodze i przez kilka dni pobytu w Warszawie polubiła pannę Anney za jej miłe obejście, prostotę i usłużność, ale „Zosia” Otocką była zawsze jej oczkiem w głowie. Od chwili spotkania jej w Krynicy, nie przestała marzyć o niej dla syna. Sądziła, że pod względem szlachetności i delikatności uczuć nikt się z nią nie może porównać. Uważała ją za duszę wybraną i wprost za wcielenie kobiecego anielstwa. Oczekiwała jej przybycia z biciem serca, nie przypuszczając ani na chwilę, by Władysław mógł się nie zachwycić jej postacią, jej słodką twarzą i tym jakimś urokiem dziewczęcej nieśmiałości, który mimo swego wdowieństwa zachowała w całej pełni. I do ostatniej chwili pani Krzycka miała nadzieję, że się tak stanie, a dopiero, nie licząc przelotnego wrażenia w Jastrzębiu, w czasie drogi do Warszawy i w ciągu tych ostatnich kilku dni miarkowała, że stało się inaczej i że oczy Władysława zachwyciły się więcej innym kwiatem. Wolała jednak nie rozpytywać o to swego chłopaka, przypuszczając, że to może jeszcze przejdzie.

On tymczasem rwał się jak na uwięzi i byłby niezawodnie nie przetrzymał tych kilku dni, które zawarował doktor, gdyby nie to, że przyrzekł to matce wobec panny Anney i bał się uczynić sobie w jej oczach opinię człowieka, który nie szanuje swoich przyrzeczeń. Po radzie, jakiej przez pośrednictwo Grońskiego udzieliła mu pani Otocką, by pierwszej rozmówił się z panną Anney, tym bardziej nie mógł

usiedzieć w domu. Od rana do wieczora łamał sobie głowę nad tym, co by to mogło być, i nie mógł do niczego dojść. Nazajutrz po rozmowie z Grońskim postanowił zapytać o to listownie pani Otockiej i siadł z wielkim zapalem do pisania listu. Lecz po pierwszej stronicy ogarnęło go zwątpienie. Zdało mu się, że nie potrafi wypowiedzieć tego, co chciał. Rozumiał, że pod adresem pani Otockiej pisze list właściwie do panny Anney, więc pragnął zrobić go swego rodzaju arcydziełem, a tymczasem doszedł do przekonania, że to jest coś tak niedołężnego i niezgrabnego, że wysyłać tego niepodobna. Ostatecznie stracił całkiem zaufanie do swych zdolności stylistycznych i to popsulo mu humor tak dalece, iż znów. począł zapytywać sam siebie w duszy, czy „taki osioł”, który trzech słów nie umie napisać, ma prawo sięgać po tak nadzwyczajną i pod każdym względem doskonałą istotę jak „Ona”. – Pocieszył go jednak Groński, tłumacząc mu, iż list dlatego się nie udał, że od początku był projektem chybionym, a w takim wypadku nikt nic nie potrafi. Potem zwrócił także jego uwagę na inną okoliczność, mianowicie, że ze słów pani Otockiej i z jej rady, by rozmowa z panną Anney poprzedziła rozmowę z matką, można wyciągnąć ten wniosek, iż t a m wszystko jest już widocznie na wybuch przygotowane i wszelkie środki, zapobiegające pęknięciu serca – przedsięwzięte. Władysławowi wróciła natychmiast wesołość i począł się śmiać jak dziecko, a następnie posłał znów trzem paniom całe pęki najwspanialszych róż, na jakie mogła się zdobyć Warszawa.

A dalszy ciąg dnia był jeszcze pomyślniejszy, gdyż nadeszły dowody wdzięczności. Przyniosła je po wyjściu Grońskiego panna Polcia w formie małego i wonnego listu, w którym były wypisane ręką jasnowłosego bóstwa następujące słowa: „Dziękujemy za śliczne róże i do prędkiego zobaczenia”. Dalej szły podpisy: Agnieszka Anney, Zofia Otocka i Marynia Zbyłtowska. Krzycki uznał list za arcydzieło

prostoty i wymowy. Byłby też niechybnie ucałował każdą literę osobno, gdyby nie to, że stała przed nim panna Polcia z chmurną twarzą, wpatrzonymi w niego jak w tęczę oczyma – niespokojna i pełna już podejrzliwej zazdrości, choć widocznie nie wiedząca jeszcze, ku której z trzech pań ją zwrócić. Krzycki, nie ukrywając radości, jaką mu sprawił list, zwrócił się ku niej i zapytał:

– Co tam słyhać, panienko? Panie zdrowe?

– Tak, pani kazała mi się też dowiedzieć o pańskie zdrowie.

– Proszę bardzo podziękować. Doskonale – i jeśli mnie drugi raz nie postrzelą, to z tego pierwszego postrzelenia nie umrę.

A ona, nie spuszczać z niego swych przepaścistych oczu, odrzekła:

– To chwała Bogu.

– Ale, że to panienka nie bała się wyjść w taki czas niespokojny.

– Lokaj się bał, ale ja się niczego nie boję i chciałam sama zobaczyć, jak się pan ma.

– O, to mi zuch! Bardzo panience jestem wdzięczny. Skoro jednak ten głupi strajk dorożek dziś się skończył, to lepiej wrócić dorożką. Niechże panna Polcia przyjmie... na...

To rzekłszy począł szukać w portmonetce i wydobywszy pięć rubli w złocie chciał jej je ofiarować, mając jednak zarazem poczucie, że robi coś niestosownego, a nawet okrutnego. Było to dla niego samego przykre, tak że zmieszał się i zaczerwienił, ale zdawało mu się, że wszelkie inne podziękowanie będzie pokarmem dla tego uczucia, które w niej widział, a które chciał przeciąć z powodu jakiejś dziwnej obawy, spotęgowanej jeszcze przez to, że dziewczyna była służącą panny Anney.

Więc począł powtarzać z przymuszonym i trochę głupowatym uśmiechem:

– Proszę, panno Polciu... proszę...

Lecz ona cofnęła rękę i twarz jej pociemniała w jednej chwili.

– Dziękuję – rzekła – nie po to przyszedłam.

I zwróciła się ku drzwiom. Do niezadowolenia, jakie Krzycki odczuwał z siebie samego, przyłączyła się litość dla niej, więc poszedł za nią kilka kroków.

– Niech się panienka nie obraża – rzekł – tu przecież nie chodziło o nic innego, tylko o bezpieczeństwo panienki. Tylko o to chodziło... Może służący zawołać dorożki...

Lecz ona nie odpowiedziała już nic i odeszła. Krzycki, podszedłszy do okna, spoglądał przez chwilę na jej zgrabną postać, oddalającą się w głąb ulicy – i nagle zjawiła mu się znowu przed oczyma wizja białego posągu w błękitnych kroplach wody. Było jednak w tej dziewczynie coś drażniącego i mimo woli krewkiemu paniczowi przyszło na myśl, że gdyby ona nie była służącą panny Anney i gdyby poznał ją był dawniej, to, jak dwa a dwa cztery, byłby uległ pokusie.

Lecz obecnie i łakome jego zmysły i serce porwała inna, większa siła. Po chwili wrócił do listu i począł go odczytywać na nowo: „Dziękujemy za śliczne róże i do prędkiego zobaczenia”. A więc go tam chcą widzieć. Pojutrze już nie będzie tu siedział uwiązany na łańcuchu własnego słowa, ale pójdzie tam i spojrzy w te cudne oczy, patrzące niebieską smugą, i przywrze ustami do tej ukochanej dłoni tak, że w jednym pocałunku wypowie wszystko, co ma w sercu. Słowa będą później tylko echem. I wyobraźnia poniosła go jak rozhukany koń. Przecież Groński mówi, że tam już wszystko gotowe! Więc może ta uwielbiona dziewczyna pochyli mu się od razu w ramiona, może przymkną się te cudne oczy, a wysuną się ku niemu usta. Krzyckiego na tę myśl dreszcz przeszedł od stóp do głów – i zdało mu się, że wszelka miłość, wszelkie porywy i

wszelkie żądze, jakie istniały i istnieją na świecie skupiają się obecnie w nim jednym.

IV

Cały następny dzień Groński spędził na mieście, wieczorem zaś był u pani Otockiej, tak że wrócił do domu dopiero koło północy. Ale Krzycki nie spał jeszcze, a ponieważ matka z powodu zaburzeń na ulicach nie mogła go tego dnia odwiedzić, więc z niecierpliwością czekał na powrót Grońskiego – i natychmiast począł go wypytywać, co słyhać na mieście i u tych pań.

– Na mieście źle słyhać - odpowiedział Groński. – Koło południa słyszałem ogień karabinowy w dzielnicach fabrycznych. Przed pójściem do pani Otockiej byłem też na zebraniu w Filharmonii, na którym zetknęli się przedstawiciele kilku wrogich stronnictw – i wiesz, jakie odniosłem wrażenie? Oto, że niestety, Świdwicki pod pewnym względem miał słuszność i że doszliśmy do tego, iż tylko wojna domowa mogłaby oczyścić powietrze. Tym większa tragedia w tym, że byłaby ona jednocześnie ostateczną zagładą. Ale o tym potem. Mam tak zmęczoną głowę i nerwy tak potargane, że dziś nie mogę o tych rzeczach myśleć.

Tu zadzwonił na służącego i poleciwszy mu przygotować, mimo spóźnionej godziny, herbatę, tak mówił dalej:

– Ale i od pani Otockiej przynoszę nowinę. Uszom nie uwierzysz, gdy ci powiem, co się stało. Oto dziś po południu, przed moim przyjazdem, był u tych pań Laskowicz.

Cygaro, które palił Krzycki, wypadło mu z ręki.

– Laskowicz? – zapytał.

– Tak jest.

– Ależ jego ściga policja!

- Ściga go na prowincji, a nie ściga go w Warszawie. Policja, tak jak oni wszyscy, straciła obecnie głowę. Zresztą w dużym mieście łatwiej się ukryć. Oczywiście, gdyby im sam włął w ręce, to by go capnęli.
- Ale czego on chciał od pani Otockiej?
- Według moich przypuszczeń, chciał widzieć Marynię, a przyszedł niby o składkę na cele rewolucyjne. Oni zresztą teraz ciągle chodzą po składkach.
- I te panie dały?
- Nie. Powiedziały mu, że na rewolucję nie dadzą, a na głodnych i pozbawionych pracy posłały już, ile mogły, do jednej z redakcji. – Jakoż tak było. Pani Otocka ofiarowała znacznieszą kwotę i panna Anney także. Laskowicz próbował im tłumaczyć, że odmowa naraża opornych na niebezpieczeństwo, i że dlatego sam się do nich wybrał, by je od tego uchronić. Ale to nie pomogło. Był bardzo nierad i zły, zwłaszcza że widział tylko panią Zofię i pannę Anney, bo Marynia nie wyszła. Zapowiedział jednak, że jeszcze przyjdzie.
- Niech spróbuje! – zawołał Władysław, ściskając pięści. Lecz następnie zapytał ze zdziwieniem:
- Jakże on się do nich dostał i dlaczego go przyjęły?
- Służba męska jest w całym mieście sterroryzowana i słowa: „z partii” otwierają wszędzie drzwi, jak najlepszy wytrych. Ale Laskowicz nie potrzebował używać i tego sposobu, gdyż zdarzyło się, że lokaj pani Otockiej poszedł do sklepu, a wpuściła go służąca panny Anney, która go znała z Jastrzębia i myślała, że przychodzi jako dobry znajomy.
- W każdym razie spisała się jak głupia.
- Mój kochany, co ona może o nim wiedzieć? Nikt jej przecie nie opowiadał o tym, czym on jest, a widziała go między nami, widziała, że odjeżdżał razem ze mną do miasta i że był nauczycielem twego młodszego rodzeństwa. To, że

brał udział w zamachu na ciebie, nie mogło jej także przyjść do głowy, albowiem i z naszej strony jest to tylko przypuszczenie, z którym nie zwierzaliśmy się nawet naszym paniom, aby ich nie niepokoić – a cóż dopiero jej.

– A może sama jest socjalistką?

– Wątpię, gdyż po zamachu, dowiedziawszy się, żeś ranny, beczała podobno tak, że ją było w całym Jastrzębiu słycać, wzywała na twoich niedoszłych zabójców wszelkich kar piekielnych. Pannę Anney bardzo to dla niej ujęło. Pamiętam też, że potem, gdy się rozniosło, że to zrobili rzęślewiacy, obiecywała podpalić Rzęślewo. Ach! ty masz zawsze szczęście...

– Ja sobie takiego szczęścia nie życzę... Ale co do Laskowicza, widziała przecie podczas rewizji w Jastrzębiu, że go szukają.

– To i cóż? Alboż ciebie nie prześladowali za to, żeś założył szkołę? W tym kraju wszelkie sympatie są zawsze po stronie ściganych. Wyobraź sobie, gdy panna Anney zapowiedziała jej, by więcej nie wpuszczała Laskowicza, to dziewczyna jeszcze się oburzyła. – Widocznie zdawało jej się; że panna Anney robi to tylko ze strachu przed policją.

– Panna Anney dała chyba dowód, że się niczego nie boi.

– Ja też ją o bojaźń nie posądzam, ani jej, ani pani Otockiej. Ale natomiast przyznaję, że sam się o nie boję. Ten narwaniec, jeśli nawet osobiście więcej się nie pokaże, to się będzie koło nich kręcił, a co więcej pisywał listy, wszystkie zaś listy wędrują obecnie niewątpliwie do czarnych gabinetów. Gdybym wiedział, gdzie go szukać, to bym mu zapowiedział żeby przede wszystkim nie ważył się pisywać.

– Ja mu zapowiem i to, i co innego, niech go tylko spotkam.

– Skoro był u tych pań, to może przyjść i do mnie. Mieliśmy, jadąc razem z Jastrzębia, rozmowę, której pewno mi nie zapomniiał.

– Jeśli tu przyjdzie, czy pan mi daje carte blanche?

– Ani myślę. Poprzednio już zadałem ci pytanie, czy gdyby skutek awantury z tobą aresztowano Laskowicza, mógłbyś wziąć na swoje sumienie jego zgubę – i odpowiedziałeś mi, że nie. Teraz zapytam cię inaczej: gdyby Laskowicz, tropiony i ścigany jak dziki zwierzę, schronił się do twego domu, czy nie starałbyś się go ukryć lub pomóc mu do ucieczki?

Na to Krzycki odpowiedział ze złością, ale bez wahania:

– Pomógłbym mu... psiakrew...

– A widzisz! – zauważył Groński. – Klniesz a przyznajesz. Ja, jeśli do mnie przyjdą po składkę – wszystko jedno, czy z Laskowiczem czy bez Laskowicza, powiem im, że na ludzi pozbawionych chleba dam, a na bomby, dynamit i propagandę strajków nie dam. I powiem im więcej: że zbierając składki na rewolucję od ludzi, którzy jej nie chcą i którzy dają tylko ze strachu, upadają własnych obywateli.

– A może im na tym zależy? Im wyższe warstwy będą tchórzliwsze, tym im będzie łatwiej.

– Być może, ale w takim razie są rodzonymi braćmi tych wszystkich, którzy upadają to społeczeństwo od dawna i umyślnie.

Krzycki zamyślił się i rzekł:

– U nas się często takie rzeczy robi – z góry i z dołu. Groński spojrział na niego z pewnym zdziwieniem, jakby się nie spodziewał z ust jego takiej uwagi.

– Masz słuszość – ozwał się – z góry przez ciągłe redukcje wielkiego ideału, z – Ba! ale zostaje jeszcze tęga chmara sukman.

– Znowu masz słuszość – odpowiedział Groński. – Dawniej marsz Dąbrowskiego był hasłem dla stu tysięcy ludzi, dziś jest nim dla dziesięciu milionów. Błogosławiony folklor!

Umilkli. Groński chodził czas jakiś po pokoju, zdejmując, wedle zwyczaju binokle z nosa i nakładając je na powrót – po czym ozwał się:

- Wiesz, co mnie dziwi? To, że w takich czasach i w takich warunkach ludzie mogą myśleć o swym prywatnym szczęściu i swoich prywatnych sprawach. A jednak takie jest prawo życia, którego żadna siła nie może potłumić.
- Czy pan ma na myśli mnie?
- Stwierdzam w teorii fakt, który w praktyce stwierdzasz i ty. Bo oto w tej chwili jest jakby trzęsienie ziemi, wał się budynki, giną ludzie, buchają ognie podziemne, a wy się wzajem kochacie w najlepsze z panną Anney i myślicie o założeniu nowego gniazda.
- Jak pan powiedział? – pytał z rozpromienioną twarzą Krzycki – „wy się wzajem kochacie?”
- Powiedziałem: „wy się wzajem kochacie”, albowiem tak jest. Ty zresztą zakochany jesteś bardziej niż ona.
- Z pewnością – odpowiedział Władysław – i w tym nie ma nic dziwnego, ale z czego pan to wnosi?
- Z tego, żeś się dotąd ani wprost, ani ubocznie nie zapytał i nawet nie starał się dowiedzieć, ile ci może wnieść panna Anney. W obywatelu wiejskim jest do dowód, że termometr wskazuje najwyższą temperaturę miłości.
- Daję panu słowo, że wziąłbym ją w jednej sukni – odrzekł Krzycki.
- Ale wolałbyś, żeby coś miała?
- Odpowiem szczerze, że wolałbym. Jest wielu „somsiadów” bardziej gołych ode mnie i kawałka chleba nam nie zabraknie. Ale na Jastrząb jest nas troje, a licząc z matką – czworo. Ja jestem w jednej czwartej dziedzicem, a w trzech czwartych bezpłatnym rządcą mojego rodzeństwa i matki. Chciałbym zaś, żeby Jastrząb był tylko mój i mojej żony, a następnie moich dzieci, jeśli je mieć będziemy.
- Co do tego, to jestem pewien, ale i co do posagu nie dręczą mnie zbytnie obawy – rzekł Groński. – Panna Anney żyje, podróżuje, ubiera się i mieszka dostatnio, a nie jest to wcale osoba, która by komukolwiek chciała zasypywać piaskiem

oczy. Przypuszczam, że milionów nie posiada, ale majątek jej, zwłaszcza jak na nasze stosunki, może się okazać nawet znaczniejszy, niż myślimy.

– A niech go ma albo nie ma - zawołał Krzycki – byle mi siebie oddała. Kto posiadzie taki klejnot, ten się może nim ukoronować jak król.

– Przewiduję wkrótce koronację – odrzekł śmiejąc się, Groński.

V

Z powodu urodzin Maryni panna Anney wyprawiła się wraz ze swą panną służącą po kupno kwiatów. Zeszłego dnia Groński opowiadał, że w jednym z magazynów widział włoskie różowe lilie, takie jakie całymi pękami sprzedają szczególnie w okolicach Lukki i Pizy, ale mało hodowane w warszawskich cieplarniach i rzadko do kraju sprowadzane. Ponieważ Marynia dopytywała się o nie z wielką ciekawością, panna Anney po stanowiła zakupić dla niej cały zapas, jaki się w sklepie znajdował. Poprzedniego wieczora przekomarzała się z Grońskim, że go w tym kupnie uprzedzi, albowiem on, jako znany śpioch, nie potrafi się dość wcześnie z domu wybrać. Obecnie, postanowiwszy spłatać mu istotnie figła, wyszła z domu o ósmej rano, tak ażeby trafić na otwarcie sklepu. Miała przy tym przygotowany list ze słowami: „Już zakupione”, który zamierzała przesłać Grońskiemu przez pannę Polcię, i cieszyła się myślą, że Groński odbierze go przy rannej kawie.

Jakoż wszystko poszło jej zupełnie po myśli, była, bowiem pierwszą kupującą w sklepie. Zawód spotkał ją tylko w tym, że lilii było mało: jedna doniczka, zawierająca kilkanaście łodyg z kwiatami, tak że o ubraniu nimi całego pokoju Maryni nie mogło być mowy. Ale właśnie dlatego panna

Anney tym skwapliwiej zakupiła jedyny egzemplarz i zapłaciwszy żadaną cenę poleciła odnieść lilie do mieszkania pani Otockiej. Zakłopotana się jednak, gdy w sklepie oświadczone jej, że ogrodniczek rozwożący kwiaty, przyjdzie dopiero w południe, pragnęła bowiem, by Marynia otrzymała je przed wstaniem z łóżka.

– W takim razie – rzekła zwracając się do panny Polci – zawołaj dorożki i zabierzemy doniczkę ze sobą.

Lecz panna Polcia, która zachowując się dość obojętnie, a nawet odpornie względem własnej pani, a także względem pani Otockiej, miała jednak jakąś wyjątkową, graniczącą z uwielbieniem sympatię dla Maryni – odpowiedziała:

– Niech pani pozwoli, żebym sama zaniosiła te kwiaty. W dorożce się utrzęsą i jeszcze poopadają.

– Ale ty masz iść z listem do pana Grońskiego, a przy tym podźwigasz się doniczką.

– Mieszkanie pana Grońskiego po drodze, a że się trochę podźwigam dla panienki, to choć tyle dla niej zrobię.

Panna Anney zrozumiała, że odmówiwszy uczyni jej wielką przykrość, więc rzekła:

– Dobrze. Bardzo jesteś poczciwa. Ale gdyby ci było za ciężko, to weź dorożkę, a ja pójdę do kościoła.

I poszła do kościoła pomodlić się za Władysława, który w tym dniu miał po raz pierwszy wyjść z domu i spędzić wieczór u pani Otockiej z powodu urodzin Maryni. Spodziewała się, że nazajutrz będzie u niej i chciała także polecić opiece boskiej ten dzień.

A panna Polcia, wzięwszy lilie, udała się w stronę wprost przeciwną, ku mieszkaniu Grońskiego. Po kilkudziesięciu krokach napełniona ziemią doniczka zaczęła jej jednak ciążyć, więc przekładając ją z ramienia na ramię, myślała:

„Żeby tak dla kogo innego, cisnęłabym wszystko na ziemię, ale to taki ptaszek, że trudno jej nie kochać... Poniosłabym

dla niej choćby dwie takie donice i jej jednej nie zrobiłabym krzywdy, choćby... Nawet w takim razie... jej jednej”.

I na tę myśl posepna jej twarz zamierzchła jeszcze bardziej. W sercu jej, zdolnym tylko do krańcowych uczuć, poczęła się walka między tym dziwnym uwielbieniem dla Maryni a ślepą i zapalczywą miłością do Krzyckiego. Towarzyszyło temu straszne i beznadziejne poczucie, że on w żadnym razie nie dla niej, gdyż on jest panicz, dziedzic, nieledwie królewicz, a ona prosta dziewczyna od szycia, sprzątanania pokoi i domowej posługi. I do tego dołączyło się natychmiast drugie poczucie niezmiernej krzywdy. Przecie mogła się urodzić także „panienką” i nie wyhodować się w ochronie dla sierot pod opieką zakonnice, ale w bogatym pańskim domu. Dlaczego się tak nie stało i dlaczego do śmierci czeka ją tylko podła praca w służebnym stanie.

I tu przyszło jej na myśl, że przecie są teraz jacyś ludzie, jakaś „partia”, która chce odebrać majątki zamożnym, rozdać je biednym, porównać ludzi tak, żeby nie było bogaczy i nędzarzy, sług i państwa ni żadnej krzywdy na świecie, a natomiast jednaki dla wszystkich stan i jednaka wolność. Słyszała o tym od służby w domu, od rzemieślników, od kupczyków w sklepach, do których zachodziła po sprawunki – i dowiadywała się z podsłuchanych rozmów między „państwem”. Dziwiło ją, że tych ludzi nazywają socjalistami, albowiem dotychczas „socjalista” i jakiś wariat latający z nożem w ręku po ulicach znaczyło dla niej jedno i to samo. Przez chwilę, po zamachu na Krzyckiego, gdy rozeszła się wieść, że zrobili to socjaliści, czuła nawet dla nich tak wściekłą i ślepą nienawiść, że gotowa była truć ich lub piec żywym ogniem. Później, gdy służba w Jastrzębiu poczęła powtarzać, że na panicza porwali się nie oni, lecz rzęślewiaczy, nienawiść ta zgasła. Ale i następnie, gdy dziewczyna dowiedziała się dokładnie, czego chcą i czym są socjaliści, mało się nimi

zajmowała. Po części bowiem uważała ich pomysły za głupstwo, po części myślała o rzeczach innych, bardziej osobistych, a wreszcie w Polsce odróżniała tylko „swoich” i „nie swoich”, kochając bezwiednie pierwszych, nienawidząc tak jak i wszyscy, drugich. Dopiero w ostatnich dniach poczęło jej świtać w głowie, że i między swoimi istnieją okrutne i bolesne różnice, istnieje dla jednych bogactwo, dla drugich bieda, dla jednych używanie, dla drugich praca, dla niektórych śmiech, dla innych łzy, dla niektórych doła, dla innych niedola i krzywda.

Stało się to dla niej jasnym zwłaszcza w chwili obecnej, gdy z większym niż kiedykolwiek bólem poczuła tę prawdę, że ów panicz, do którego rwała się jej dusza i ciało, to jest po prostu niedosiężna gwiazda, na którą zaledwie wolno jej patrzeć. I jakkolwiek nic takiego nie zaszło, co by ją mogło dziś szczególnie rozdrażnić - i nic się nie zmieniło, ogarnęła ją taka rozpacz, jak nigdy przedtem.

Lecz bieg jej posępnych myśli przerwały wreszcie zdarzenia zewnętrzne. Mimo wczesnej godziny spostrzegła na rogu dzielnicy duże gromady ludzi ogarnięte niepokojem. Twarze zwrócone były w głąb poprzecznej ulicy, jakby działo się w niej coś niezwykłego. Jedni biegli przed się, inni cofali się z widoczną obawą. Niektórzy, rozprawiając gorączkowo i wskazując na coś rękami, patrzyli w górę na dachy domów. Ze wszystkich stron nadbiegały nowe gromadki robotników i wyrostków. Między dorożkami stojącymi na rogu zapanował niezwykły ruch. Woźnice, po kilku i kilkunastu, zawracali w rozmaite strony końmi, jakby chcieli zatarasować ulicę. Naraz rozległy się przeraźliwe krzyki, a potem strzały. W jednej chwili powstał nieopisany zamęt. Tłum zakotłosał się i począł pierzchać, krzyki rozlegały się coraz przeraźliwiej. Widocznym było, że kogoś ścigają. Dziewczyna, ze swymi liliami na ramieniu, stanęła jak wryta, nie wiedząc, co ma począć. Wtem nagle pomiędzy

dorożek wybiegł człowiek, pochylony naprzód, ze spuszczoną głową i biegł całym pędem ku niej. Po drodze cisnął swoją czapkę i zerwał kapelusz z głowy jakiegoś wyrostka, ów zaś zrozumiał w mgnieniu oka, o co idzie, ani drgnął. Dorożki poczęły jeszcze gorliwiej zamykać ulicę, widocznie, by utrudnić pościg. Ale tuż za nimi zagrzechotały znów rewolwerowe strzały i wśród ogólnego krzyku i turkotu, można już było usłyszeć przeraźliwy głos świstawek policyjnych – i ochryple, podobne do ryku wołania: „dzierży! dierży!” – Pannę Polcię ogarnął teraz ślepy, niepohamowany strach i poczęła uciekać przyciskając bezwiednie do piersi doniczkę z kwiatami, tak jakby chciała uratować własne dziecko.

Lecz zaledwie ubiegła kilkanaście kroków, jakiś zziajany cichy głos poczał wołać tuż za nią:

– Daj panna kwiaty! Na miłosierdzie boskie, daj panna kwiaty – ratuj!

Dziewczyna obróciła się i nagle, wraz z przerażeniem, nieopisane zdumienie odbiło się w jej oczach, poznała bowiem Laskowicza.

Ów zaś, wydarłszy jej prawie przemocą doniczkę, którą nie wiedząc, co czyni, przytrzymała z całej siły, szeptał dalej:

– Może nie poznają. Powiem, żem ogrodnik. Ratuj panienka! Może nie poznają! Tchu mi brak!

Chciała uciekać dalej, lecz poczał ją wstrzymywać:

– Ratuj panienka, jam przecie Polak!

Tymczasem spomiędzy chaosu dorożek wydostało się kilkunastu policjantów i agentów cywilnych. Większość tłumu skierowała się, uciekając, ile siły w nogach, w stronę przeciwną tej, w którą szedł Laskowicz z dziewczyną – i bez najmniejszej wątpliwości skierowała się tak umyślnie, by zmylić pościg. Rozległy się wśród robotników wołania: „dierży!”, aby tym lepiej zmylić policję. Jakiś robotnik poczał gwizdać przeraźliwie w palce, naśladując głos

policyjnej świstawki. Jakoż policjanci i agenci runęli za gęstszym tłumem. Na przecięciu ulic zostało tylko kilku i ci po chwili wahania puścili się w drugą stronę, ale przebiegli pędem obok dziewczyny i człowieka w jasnym kapeluszu, niosącego kwiaty. Biegąc dalej, schwytali kilku robotników, ale inni robotnicy odbili ich w jednej chwili. Panna Polcia i Laskowicz szli dalej.

– Minęli! – mówił student. – Tu nikt nie zdradzi. Minęli!... Zmyliły ich kwiaty i inny kapelusz. Dziękuję, panienko, dziękuję z całej duszy i do śmierci się dość nie odwdzięczę. Lecz ona, nie otrząsnąwszy się jeszcze całkiem ze zdumienia, poczęła pytać:

– Co to było? Skąd się pan wziął?

– Z dachu. Przyłapali nas w drukarni. Ale inni posiedzą rok, dwa i nic im nie będzie – a dla mnie był stryczek.

– Jak pan potrafił uciec?

– Gdy się dostali na dach, zsunąłem się po rynnie. Mogłem kark skręcić, ale zobaczyli mnie dopiero na ulicy. Strzelali do mnie i szczęściem nie ranili, bo krew byłaby mnie wydała. Kto żył, to mi pomagał i dorożki mnie zakryły. Nie widzieli, jak zmieniłem czapkę na kapelusz. Ale żeby nie towarzyszka, byłoby po mnie.

– Jaka towarzyszka?

– Do panienki tak mówię. Między nami taki zwyczaj.

– To niech pan mnie tak nie nazywa, bo ja nie żadna towarzyszka.

– To szkoda. Ale nie pora o tym mówić. Dziękuję jeszcze raz za ratunek, chociaż to na krótko.

– Dlaczego na krótko?

– Bo nie wiem, co ze sobą zrobić, gdzie iść i gdzie się skryć. Co dzień nocuję gdzie indziej, gdyż wszędzie mnie szukają.

– Prawda. Szukali pana i w Jastrzębiu. Czy pan wie, że tam była rewizja?

– Była?

– Jakże! Przyszły żandarmy, policja, wojsko. Mało wszystkich nie poaresztowali.

– O! ich nie zaaresztują...

Tupot końskich kopyt i zgrzyt podków o kamienie bruku przerwał im na chwilę rozmowę. Z poprzecznej ulicy wyjechał patrol kozacki, złożony z kilkudziesięciu ludzi. Jechali wolno, z karabinkami opartymi o uda, rozglądając się bacznie dokoła. Na ich widok panna Polcia pobladła nieco, Laskowicz zaś począł szeptać:

– To nic. Widzą, że niosę ze sklepu kwiaty. Wezmą mnie za ogrodniczka i przejadą...

Jakoż przejechali.

– Aresztują teraz ludzi na ulicach co chwila całymi gromadami – rzekł Laskowicz. – Dla kogo innego to mała rzecz, ale ja, gdybym im się dostał w ręce, to już bym się nie wydostał.

– Więc co pan myśli zrobić?

– Nieść za panienką kwiaty...

– A potem?

– Nie wiem...

– Przecie musi mieć pan jakich znajomych, którzy pana schowają.

– Mam, mam! Ale na wszystkich moich znajomych policja ma oko. Co noc bywają rewizje... Przez ostatnie dwie noce sypiałem w drukarni, dziś jednak nakryli i drukarnię...

Nastała chwila milczenia.

Po czym Laskowicz ozwał się znów posępnym głosem:

– Nie ma już dla mnie ratunku... Odniosę te kwiaty i pójdę sobie, gdzie mnie oczy poniosą.

Lecz w sercu panny Polci zbudziła się nagle wielka litość dla niego. Przedtem ni ją grzał, ni ją ziębił. Obecnie widziała w nim tylko polskiego studenta, ściganego jak wściekły pies przez ludzi, których nienawidziła od dawna.

Więc na energicznej i zawziętej jej twarzy odbiło się niezłomne postanowienie.

– Niech się co chce dzieje, a ja pana nie opuszczę! – rzekła marszcząc swe czarne brwi.

Laskowicza chwyciła nagle ochota, by pocałować ją w rękę, i gdyby nie byli na ulicy, byłby to uczynił. Wzruszył się nie tylko nadzieją ratunku, lecz i tym, że dziewczyna, której prawie nie znał, która nie należała do jego obozu, gotowa była sama narazić się na największe niebezpieczeństwo, byle przyjść mu z pomocą.

– Co panienka może zrobić? gdzie mnie schowa? – zapytał cicho.

A ona szła ze zmarszczonymi wciąż przez wysiłek myśli brwiami, a wreszcie rzekła:

– Już wiem. Pójdźmy.

Lecz on przełożył doniczkę do lewej ręki.

– Bo muszę powiedzieć – mówił zniżonym głosem – że za ukrywanie mnie grozi co najmniej Sybir. Muszę to powiedzieć! Ja i tak mogłem panienkę zgubić, ale w pierwszej chwili... panienka rozumie... instynkt zachowawczy... nie ma się czasu myśleć...

Panienka nie bardzo rozumiała, co to jest instynkt zachowawczy, natomiast rozumiała co innego. Oto, że jeśli zaprowadzi, jak miała zamiar, Laskowicza do Grońskiego, to narazi na niebezpieczeństwo nie tylko Grońskiego, ale i Krzyckiego.

I pod wpływem tej myśli stanęła jak wryta.

– W takim razie nie wiem, co mam zrobić – rzekła.

– A widzi panienka - odpowiedział jakby ze smutkiem student.

Ona zaś znów poczęła pracować głową. Zaprowadzić Laskowicza do panny Anney lub pani Otockiej nie przeszło jej nawet przez myśl. Wyłajano ją przecie za to, że go poprzednio puściła do mieszkania tych pań. Czuła, że tu

trzeba pomocy mężczyzny i że trzeba było znaleźć takiego, który by się nie bał i o którego by ona sarna niewiele dbała... Więc poczęła przebiegać pamięcią szereg znajomych panny Anney i pani Otockiej... Pan Dołhański?... nie!... Może by się nie bał, ale ich odprawi do licha i jeszcze wydrwi... Doktor Szremski?... podobno już wyjechał. Ach, gdyby nie ten „panicz”, to jednak właśnie do pana Grońskiego zaprowadziłaby tego biedaka, albowiem gdyby go nawet nie przyjął, w najgorszym razie dałby dobrą radę, alboby kogoś wskazał... I nagle przyszło jej do głowy, że jeśli temu, kto by ukrył Laskowicza, grozi Sybir, to Groński nie może nikogo wskazać, ale gdyby mógł, to by wskazał tylko jednego człowieka, którego i ona знаła. I na tę myśl strzepnęła rękoma po sukni i zwracając się do Laskowicza rzekła:

– Już wiem! Spróbuję!

Po czym przystanąwszy na chwilę mówiła dalej:

– Wejdzmy do tego domu, tu zaraz. Pan poczeka z kwiatami w sieni, a ja na górze oddam list i wrócę. Niech pan niczego się nie boi, bo stróż tu mnie zna – i to dobry człowiek... Potem może gdzieś pana zaprowadzę.

To rzekłszy weszła do bramy i zostawiwszy Laskowicza na dole, zadzwoniła po chwili do Grońskiego.

Groński, wstawszy tego dnia wcześniej niż zwykle, był już ubrany i siedział z Krzyckim przy herbacie. Gdy panna Polcia oddała mu list, przeczytał go i śmiejąc się pokazał go Władysławowi, po czym wstał i przeszedł do gabinetu, by napisać odpowiedź. Przez ten czas Krzycki począł wypytywać o zdrowie matki i młodszych pań.

– Dziękuję, panie zdrowe, a moja pani wyszła już nawet na miasto.

– Tak rano? – i nie boi się pani chodzić sama po mieście?

– Pani wyszła ze mną i kupowała kwiaty dla panny Zbyłtowskiej, a potem poszła do kościoła.

– Do którego kościoła pani chodzi? --- Nie wiem.

Panna Polcia wiedziała dobrze, ale ubodło ją natychmiast to, że on o jej panią wypytuje; on zaś, domyśliwszy się tego, przestał istotnie dalej pytać, albowiem i poprzednio już postanowił jak najmniej z nią rozmawiać.

Więc zapadło między nimi milczenie - trochę kłopotliwe - i trwało dopóty, dopóki Groński nie wrócił z listem.

- Oto jest odpowiedź - rzekł. - Niech panienka pokłoni się od nas paniom i powie, że dziś tam obaj będziemy, bo już i niewola pana Krzyckiego skończona.

- Dziękuję - odrzekła panna Polcia - ale ja mam jeszcze prośbę... Chciałabym dowiedzieć się, jaki jest: adres pana Świdwickiego?

Groński spojrział na nią ze zdziwieniem. - - Czy to panie poleciły spytać?

- Nie... To ja tak chciałam wiedzieć...

- Panno Polciu - rzekł Groński. - Pan Świdwicki mieszka na Oboźnej 5, ale młodym paniom nie bardzo jest bezpiecznie do niego chodzić...

Ona zaś zaczerwieniła się po uszy z obawy, że "panicz" może coś złego o niej pomyśleć.

I zawahała się przez chwilę, czy nie powiedzieć, że Laskowicz jest w sieni i że trzeba go ukryć, gdyż inaczej czeka go zguba... Lecz znów przypomniała sobie, że Laskowicza szukano już w Jastrzębiu i że Krzycki omal nie został z tego powodu aresztowany; chwyciła ją obawa, że może Groński sam zechce przechować studenta, a w takim razie narazi i panicza. Objęła raz i drugi oczyma urodziwą postać Krzyckiego i postanowiła milczeć.

Groński zaś mówił dalej:

- Nie radzę do niego chodzić, nie radzę. Panienka mu już raz podobno nawymyślała.

A ona podniosła głowę i odpowiedziała zarazem hardo i gniewnie:

– To nawymyślałam i drugi raz, ale mam do niego interes... I skłoniwszy się wyszła. Groński wzruszył ramionami i rzekł:
– Nie rozumiem, o co jej może chodzić. Jest w tej dziewczynie
coś dziwnego – i powiem ci, że twoja przyszła pani składa dowody świętej cierpliwości, jeśli jej dotychczas nie odprawiła. Powiada zawsze, że to jest gwałtowny charakter, ale złote serce -i być może – wiem jednak od pani Otockiej, że to złote serce wyprawia jej czasem takie sceny, których nikt inny by nie zniósł.

VI

Wieczorem w dzień urodzin Maryni, Krzycki i panna Anney znaleźli się przez chwilę opodal od reszty towarzystwa, przy pianinie przybranym w kwiaty. Oczy Władysława błyszczały radością i szczęściem. Czuł się szczęśliwy, że skończyła się jego niewola i że może znów patrzeć na tę swoją panią, którą ukochał całą siłą młodego serca.

– Wiem – mówił jej – że pani była dziś rano na mieście i kupowała kwiaty. Dowiedziałem się o tym od pani służącej, która przyniosła list do pana Grońskiego. Potem poszła pani do kościoła. Pytałem, do którego, gdyż chciałem tam iść. Ale służąca nie wiedziała.

– To mnie dziwi, bo ona wie, że zawsze chodzę do Świętego Krzyża i czasem, a nawet często, biorę ją ze sobą. Bywam tam co dzień na rannej mszy.

– Powiedziała mi, że nie wie – odrzekł Władysław. –Czy pani tam będzie i jutro?

– Tak. Chybaby była wielka niepogoda. Krzycki zniżył głos:

– Dlatego o to pytam., że mam wielką i serdeczną prośbę... Niech mi pani pozwoli tam przyjść o tej samej godzinie i przed ten sam ołtarz...

Przez twarz panny Anney przebiegły rumieńce i piersi jej poczęły się poruszać żywiej. Pochyliła nieco głowę i przyłożywszy brzeg wachlarza do ust, odrzekła cicho:

– Nie mam prawa zabraniać ani pozwalając, kościół otwarty jest dla wszystkich.

– Tak. Ale ja bym chciał klęknąć na chwilę przy pani... razem... i nie przez zwykłą pobożność, tylko na szczególną intencję. Co do mojej pobożności, to szczerze powiem, że – wierzę w Boga, ach! zwłaszcza teraz – wierzę i w Boga, i jego dobroć, ale dotychczas nie byłem bardzo pobożny... Tak jak wszyscy... Gdy jednak chodzi o całe życie, to nawet człowiek całkiem niewierzący gotów klęknąć i modlić się. Klęknąć przy pani, to już jest ogromne szczęście, bo to jakby się miało przy sobie anioła. A ja chcę jeszcze o coś więcej prosić: o to, żebyśmy razem, w tej samej chwili, odmówili: „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko...”

Krzycki pobladł ze wzruszenia i na czoło wystąpiły mu krople potu. Na chwilę umilkł, by przeczekać zbyt gwałtowne bicie serca, po czym znów mówił:

– „Uciekamy się” – to będzie znaczyło: nas dwoje. – Nic więcej, droga, najdroższa pani nic więcej! Potem sobie pójdę, a po południu, pani pozwoli, że przyjdę do jej mieszkania i wypowiem wszystko, co się we mnie zebrało od czasu, jak pierwszy raz zobaczyłem panią w Jastrzębiu... W rękach pani mój los, ale muszę, muszę już to wypowiedzieć, bo inaczej rozsadziłoby mi chyba piersi. Ale jeśli się pani zgodzi na to wspólne odmówienie przedtem: „Pod Twoją obronę”, to już będę tak szczęśliwy, że nie wiem, jak jutra dożyję...

A ona spojrzała mu wprost i pocziwie w oczy niebieską smugą swych zamglonych źrenic i odrzekła:

– Niech pan przyjdzie jutro do kościoła. Krzycki zaś począł szeptać, a

– I nie móc paść do nóg pani w tej chwili – i nie móc paść do nóg. Lecz panna Anney musnęła niby niechcący swą przybraną w białą rękawiczkę dłonią jego dłoń, wspartą na brzegu pianina, i odeszła, albowiem, nie zapamiętawszy się do tego stopnia jak Władysław, spostrzegła, że poczynają na nich patrzeć. Z powodu urodzin Maryni zebrało się wieczorem u pani Otockiej dość znaczne grono osób. Zjawił się rejent Dzwonkowski, dalej stary sąsiad z okolic Zalesina, a prócz tego Dołhański i obie panie Włockie, które po poprzedniej zamianie wizyt zaprosiła pani Otocka. Groński zjawił się oczywiście najwcześniej i niemal grał rolę gospodarza, w czym mu pomagał dawny nauczyciel Maryni, nie mniej w niej rozmiłowany skrzypek Bochner, i wreszcie, wyjątkowo w dniu dzisiejszym trzeźwy, Świdwicki.

Pani Otocka zajęta była paniami Włockimi. Groński rozmawiał ze Świdwickim, o ile nie wodził oczyma za Marynią, która w swej białej, przybranej fiolkami sukni, wysmukła, prawie wiotka, wyglądała istotnie jak alabastrowy posążek. Ale ona to właśnie, a z nią pani Krzycka poczęły się przypatrywać ze szczególną uwagą Władysławowi i pannie Anney. Małe uszka Maryni zaczerwieńczyły się zupełnie z ciekawości, na twarzy zaś pani Krzyckiej pojawił się niepokój i jakby odcień niezadowolenia.

Lecz panna Anney, przerwawszy rozmowę z Krzyckim, zbliżyła się wprost ku niej i siadła na stojącym obok krześle.

– Pan Władysław taki szczęśliwy – rzekła – że skończyło się jego więzienie.

– Widzę – odpowiedziała pani Krzycka – ale obawiam się, że go rozmowy jeszcze męczą. Co ci tak żywo rozpowiadał? Panna Anney pochyliła na chwilę głowę i poczęła rozgarniać palcami fałdy swej jasnej sukni, jakby w zakłopotaniu, lecz następnie powziąwszy widocznie nagle postanowienie,

podniosła swe szczere oczy wprost na panią Krzycką, tak jak przedtem na Władysława, i odrzekła:

– Mówił mi takie miłe i kochane rzeczy, że chce przyjść jutro do kościoła i zmówić: „Pod Twoją obronę” – razem ze mną...

W oczach jej nie było ni zapytań, ni niepokojów, ni wyzwania, ale wielka dobroć i prawda.

Pani Krzycka zaś stropiła się otwartością odpowiedzi tak, że w pierwszej chwili umilkła. Zdawało jej się, że to, co dotychczas było wątpliwym, zatartym i niewyraźnym przypuszczeniem, rozświetla się nagle i występuje na jaw wyraźnie, ale próbowała jeszcze temu nie uwierzyć, więc po pewnym wahaniu się odrzekła:

– Władzio byłby inaczej niewdzięczny. On ci tyle winien – i ja także...

Panna Anney zrozumiała doskonale, iż chcą jej dać do poznania, że motywem słów Władysława jest tylko wdzięczność – ale nie miała czasu nic odpowiedzieć na słowa pani Krzyckiej, gdyż w tej chwili przez poręcz krzesła przechyliła się wysmukła figurka Maryni:

– Aninko, czy mogę cię prosić na chwilę?

– Owszem – odpowiedziała panna Anney.

I wstawszy odeszła. Pani Krzycka przeprowadziła ją oczyma i westchnęła. Tyle było w tej ślicznej postaci młodości, zdrowia, blasku, tyle złota warkoczy, błękitu spojrzeń, tyle ciepła i kobiecych ponęt, iż starsza i doświadczona kobieta, jaką była pani Krzycka, musiała w duszy przyznać, że byłoby raczej niezrozumiałym, gdyby Władysław pozostał obojętny na te wszystkie uroki.

I westchnąwszy po raz drugi, pomyślała:

– Po co ta Zosia przywiozła ją do Jastrzębia!

I poczęła szukać oczyma pani Otockiej, ta zaś w tej chwili zbliżyła się do drzwi, by powitać jakiegoś starego pana o białej lwiej grzywie i z taką białą brodą, który widocznie na

wpół ślepy, stanął na progu i rozglądał się przez złote okulary po salonie.

Dojrawszy wreszcie panią Otocką chwycił obie jej ręce i począł całować je z wielkim zapalem, a ona witała go z tym właściwym sobie nieśmiałym wdziękiem, który czynił ją podobną do młodej wiejskiej panny.

– Jakie to słodkie i jakie kochane! – mówiła sobie pani Krzycka.

Lecz dalsze rozmyślenia i żale przerwał jej Świdwicki, który zajawszy krzesło opuszczone przez pannę Anney począł mówić:

– Ależ syn pani dobrodziki to prawdziwy ułan spod Somosierry. Co to za rasa! co to za typ! Ja, który wystawiam tak wszędzie piękność, jak wyżeł kuropatwy, zauważyłem go natychmiast u Grońskiego. Tylko mu szablę w dłoń i na koń! Albo na jaką wystawę! po prostu na wystawę jako okazowy egzemplarz rasy. Ach, co za krew z mlekiem! Kobiety muszą za nim szaleć!

Pani Krzyckiej, mimo wszelkich wewnętrznych trosk, miło było słuchać tych słów, albowiem uroda Władysława była dla niej od lat jego dziecinnych źródłem dumy i radości. Ale oczywiście uważała za stosowne nie przyznać się do tego przed Świdwickim.

– Ja nie przywiązuję do tego wagi – odrzekła – i dziękuję Bogu, że nie tylko to można na korzyść mego syna powiedzieć. A Świdwicki strzepnął palcami i rzekł:

– Przywiązuje pani, przywiązuje! – i ja przywiązuję, a i te oto panie tylko udają, że nie przywiązują – zarówno ta młoda Angielka, jak nawet ta mała przezroczysta porcelanka, choć niby tylko myśli o muzyce... Może najmniej pani Zofia, ale to dlatego, że od pewnego czasu zanadto pilnie wczytuje się w Platona...

– Zosia... w Platona? – zapytała pani Krzycka.

– Tak się spodziewam, a nawet jestem pewien, gdyż inaczej nie byłaby taka platoniczna...

– Przecież chyba nie umie po grecku.

– Ale Groński umie i może jej go tłumaczyć.

Pani Krzycka spojrzała ze zdumieniem na Świdwickiego i przerwała rozmowę. Poznawszy go dopiero tego wieczora i nie mając pojęcia, że człowiek ten dla konceptu, dla lichej igraszki słów i z nałogu, gotów jest gadać zawsze i wszędzie w sposób jak najbardziej nieogłędny – nie mogła zrozumieć, dlaczego jej to mówi. Jednakże słowa jego były dla niej jakby promieniem rozjaśniającym rozmaite rzeczy, których dotychczas nie spostrzegła – znalazła nowy dowód, że serdeczne i ukryte jej życzenia pozostaną zawsze marzeniem bez treści – i westchnęła po raz trzeci.

„Ach, więc to tak?” – pomyślała sobie w duszy. Świdwicki zaś począł się śmiać.

– Tak, tak! – rzekł – kuzynka jest bardzo platoniczna, a przy tym trochę anemiczna.

I w śmiechu jego była jakaś gorycz, a nawet jakby złość, tak że pani Krzycka znów spojrzała na niego ze zdziwieniem. Tymczasem Marynia wyprowadziła pannę Anney do drugiego pokoju. Uszki jej były coraz czerwieńsze, a oczy płonęły dziecianną zupełnie ciekawością – więc przyłożywszy nosek do policzka panny Anney, jąła szeptać:

– Powiedz! – oświadczył ci się przy pianinie? oświadczył ci się? powiedz!...

A panna Anney objęła ramionami jej szyję i ucałowawszy ją serdecznie, odszepnęła jej w same uszko:

– Prawie.

– A co!... przy pianinie! Zaraz odgadłam! Ho, ho! ja się na takich rzeczach znam wybornie! Ale jak to: prawie? jak to: prawie?

– Bo wiem, że mnie kocha... – Władzio? powiedział ci to?

– Nie potrzebował nawet mówić. – Rozumiem, doskonale rozumiem!

Panna Anney, choć oczy miała wilgotne, poczęła się śmiać i uściskawszy powtórnie małą skrzypaczkę, rzekła:

– Wróćmy teraz do salonu.

– Wróćmy – odrzekła Marynia.

I po drodze poczęła mówić z rozradowaną twarzą:

– Wyście myślały z Zosią, że ja nic nie widzę, a ja – oho!...

W salonie trafiły na rozmowę polityczną. Wysoki stary pan z białą grzywą, który był kolegą i przyjacielem nieboszczyka Otockiego, a zarazem redaktorem jednego z wielkich warszawskich dzienników, mówił:

– Myślą, że to jest nowy stan rzeczy, który będzie odtąd trwał, a to jest atak hysterii, po którym nastąpi wyczerpanie i prostracja. Ja dawno żyję na świecie i nieraz już podobne zjawiska widziałem... Tak jest! To jest głupia i zła rewolucja.

Gdyby Świdwicki usłyszał był od jakiego zapaleńca, że to jest mądra i zbawienna rewolucja, byłby niezawodnie zdania starego redaktora, ale ponieważ lekcewał dziennikarzy w ogóle, a w szczególności gniewało go to, że staruszek uchodzi w pewnych kołach za powagę polityczną, więc zaczął się natychmiast sprzeczać.

– Tylko bezdenna naiwność konserwatystów – rzekł – może się zdobyć na to, by żądać od rewolucji rozumu i dobroci. Jest to to samo, co żądać na przykład od pożaru, żeby był łagodny i rozsądny. Wszelka rewolucja jest dzieckiem namiętności – nie rozumu i gniewu – nie zaś miłości. Zadaniem jej jest rozsadzić starą formę głupoty i zła, a wtłoczyć przemocą życie w nową.

– A tę nową jak pan sobie u nas wyobrażasz?

– Oczywiście, że także jako głupotę i zło, ale nowe. Na takich przemianach polega nasza historia, a nawet dzieje ludzkości w ogóle...

- To jest filozofia rozpacz.
- Albo śmiechu.
- Jeśli śmiechu, to i egoizmu.
- Tak jest: Moje stronnictwo zaczyna się ode mnie i kończy na mnie...

Groński cmoknął niecierpliwie, redaktor zaś zdjął okulary i mrugając oczyma począł je chustką przecierać.

- Przepraszam – rzekł z wielką flegmą. – Pańskie stronnictwo może być bardzo zajmujące, ale ja chciałem mówić o innych.

– Mniej zajmujących...

Lecz stary dziennikarz zwrócił się do Grońskiego.

- Nasi socjaliści – mówił – zabrali się do przebudowy nowego domu, zapomniawszy, że żyjemy stłoczeni tylko w kilku izbach, a w innych mieszkają obcy, którzy na to nie pozwolą. A raczej owszem! Te kilka izb pozwolą zwalić, ale nie dadzą ich odbudować.

– To lepiej cały dom wysadzić dynamitem – wtrącił Świdwicki.

Ale uwagę tę pominięto milczeniem, po czym Groński rzekł:

- Jedna rzecz mnie wprost zdumiewa, a mianowicie to, że konserwatyści zwracają się z największą zaciekłością nie przeciw rewolucjonistom, ale przeciw patriotom narodowym, którzy rewolucji nie chcą i którzy jedynie mają dość siły, by do niej nie dopuścić. Rozumiem, że to robi obca biurokracja, ale dlaczego wtórują jej w tym nasi patres conscripti?

Redaktor nałożył okulary, umoczył palec w herbacie szukając filiżanki, następnie podniósł ją do ust, popił i odpowiedział:

- Przyczyną tego jest ich większa ślepotą i większy rozsądek. – Proszę! – zawołał Świdwicki, któremu trochę zaimponowała ta odpowiedź.

A sąsiad z Zalesina, który słuchał chciwie słów dziennikarza, zapytał:

– Jak to, panie dobrodzieju? nie rozumiem.

– Tak jest – odpowiedział redaktor. – Większa ich ślepotą polega na cieńszym widnokregu, na braku zdolności spojrzenia w dalszą przyszłość, w te czasy i te wieki, które dopiero nadejdą i dla których sto razy większe znaczenie ma, żeby wielki

Znicz nie zagasł – niż drobne doraźne korzyści. Trzeba mieć czucie przyszłych dziejów, a oni tego nie mają. Oni są trochę jak Ezaw, który odstąpił starszeństwo za garnek soczewicy. A nam nie wolno nic odstępować. Absolutnie nie! Natomiast gdy chodzi o pojedyncze momenty, o stany i stosunki w danej chwili czasu, to oni są sto razy rozsądniejsi, zręczniejsi – robią daleko mniej błędów w szczegółach i trzeźwiej patrzą. Mówię o tym zupełnie bezstronnie, ponieważ sam należę do bezpartyjnych.

– Którzy nie mają racji ani w teraźniejszości, ani na przyszłość – wtrącił Świdwicki. – Zresztą zgadzam się, że różnica między realnym poglądem polityków a uczuciowym patriotów i w ogóle zapaleńców leży w tym, że z politycznego umiarkowania można bić monetę – chociaż czasem fałszywą, ale zaraz z uczuć zaś politycznych zbyt gorących i gwałtownych – w przyszłości. Historia stwierdza to na każdym kroku, gdyż to, co lat temu sto, pięćdziesiąt albo nawet dwadzieścia wydawało się czy to politycznym, czy społecznym szaleństwem, dziś weszło w życie. I tak będzie w dalszym ciągu.

– Może być – rzekł Groński – ale to jest słuszne o tyle, o ile radykalizm pojęć lub furia uczuć nie przeradza się w teraźniejszości w wielki a głupi doraźny czyn, jeśli bowiem tak jest, to dzieje się zbrodnia i rodzi się błąd, który zagraża i przyszłości. A tak bywa najczęściej.

– I przypuszczam, że tego właśnie boją się konserwatyści odpowiedział dziennikarz. – Zbyt gorący, a – należy przyznać – często nieopatrzny i niedorzeczny w swych objawach patriotyzm przeraża ich. Poprzednio obawiali się, by chłopci, którzy czytują „Polaka”, nie wzięli się do kos. Obecnie dostają gęziej skórki, gdy jakimś zapaleńcowi wyrwie się słówko o przyszłym państwie polskim.

– Państwo polskie! – rzekł parszkając ironicznie Świdwicki. Powiem panom anegdotę. Pewien urzędnik rosyjski zwariował i zapadł na manię wielkości. Oczywiście, w czynowniku mania polegała na tym, że sobie wyobraził, iż posiada „czyn” najwyższy ze wszystkich „czynów”, tak na ziemi jak w niebie. I jak wam się zdaje? – za kogo się uważał?

– Co najmniej – za pana Boga! – Więcej.

– Wyznaję, że wyobraźnia moja mdleje – odrzekł Groński.

– A widzisz. Tymczasem on wymyślił jednak „czyn” jeszcze wyższy, albowiem przedstawiał się jako „prezident Świątoj Trójcy” – prezes Trójcy Świętej! – Rozumiesz? Jest komitet złożony z Boga Ojca, Syna i Ducha – a on jest prezesem. Czy to nie więcej?

– Prawda, ale dlaczego przytoczyłeś tę anegdotę?

– Na dowód, że dla chorych mózgów nie ma niepodobieństw i... że tylko takie mózgi mogą myśleć o państwie polskim. Groński pomyślał chwilę i rzekł:

– Dwadzieścia milionów ludzi to jednak jest materiał – i pozwól sobie powiedzieć, że prezydentura Trójcy Świętej jest większym nieprawdopodobieństwem. Co ty wiesz o przyszłości i kto ją może odgadnąć? Możesz co najwyżej powiedzieć, że wobec dzisiejszych warunków myśl stworzenia czegoś podobnego przemocą, przez rewolucję, byłaby błędem, a nawet zbrodnią. Ale nasz naród zjedzon będzie tylko wówczas, gdy się da zjeść. Lecz jeśli się nie da? Jeśli przez wielką i szlachetną pracę wytworzy oświatę,

karność społeczną, dobrobyt, naukę, literaturę, sztukę, bogactwo, czerstwość, zdrowie, spokojną siłę wewnętrzną, to wówczas co? A któż może dziś powiedzieć, jak się ułożą w przyszłości stosunki polityczne i społeczne? Kto może zaręczyć, że dzisiejsze systemy rządzenia nie zmienią się całkowicie, nie padną i nie będą uznane za tak idiotyczne i zbrodnicze, jak są dziś uznane na przykład tortury? Kto może odgadnąć, jakie prądy powstaną w tym wielkim morzu, którym jest ludzkość? Człowiek, który by powiedział, na przykład za czasów Cyncerona, że gospodarstwo społeczne może się obejść bez niewolnictwa, poczytany byłby za wariata – a jednak dziś nie ma niewolnictwa. I w stosunkach politycznych może zająć coś podobnego. Dzisiejsze stosunki przemocy mogą się zmienić w dobrowolne i swobodne unie. Wówczas dzisiejsi ciemiężcy może sami powiedzą nam: urządźcie się jak chcecie. W obecnej chwili wydaje się to marzeniem całkiem naiwnym, ale przyszłość nosi w swym łonie takie niespodzianki, o jakich nie śniło się, nie tylko politykom, ale i filozofom. Nie wiem, czy tak będzie, ale ty nie wiesz, czy tak nie będzie. A wobec tego widzę potrzebę żelaznej pracy, natomiast zaś nie widzę potrzeby zarzekania się i wyrzekania żadnych ideałów – i powiem ci więcej – że Polak, który na dnie duszy nie nosi ideału niepodległości, jest poniekąd odstępca i nie rozumiem, dlaczego nie wyrzeka się wszystkiego.

– Napisz to wierszem i po łacinie – odpowiedział z niecierpliwością Świdwicki – albowiem w ten sposób zawrócisz w głowie .mniejszej liczbie ludzi.

Po czym, mając widocznie dość tej rozmowy, dodał:

– Ale mniejsza z tym. Zawieszam słuchawkę i przerywam. Dziś trzeba się zajmować nie polityką, ale solenizantką, a ją takie rzeczy nudzą na pewno.

I to rzekłszy zwrócił się do stojącej z panną Anney Maryni, lecz ta potrząsnawszy główką odrzekła w tej samej chwili z wielkim zapalem:

– Owszem! ja jestem zdania pana Grońskiego.

I zaczerwieniła się po uszy, albowiem wszyscy zaczęli się śmiać. Świdwicki zaś odpowiedział:

– A, jeśli tak, to wszystko załatwione.

Krzycki rozśmiał się także z zakłopotania Maryni, choć po prawdzie nie bardzo wiedział, o co chodzi, gdyż cała dusza zebrała mu się w rozmiłowanych oczach, patrzących na pannę Anney. Ona stała między dwoma krzesłami, spokojna, uśmiechnięta, biała w swej białej sukni, hoża jak letni poranek – i tylko po ostatniej rozmowie bardziej różana jak zwykle, a on pochłaniał ją po prostu wzrokiem. Rozszalało się w nim serce i zmysły, których nigdy nie umiał hamować. Patrzył na jej promienną twarz, na obnażone ramiona, wykute jakby z ciepłego marmuru, na wypukłą silną pierś, na wężowate gibkie linie postaci, na rysujące się pod lekką suknią zbliżone ku sobie kolana i porywał go wichur żądź, które zmagaly się z uczuciem uwielbienia, jakie żywił dla tej dziewczyny, czystej jak łąka. Tętna poczęły mu bić głucho, na czoło wystąpił splot żył. Na myśl, że ona będzie mu żoną i że te wszystkie skarby będą jego, ogarniała go pożoga krwi, a zarazem jakieś osłabienie, tak wielkie, że chwilami nie był pewien; czyby potrafił się podnieść z krzesła. Jednocześnie zaś klócił się z sobą, oburzał się z całej duszy na to „zwierzę”, którego nie umiał w sobie okiełznać, i wymyślał sobie od ostatnich słów za to, że nie kocha jej tak, jak ją kochać powinien, to jest taką miłością, która tylko klęczy i tylko uwielbia. Więc w myśli padał przed umiłowaną na kolana, obejmował jej stopy i błagał o przebaczenie, ale gdy wyobrażał sobie, że usta jego całują jej stopy, znów żądze porywały go za włosy. I w tej rozterce czuł się nie tylko jej niegodnym, nie tylko „zwierzęciem”,

lecz zarazem jakimś niedowarzoną i komicznym mydłkiem, pozbawionym tego rozumu, spokoju i panowania nad sobą, jakie prawdziwy mężczyzna mieć powinien.

Ogarniało go też zdziwienie, że to wszystko może zapowiadać tyle rozkoszy, a zarazem tak męczyć. Szczęściem, dalszą jego mękę i dalsze rozmyślania przerwała muzyka, na której wieczór w domu pani Otockiej musiał się skończyć. Bochener siadł do fortepianu, zapalczywy rejent Dzwonkowski jął przedmuchiwać flet, a panna Marynia stanęła obok ze skrzypcami – i gdyby obecni nie byli przyzwyczajeni do jej widoku, mogliby zdumiewać się zmianą, jaka w niej zaszła. Śliczna, ale dziecinna twarz rozbawionej i ciekawskiej dziewczyny, nabrała w jednej chwili wyrazu powagi i głębokiego spokoju. Oczy jej stały się jakby zamyślane i smutne. Na czerwonym tle salonu jej wąska biała postać wyglądała jak stylizowany rysunek na kościelnym witrażu. Było w niej coś po prostu hieratycznego.

Rozpoczął się tercet. Łagodne tony poczęły kołysać wzburzoną duszę Krzyckiego. Zmysły jego usypiały z wolna i żądze gasły. Serce zaległa mu cisza. Miłość jego zmieniała się w wielkiego skrzydlatego anioła, który wziął swą umiłowaną na ręce, niby dziecko, niby uspioną lunaticzkę, i poszybował z nią w niezmiernie przestworza, przed ołtarze uczynione z blasków zórz wieczornych i z wieczornych światła gwiazd.

Godzina była późna, gdy Groński, Świdwicki i Władysław wyszli od pani Otockiej. Na ulicach mało spotykali przechodniów, ale za to co krok patrole wojskowe i policyjne, które zatrzymywały ich pytając o paszporty. Świdwicki tym razem nie udawał pijanego, albowiem wpadł w zły humor właśnie dlatego, że u pani Otockiej musiał poprzestać na dwóch kieliszkach wina. Więc ukazując policjantom, prócz paszportu, na swój frak i biały krawat,

pytał ich opryskliwie, czy socjaliści albo bandyci ubierają się w podobny sposób.

– Żeby jednych i drugich piorun pobił – mówił uderzając laską w chodnik. – W dodatku wszystko zamknięte, nie tylko restauracje po hotelach, ale nawet apteki, w których w ostateczności można dostać vin de coca albo spirytusu. Apteki strajkują! Tegośmy dożyli! Powinni jeszcze zastrajkować doktorzy, a wówczas zastrajkują mimo woli i grabarze. Niech wszystkich i wszystko diabli porwą! W domu nie mam ani butelki, więc przez całą noc oczu nie zmrużę, a jutro będę jak z krzyża zdjęty...

– Chodź do nas – rzekł Groński. – Znajdzie się może jaka butelka i czarna kawa.

– Ocalisz życie, nie tylko mnie, ale i memu „towarzyszowi”, zwłaszcza jeśli się znajdą dwie butelki.

– Poszukamy. Ale o jakim towarzyszu mówisz?

– Prawda, że to wy jeszcze nic nie wiecie. Opowiem wam przy kieliszku.

Do mieszkania Grońskiego nie było daleko, więc wkrótce zasiedli we trzech wokół stołu, na którym znalazła się butelka szlachtetnego Chambertina i maszynka z parującą w rozkoszny sposób kawą czarną.

Świdwicki nabrał ducha.

– Te panie – mówił – to są istne anioły i z tego zapewne powodu jest się u nich jak w raju, gdzie szczęście polega głównie na wpatrywaniu się w światłość wiekiustą i słuchaniu chórów archanielskich.

Tu zwrócił się do Krzyckiego:

– Zauważyłem, że panu i Grońskiemu to wystarcza – ale dla mnie to absolutnie za mało.

– Tylko nie zacznij sobie ostrzyć języka na tych paniach odpowiedział Groński – bo natychmiast każę sprzątnąć butelkę. A Świdwicki objął ją obu rękoma.

– Ja je uwielbiam... wszystkie trzy! – zawołał z komicznym pośpiechem.

– O jakim to mówiłeś towarzyszu?

Świdwicki pociągnął wina i przymknawszy oczy oceniał przez chwilę jego wartość.

– Mam tam u siebie od dziś rana jakiegoś wisielca – rzekł którego poszukuje policja i którego jeśli u mnie znajdą, powieszą prawdopodobnie nas obu.

– Dałeś mu jednak schronienie?

– Dałem mu schronienie, albowiem przyprowadził go ktoś taki, komu nie mogłem odmówić.

– Założę się, że jakaś niewiasta.

– Oczywiście. Mogę dodać, że przystojna i jedna z takich, które wywołują we mnie odpowiedni prąd elektryczny. Ale nie mogę powiedzieć, jak się nazywa, gdyż prosiła mnie o tajemnicę.

– Nie pytam – rzekł Groński – a co do prądu nie wątpię, gdyż inaczej bałbyś się chyba tak narażać.

Na to Świdwicki rzekł:

– Wiedźcie o tym, że ja się niczego na świecie nie boję, i to mi daje w tym niewolniczym kraju tak niesłychaną swobodę, jakiej nie ma nikt inny.

To rzekłszy, wychylił do dna kieliszek wina i zawołał:

– Niech żyje wolność!... ale tylko moja.

– Jednakże to wszystko dowodzi, że masz trochę dobrego serca.

– Bynajmniej. Ja to zrobiłem naprzód dlatego, że spodziewam się nagrody, o której zresztą w tak cnotliwym towarzystwie wolę się nie rozwodzić – chyba po drugiej butelce – a po wtóre dlatego, żebym miał komu kolki na łbie ciosać. Upewniam cię, że mój wisielec nie będzie sypiał na różach – i kto wie, czy po jakim tygodniu nie będzie wołał szubienicy od mojej gościnności.

– To możliwe. Ale tymczasem...

– Tymczasem kupiłem mu wody Allena, by swoją czarną czuprynę przemalował na jasną „Arte biondegiane” – jak za czasów Tycjana. Odczuwam też trochę zadowolenia na myśl, że policja będzie na głowie stawiała, by go znaleźć i nie znajdzie.

– A jeśli znajdzie?

– Wątpię. Pamiętasz, że czas jakiś miałem lokajczyka, rodem aż z Besarabii, którego znałeś. Przed dwoma miesiącami okradł mnie i uciekł. Pisak już do mnie z New Yorku z propozycją, której wam nie powtórzę! Pyszny typ! zupełnie moderne. Otóż przed ucieczką prosił mnie, bym mu oddał paszport, z tego powodu, że teraz co chwila pytają o paszporty. Ale ja wsadziłem go w jakąś książkę i nie mogłem znaleźć – obecnie przed dwoma lub trzema dniami wypadkiem znalazłem, tak że mój nowy wisielec będzie miał nie tylko blond włosy, ale i paszport.

– A nie okradnie cię, tak jak poprzednik?

– Mówiłem mu, że powinien to zrobić, ale on się obraził. Zdaje się, że będzie się obrażał od rana do wieczora – i jeśli mnie w końcu okradnie, to przez obrazę, że coś podobnego mógł przypuścić. Ta mała patronka, która mi go wsadziła na kark, zarecza też, że jest uczciwy, ale nie powiedziała mi nawet jego nazwiska. Sprytna dziewczyna!... Bo mówi tak: „Jeśli go znajdą, to pan będzie mógł się tłumaczyć, że pan nie wiedział, kto to jest”. I ma słuszość – choć, gdy idzie o jaką taką wdzięczność, to drapie jak kot. Ja się dla niej narażam na stryczek, a gdy chciałem ją trochę tego... to o mało nie dostałem w papę...

Groński zmarszczył brwi i począł bystro patrzeć na Świdwickiego, po czym rzekł:

– Służąca panny Anney Polcia, pytała mnie dziś rano o twoje mieszkanie. Powiedz mi, co to znaczy?

Świdwicki popił znów wina.

– A była także, była. Otocka przesłała mi przez nią zaproszenie.

– Pani Otocka przysłałaby ci zaproszenie przez Polcię? Powiedz to komu innemu.

– U co tobie chodzi? – zapytał z głupia frant Świdwicki – kazała jej przesłać zaproszenie przez posłańca, ale posłańcy od wczoraj wieczór strajkują. Teraz wszyscy strajkują. Dziewczyny także – z wyjątkiem „towarzyszek”, zwłaszcza starszych i brzydszych. Te jeśli strajkują, to *sans le vouloir...* Odpowiedź wydała się Grońskiemu wystarczającą, gdyż istotnie posłańców brakło od wczorajszego dnia na ulicach. Zresztą Świdwicki zwrócił rozmowę w inną stronę.

– Ja go przyjąłem – rzekł –nie dlatego żeby jednego durnia ocalić, ale dlatego że się nudzę i że mi się tak podobało. Jakiś mądry Włoch powiedział kiedyś, że bóstwo, które utrzymuje wszystko w karbach na świecie, zowie się *la paura* – strach. I Włoch ma słuszość. Gdyby ludzie się nie bali, nie ostałoby się nic – ani jedna społeczna forma życia! W tej drabinie strachu jest jednak mnóstwo szczebli, a najwyższym jest strach śmierci. Śmierć! – oto prawdziwe bóstwo!... Reges rego, leges lego, judices judico!... I wyznaję, że ja, któremu życie spłyneło na strącaniu z piedestałów rozmaitych bóstw, miałem najwięcej roboty, zanim się z tym bóstwem uporałem. Ale się uporałem i to tak dokładnie, że zrobiłem z niego mego psa.

– Coś zrobił?

– Psa, którego, ile razy mi się podoba, głaszczę pod włos, jak na przykład teraz, gdy przyjąłem do siebie tego rewolucyjnego bubka. Ale to jeszcze nic! Patrzcie pod jaką ludźmi żyją grozą: topór, szubienica, kula, rak, suchoty, tyfus, tabes – cierpienie, ból, całe miesiące i lata męki – dlaczego? Przez strach śmierci. A ja z tego drwię. Mnie kat nie powiesi, rak nie stoczy, suchoty nie zjedzą, ból nie złamie, męka nie upodli, bo ja na to bóstwo, przed którym

wszyscy drżą, zawołam w danej chwili jak na wyzła: do nogi!... Po czym rozśmiał się i rzekł:

– A ten mój wściekły bubek schował się jednak przed śmiercią: Powiedz mi, co by to było, gdyby oni istotnie się nie bali? – Nie byłiby sobą – odpowiedział Groński – oni chcą życia, nie śmierci.

VII

Świdwicki nie zmyślał mówiąc, że nie wie, jak się zowie rewolucjonista, któremu zapewnił przytułek, albowiem panna Polcia istotnie uczyniła z tego tajemnicę. Uradzili tak z Laskowi czem po drodze. Młody student dowiedziawszy się, że Świdwicki, do którego dziewczyna go prowadzi, jest znajomym Grońskiego i pani Otockiej, stropił się w pierwszej chwili ogromnie. Przypomniały mu się listy, jakie pisał do panny Maryni i nienawistny stosunek do Krzyckiego, na którego jego partia dokonała przed niedawnym czasem zamachu. Osobiście nie brał wprawdzie w nim udziału i myśl nie wyszła od niego, ale natomiast nie miał najmniejszej wątpliwości, że komitet wydał wyrok śmierci wskutek jego raportów, wskazujących na Krzyckiego jako na główną przeszkodę w propagandzie – i pamiętał, że nie uczynił nic, by zamachowi zapobiec, a nawet rad był w duszy, że nienawistny mu człowiek, a zarazem domniemany współzawodnik będzie z jego drogi usunięty. Przez pewien czas odczuwał nawet z powodu tego "umycia rąk" pewien wewnętrzny niesmak, na wieść jednak, że zamach się nie udał, doznał jakby uczucia zawodu. I oto teraz szedł szukać schronienia u człowieka, który był krewnym pani Otockiej i który mógł słyszeć i o listach do Maryni, i o całym stosunku z Krzyckim. Był to zbieg rzeczy wprost fatalny, mogący z miejsca udaremnić najlepsze chęci panny Polci.

Zważywszy to wszystko począł Laskowicz prosić dziewczyny, by nie wymieniała jego nazwiska, podając za przyczynę to, że w razie gdyby policja go znalazła – Świdwicki byłby mniej odpowiedzialny.

Panna Polcia przyznała mu zupełną słuszość, po chwili jednak zauważyła, że jeżeli pan Groński odwiedzi kiedykolwiek Świdwickiego, to tym samym wszystko się wyda.

– Tak – odpowiedział student – ale ja tego schronienia potrzebuję na kilka tylko dni; potem poszukam sobie innego albo może moja władza wyprawi mnie za granicę

– Jaka władza? – zapytała panna Polcia.

– Taka, która chce wolności i chleba dla wszystkich i która nie pozwoli na to, żeby nad panienkę wynosił się ktoś stanem albo pieniędzmi.

– Nie rozumiem. To niby jak? żeby ja nie była sługą i nie miała pani?

– Tak jest.

Pannę Polcię uderzyło to, że w takim razie byłoby jej bliżej do „panicza”, ale nie mając czasu dłużej nad tym rozmyślać powtórzyła:

– Nie rozumiem. Później rozpytam, a teraz chodźmy.

I szli dalej pospiesznie w milczeniu, póki nie znaleźli się przed drzwiami Świdwickiego. Na odgłos dzwonka otworzył im on sam. Ze zdziwieniem, ale i z uśmiechem obaczył w ciemnawej sieni pannę Polcię, następnie dojrawszy Laskowicza zapytał:

– A ten tu po co? i kto to jest?

– Czy możemy wejść i czy mogę pomówić z panem na osobności? – zapytała dziewczyna.

– Proszę. Im bardziej na osobności, tym mi będzie przyjemniej – odrzekł Świdwicki.

I weszli. Student został w pierwszym pokoju. Gospodarz wprowadził pannę Polcię do drugiego i zamknął za sobą

drzwi. Laskowicz począł rozglądać się po dużej izbie pełnej nieładu, książek i rycin, a pod ścianami pełnej butelek z białymi i niebieskimi etykietami. Na okrągłym stole pod oknem, założonym dziennikami, stała butelka z napisem: Vin de Coca, Mariani – i kilka popielniczek z niedopałkami cygar i papierosów. Meble w izbie były ciężkie i widocznie niegdyś kosztowne, ale brudne. Na ścianach wisiały obrazy, między nimi portret pani Otockiej, jako młodej jeszcze panienki. Z jednego kąta wychylał się znany posąg neapolitańskiej Psyche z obciętą czaszką.

Student postawił doniczkę z włoskimi liliami na stole i począł nasłuchiwać. Chodziło o jego życie. Gdyby bowiem odmówiono mu schronienia, byłby niechybnie tego dnia arestowany. Przez zamknięte drzwi dochodziły od czasu do czasu wybuchy śmiechu Świdwickiego i rozmawiające głosy, przy czym głos dziewczyny brzmiał chwilami prośbą, chwilami gniewem i oburzeniem. Trwało to dość długo. Wreszcie drzwi się otworzyły i pierwsza wyszła panna Polcia, widocznie zła i z zaczerwienionymi policzkami, a za nią Świdwicki, który rzekł:

– Dobrze. Skoro śliczna Polusia tak sobie życzy, to nie powiem nikomu, kto mi przyprowadził tego pana Ananasa, i będę go przechowywał w różowej wacie, ale pod warunkiem, że Polusia będzie mi choć trochę wdzięczna.

– Ja jestem wdzięczna – odpowiedziała z rozdrażnieniem dziewczyna.

—A oto dowody – rzekł Świdwicki pokazując rysę na wierzchu dłoni. – Kot by lepiej nie zadrapał. Ale byle na Polusię popatrzeć, to zgadzam się i na to. Na przyszły raz znajdą się i cukierki.

– Do widzenia.

–Do widzenia – jak najczęściej.

Dziewczyna wzięła doniczkę z kwiatami i wyszła. Wówczas Świdwicki wsadził ręce w kieszenie i począł przypatrywać

się Laskowiczowi tak, jakby miał przed sobą nie człowieka, ale jakieś osobliwe zwierzę. Laskowicz patrzył także na niego i przez tę krótką chwilę zdążyli się sobie wzajemnie podobać.

Wreszcie Świdwicki począł pytać:

– A szanowny pan dobrodzieju z jakiej partii: socjalistów, anarchistów czy bandytów? Proszę! bez ceremonii! – O nazwisko nie pytam, ale trzeba się jakoś poznać.

– Należę do Polskiej Partii Socjalistycznej – odpowiedział z pewną dumą student.

– Aha! Tedy do najgłupszej. Doskonale. To jakby ktoś powiedział: do ateistyczno–katolickiej albo do narodowo–kosmopolitycznej. Bardzo mi przyjemnie powitać pana.

Laskowicz nie był bynajmniej z natury pokorny, a przy tym w jednej chwili zrozumiał, że ma przed sobą człowieka, z którym potulnością nic nie wskóra, więc spojrział wprost w oczy Świdwickiemu i odpowiedział prawie pogardliwie:

– Jeśli pan możesz być katolikiem i Polakiem, to ja mogę być socjalistą i Polakiem.

Lecz Świdwicki rozśmiał się.

– Nie, panie naczelniku – rzekł. – Katolicyzm to jest zapach. Można być kotem i mieć słabszy lub mocniejszy zapach, ale nie można być kotem i psem w jednej osobie.

– Nie jestem żadnym naczelnikiem, tylko trzeciorzędnym agentem – odparł Laskowicz. – Pan, widzę, dałeś mi schronienie, a sobie prawo drwin ze mnie.

– Najzupełniej! najzupełniej! ale też za to nie będę wymagał żadnej wdzięczności. Możemy zresztą zmienić rozmowę. Siadaj pan, panie trzeciorzędny agencie. Co słyhać? Jak się ma król jegomość?

– Jaki król?

– Ten, któremu służyysz i który dziś ma najwięcej dworaków

– ten, który najbardziej ze wszystkich nie znosi prawdy i najłatwiej łyka pochlebstwa – ten, którego w zimie czuć

wódką, a w lato kwaśnym potem – ten krostowaty, wszawy, parszywy, cuchnący i miłościwie, a raczej niemiłościwie dziś nam panujący: król Motłoch!

Gdyby Laskowicz usłyszał najpotworniejsze bluźnierstwo przeciw wszelkim świętościom, jakie dotychczas czciła ludzkość, nie wstrząsnęłoby go było tak, jak to, które wyszło z ust Świdwickiego. Było to dla niego jakby uderzenie pałą w głowę, albowiem przez myśl mu nigdy nie przeszło, by ktoś ośmielił się nawet powiedzieć coś podobnego. W oczach mu się zaćmiło, szczęki zwarły mu się konwulsyjnie, ręce poczęły drgać. W pierwszej chwili ogarnęła go niepoohamowana chęć strzelić w łeb Świdwickiemu z browninga, który miał przy sobie, a potem trzasnąć drzwiami i pójść, gdzie go oczy poniosą, lub przyłożyć sobie lufę do ucha i roztrzaskać własną głowę, ale zbrakło mu sił. Całą noc pracował w drukarni, potem uciekał po dachach i przez ulicę, jak dziki zwierz, był zmęczony, czezy i wyczerpany strasznymi wrażeniami dzisiejszego poranku, więc nagle zachwiał się na nogach, zbladł jak trup i byłby padł na ziemię, gdyby w pobliżu nie stało krzesło, na które obsunął się ciężko, jak martwy.

– Co to jest? Co u diabła panu jest? – zawołał Świdwicki.

I począł go ratować. Wylał z butelki jakąś resztkę koniaku i zmusił go do wypicia, a następnie, podniósł go z krzesła, poprowadził do drugiego pokoju i prawie przemocą położył na własnym łóżku.

– Co u diabła! — powtórzył – jak się pan czujesz?

– Lepiej! – odpowiedział Laskowicz.

Świdwicki spojrział na zegarek.

– Za dziesięć minut powinna przyjść baba, która mi służy. Każę ci przynieść jeść. Tymczasem leż spokojnie.

Laskowicz posłuchał tej rady, gdyż nie mógł inaczej. Leżąc jednak, marszczył przez jakiś czas czoło i widocznie pracował myślą, po czym rzekł:

– Ten król... o którego pan pytał – jest... głodny!
– A niech go diabli wezmą! – odpowiedział Świdwicki. Burzuje go nakarmią, a on za to popodrzyna im przy sposobności gardziele. Ale nie bierz pan zbyt do serca tego, co mówię, bo ja takie same albo i lepsze rzeczy mówię' wszystkim partiom. Wszystkim! – rozumiesz pan!...
Dzwonek przerwał im dalszą rozmowę. Laskowicz drgnął.
– To moja baba: poznaję po dzwonku – rzekł Świdwicki. – Dziś wcześniej jak zwykle. Dobrze. Zaraz każę przynieść jeść.
Jakoż po kwadransie jadło stanęło na stole. Pokrzepiony Laskowicz przyszedł całkowicie do siebie i nie myślał już o porzuceniu nowego schronienia. Świdwicki począł otwierać i przerzucać rozmaite szuflady, na koniec znalazłszy paszport podał go Laskowiczowi i rzekł:
– Zanim pan dobrodziej zostaniesz dyktatorem całej Polski, nazywasz się Zarańczuk, pochodzisz z Besarabii i służysz u mnie od roku. Jeżeli cię złapią, a z tobą i mnie, powtarzaj jeden wyraz: mamałyga! mamałyga!
W taki sposób odbyło się wprowadzenie Laskowicza do Świdwickiego.

VIII

Następny ranek po urodzinach panny Maryni był niezwykle posepny. Zachodni wiatr napędził ciężkich, czarnych chmur, które zwisyły nad miastem, zapowiadając burzę. Powietrze uczyniło się duszne i parne. Gdy Krzycki wszedł do kościoła, było w nim zupełnie ciemno. W kaplicy Matki Boskiej rozpoczęła się prawie razem z jego przyjściem cicha wotywa, ale i tam nikłe promyki świec zapalonych przed ołtarzem źle rozświecały pomrokę. Krzycki począł szukać oczyma panny Anney i poznał ją po jasnych włosach, wychylających się spod kapelusza. Klęczała w pierwszej

ławce, mając ręce złożone do modlitwy i oparte na roztwartej książce. Ujrzawszy Krzyckiego skinęła głową i usunęła się, by zrobić mu miejsce, nie przerywając modlitwy. On chciał przemówić do niej, ale nie śmiał, i tylko klękawszy przy niej przysunął nieco ku sobie książkę, tak ażeby mogli modlić się z niej razem. Było jednak tak ciemno, że nie mógł nic wyczytać – a po chwili przekonał się, że nie może się wcale modlić. Ogarnęło go niezmierne wzruszenie, rozumiał bowiem, że rozpoczyna się jakby nowy okres jego życia, i że ta chwila, w której za zgodą panny Anney klęknął przy niej przed jednym ołtarzem, by wspólnie prosić Boga o błogosławieństwo, więcej znaczy, niż wszelkie wyznanie, i że to jest pierwsze uświęcenie ich miłości i wspólnego na przyszłość życia. Przejęło go uczucie szczęścia, ale zarazem jakaś uroczysta trwoga na myśl, że wszystko przestaje już być tylko snem, tylko marzeniem, tylko widziadłem szczęścia i tylko upragnioną nadzieją, a poczyna spełniać się i stawać. Przez głowę jęły mu się przesuwac pytania, jak potrafi znieść to szczęście, co z nim zrobi i jak mu odpowie – i z tych pytań rodziło się w nim poczucie ogromnej, przejmującej lękiem odpowiedzialności. Było to podobne jakby do jakiejś troski, której dotychczas, jako swobodny człowiek, nie znał lub przynajmniej nie stanął z nią oko w oko. A widział przed sobą i troski bardziej bezpośrednie, natychmiastowe. Zbliżała się chwila rozmowy z matką, były jeszcze jakieś tajemnicze przeszkody, o których wspominał Groński; należało wszystko rozważyć, ułożyć, załatwić rozmaite sprawy, pousuwać przewidywane trudności. Zaiste, jeśli kiedy, to teraz warto i trzeba było powierzyć się łasce bożej, wezwać wszechopatrznej pomocy i oddać jej w ręce przyszłość. Krzycki zauważył, że podobne uczucia i podobne myśli musiały zawładnąć i panną Anney, gdyż twarz jej była cicha, skupiona, poważna, a nawet smutna. Płomyki świec odbijały się w jej wzniesionych

oczach i przez chwilę zdawało się Krzyckiemu, że widzi w tych oczach łzy. Widocznie całą siłą duszy polecała jego i siebie Bogu. I tak klęczeli przy sobie, ramię przy ramieniu, serce przy sercu połączeni już, szczęśliwi i trochę trwożni. Krzycki, potłumiwszy wicher myśli, począł się wreszcie modlić – i mówił Bogu: „uczyni ze mną co chcesz, ale jej daj szczęście i spokój”. I ogromna wezbrana fala miłości zalala mu piersi. Modlitwa jego stawała się zarazem ślubem i wewnętrzną przysięgą, że tej najdroższej w świecie istoty nie ukrzywdzi nigdy i że te oczy nigdy na niego nie zapłaczą.

Tymczasem wotywa dobiegała końca. Gdy ksiądz odwracał się od ołtarza, w na pół pustej kaplicy słyhać było jego słowa jakby senne i jakby szeptane wśród westchnień – jak zwykle bywa w czasie porannych mszy. Ale chwilami głużyły je grzmoty, gdyż na zewnątrz rozpoczęła się burza. Okna kaplicy pociemniały jeszcze bardziej i od czasu do czasu rozświecała szyby sina błyskawica, po czym mrok czynił się jeszcze gęstszy i tylko w ołtarzu migotały niespokojnie płomyki świec. Ksiądz odwrócił się raz jeszcze: *Dorcinus vobiscum!*, potem: *Ite missa est* – następnie pożegnał zgromadzonych i wyszedł. W ślad za nim wyszła garstka ludzi słuchających mszy. Zostało tylko ich dwoje. Wówczas ona poczęła mówić szeptem przerywanym przez wzruszenie: „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko”, a dalsze słowa: „naszymi prośbami nie racz gardzić, ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać – o Pani nasza”, mówili już razem z Władysławem i w ten sposób skończyli całą modlitwę.

Potem zapadło milczenie, które po długiej dopiero chwili przerwał Krzycki.

– Musimy poczekać – rzekł półgłosem – burza jeszcze trwa.

– Dobrze – odpowiedziała panna Anney. – Droga moja, najdroższa pani...

Lecz ona przyłożyła palec do ust i znów zapadło milczenie. Nie czekali jednak zbyt długo, gdyż burze letnie nadlatują i przelatują jak ptaki. Po upływie kwadransa wyszli z kościoła. Ulice były zalane dżdzem, ale w przerwach porozganianych i podartych chmur świeciło już słońce jasne i, rzekłbyś, mokre. Oczy panny Anney mrużyły się pod nadmiarem blasku, a twarz jej była jakby zbudzona ze snu. Lecz skupienie jej i powaga nie przeszły. Natomiast Krzyckiego na widok słońca, ulicznego ruchu i życia ogarnęła natychmiast ogromna wesołość i otucha. Spojrzał raz i drugi na swą towarzyszkę i wydała mu się cudna, jak sen, urocza jak nigdy i kochana, po prostu bez miary i granic. Czuł, że byłby zdolny chwycić ją w tej chwili w ramiona, pokazać słońcu, chmurom, miastu, tłumom ludzkim i krzyknąć: oto moje bogactwo, mój skarb, oto moje radosne życie! Lecz przypuszczając słusznie, że panna Anney nie zgodziłaby się na podobną manifestację, potłumił w sobie tę chętkę i zwrócił myśl ku sprawom pilniejszym.

– Pani moja uwielbiona – rzekł – muszę już wypowiedzieć te słowa, które mi palą usta. Kiedy będę mógł przyjść?

– Dziś, o czwartej – odpowiedziała. – Ja także mam powiedzieć panu takie rzeczy, od których wszystko zależy.

– Wszystko zależy od pani – i od niczego więcej.

Lecz jej jasne policzki oblały się jaskrawym rumieńcem, w oczach zabłysnęła jakby przykry niepokój i odrzekła:

– Dałby Bóg... Pan nie wie... Pan nie wie – powtórzyła z naciskiem. – Będziemy sami... Ale teraz musimy się pożegnać. Władysław odprowadził ją do dorożki, ucałował jej ręce i pozostał sam. Słowa jej potwierdzające to, o czym wspominał na skutek rozmów z panią Otocką Groński, zaniepokoiły go jednak, ale na krótko, gdyż był zbyt rozkochany, by mógł przypuścić poważnie, że coś może tę

miłość zmniejszyć lub odwieść go od zamiarów. Na samą myśl o tym wzruszył ramionami.

– Kobiety – rzekł sobie – zawsze są pełne skrupułów i do istotnych trudności dodają urojone.

Po czym wrócił w najlepszym humorze do domu, gdzie prócz Grońskiego zastał i Dołhańskiego.

– Patrz – zawołał Groński – oto kawaler Dołhański! powitajże go kosmatą ręką, bo się żeni.

– Nie? naprawdę? – zapytał rozbawiony Władysław.

– Z panną Kajetaną Włocką – dodał z zimną krwią i nadzwyczajną powagą Dołhański.

– A to składam życzenia. Z całego serca! Kiedyż ślub?

– Bardzo prędko, z powodu powietrza, głodu, ognia i wojny oraz tym podobnych wyjątkowych okoliczności. Za tydzień... Bez zapowiedzi, za indultem. A po ślubie tegoż wieczora za granicę.

– I mówisz to wszystko poważnie?

– Najpoważniej w świecie. I uważ wysmienite następstwa. Tu Dołhański rozłożył palce i zaczął wylizywać:

– Primo: kredyt mój zmartwychwstał jak fakir indyjski, który zakopany przez całe miesiące w ziemi, budzi się po odkopaniu do nowego życia; secundo: Górki są bez grosza długu i bez towarzystwa; tertio: posag mojej narzeczonej przeszedł moje oczekiwania, a quarto: narzeczonej wyładniała ze szczęścia tak, że byście jej nie poznali.

– Co też ty mówisz! – zawołał naiwnie Krzycki.

IX

Dokładnie o czwartej Władysław stawił się u panny Anney. Przyjęła go wzruszona i na powitanie podała mu obie ręce, które począł przyciskać kolejno do ust i czoła. Następnie siedli przy sobie i przez długi czas słyszeli tylko zdwojone bicie własnych serc i szept stojącego na biurku zegara.

Spoglądali wzajem na siebie i żadne nie mogło zdobyć się na pierwsze słowo. Za chwilę życie mogło im się rozpromienić jakby nową zorzą, zajaśnieć radością i szczęściem, ale na razie było im ciężko, kłopotliwie i tym kłopotliwiej, im dłużej trwało milczenie.

Wreszcie Krzycki, w poczuciu, że jeżeli będzie dłużej milczał, to wyda się śmiesznym, zdobył się na odwagę i ozwał się przerywanym głosem, którego brzmienie wydało się jemu samemu obcym:

– Od dzisiejszego rana mam trochę nadziei... a jednak serce mi tak bije, jakbym nie miał żadnej... I oto nie mogłem słowa przemówić, pókim nie złapał tchu... ale to nic dziwnego, gdy chodzi o całe życie... Pani przecie dawno odgadła, jak ja głęboko... jak z całej duszy panią kocham... pani to dawno wie nieprawda?...

Tu zaczerpnął na nowo powietrza, odetchnął głęboko i mówił dalej:

– Dziś w kościele powiedziałem sobie tak: jeśli ona mnie wysłucha, jeśli mnie nie odepchnie, jeśli zechce zostać moją na całe życie... moją żoną... to ślubuję Bogu przed tym ołtarzem, że ją będę kochał i czcił, że jej nie pokrzywdzę nigdy, i że dam jej tyle szczęścia, ile w mocy mojej. I przysięgam, że to jest prawdą... Tylko od pani zależy, żeby tak było... od jej zgody... od pani wiary we mnie...

To rzekłszy, podniósł znów do ust ręce panny Anney i przywarł do nich w długim błagalnym pocałunku, a ona pochyliła się ku niemu tak, że włosy jej musnęły jego czoło i odrzekła cicho:

– Ja zgadzam się i z całej duszy wierzę – ale to nie zależy tylko ode mnie.

– Tylko od pani! – zawołał Krzycki.

I sądząc, że panna Anney ma na myśli jego matkę, jął mówić z rozjaśnioną twarzą i głęboką radością w głosie:

– Matka moja chce przede wszystkim mego szczęścia i ręczę, że przyjdzie tu błagać panią razem ze mną i razem ze mną dziękować za tę wielką, niewypowiedzianą łaskę, a tymczasem ja na klęczkach dziękuję...

Chciał obsunąć się przed nią na kolana i otoczyć ramionami jej nogi, lecz ona poczęła go wstrzymywać i mówić z gorączkowym pośpiechem:

– Nie, nie! Niech pan nie klęka... pan musi mnie przedtem wysłuchać... Ja się zgadzam, ale mam wyznać takie rzeczy, od których wszystko zależy... Niech pan się uspokoi.

Krzycki podniósł się, siadł znów przy niej i rzekł z niespokojnym zdziwieniem:

– Słucham, najdroższa pani...

– I ja się muszę trochę uspokoić – odpowiedziała panna Anney.

Po czym wstała i zbliżywszy się do okna przyłożyła czoło do szyby.

Przez czas jakiś trwało znów milczenie.

– Co to takiego, pani moja? – ozwał się Krzycki.

Panna Anney oderwała czoło od szyby. Twarz jej była już spokojniejsza, ale oczy przyćmione jakby łzami. Zbliżywszy się do stołu siadła naprzeciw Władysława:

– Nim powiem to, co trzeba już teraz powiedzieć – rzekła – mam do pana jedną wielką prośbę... I jeśli mnie pan... kocha naprawdę... to pan mi nie odmówi...

– Pani, gdyby pani życia żądała ode mnie, to także bym nie odmówił, daję na to słowo! – zawołał Krzycki.

– Dobrze. Niech pan da słowo... potem będę już pewna...

– Daję je z góry – i przysięgam na nasze przyszłe szczęście, że spełnię każde pani życzenie.

– Dobrze – powtórzyła panna Anney. – Więc naprzód proszę na wszystko, by pan nie czuł się wcale związany tym, co mi pan przed chwilą powiedział...

– Żebym się nie czuł związany? Jakim sposobem? To przecie może nie obowiązywać tylko pani – ale nie mnie...

– Toteż ja pana uwalniam od wszelkich zobowiązań i uważam, że nic nie było powiedziane. Pan przyrzekł, że mi niczego nie odmówi, a to jeszcze nie wszystko...

– Jeszcze nie wszystko?

– Tak. Chodzi mi także i o to, ażeby po tym, co powiem, pan mi nie dawał żadnej odpowiedzi... i przez tydzień nie wracał do mnie i nie starał się mnie widzieć...

– Ależ na Boga, co to jest! – zawołał Krzycki. – Dlaczego ja mam mieć tydzień męki? Co to znaczy?

– I dla mnie będzie męka – odrzekła miękkiem głosem. – Ale trzeba, trzeba! Pan musi na wszystko sobie odpowiedzieć, wszystko rozważyć, wszystko w sobie rozplątać i rozstrzygnąć –i postanowić... i mieć na to czas... Potem pan wróci... albo nie wróci, a tydzień to na to raczej mało...

I widząc wzburzenie na twarzy Krzyckiego dodała śpiesznie i jakby z przestachem:

– Pan przyrzekł... pan mi dał słowo!...

Władysław pociągnął ręką po czuprynie, po czym jął trzeć dłonią czoło.

– Dałem słowo – rzekł wreszcie – bo go pani żądała... ale dlaczego?

A panna Anney pobladła; przez chwilę drgały jej usta, jakby na próżno chciała słowa z piersi wydobyć, i dopiero po chwili odpowiedziała:

– Dlatego... że ja niegdyś... nie nazywałam się Anney... – Pani nie nazywała się Anney?

– Ja... jestem... Hanka Skibianka...

Krzycki wstał, zatoczył się jak pijany i począł patrzeć na nią błędnym wzrokiem.

A ona dodała prawie szeptem:

– Paniczu... to ja... ze młyna...

I lży jej się spływać cicho po zbielełej twarzy.

X

Krzycki wyszedł od panny Anney z takim wrażeniem, jakby tuż przed nim uderzył piorun i nagle go ogłuszył. Nie mógł zebrać ani połapać myśli, nie był nawet w stanie uświadomić sobie. położenia ni zastanowić się nad nim. Jedyнным uczuciem, a raczej poczuciem, jakie mu w pierwszej chwili pozostało, było poczucie bezgranicznego zdumienia. Przez drogę powtarzał co chwila: „Hanka Skibianka, Hanka Skibianka!” – i na nic innego nie potrafił się zdobyć. Grońskiego, który był wyszedł zaraz po południu i zapowiedział służącemu, że wróci dopiero późnym wieczorem, nie zastał w domu, więc wszedłszy do swego pokoju, zamknął się w nim nie wiadomo dlaczego na klucz, następnie rzucił się na fotel i przesiedział zupełnie bezmyślnie przeszło godzinę. Po upływie tego czasu, otworzył swój kufer i zaczął pakować nader gorliwie rzeczy dopóty, dopóki nie zadał sobie pytania: „Dlaczego „ja to robie?” – Nie mogąc w sobie znaleźć odpowiedzi, porzucił tę robotę i podjął ją na nowo dopiero wówczas, gdy doszedł do niespodziewanego wniosku, iż w każdym razie musi się wyprowadzić od Grońskiego.

Skończywszy wziął kapelusz i wyszedł bez określonego celu na miasto. Na chwilę powstała w nim chęć, by pójść do matki i do pani Otockiej, ale stłumił ją natychmiast. Po co? Wydało mu się, że nie ma nic matce o sobie i swych zamiarach do powiedzenia i że mógłby z nią mówić chyba o tej niesłychanej wiadomości. o której rozmowa byłaby dla niego na razie nad wszelki wyraz męczącą. Bezwiednie doszedł do kościoła Świętego Krzyża i chciał do niego wejść, ale godzina była późna i kościół był zamknięty. Dzisiejszy ranek i wspólna z nią modlitwa stanęły mu jak żywe przed oczyma. Ach, jakże się modlił szczerze i jak ją kochał, jak kochał! A teraz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że

ta jasnowłosa, uwielbiona panna, z którą odmawiał w tej kaplicy: „Pod Twoją obronę” – i Hanka Skibianka to są dwie różne istoty. I uczuł w sercu jakby jakieś rozczarowanie, z którym począł się rozprawiać. Bo dlaczego jednakże je odczuwa? Czy dlatego, że Hanka jest chłopką, a on szlachcicem? Nie! Panna Anney nie podawała się za angielską szlachciankę, a chłopka polska to przecie nic gorszego od angielskiej mieszczanki. Krzycki nie umiał sobie jasno zdać sprawy, iż przyczyna leży w tym, że panna Anney przez samo pochodzenie obce i dalekie przedstawiała mu się jak jakaś princesse lointaine, a Hanka to była bliska i swojacka dziewczyna z Rzęślewa. Mniej budziła ciekawości – zatem mniej pociągała. Było o taką łatwiej – zatem była mu tańsza. I próżno przypominał sobie i powtarzał, że ta Hanka to przecie ta sama jasnowłosa panna, cudna, ponętna, wytworna, kobieca, odczuwająca każdą myśl i każde słowo poczucie pewnego rozczarowania silniejsze było od tych myśli i ów wdzięk egzotyczności, którego nagle dziewczynie zabrakło, zmniejszył w jego oczach jej wartość. Ale było przy tym i coś innego, wobec czego i to rozczarowanie i wszelkie niespodziane wrażenia schodziły na dalszy plan i stawały się rzeczą podrzędną. Oto on tę dziewczynę już posiadał – razem z ciałem i duszą. Była wówczas prawie dzieckiem i zarazem nierozkwitłym jeszcze kwiatem, który on zerwał i nosił czas jakiś przy piersi. Pamięć o tym mogła być wyrzutem tylko dla niego – jej nie obciążała żadną winą. Przypomniawszy sobie te księżycowe noce, w których się skradał do młyna, te szepty, które były jedną cichą pieśnią miłości i upojenia, przerywaną tylko pocałunkami; przypomniał sobie, jak tulił do serca jej pachnące sianem, polne, dziewczęce ciało, jak spijał z jej oczu łzy i jak mówił jej, że oddałby za nią wszystkie panny ze wszystkich dworów. Sielanka minęła, ale teraz powiało na niego od niej tchnienie pierwszych młodocianych lat,

pierwszej miłości, pierwszych uniesień i prawdziwej a wielkiej poezji życia. Przy tym była prawda i w tym, co powiedział zwierając się w Jastrzębiu ostatnim razem Grońskiemu: że ta dziewczyna kochała go tak, jak na pewno nie będzie go kochała żadna inna w świecie kobieta. I na tę myśl serce poczęło w nim topnieć. Wraz z falą wspomnień wracała Hanka i brała je na powrót w dłonie...

Tak. Ale to była Hanka, a teraz jest panna Anney. W Krzyckim od czasu, gdy ją pokochał, rwały się do niej zmysły, jak skowycząca sfora, ale on je trzymał dotychczas na uwięzi, albowiem jednocześnie klękał przed ukochaną. Była mu pożądaniem, lecz zarazem czymś tak niedostępnym, wysokim, czystym i tajemniczym w swej dziewczęcości, iż ta myśl, że przyjdzie chwila, w której zostanie panem tych skarbów i tych tajemnic, wydawała mu się rozkoszą nad wszelką miarę rozkoszy; tym bardziej bezdenną, że połączoną jakby ze świętokradztwem. – A teraz musiał sobie powiedzieć, że to świętokradztwo już spełnił, że urok czegoś nieznanego się rozwiął, że w tej westalce nie było dla niego już tajemnicy i że z tego kielicha już pił. I to znów była jedna ponęta mniej, jedno rozczarowanie więcej. W ten sposób panna Anney mąciła mu wspomnienie polnej wieśniaczej Hanki – Hanka zaś zmniejszała urok panny Anney. Obie były tak odmienne, tak do siebie niepodobne, że nie mogąc ich połączyć w jedną istotę, zmagął się z tym rozdwojonym wrażeniem na próżno z uczuciem niepokoju i bólu.

A w tej szarpaninie przyszła mu jeszcze jedna zła, niska i straszna myśl. Jakim sposobem uboga i prosta Hanka zmieniła się w świetną pannę Anney? – jakim sposobem szary wróbel spod wiejskiej strzechy przerodził się w rajskiego ptaka? Hanka była przecie uwiedzioną dziewczyną, więc mosty miała za sobą spalone. Wśród bogactw zagranicznych piękne i biedne dziewczyny mają

przed sobą tylko jedną drogę zdobycia dostatków, a nawet i poloru – a tą drogą jest hańba. Hanka znalazła w nim samym jednego opiekuna, który się nią we właściwy sposób zaopiekował – iluz podobnych opiekunów i protektorów mogła znaleźć panna Anney. Krzyckiemu na tę myśl pociemniało w oczach. Sumienie powiedziało mu: „te wrota otworzyłeś przed nią ty!”, a jednocześnie chwycił go taki gniew na pannę Anney i na siebie, że gdyby w jego rękę było życie i śmierć ich obojga, byłby w tej chwili wybrał śmierć. Coś się w nim chwilowo rozdarło, coś runęło. Wydało mu się, że znów huknął mu tuż nad głową piorun, który go ogłuszył i wypalił w nim do dna zdolność myślenia. Chodził jeszcze długo po mieście. Sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się znów pod domem pani Otockiej, ale do niej nie wstąpił, poczuł bowiem powtórnie, że nie mógłby mówić w tej chwili z matką. Wrócił do siebie dopiero późnym wieczorem. Groński był już w domu i czekał go od godziny z herbatą.

– Dobry wieczór – rzekł mu. – Wracam od twojej matki.

A Krzycki zapytał wręcz, obcesowo:

– Pan wie, kto jest panna Anney?

– Wiem. Powiedziała mi pani Otocka.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Co pan na to?

– To ja mógłbym się o to spytać.

Krzycki siadł ciężko na krześle, pociągnął dłonią po czole i odrzekł z gorzką ironią:

– Ach, ja mam czas. Dano mi tydzień czasu do namysłu.

– To wcale nie za dużo – odpowiedział Groński patrząc na niego badawczo.

– Zapewne. Czy matka także już wie?

– Tak jest. Powiedziała jej wszystko pani Otocka.

I znów zapadło milczenie.

– Mój kochany Władku – rzekł Groński – rozumiem, że cię

to mogło wstrząsnąć i dlatego nie będę z tobą o tym mówił, póki się nie uspokoisz i nie odzyskasz równowagi. Musisz także poznać i rozważyć dobrze powody, dla których panna Anney powiedziała tylko pani Otockiej, kim jest, a do Jastrzębia przybyła pod nowym swym nazwiskiem, do którego ma zresztą wszelkie prawo. Oto jest list od niej. Poleciała mi wręczyć ci go dopiero jutro i to jest powód, dla którego nie wręczyłem ci go natychmiast, gdyś się ukazał. Obecnie myślę jednak, że nie należy z tym zwlekać. Swoją drogą nie otwieraj go ani zaraz, ani przy mnie. Schowaj go i przeczytaj w samotności, gdy będziesz mógł zastanowić się nad każdym słowem. Zrób tak koniecznie. To, co się stało, poruszyło i mnie do tego stopnia, że na razie nie mógłbym o tym mówić spokojnie... Dziś dać ci mogę tylko jedną radę: bądź mężczyzną i nie pozwól się nieść prądowi wrażeń, ale wiosłuj.

Na to Krzycki, który cokolwiek otrzeźwiał pod wpływem tych słów, rzekł:

– Dziękuję panu. Przeczytam list w samotności. Jest mi ona teraz tak niezbędna, że spodziewam się, iż pan nie weźmie mi tego za złe, jeśli dłużej nie będę nadużywał pańskiej gościnności. Szczerze i gorąco jestem panu za wszystko wdzięczny, ale potrzebuję się zamknąć. Na jak długo – nie wiem. Gdy się z sobą uporam, przyjdę do pana rozmówić się o wszystkim, da Bóg, już spokojniej. Teraz istotnie widzę, że dano mi słusznie tydzień czasu. Ale prócz czasu czuję i potrzebę osobnej, własnej nory. Nie mogę się pozbyć rozmaitych myśli ogromnie gorzkich, a nawet strasznych. Dziś one trzymają mnie za łeb, a trzeba, żebym ja wziął je za łeb – i dlatego chcę własnej nory.

– Wiesz, jak ci jestem rad – odpowiedział Groński – ale cię rozumiem i choć z góry postanowiłem nie dręczyć cię pytaniami, jednakże zrób, jak ci będzie lepiej. Muszę ci też powiedzieć, że i matka twoja przenosi się do hotelu, gdyż

obraziła się na panią Otocką. Wzięła jej za złe, że nie powiedziała jej zaraz w Jastrzębiu, kto jest panna Anney.

– Wyznaję, że i ja tego nie rozumiem...

– A jednak byłyby to właśnie wprost przeciwne temu, czego te panie chciały. Intencje pani Otockiej były najszlachetniejsze... Czas to wszystko wyjaśni i wyrówna. Oczywiście, że Marynia o niczym nie wiedziała, nie tylko dlatego, że pani Zofia była związana słowem, ale że nie uważała za stosowne wtajemniczać jej w twoje dawne dzieje i w twoje stosunki z ówczesną Hanką... Z Hanki – panna Anney! – to przecie niesłychany obrót zdarzeń... Pamiętasz naszą rozmowę w Jastrzębiu, gdyśmy szli na słonki? pamiętasz?

– Pamiętam, ale nie mogę o tym mówić.

– Tak, lepiej w tej chwili nie mówić. List panny Anney rozjaśni niezawodnie ciemne strony sprawy i wytłumaczy niezrozumiałe... Jeśli chcesz go zaraz przeczytać, to sobie pójdę, a ciebie tu zostawię.

– Pilno mi do niego i właśnie dlatego muszę pana pożegnać

– Ale tę noc spędzisz u mnie?

– Rzeczy mam spakowane, a hotele zawsze otwarte.

– W takim razie bądź zdrow i... pamiętaj, com ci powiedział: wiosłuj! wiosłuj!

Po chwili Groński został sam. Był także wzburzony, zatroskany, ale rozciekawiony do wysokiego stopnia. Gdy po wyznaniach Krzyckiego w Jastrzębiu, powiedział mu, że „młyny bogów mielą nierychło”, powiedział to tak, jak się mówi pierwszą lepszą maksymę, do której nie przywiązuje się realnego znaczenia. Tymczasem życie sprawdziło ją w sposób bajeczny, a jednak zarazem i logiczny. Bo na bajkę wyglądała tylko przemiana Hanki w pannę Anney, natomiast to, że panna Anney chciała zobaczyć i człowieka, którego, jako dziecko jeszcze, pokochała pierwszą miłością, i te miejsca, z którymi wiązało ją tyle wspomnień i serdecznych,

i smutnych, było rzeczą i naturalną, i zrozumiałą. A przecie nie mogła wrócić do Jastrzębia i przebywać pod dachem Krzyckich inaczej jak pod zmienionym nazwiskiem. I tak się stało, a później wypadki potoczyły się już własną siłą, aż doszły do tej chwili, w której trzeba było odsłonić tajemnicę. Groński wiedział już od pani Otockiej wszystko to, co mogła mu powiedzieć – i rozgrzeszał zarówno ją jak pannę Anney, niemniej jednak rozumiał, że wytworzyło się położenie niebywałe i że splótł się taki węzeł, którego rozwiązania wprost nie można było przewidzieć. Mógł go rozwikłać tylko Krzycki, ale i on stanął nie tylko wobec nowych trudności, lecz jakby wobec nowej osoby.

XI

Panna Polcia odwiedziła zaraz następnego dnia Laskowicza, a następnie odwiedzała go, ilekroć mogła znaleźć chwilę wolnego czasu, wybierając wszelako takie godziny, w których Świdwickiego nie było w domu. Nie przedstawiało to zresztą wielkich trudności, gdyż Świdwicki wstawał zwykle koło południa, po czym wychodził i nie wracał aż późną nocą. Do tych częstych odwiedzin nie skłaniał dziewczyny żaden sentyment ani wyjątkowa życzliwość dla młodego studenta. Panna Polcia czuła nawet, zwłaszcza w pierwszych chwilach, że mogłaby go nie cierpieć. Ale kobiety lubią w ogóle patrzeć z bliska na swe dobre uczynki i oglądać choćby co dzień ludzi, dla których stały się opatrnością; a po wtóre, Laskowicz każdym słowem odkrywał przed nią takie światy, których istnienia nawet się przedtem nie domyślała. O socjalistach nie wiedziała dotychczas prawie nic, prócz tego, co jej niegdyś powiedziała pewna stara kucharka, że „nie wierzą w Boga i nie jadają kaczkę”, a następnie słyszała tylko, że rzucają bomby i strzelają z browningów. Po zamachu na

Krzyckiego, jakkolwiek wraz z całą służbą w Jastrzębiu była przekonana, że dokonali go rześlewiacy, jednakże obito się o jej uszy przypuszczenie, że to mogli być socjaliści – i wówczas zapłonęła przeciw nim chwilową niepohamowaną nienawiścią. A teraz dowiadywała się, że byli to ludzie całkiem innego pokroju. Nie rozumiała jeszcze dobrze, o co im chodzi w ogóle, ale rozumiała po swojemu, że w szczególności ci ludzie chcą, by ona Paulina Kielkówna – była taką samą panią jak panna Anney lub pani Otocka. I równie jak pszczoła wysysa sok z kwiatów, tak ona ze słów młodego fanatyka czerpała pokarm dla swej zawiści, dla swego bólu, dla swych uczuć. Serce poczęło ją ciągnąć ku tej „partii”, która przedstawiała się jej jako opatrność i jako potęga – a do tego dołączyła się i czysto kobieca ciekawość groźnych tajemnic tej potęgi. Laskowicz pomiarkował szybko, że ziarno pada na podatną rolę, a gdy raz za powiedziane niebacznie złe słowo przeciw Krzyckiemu dziewczyna omal nie wydrapała mu oczu – odgadł jej tajemnicę i postanowił ją wyzyskać nie tylko dla dobra sprawy, ale i dla siebie osobiście.

Jakkolwiek panna Polcia była służącą nie pani Otockiej, ale panny Anney, mieszkała jednakże w tym samym domu, więc mógł mieć przez nią wiadomości o Maryni, których pragnął z całej duszy, mógł uspokoić swe obawy co do zamiarów Krzyckiego, mógł mówić o niej i słyszeć jej imię – a wreszcie zdobyć wiadomości, gdzie i kiedy może ją zobaczyć, choć z daleka. I wypytywał o to wszystko, z początku ostrożnie i ubocznie, potem coraz częściej, a w końcu tak ustawicznie, że pannę Polcię poczęło to dziwić i gniewać. Skłonna do ostateczności i zdolniejsza do nienawiści dla ludzi w ogóle niż do ich kochania, uwielbiała jednak wyjątkowo Marynię, uważając ją za jakąś nadziemską istotę – i uwielbienie to było w niej równie gwałtowne, jak byłaby nienawiść. Z drugiej strony, lubo na

drodze ideowej w kierunku równości powszechnej i niechęci ku klasom wyższym poczyniła w krótkim czasie znaczne postępy, nie mogła się jednak otrząsnąć od razu ze wszelkich dawnych pojęć i miewała nagle do nich nawroty. Toteż pewnego razu, gdy Laskowicz począł, jak zwykle, zarzucać ją pytaniami o pannę Marynię, odpowiedziała mu opryskliwie:

– Co – pan tak ciągle mówi o panie Zbyłtowskiej!

– A może się w niej zakochałem? – odparł marszcząc brwi student.

Na to oczy jej zaświeciły w jednej chwili gniewem.

– Jeszcze czego!

A on ją patrzeć na nią przenikliwie i zapytał: – Dlaczego panienka mówi; "jeszcze czego"?

– Bo tak panu do niej, jak mnie do...

I urwała nagle – lecz on dokończył:

– Na przykład: do pana Krzyckiego?

Wówczas wybuchnęła jeszcze większym gniewem:

– Co się pan wtrąca w nie swoje rzeczy!

– Ja się do niczego nie wtrącam. Mówię tylko, że gdyby się panienka w nim zakochała i gdybym ja, usłyszawszy o tym, powiedział: „jeszcze czego” – to by panience było przykro... I byłoby słusznie przykro... Bo jeśli księża gadają, że nawet i Boga wolno kochać, to cóż dopiero człowieka? Wolno panience, wolno mnie, wolno każdemu, bo to jest prawo natury, a zatem nasze prawo...'

Słowa te zbyt odpowiadały temu, co kryło się w sercu dziewczyny, by gniew jej mógł się wobec nich ostać, więc spojrzała na Laskowicza tylko już jakby ze smutkiem i odrzekła:

– E! co nam z tego prawa przyjdzie!

– Przyjdzie czy nie przyjdzie, ale wolno. Zresztą, gdybyśmy świat urządzili po naszymu, to żaden pies na takie rzeczy by nie czekał. Albo to panienka Krzyckiego nie warta?

Dlaczego? Czy dlatego, że on bogatszy? To właśnie my chcemy temu zaradzić. Więc co? – edukacja? Pluń panna na to. Tej ich edukacji można i małpy nauczyć. To on, gdyby go panienka chciała, powinien jeszcze panienkę w nogi całować.

Lecz ona znów zniecierpliwiła się i odrzekła:

– Próżne gadanie...

– Ja też chcę tylko powiedzieć, że na wypadek, gdybym ja się zakochał w pannie Zbyłtowskiej, a panienka w panu Krzyckim, to jednaka by nam była dola i jednaka krzywda...

– W czym krzywda?

– W tych podłych urządzeniach tego świata, w tym, że takiej hołocie jak my, wolno po to tylko kochać, żeby cierpieć, a nie wolno oczu nawet podnieść na burżujów, choćby serca w nas skowyczały jak psy.

– Prawda – odrzekła dziewczyna przez zaciśnięte zęby – ale co z tego?

– To z tego, żeśmy sobie powinni podać ręce jak brat i siostra – i nie gniewać się na siebie, ale sobie pomagać. Kto wie, na co się jedno drugiemu może przydać...

– Et! W czym sobie pomóżem?

A on począł znów wpatrywać się w nią swymi blisko, jedno przy drugim, osadzonymi oczyma i rzekł wymawiając z wolna każde słowo:

– Ja nie wiem, czy pan Krzycki kocha się w pannie Zbyłtowskiej, czy w tej Angielce, u której panienka służy – czy może w żadnej z nich?

Twarz panny Polci pokryła się w jednej chwili bladeścią, a następnie przebiegł po niej płomień, który znów ustąpił bladeści. W duszy jej były może głuche obawy, ale dotychczas nie śmiała stawić sobie żadnych pytań. Te panie bawiły w Jastrzębiu jako goście; pani Otocka i panna Zbyłtowska były krewne Krzyckiego – więc ich stosunek wydał jej się czymś zwykłym. Natomiast gdy w Jastrzębiu

„Anielka” pojechała po doktora, a później pilnowała rannego – była chwila, że serce dziewczyny zawrzało zazdrością i niepokojem. Potem uspokoiła się myślą, że taki panicz nie ożeniłby się z jakąś obcą „przybłądą”, choćby była nie wiem jak bogata, ale obecnie zazdrość żgnęła ją znów jak nożem, a Laskowicz zaś mówił dalej:

– Panienska pyta, w czym sobie możemy pomóc? Tak?

– Tak...

– A choćby w... zemście. Po czym zmienił rozmowę:

– Niech panienska do mnie przychodzi, a jeśli niekiedy o co spytam, niech się nie gniewa. Jeśli paniencie czasem ciężko, to i mnie nie lekko... Jednaka dola – jednaka krzywda. Niech panienska przychodzi. Ja ze Świdwickim nie chcę dłużej mieszkać. To dziwny człowiek! Wiem, że on mnie nie z serca przygarnął, ale ponieważ się dla mnie naraża, muszę wszystko od niego znosić. Tymczasem on tak czasem wyzwierza się na naszą partię, że mam ochotę w łeb mu strzelić albo go nożem pchnąć.

– To czemu pan z tym starym kozłem rozprawia?

– Bo on gada, a ja muszę słuchać. Często też korci mnie, żeby mu odpowiedzieć... Kto inny za mniejsze rzeczy dostałby nożem pod żebro...

– Ale ja pana drugi raz nie schowam, bo nie mam gdzie.

– Nie. Ja sam sobie wyszukam jakiej dziury. Już o tym myślałem. Nasi pomogą. Mam teraz paszport i pomalowany na żółto łeb. Niektórzy towarzysze nie mogli mnie poznać. Choćby mnie złapali, to mnie nie będą sądzili jako Laskowicza, tylko jako Zarańczuka z Besarabii. Chybaby kto zdradził, ale takich między nami nie ma.

– Niechże się pan strzeże, a jak pan już będzie wiedział, gdzie się schować, to niech mi pan powie. Ja nie zdradzę...

– Wiem, wiem. Takie nie zdradzają...

Po czym nagle zapytał:

– Czemu się panienska nie chce zgodzić, żebyśmy sobie

mówili: towarzyszu i towarzyszko? Między nami wszyscy tak sobie mówią.

A ona ofuknęła go natychmiast:

– Powiedziałałam już raz, że tego nie cierpię.

– Ha! jeśli tak, to trudno.

Panna Polcia poczęła się zbierać do domu, Laskowicz zaś uczynił na pożegnanie i drugie odstępstwo od zwyczajów panujących między towarzyszami i towarzyszkami, albowiem pocałował ją w rękę. Zauważył już poprzednio, że ją to podnosi we

własnych oczach, że jej to pochlebia i wprowadza w dobry humor. Nie będąc z natury zbyt przebiegłym, spostrzegł jednakże także, że idea sama przez się nigdy jej całkowicie nie pociągnie i że będzie miał w tej dziewczynie pomocnicę zdolną do wszelkich ostateczności, ale o tyle tylko, o ile wejdzie w grę jej własna osoba. Zmniejszyło to opinię, jaką miał o niej i jego dla niej wdzięczność. Uległ wszelako jej despotyzmowi, pamiętając, że zawdzięcza jej życie.

Obecnie miał przy tym do niej prośbę, więc we drzwiach ucałował jej rękę po raz wtóry i rzekł:

– Panno Polciu – taka sama nam doła i taka sama krzywda. Niech mi panienka odpowie jeszcze na jedno pytanie: gdzie ja ją mogę choć z daleka zobaczyć – choćby z daleka?...

– Kogo? – zapytaka marszcząc brwi. – Pannę Zbyłtowską...

– Jeśli z daleka, to powiem – odrzekła niechętnie. – Panienka ma grać na głodnych robotników i chodzi w południe na próby...

– Sama?

– Nie. Z panią Otocką albo z moją panią, a czasem ze służącym, albo którą z nas.

– Dziękuję...

– Byle z daleka, rozumie pan... Bo inaczej będzie źle!

I po tych słowach, które brzmiały jak groźba – wyszła. W tej samej chwili Laskowicz usłyszał przez drzwi głos i śmiech

Świdwickiego, następnie jakby szamotanie się, przytłumiony krzyk dziewczyny, odgłos prędkich kroków na schodach – i wreszcie do pokoju wpadł pijany Świdwicki.

– A wyście tu co robili? – zapytał. – Nic – odrzekł Laskowicz.

A on począł rozglądać się po pokoju, widocznie chcąc się przekonać, czy nie dostrzeże jakiego nieładu – i powtórzył:

– Nic?

– Daję panu na to słowo! – zawołał z energią student.

Na to Świdwicki popatrzył na niego, poruszając rozczochraną brodą, i rzekł:

– Toś dureń!

Potem rzucił się na sofę – byk bowiem po obfitym śniadaniu i chciało mu się spać.

XII

Krańcowy fanatyzm Laskowicza nie mógł istotnie pogodzić się z krańcowym i cynicznym sceptycyzmem Świdwickiego, który przy tym wyzyskiwał położenie nie tylko nad miarę, ale i aż do okrucieństwa. Sam on opowiadał o tym i chwalił się z tego Grońskiemu, spotkawszy go w restauracji, do której Groński po wyprowadzeniu się Krzyckiego zachodził.

– Mam dosyć – mówił – tego mojego rewolucyjnego magota. Mam go dosyć, zwłaszcza od czasu, gdym się przekonał, że osobiście jest uczciwy i że, mi pieniędzy z portmonetki nie wyciąga. Odtąd zaczął mnie nudzić. Ponieważ za przechówek takiego dudka można pójść na Sybir, uważałem to z początku za rodzaj sportu. Myślałem, że będę miał stałe wrażenie pewnego niepokoju, a tymczasem i to nie. Jedyną satysfakcją jaką mam, jest wykazywanie mu głupoty – i jego własnej, i jego partii. Doprowadzam go tym do wściekłości...

- A że to chce z tobą rozprawić.
- Nie chce, ale nie może wytrzymać. Unosi go temperament i fanatyzm.
- Raz spotkałem podobne indywiduum – odrzekł Groński i nawet niedawno, na wsi, w Jastrzębiu. Był tam student, nauczyciel Stasia, którego Krzycki potem przepędził, bo mu podburzał parobków i agitował wśród sąsiednich chłopów.
- Ach! – ozwał się z dziwnym uśmiechem Świdwicki, któremu przyszło nagle na myśl, że i panna Polcia była w Jastrzębiu.
- Co? dlaczego się uśmiechasz? – zapytał Groński.
- Nic, nic, mów dalej.
- Jechałem z nim raz do miasta i po drodze trochę się z nim rozgadałem.
- Wedle twego zwyczaju.
- Wedle mego zwyczaju. Otóż wśród pustych frazesów, które tylko tępe głowy mogą przyjmować za dobrą monetę, mówił i rzeczy ciekawe. Dowiedziałem się trochę pod jakim kątem oni patrzą na świat.
- Mój magot mówi czasem rzeczy interesujące. Wczoraj doprowadziłem go do wyznania, że socjaliści czystej wody za największych wrogów poczytują chłopów i radykalną burżuazję. Zacząłem podlewać oliwy do ognia, a on się rozgadał. Chłop żywiołowo dąży do własności i tego dążenia diabeł w nim nie wykorzeni, a co do burżuazji, to mówi tak: „Co nam szkodzi, powiada, tych trochę szlachty i księży, którzy się jeszcze kręcą po świecie. Wróg to burżuj, zarówno bogaty, jak ubogi. Wróg to radykał, który myśli, że jak będzie krzyczał, że nie wierzy w Boga i księży, to już tym nas kupi. Wróg to taki gębacz, który przemawia w imię ludu i gotów nas pod pachy łechtać, żebyśmy się do niego rozśmieli... to taki, który mizdrzy się do nas, jak pies do osełki masła – a zachowuje wszelkie instynkty burżuja”. I gadał tak dalej, aż ja powiadam: Hola! wyście przecie z

radykałami „fratres Helenae!” A on na to: „Nieprawda! Radykalna bogata burżuazja, która się ze strachu maluje na czerwono i pożyczka od nas sztandaru i metod, wprowadza tylko zamęt w umysły i zaśmieca nam ideę – a uboga, jeśli tylko oszczędza rocznie, choćby najdrobniejsze kwoty, szkodzi nam, bo może ofiarować pracę za niższą cenę niż czysty proletariatus, który jest zawsze goły, jak święty turecki. My, powiada, nożem po gardle damy przede wszystkim radykalnym burżujom, bo ukryta zdrada siedzi właśnie w nich”. – Tak gadał, a ja byłbym byk gotów przyznać mu słuszność, gdybym w ogóle wierzył w słuszność – a nie przyznałem mu jej jeszcze i dlatego, że on jest za głupi, żeby takie rzeczy sam mógł wymyślić. Widocznym było, że powtarza to, czego nauczyli go inni... Oczywiście, nie omieszkałem mu tego powiedzieć.

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie Dołhańskiego, który spostrzegłszy Grońskiego zbliżył się do nich, jakkolwiek nie lubił spotykać się ze Świdwickim.

– Jak się macie? – rzekł. – Moje panie pojechały dziś do Częstochowy, więc jestem wolny. Czy pozwolicie się przysiąść? – Prosimy, prosimy, to przecie twoje ostatnie dni?

– Warto by nawet z tego powodu wypić jaką butelczynę zauważył Świdwicki – a zwłaszcza że przy tym dziś wypadają moje urodziny.

– Gdyby kalendarz był piwnicą, a datami w nim butelki, toby twoje urodziny wypadały co dzień – odpowiedział Groński. – Przysięgam ci na wszystko z czego kpię, że wbrew moim zwyczajom i upodobaniom mówię w tej chwili prawdę.

To rzekłszy kiwnął na służącego i kazał podać dwie butelki, licząc, że potem przyjdzie kolej na następne. Tymczasem Dołhański rzekł:

– Spotkałem dziś Krzyckiego. Źle wygląda, jakiś nieswój i mówił mi, że nie mieszka już u ciebie, tylko w hotelu. Czyście się wypadkiem nie poróżnili?

– Nie. Ale on wyprowadził się ode mnie, a pani Krzycka od pani Otockiej.

– To jakaś epidemia – zawołał Świdwicki – bo i mój nożowiec mnie opuszcza.

– Chyba coś zaszło między Krzyckim a panną Anney? – zapytał. – Ja przypuszczałem, że tam już jest bardzo blisko. Rozeszli się – czy co?

– Marcepan ta Angielka! – wtrącił Świdwicki – ale jej służąca ma w sobie więcej elektryki...

Groński zawahał się przez chwilę, po czym rzekł:

– Nie rozlecieli się, ale coś zaszło. Nie wiem, po co bym robił tajemnicę z tego, o czym się prędzej, później dowiecie. Pokazało się, że panna Anney nie jest dzieckiem rodzonym, tylko adoptowanym, zamożnego; a dziś już nieżyjącego fabrykanta angielskiego, pana Anney, i jego również nieżyjącej żony...

– No! ale jeśli adopcja daje jej wszelkie prawa, a zwłaszcza prawa spadkowe, to czy to Krzyckiemu nie wszystko jedno?

– Adopcja daje jej wszelkie prawa, jednakże Krzyckiemu nie jest to zupełnie wszystko jedno, albowiem pokazało się także, że panna Anney jest córką kowala z Rzęślewa i nazywa się Hanka Skibianka.

– Ha! – zawołał Świdwicki. – Odnalazła się Perdita, ale nie królewska córka! Cóż na to piękny Floryzel?

Lecz Dołhański począł patrzeć na Grońskiego, jakby go pierwszy raz w życiu zobaczył.

– Co ty powiadasz? – To, co jest.

– Sapryst! ależ to są bajeczne rzeczy. Sapristi! Chyba żartujesz?

– Daję ci słowo, że tak jest... Sama to Krzyckiemu powiedziała.

- Lubię na twarzy Dołhańskiego ten wyraz zdziwienia! – zawołał Świdwicki. – Człowieku, przyjdź do siebie!
Dołhański pohamował się, głosił bowiem zawsze, że prawdziwy gentleman nie powinien się nigdy dziwić.
- Przypominam sobie teraz – rzekł – to ta Skibianka, której wuj Żarnowski zapisał kilka tysięcy rubli.
- Ta sama.
- Więc to jego córka?
- Wyobraź sobie, że nie. Skiba przybył z Galicji do Rzęślewa z żoną i kilkuletnim dzieckiem.
- Zatem czysta chłopska krew?
- Piastówna! Piastówna! – wołał Świdwicki.
- Zupełnie czysta! – odpowiedział Groński. – A cóż Władek?
- Połknął nowinę i stara się strawić! – ozwał się znów Świdwicki.
- Mniej więcej tak jest. Znalazł się wobec nowego położenia i zamknął się. Trochę go to ogłuszyło i chce przyjść do siebie.
- Był do śmieszności zakochany, ale teraz chyba zerwie.
- Nie przypuszczam, ale powtarzam, że wobec zmienionego położenia wpadł w pewną wewnętrzną rozterkę, z którą się musi uporać.
- Ja wyznaję otwarcie, że zerwałbym bezwarunkowo.
- A gdyby Kaśka czy Hanka miała sto tysięcy funtów? zapytał Świdwicki.
- W takim razie... wpadłbym w rozterkę – odpowiedział z flegmą Dołhański.
- A po chwili mówił dalej:
- Bo wydaje się, że to nic, a w życiu może się wykazać, że to jest coś. Pominąwszy rozmaitych kuzynków Maćków i Bartków, którzy niezawodnie się znajdują, również znajdują się także i odmienne instynkty, odmienne popędy, odmienne upodobania. Co u licha! nie chciałbym mieć żony, którą

mogłaby opanować nagle a niespodziewanie namiętność do bursztynowych paciorków, do łuskania grochu, do międlenia lnu, do ułęgałek albo do zbierania bedłek, nie mówiąc o jagodach, orzechach i o chodzeniu boso.

Tu zwrócił się do Grońskiego.

– Ruszaj sobie ramionami, ale tak jest.

– Mnie by to nie raziło – rzekł Świdwicki. – Owszem, gdybym się miał żenić z panną Anney, wymówiłbym sobie właśnie to, żeby czasem chodziła boso. Jak jestem na wsi, nic na mnie tak nie działa, jak widok bosych nóg u dziewczyn. Prawda, że często miewają różę w kostce, co pochodzi od klucia się o rżysko. Ale przypuszczam, że panna Anney nie ma róży.

– Z wami nie można mówić poważnie.

– Bo i po co? – odrzekł Świdwicki. – Niech Krzycki odcina teraz kupony od swojej powagi, ale nie my. Czy to nie ty mówiłeś, że on należy do narodowej demokracji?

– Nie. Nie ja. Ale co to ma za związek z panną Anney?

– Ach! ach! szlachcic, narodowy demokrat dowiedział się, że jego flama ma w żyłach chłopską krew i jednak brzuch go z tego powodu zaraz rozboleł, jednak kole go ta *de~minutio capitis*.

– Kto ci to powiedział? Przy tym to jest raczej *permutatio*, nie *deminutio*...

– Tak! Towar angielski okazał się wyrobem krajowym – *made in Poland* – i spadł w cenie. Słusznie, słusznie...

– Wiecie, kto by mógł sobie pozwolić z całą swobodą na małżeństwo w takich warunkach – zapytał Dołhański – prawdziwie wielki pan.

– Ale nie polski – zawołał Świdwicki. – Już zaczynasz! Dlaczego nie polski?

– Dlatego że polski nie ma dość ufności w swoją krew, nie ma po prostu dość dumy, żeby wierzyć, że on podniesie kobietę do siebie, nie zaś sam zniży się do niej.

Groński począł się śmiać.

– Nie spodziewałem się z twych ust tego zarzutu – rzekł.

– Dlaczego? Ja jestem indywidualista i o ile nie uważam siebie za okaz najpodlejszej rasy w świecie, o tyle uważam się za okaz najlepszej... Według mnie do arystokracji należy się tylko szczęśliwym wypadkiem, to jest wówczas, jeśli się przynosi na świat odpowiedni profil i odpowiedni mózg. Pamiętasz przecie, co mówi Juvenalis: „Malo pater tibi sit Thersites, dummodo tu sis Aeacidae simitis, vulcaniaque arma capessas, quam te Thersitae similem producat Achilles”. Dla ciebie powinno to wystarczać, choćby z tego powodu, że to mówi poeta rzymski. Ale na przykład Dołhański, o ile portretów przodków nie kupił na licytacji – i inni nasi panowie sądzą, że tę przynależność stanowi krew. Otóż, wychodząc nawet z tej zasady, twierdząc, że nasi torysowie nie umieją być dumni ze swej krwi.

– W domu – rzekł Groński – znęcasz się nad socjałami, a tu chciałbyś się znęcać nad arystokracją...

– Nie zmniejszaj moich zasług: mam parę pięknych słówek i dla narodowej demokracji.

– Wiem, wiem. Ale jak dowiedziesz tego, co powiedziałeś o polskich torysach?

– Jak tego dowiodę? Metodą sokratyczną – za pomocą pytań. Czy widzieliście kiedy polskiego pana za granicą, który poznaje się z wielkim panem Francuzem albo Anglikiem? Ja, pókim miał pieniądze, przesiadywałem zimą w Nizy albo w Kairze i widziałem ich mnóstwo. Otóż za każdym razem zadawałem sobie pytanie, które teraz zadaję wam: dlaczego, u diabła, nie Francuz lub Anglik stara się podobać Polakowi, tylko Polak im" „T_?” ~czego zawsze tylko Polak się mizdrzy, tylko Polak kokietuje? Dlaczego wstydzi się niemal swego pochodzenia – i jeśli wypadkiem Francuz powie mu, że go wziął z akcentu z Francuza, albo Anglik go weźmie za Anglika, to się rozplywa z radości, jak

masło na patelni? Ach! widziałem takich kokietów dziesiątkami – i to jest stara rzecz. Tak było i dawniej. Taką kokieterię miał na przykład i Stanisław August. Polski pan umie czasem nosić wysoko nos w kraju. Przed cudzoziemcem zawsze na dwóch łapkach. Czy to nie jest brak dumy z własnej rasy, z własnej krwi, z własnej tradycji? Jeśli macie najmniejsze ziarnko poczucia prawdy, choćby takie, jak ziarnko kawioru, to mi przyznacie słusność! Co do mnie, wstydzilem się czasem, że jestem Polakiem.

– To się znaczy, że dopuszczaleś się takiego samego grzechu, jaki im zarzucasz – odpowiedział Groński. – Gdyby końce skrzydeł naszego orła sięgały dwóch mórz, jak niegdyś, może oni byliby inni. Ale obecnie – powiedz mi, z czego oni mają być dumni?

– Przekręcasz rzecz. Ja mówię tylko o dumie rasowej, nie politycznej – odpowiedział Świdwicki. – Zresztą niech ich diabli wezmą. Wolę pić.

– Gadaj sobie, co chcesz – ozwał się Dołhański – a ja ci powiem tylko to, że gdyby jednak sprawy krajowe były wyłącznie w ich rękach, działałyby się może rozmaite głupstwa, ale nie smażylibyśmy się w takim sosie, w jakim smażymy się dziś.

A Świdwicki zwrócił ku niemu błyszczące już trochę nienormalnie oczy.

– Mój kochany – rzekł – żeby rządzić krajem, trzeba mieć jedną z trzech rzeczy: albo największą liczbę, którą ma za sobą kanał... przepraszam, chciałem powiedzieć: demokracja, albo największy rozum, którego u nas nie ma nikt, albo największe pieniądze, które posiadają Żydzi. A ponieważ dowiodłem, że nasi wielcy panowie nie mają nawet poczucia tradycji – więc co oni mają?

– Choćby dobre maniere, których tobie już brak – odparł z niechęcią Dołhański.

– Nie. Ja ci powiem, co oni mają – jeśli nie wszyscy, to co drugi albo trzeci, ale ci powiem po cichu, by nie , obrażać dziewczycych uszu Grońskiego.

I pochyliwszy się do Dołhańskiego, szepnął mu jeden wyraz, po czym jął parskać złośliwie:

– Ja nie mówię, żeby to nie było coś, ale to nie dosyć, żeby rządzić krajem.

Lecz Dołhański zmarszczył się i rzekł:

– Jeśli tak, to i ty należysz zapewne do najwyższej arystokracji.

– A jakże! a jakże! Mam dyplom poświadczony parę lat temu w Akwizgranie. Miejsce koronacyjne!...

To rzekłszy napił się znowu wina i mówił dalej z gorączkową jakąś wesołością:

– Ach, pozwólcie mi bluzgać, pozwólcie kpić z ludzi i rzeczy! Ja ciągle to robię wewnątrz, ale czasem potrzebuję wyrzucić żółć na zewnątrz. Pozwólcie! Przecie ostatecznie jestem Polak, a dla Polaka nie może być większej przyjemności jak obdrapywać, jak zmniejszać, jak kłuć, jak obgadywać, jak plwać, jak ściągać posągi z piedestałów. Republikańska tradycja! – co? Przy tym Opatrzność tak szczęśliwie urządziła, że Polak to właśnie najwięcej lubi, a zarazem, gdy o niego chodzi – najboleśniej odczuwa. Rozkoszne społeczeństwo!

– Mylisz się – odpowiedział Groński – bo pod tym względem zmieniliśmy się ogromnie, a na dowód powiem wam przykład: Gdy malarz Limiatycki dostał za swą Gotgotę wielki medal w Paryżu, rozjadły się na niego natychmiast wszystkie miejscowe małe pędzelki. Otóż spotkawszy go pytałem, czy im da odprawę, a on odpowiedział mi z największą pogodą: „Ja służę ojczyźnie i sztuce, a nie rozumie tego tylko głupota, nie chce zaś rozumieć tylko podłota”. I miał słusność, albowiem kto ma

jakiegokolwiek skrzydła u ramion i potrafi choć trochę wznieść się w górę, ten może nie uważać na uliczne błoto.

– Mógł jeszcze dodać pewien dowcip Heinego. Ale co do błota, to produkt czysto krajowy, równie jak inne objawy waszej narodowej kultury, a mianowicie: brudy, plotki, zazdrość, głupota, lenistwo, wielkie słowa, małe czyny, polityka po groszu łokieć, warcholstwo, gust do wieców, bandytyzm, browningi i bomby; nie skończyłbym do wieczora, gdybym chciał wszystko wymienić.

– To ja ci dorzucę parę rzeczy – rzekł Groński. – Pijaństwo, cynizm, głupia poza na rozpacz, bezmyślna hiperkrytyka, urąganie nieszczęściu, kalandria własnego gniazda, plwanie na krew i ból, podkopywanie wiary w przyszłość i bluźnierstwa przeciw narodowi. Czy masz już dosyć?

– Wina nie mam dosyć. Postaw, postaw!

– Wina nie postawię, ale ci powiem jeszcze, że mylisz się twierdząc, że to krajowe produkty. To przynosi pewien wiatr, który widocznie obwiał i ciebie.

Lecz Świdwicki, który tym razem nie miał ochoty się kłócić, a miał ochotę pić, chcąc widocznie zwrócić rozmowę na inne tory, ozwał się niespodzianie:

– *À propos* wiatrów – jaka szkoda, że tak rozumni ludzie, jak Prusacy, popełniają jeden gruby błąd.

W Grońskim, który już wstawał, by się pożegnać, przemogła na chwilę ciekawość.

– Jaki błąd? – zapytał.

– Że poczytują nadchamstwo za nadczłowieczeństwo. – W tym masz słuszność. . – Pogardzam sobą, ilekroć mam słuszność.

– A więc zostawiamy cię winu i pogardzie.

To rzekłszy Groński kiwnął na Dołhańskiego i wyszli. Zastanowiły go jednak ostatnie słowa Świdwickiego, więc po chwili rzekł: – Ciągle teraz chodzą ludziom po głowie

Prusacy i przypominają się z byle powodu. Zresztą Świdwicki trafnie ich określił.

– Gdybyś tak wiedział, jak mało mnie obchodzą określenia Świdwickiego.

– A jednak często robisz mu konkurencję i gadasz podobnie – odpowiedział Groński.

Po czym idąc dalej za biegiem swych myśli, rzekł:

– Nietzsche także nie dostrzegł, że odczuwanie i rozumienie cudzej niedoli zjawia się dopiero na szczycie stworzenia...

– Dobrze, dobrze, ale w tej chwili więcej zaciekawia mnie to, co Krzycki robi z panną Anney?...

Dolhański, który nie znosił Świdwickiego, byłby się czuł szczerze dotknięty, gdyby był odgadł, że i temu przyszło na myśl to samo pytanie. Zostawszy sam Świdwicki przypomniał sobie opowiadanie Grońskiego i zaczął się śmiać, gdyż myśl o takim niezwykłym zawikłaniu rozbawiła go zupełnie. Wyobrażał sobie, jakie wzburzenie musiało zapanować u Krzyckich, u pani Otockiej i jak dalece sprawa ta poruszy całe koło ich krewnych oraz znajomych. I nagle jął sam ze sobą w następujący sposób rozmawiać:

– A gdybym tak poszedł z wizytą do panny Anney? Nawet wypada zostawić jej kartę... Zupełnie wypada! Nie zastanę jej mniejsza o to, ale jeśli zastanę, postaram się zobaczyć, czy nóg nie ma zbyt grubych w kostce... Bo wykształcenie, naukę, nawet ogładę – można zdobyć, ale delikatne wiązadła nóg i rąk trzeba odziedziczyć po całym szeregu pokoleń. Trochę to sprzeczne z tym, co mówiłem Grońskiemu, ale to nic nie szkodzi. Ta wściekła Polcia ma jednak wiązania dosyć cienkie. Diabeł wszelako wie, kto był jej ojciec. Pójdę. Nie znajdę jednej, to znajdę drugą.

I poszedł. Otworzył mu nie służący, ale panna Polcia, więc roześmiał się do niej najrozkoszniej jak umiał i rzekł:

– Dobry dzień, śliczna czarnuszko! Czy panna Hanka Skibianka jest w domu?

- Jaka panna Skibianka? – zapytała ze zdziwieniem.
– To panienka nie wie wielkiej nowiny?
– Co za nowiny? Nic nie wiem!
– Że pani panienki nie nazywa się panna Anney.
– Niech pan nie zawraca mi głowy.
– Daję panience słowo honoru. Proszę spytać pana Grońskiego albo pana Krzyckiego, który palce sobie odgryza ze zmartwienia. Daję słowo honoru. Ja jeszcze i więcej wiem, ale jeśli panienka nie ciekawa, to sobie pójdę. Oto moja karta dla panny Ski-bian-ki.
Oczy dziewczyny roziskrzyły się z ciekawości. Mechanicznie wzięła kartę.
– Ja nie mówię, żeby pan sobie szedł, ale nie wierzę – rzekła z pośpiechem.
– A ja jeszcze więcej wiem... – Co?
– Powiem do ucha.
Pannie Polci nie przyszło na myśl, że Świdwicki nie ma żadnej potrzeby mówienia po cichu i pochyliła się ku niemu z bijącym sercem, a chociaż oblał ją przesycony winem jego oddech, nie odsunęła głowy.
– Co? – powtórzyła.
– Że panna Skibianka, to chłopka z Rzęślewa.
– Nieprawda!
– Jak Boga kocham.
I to rzekłszy mlasnął nagle szerokim całusem w jej ucho.

XIII

List panny Anney odznaczał się nadzwyczajną prostotą. Na początku mówiła o tym, że z chwilą, gdy Krzycki prosił o jej rękę, musiała odkryć mu swoje pierwsze nazwisko, dalszy zaś ciąg zawierał dokładną, ale również po prostu skreśloną historię jej samej i jej rodziny, od czasu wyjazdu z

Rzęślewa. Smutny ten przebieg zdarzeń opowiadała w następujących słowach:

„Ojciec mój pochodził z Galicji i miał w Ameryce krewnych, o których zasłyszał, że dorobili się majątku. Dowiedziawszy się o tym, postanowił przesiedlić się także i szukać szczęścia za oceanem. Opuściliśmy Rzęślewo wówczas, gdy pan by I w Warszawie. Umiałam już pisać, gdyż nauczono mnie tego we dworze – i byłabym o naszym wyjeździe panu doniosła, gdybym wiedziała pański adres. Wyjechaliśmy, nic nikomu nie mówiąc, na Hamburg i tam stało się to, co często przytrafia się chłopom emigrantom. Agent oszukał nas, okradł z pieniędzy i wsadził nas na statek, który szedł nie do Ameryki, ale do Anglii. Wyrzuceni na bruk w Londynie, wkrótce popadliśmy w nędzę. Na wyjazd do Ameryki nie było już środków. Matka moja umarła w szpitalu na tyfus, ojciec z rozpaczy i nostalgii zapadł ciężko na zdrowiu. W tych warunkach znalazł nas i dał nam pracę pan Anney, jeden z najlepszych i najszlachetniejszych ludzi na świecie, opiekun i przyjaciel Polaków. Ale pomoc okazała się spóźniona i ojciec mój zmarł w ciągu roku. Ja zostałam w fabryce i pracowałam w niej aż do wypadku, który zmienił zupełnie moje położenie. Państwo Anney mieli jedynaczkę córkę, którą kochali nad wszystko w świecie i otaczali ją tym większą troskliwością, że groziła jej choroba piersiowa. Otóż zdarzyło się, że przy zwiedzaniu fabryki panna Anney o mało nie została porwana przez tryby maszyny. Pospieszyłam jej na ratunek trochę z narażeniem własnego życia i odtąd wdzięczność państwa Anney dla mnie nie miała granic. Zabrali mnie z fabryki do siebie i w ten sposób stałam się towarzyszką, a następnie serdeczną przyjaciółką ich córki. Polak, emigrant z sześćdziesiątego trzeciego roku, przyjaciel pana Anney i człowiek bardzo wykształcony, uczył nas obie, a mnie osobno uczył po polsku. Staralam się korzystać, ile w mojej

mocy, z tych lekcji i po dwóch latach potrafiłam trochę się zbliżyć do poziomu umysłowego mojej przyjaciółki i mego otoczenia. Ale Agnes (tak było na imię pannie Anney) poczęła zapadać na zdrowiu. Wówczas pan Anney sprzedał fabrykę i przenieśliśmy się wszyscy, bo i nasz nauczyciel razem z nami, do Włoch. Tam upłynęło nam około trzech lat na poszukiwaniu najlepszego klimatu dla naszej drogiej chorej. Wszystkie starania nie przydały się jednak na nic i Bóg zabrał do siebie swego anioła. Po śmierci Agnes państwo Anney, przez pamięć na to, że kochałam z całej duszy naszą zmarłą, przyjęli mnie za własne dziecko i dali mi nie tylko nazwisko, ale chcąc oszukać swą rozpacz, ból i żal –nawet i imię nieboszczki. Wszelako żal nie dał się oszukać i choć starałam się całym sercem, by być dla nich jakąś pociechą w życiu, w ciągu dwóch lat poszli oboje za swym największym ukochaniem...

I oto koniec mej historii. A potem przyszły te zdarzenia, które znów zbliżyły mnie do pana, więc chcę usprawiedliwić moje postępowanie w pańskich oczach. Mam prawo do nazwiska, które noszę, i życie moje od czasu wyjazdu z Rzęślewa było czyste. Sumienie wyrzuca mi tylko jeden nowy błąd. Oto nie przyznałam się państwu Anney, że byłam już niegodną ich opieki. Ale na wyznanie zabrakło mi siły. Zanadto kochałam moją Agnes i bałam się, że mnie z nią rozłączą. Później nie chciałam dorzucać jeszcze czegoś nowego do ich bólu. Nie miałam siły. Czasem też myślę, że teraz, gdy patrzą na mnie z nieba i wiedzą już wszystko, przebaczą mi zachowanie tej tajemnicy. Poza tym, raz jeszcze powtarzam i przysięgam, że życie moje było czyste. Ale we wspomnieniach mam tylko trumny i trumny, a z czasów rzęślewskich została mi tylko pamięć o panu. Nie mogłam zapomnieć ni mego grzechu, ni szczęścia. Nieraz, jeszcze za życia mojej przybranej siostry, patrząc w czyste jej oczy walczyłam ze zgryzotą, a zarazem płakałam z

tęsknoty. Potem, zostawszy sama na świecie, nie miałam o co serca zaczepić i poczęłam tęsknić jeszcze bardziej. Gdy po śmierci państwa Anney poznałam w Brukseli Zosię Otocką i zaprzyjaźniłam się z nią, dowiedziałam się wypadkiem, z rozmowy, że ona jest krewną pana. Wówczas opowiedziałam jej całe moje życie nie ukrywając niczego, a ona nie tylko nie odsunęła się ode mnie, ale pokochała mnie jeszcze bardziej. Ośmielona jej dobrocią wyznałam jej moją tęsknotę za wspomnieniami i za Rzęślewem. Może to moja nowa wina, że zwierzyłam się także Zosi z mej nieprzeparłej chęci zobaczenia jeszcze raz w życiu Jastrzębia, Rzęślewa i (dlaczego nie mam powiedzieć całej prawdy) – i pana. Wtedy Zosia mówiła mi: «Ja cię rozumiem, jedź ze mną do Jastrzębia, jako panna Anney, gdyż nie możesz inaczej. Nikt cię nie pozna, a ty porachujesz się z własnym sercem. Może rzeczywistość zgasi tęczę wspomnień. Jeśli się uspokoisz na zawsze, to tym lepiej dla ciebie, jeśli on cię pokocha, to tym gorzej dla niego; jeśli dawne echa zbudzą się w waszych sercach, to widać takie przeznaczenie». Tak doradzała Zosia i dlatego, gdy matka pana zaprosiła ją i Marynię, znalazłam się i ja w Jastrzębiu. Ale nie chcę uchodzić za lepszą, niż jestem. Wyznaję, że jadąc miałam ciągle na myśli słowa Zosi: «jeśli on cię pokocha, to tym gorzej dla niego» – i chciałam, żeby się tak stało. Byłam pewna, że pan zupełnie o mnie zapomniał i myślałam, że gdyby pan mnie teraz pokochał bez wzajemności, to byłaby to jakaś słuszna za to zapomnienie kara i jakiś tryumf dla mnie i – jeśli nie taka zemsta kobieca, o jakiej mówiąc książki, to przynajmniej wielka ulga dla mojej miłości własnej. Ale stało się inaczej, bo zapomniałam wziąć tego w rachubę, że mam serce nie z zagranicznej książki, ale ze wsi polskiej – proste i wierne. Gdy zobaczyłam Rzęślewo, Jastrząb i pana, chciało mi się tylko płakać i płakać, tak jak płakałam na pogrzebie pana Żarnowskiego – i odnalazła się we mnie ta Hanka, która

przed laty kochała pana pierwszą dziecinną miłością, a potem takim uczuciem nie kochała nikogo. Pan wie, co się stało dalej. Jeśli pan nie wróci, ja tego panu za złe nie wezmę, ale i pan niech urazy do mnie nie chowa. Ja także przeszłam tylko obok szczęścia...”

Podpis był „Hanka”. Krzyckiemu, gdy czytał list, trzęsła się od czasu do czasu broda i ćmiły oczy. Począł powtarzać podpis listu: «Hanka, Hanka». – Zerwał się i jął chodzić wielkimi krokami po pokoju. Myśli kłębiły mu się w głowie jak chmury po niebie, zbiegały się i rozbiegały, na wszystkie strony jak spłoszony tabun. Przeczytał list po raz drugi i trzeci, i pod jego wpływem poczęły mu się przesuwać przed oczyma obrazy przeszłości tak wyraziście, jakby to wszystko, co niegdyś zaszło, było wczoraj. Przypomniał sobie te jasne księżycowe noce, w czasie których wykradał się do młyna, i tę pachnącą sianem dziewczynę wiejską, która na pytanie, czy go kocha, szeptała w odpowiedzi „juści” – ale zarzucała mu swe jeszcze na wpół dziecinne ramiona na szyję lub tuliła go do piersi z taką siłą, że żadna miłość nie mogła się zdobyć na szersze wyznanie. Przypomniał sobie, że jednak kochał ją wówczas i że gdy mu jej zabrakło, tęsknił po niej, a nawet wypytywał ludzi o rodzinę kowalową z Rzęślewa –ale z daleka i małodusznie, gdyż obawa zamykała mu usta.

Potem zatarła się ta dziewczyna w jego pamięci tak dokładnie, że zatarły się nawet te lekkie wyrzuty, które sobie z powodu niej czynił. Nie zostało nic. Było mu dobrze na świecie i szukał nowych wrażeń, podczas gdy ją porwał życiowy wicher i rzucił jak marny liść na obcą ziemię, na której znosiła po prostu głód. A jednak ani wówczas, ani później, gdy przygarnęli ją dobrzy ludzie, nie zapomniała o nim – i nie przestała za nim tęsknić. Krzycki nie był głębokim znawcą dusz ludzkich, odczuł wszelako, że to, co dla niego było prostą przygodą miłosną, płytką rozkoszą

zmysłów, chwilowym wrażeniem, tak rozwiewnym jak zapach kwiatów, dla niej stało się nowym życiem, oddaniem całego jestestwa i całej duszy, zbyt czystej i zbyt szlachetnej, by mogła na nowych drogach szukać nowego szczęścia. I oto zrozumiał teraz, dlaczego ta dzisiejsza, pożądana panna Anney, świetna, otoczona dostatkiem i budząca podziw napisała mu, że ma serce nie z zagranicznej książki, ale ze wsi polskiej – proste i wierne. Zrozumiał również, dlaczego list był podpisany „Hanka”. Naraz upadły też niepowrotnie wszystkie jego podejrzenia i słowa jej: „życie moje od czasu wyjazdu z Rzęślewa było czyste” – wzruszyły go do tego stopnia, że począł sobie wymyślać za to, iż przez chwilę mógł sądzić o niej inaczej. Naraz wydał się sobie małym, marnym i niegodnym tej szlachetnej i wysokiej duszy. Ale przez głowę i serce przeszło mu w tych ostatnich chwilach tyle myśli, wrażeń i uczuć, że nie był pewien, czy i to ostatnie poczucie własnej winy i własnej marności będzie trwale. Jednakże ogarniała go coraz większa tklivość i zacierała się coraz bardziej ta różnica między Hanką a panną Anney, która mu była tak dokuczliwą w pierwszej chwili. Teraz przeciwnie: na wspomnienie, że tamta prosta dziewczyna i ta urocza dzisiejsza panna są jedną i tą samą kobietą, przejmował go jakiś dreszcz podobny do dreszczu rozkoszy. Pamięć, że tamtą niegdyś posiadał, poczęła budzić w nim jakby głód i jakby nową namiętność do tej dzisiejszej, a myśl o jej ponętach potęgowała jeszcze grę jego młodej krwi. Ale starał się potłumić w sobie te wrażenia i myśleć o sprawie poważnie i z całą świadomością odpowiedzialności, jaka nad nim zaciążyła. Przede wszystkim zadał sobie pytanie, co powinien uczynić człowiek honoru, który uwiódł, a potem skrzywdził zakochaną w nim dziewczynę, prawie dziecko, a potem, po kilku latach, spotkał ją pod zmienionym nazwiskiem i pokochał? I odpowiedź była jedna: że choćby nawet nie pokochał, to jeśli jej miłość

przetrwiała, powinien przyjąć na siebie wszelkie następstwa swych czynów. Gdyby pozostała prostytutką, która nie mogłaby go nigdy zrozumieć, lub gdyby była zesła z uczciwej drogi, to i w takim razie dla drażliwego sumienia przyczyna nie byłaby dostateczną umycia rąk i wycofania się ze sprawy, a cóż dopiero, skoro ta dziewczyna wyrównała dzielącą ich przepaść umysłową i towarzyską, przy tym zaś uszlachetniła swą własną duszę, a nie przestała go kochać. „Tak jest! Naplułbym sobie sam w oczy – mówił Krzycki (nie myśląc w tej chwili o tym, że w praktyce podobna czynność byłaby trochę trudną do wykonania) – gdybym się wahał dłużej. Jedno jest do zrobienia i to jedno zrobię natychmiast”. Uczyniwszy to postanowienie odetchnął głęboko, człowiek, któremu spadł z serca wielki ciężar – i o ile pierwej małał w swych własnych oczach, o tyle począł teraz znów wyrastać. Nie zadał sobie jednak pytania, co by było, gdyby panna Anney nie miała takich cudnych, patrzących niebieską smugą oczu ani takiej twarzy, której barwa przypominała płatki białej róży, ani tych wszystkich ponek, za którymi zwracały się jego oczy i łudził sam siebie, że zmysły nie grają w jego postanowieniach żadnej roli i że postępuje jak rycerz bez nagany. Mówił sobie, że wielu z jego znajomych nie zdobyło się na podobne postanowienie: był rad z siebie, że zaś przyszło mu ono łatwo tylko dlatego, że rwało się ku niemu jego serce, to uważał, nie za obniżenie wartości samego czynu, ale za swoje szczęście. Przewidywał jednak, że mu przyjdzie jeszcze mieć do czynienia i z matką, i z tak zwaną opinią towarzyską, której nie chodzi o zasady, tylko o plotki i która szuka przede wszystkim pokarmu dla własnej głupowatej złośliwości. Ale spodziewał się matkę przejednać, co zaś do złośliwców, uśmiechających się ironicznie z łada powodu, tym jego rozdęte na samą myśl o tym nozdrza i zaciśnięte zęby nie zapowiadały nic dobrego. Lecz te przewidywane

rycerskie wystąpienia to była przyszłość, a tymczasem porywczą naturą popychała go do natychmiastowego czynu. Postanowił iść zaraz do matki i ostatecznie się z nią rozmówić, spojrzawszy jednak na zegarek, przekonał się, że była blisko trzecia w nocy. Wobec tego, rzecz była niepodobna. Nie czując wszelako najmniejszej potrzeby snu, a pragnąc koniecznie coś zacząć siadł do pisania listów. Przede wszystkim zamknął do koperty list panny Anney, ponieważ chciał przesłać go matce przed ostateczną z nią rozmową, następnie zabrał się do pisania do panny Anney, ale wkrótce przerwał je, przyszło mu bowiem do głowy, że skoro dał słowo, iż przez tydzień będzie milczał, to nie ma prawa tego czynić. Natomiast, po krótkim namyśle, skreślił parę słów do pani Otockiej, z prośbą, by mu pozwoliła przyjść do siebie w dniu jutrzejszym.

Wreszcie, gdy brzask począł zaglądać do pokoju i mieszać się ze światłem lamp, pomyślał o spoczynku, ale chociaż czuł ogromne znużenie, nie mógł zasnąć i w myśli rozmawiał z matką i panną Anney, aż do wschodu słońca. Zasnął głębiej dopiero wówczas, gdy w hotelu poczynął się już ruch poranny i zbudził się późno. Ubrawszy się, zadzwonił na służącego i polecił mu odnieść list panny Anney do matki, ale w ostatniej chwili namyślił się inaczej i postanowił sam go odnieść. Lecz w pokojach zajmowanych przez panią Krzycką zastał tylko młodsze rodzeństwo i guwernantkę Francuzkę, która oświadczyła mu, że madame wyszła od rana do kościoła.

XIV

Pani Krzycka udała się istotnie i do kościoła, i do spowiedzi, albowiem w strapieniu, jakie na nią spadło, potrzeba jej było i porady, i pociechy. A strapienie to było rzeczywiste i głębokie. Żyła ona w czasach, w których rozmaite stare

uprzedzenia i przesady zacierały się i gasły coraz bardziej, ustępując miejsca nowym, demokratycznym ideom. Ponieważ o uszy jej odbijało się niejednokrotnie, że fala tych nowych idei może przynieść pożytek i zbawienie krajowi, więc pani Krzycka, lubo i przyzwyczajenia, i dawniejsze jej pojęcia były im przeciwne, nie tylko nie walczyła z nimi, ale zgadzała się na nie w sposób bierny i milczący. Przychodziło jej to tym łatwiej, że ani w głowie nie powstało jej nigdy, żeby osobiście mogła mieć z nimi do czynienia. Było to dla niej coś takiego, jak gdyby ktoś do kilku pokoi w Jastrzębiu, w których nigdy stale nie przesiadywano, wprowadził nowożytnie meble. Niech sobie stoją, skoro moda tego wymaga i skoro w innych pokojach są stare, odziedziczone fotele, na których można przesiadywać wygodnie! Aż tu nagle kazano jej się przeprowadzić do tej nowej części domu; nagle stanęła wobec faktu, że syn jej zakochał się w chłopce z Rzęślewa i miał się z nią żenić. Wówczas w pierwszej chwili wzburzyło się w niej wszystko: stare instynkty i przyzwyczajenia poczęły krzyczeć. Owa bierna i milcząca zgoda na nowe idee runęła jak budynek z piasku, a cały przebieg zdarzeń wydał się oburzonej obywatelce–szlachciance niegodną intrygą, której igraszką i ofiarą miał być jej syn, a w nim cały ród Krzyckich. Zdumienie, że główną współniczką i niemal autorką tej intrygi mogła być istota, którą pani Krzycka uważała za wcielenie wszystkich cnót niewieścich i z którą chciała ożenić syna, wzmogło tylko jej gniew. Próżno pani Otocka tłumaczyła jej, że ten syn był uwodzicielem niewinnego dziecka, a panna Anney aniołem i że przywożąc ją do Jastrzębia nie miała złych zamiarów i uczyniła to tylko, co każda inna kobieta współczująca krzywdzie i tęsknocie uczyniłaby na jej miejscu. „Jeśli najgorętszym życzeniem panny Anney było zobaczyć jeszcze raz w życiu te miejsca, w których przełamało się jej

zycie – i człowieka, którego nie mogła zapomnieć, a który był sprawcą tego położenia, to jej się to należało, i każdy, kto ma choć trochę serca zrozumieć to powinien”. „A niech ciocia powie mówiła dalej – czy mogłam zdradzić jej tajemnicę i czy nie stworzyłabym niemożliwego dla niej położenia?” Cicha i łagodna zwykle pani Otocka uniosła się w obronie przyjaciółki do tego stopnia, iż powiedziała wprost pani Krzyckiej, że gdyby nawet Władzio zakochał się był bez wzajemności w pannie Anney, to miałby tylko to, na co zasłużył, a przy tym skoro „Aninka” nie przyjęła jego oświadczeń i dała mu tydzień czasu do namysłu, to może się cofnąć, w takim jednak razie straci szacunek nie tylko „Aninki”. Ale wszystko to było dolaniem oliwy do ognia i powiększyło tylko gniew pani Krzyckiej, która oświadczyła, że bądź co bądź, oboje z synem padli ofiarą podstępu. Po czym wyprowadziła się do hotelu zapowiedziawszy w chwili wyjazdu, że noga jej więcej w tym domu nie postanie. Jednakże gorycz i gniew, które wezbrały w jej sercu, zwróciły się nie tylko przeciw pani Otockiej. Syn zranił także ciężko jej serce i zbudził cały szereg bolesnych wspomnień związanych z pamięcią męża. Oto mąż ów, człowiek ubóstwiany przez nią w pierwszych latach pożycia za swe rozliczne przymioty i nadzwyczajną piękność, przyczynił jej jednak niemało zmartwień swym nienormalnym życiem w stosunku do kobiet w ogóle, a do mieszkanek Jastrzębia i jego okolicy w szczególności. Dla pani Krzyckiej nie było tajemnicą, że w ciągu długich lat raz wraz wyprowadzano krowy z dworskiej obory jako podarunki, a raczej wynagrodzenie dla rozmaitych Kaś i Maryś i że w Jastrzębiu znalazłaby się spora gromadka przyrodnich braci i sióstr jej dzieci. Wiele jej łez wylało się z powodu takiego stanu rzeczy aż do ostatniego niemal roku z życia męża. W swoim czasie cierpiała na tym jej miłość własna oraz kobieca godność małżonki i matki. Potem

przebaczyła wszystko, ale po śmierci męża, jako kobieta głęboko religijna, żyła w ciągłym lęku na myśl o sądzie bożym, przed którym stanął nieboszczyk. Od lat całych starała się wyblagać dla niego przebaczenie łzami, postem, jałmużną, modlitwą. Przede wszystkim zaś postanowiła wychować syna w ten sposób, aby nigdy nie wpadł w błędy ojcowskie. Strzegła go od jego chłopięcych lat jak oka w głowie, ochraniała od wszelkich złych wpływów. Po oddaniu Władzia do szkół poleciła dozór nad nim krewnemu swemu księdzu i Grońskiemu, w którego moralność wierzyła – zresztą słusznie. I oto, gdy syn ten wyrósł, gdy po skończeniu szkół poszedł na uniwersytet, a następnie objął gospodarstwo w Jastrzębiu, miała tę bezdennie naiwną wiarę, jaka często zdarza się u kobiet uczciwych i pobożnych, a nie obeznanych z zepsuciem światowym, że „Władzio” czysty jest dotychczas jak lilia. Aż tu niespodzianie łuska spadła jej z oczu. Syn wstępował w ślady ojca. Na tę myśl ogarniała ją rozpacz. W duszy jej wybuchnął wprawdzie gorący protest przeciw związkowi syna z chłopką, mając jednak sumienie wielce drażliwe, odczuwała po rozmowie z panią Otocką, że panie Anney coś się od Władysława należy. Raz i drugi przyszedł jej do głowy taki sposób wyjścia z ciężkiego położenia, by na mocy z góry zawartej umowy Władysław oświadczył się panie Anney, a ona go odrzuciła. „Ale czy ja wiem – mówiła sobie – ile podobnych Hanek znajduje się już w Jastrzębiu”. I zgroza przejmowała ją do szpiku kości na myśl, że między tymi Hankami mogą być siostry przyrodnie Władysława, wydawało jej się bowiem, że zbrodnia ojca ciągnęła za sobą fatalnie jeszcze większą zbrodnię syna – a za nimi musiało iść potępienie. „Ach, Władku, ach, Władku!” – powtarzała bezradnie – i czuła prócz lęku taki ból, taki serdeczny zawód i taką głęboką urazę, że jakkolwiek rozumiała, iż trzeba jej jak najprędzej wezwać

Władysława i dowiedzieć się, jak przyjął wiadomość, iż panna Anney jest Skibianką, i jak zamierza postąpić jednakże nie mogła przemóc na sobie, by zobaczyć się z nim zaraz. Po przeniesieniu się od pani Otockiej wiadomość, że go nie ma w hotelu, sprawiła jej prawdziwą ulgę. Zamknęła się też natychmiast w swoim pokoju i postanowiła go, gdyby nadszedł, nie puścić.

Z rana zaś nazajutrz poszła do kościoła i do spowiedzi, a po spowiedzi prosiła krewnego swego prałata, tego samego, który w swoim czasie opiekował się Władkiem, o poradę. Była już spokojniejsza. Stary prałat przyjął ją u siebie i począł nadzwyczaj dokładnie wypytywać o pannę Anney, o pobyt jej w Jastrzębiu, o przebieg wypadków po zamachu na Władysława i o szczegóły z życia Hanki, o których pani Krzycka wiedziała od pani Otockiej, na koniec o obawy samej pani Krzyckiej –po czym jął chodzić po pokoju, a wreszcie po długim milczeniu rzekł:

– Co do grzechów, jakie Władysław poza tym pierwszym grzechem młodości mógł popełnić w Jastrzębiu, to są tylko przypuszczenia i obawy, a ponieważ nie ma na to niezbitych dowodów, więc tego wszystkiego nie należy brać wcale w rachubę. Pozostaje tylko dawna Hanka, a dzisiejsza panna Anney. Z tą jedną sprawą mamy do czynienia, więc chciałbym wiedzieć, jak ty na nią patrzysz jako matka?

Pani Krzycka odpowiedziała, iż wie doskonale, iż ludzie wobec Boga są równi, ale chodzi jej o szczęście syna. Podobne małżeństwa nie bywają zwykle szczęśliwe. Być może, że przyczynia się do tego złośliwość świata; być może, że żonę spotykają upokorzenia tylko ze strony osób próżnych i złośliwych, ale mąż musi je odczuwać – skutek czego przychodzi rozdrażnienie i stosunki psują się, nawet bez złej woli stron obu. Co do jej syna, jest on ambitny i drażliwy jak mało kto – i choćby kochał żonę jak najmocniej, będzie cierpiał, jeśli ktokolwiek okaże jej choć

cień lekceważenia. Kto żyje w świecie, musi się ze wszystkim liczyć, nawet z głupotą, nawet ze złością, nie mówiąc już o innych względach, od których tak często zależy szczęście pożyicia.

Stary prałat słuchał, składając i rozkładając wedle swego zwyczaju fularową chustkę do nosa i wreszcie rzekł:

– Liczyć się z głupotą i złością to może znaczy tylko ubezpieczać się od nich, nie zaś czynić im ustępstwa.

Po czym jał patrzeć przenikliwie na panią Krzycką i zapytał:

– Pozwól, że zadam ci jedno pytanie: dlaczego syn twój ma być koniecznie szczęśliwy?

Pani Krzycka spojrzała na niego ze zdziwieniem:

– Przecie ja jestem matka...

– Tak, ale są rzeczy ważniejsze od szczęścia, zwłaszcza od ziemskiego... prawda?

– Prawda – odpowiedziała cicho.

– To, co mówiłaś o względach światowych, może być mniej więcej słuszne i może istotnie są przyczyny, które sprawiają, że takim małżeństwom trudniej o szczęście niż innym, ale trzeba przede wszystkim zadać sobie pytanie, co jest w życiu większe, a co mniejsze, co ważniejsze, a co mniej ważne, i postąpić wedle sumienia.

– Więc jak ja mam postąpić? – zapytała pani Krzycka. Stary prałat spojrział na wiszący na ścianie krucyfik i cicho, ale z naciskiem odpowiedział:

– Jak chrześcijanka. Nastąpiło chwilowe milczenie.

– Poprzestaję na tej radzie – rzekła pani Krzycka – i dziękuję.

XV

A Władysław, podczas gdy matka była w kościele i na naradzie u prałata, udał się mimo wczesnej godziny do pani Otockiej. Na wstępie podniósł do ust obie jej ręce i całował

je tak długo, że już z tego samego poznała, z czym przychodzi.

– Wiedziałam, że tak będzie! wiedziałam! – mówiła ze wzruszeniem i radością.

On zaś odpowiedział drgającym, miękkim głosem:

– Nie potrzebowałem tygodnia, by pomiarkować, że żyć bez niej nie mogę.

– Wiedziałam! – powtórzyła raz jeszcze pani Otocka. – Czy mówiłeś już z matką?

– Nie. Wczoraj latałem jak nieprzytomny po mieście, potem wpadłem do Grońskiego, wróciłem do hotelu bardzo późno, a dziś rano powiedziano mi, że matka w kościele.

Pani Otocka zatroskała się znowu.

– Wczoraj – rzekła – była bardzo zagniewana, a dałby Bóg, by dała się przejednać, bo od tego dużo zależy.

– Nie wszystko – odpowiedział Władysław. – Nie mówiąc już o wielkim moim przywiązaniu do matki, czczę ją ogromnie i Bóg widzi, że rad bym stosować się zawsze do jej woli. Ale i to ma swoje granice. Gdy chodzi o szczęście, nie tylko rnoje, ale i najdroższej mi w świecie głowy, tego nie mogę żadnym innym względem poświęcić. Myślałem nad tym całą noc. Mam nadzieję, że matka się zgodzi, bo ufam i w jej charakter, i w tę miłość, jaką mi zawsze okazywała. Gdyby wszelako, wbrew moim nadziejom, pokazało się inaczej, to jej powiem, że to jest postanowienie, które nie może już być i nie będzie cofnięte.

– Oby jednak nie zaszła tego potrzeba – rzekła pani Otocka – bo tu idzie i o Aninkę. Wczoraj po liście, który do ciebie pisała i po odejściu pana Grońskiego, rozmawiałyśmy do późna w noc. Była bardzo nerwowa i płakała, ale powiedziała tak: „Jeśli on wróci do mnie nie z całą dobrą wolą i radością, tylko dlatego, by słowa nie cofnąć, to się nigdy na to nie zgodzę. Nie ma we mnie pychy, nie liczyłam się nawet z miłością własną i napisałam mu szczerze, co jest

w moim sercu, ale choćby ono miało mi się złamać, nie wyjdę za niego, jeśli mu się będzie zdawało, że się do mnie zniża...”

– Drogie, kochane stworzenie! – przerwał Krzycki.

A pani Otocka mówiła dalej:

– Potem zaczęła płakać i dodała jeszcze, że i na to się nie zgodzi, by być przyczyną rozdwojenia między synem i matką.

– Nie! powtarzam raz jeszcze, że postanowienie moje nie może być i nie będzie cofnięte. Tu w grze całe moje życie, a matka, choćby teraz nie znalazła w sobie dość dobrej woli, to znajdzie ją później. Tymczasem uczynię wszystko, by moja przyszła żona miała w niej także matkę, kochającą i wdzięczną za szczęście syna.

– Czy mogę to powtórzyć Anince?

– Po to właśnie przyszedłem. Ale mam jeszcze jedną prośbę. Ona wzięła ode mnie słowo, że przez tydzień do niej nie wrócę i sama tylko może mnie od niego uwolnić. A przecie wobec tego, z czym tu przyszedłem, to byłaby po prostu niepotrzebna męka. Ani tydzień, ani rok już nic nie zmieni. Nic, absolutnie! Czy kuzynka zechce jej powiedzieć i prosić ją ode mnie, ale prosić bardzo serdecznie, by mnie zwolniła ze słowa? .

– Z największą chęcią i mam nadzieję, że zbyt trudno nie przyjdzie.

– Dziękuję z całej duszy i lecę teraz do matki.

Lecz zanim wyszedł, do pokoju wbiegła Marynia i poczęła spoglądać bystro to na siostrę, to na Władysława. Nikt, oczywiście, nie wtajemniczył jej w dawne stosunki Władysława i Hanki, ale wiedziała już, że panna Anney jest dawną Hanką, wiedziała wszystko, co nastąpiło potem, i kochając bardzo pannę Anney, umierała z niepokoju i zarazem z ciekawości, jak się rzeczy obróca. Było jej tak ładnie z tym pytającym wzrokiem i niespokojną twarzą, a

przy tym miała tak zabawną minę, że Krzycki, mimo całego wzruszenia, wpadł na jej widok w dobry humor. Pani Otocka milczała nie wiedząc, czy on sobie życzy mówić o swych sprawach sercowych przy Maryni, on zaś nie przerywał umyślnie przez czas jakiś milczenia, wreszcie zbliżył się do małej kuzynki i uściskawszy jej dłoń ozwał się grobowym głosem:

– Za późno!

– Jak to za późno? – zapytała z przestrawieniem.

– Wychodzi za mąż za innego.

– Kto?

– Panna... Kajetana.

I wybuchnął szczerym, wesołym śmiechem. Marynia domyślała się, że rzeczy nie muszą stać źle, skoro Krzycki żartuje, chcąc jednak dowiedzieć się dokładniej dobrej nowiny poczęła tupać nogą i napierać się, zupełnie jak dziecko.

– Ale jak naprawdę? Ja dziś nie mogłam spać! Jak naprawdę – jak?

– Naprawdę, to nadzieja i radość, i szczęście..., tam! – odpowiedział Krzycki, wskazując w kierunku mieszkania panny Anney.

Po czym, ucałowawszy ręce kuzynek, wyleciał jak z procy, albowiem było mu bardzo pilno.

Po drodze jednak spoważniał, a nawet sposepniał na myśl, że zbliża się chwila ostatecznej rozmowy z matką.

Zastał ją w hotelu, gdzie czekała go w jego własnym pokoju. Widok twarzy matczynej spokojnej i pełnej niezwyklej jakiejś słodyczy dodał mu na razie otuchy, w tej samej jednak chwili pomyślał, że łagodna perswazja, prośby, a może i łzy to będzie coś cięższego do zniesienia niż gniew – i zapytał niepewnym głosem:

– Czy mama czytała jej list?

– Czytałam – odpowiedziała pani Krzycka – ale jeszcze przedtem dowiedziałam się prawie wszystkiego od Zosi, którą Aninka sama prosiła, by nic nie ukrywała przede mną.

– Mówił mi Groński, że mama rozgniewała się na Zosię? – Tak było, ale to się naprawi. Teraz chciałabym przede wszystkim z tobą się szczerze rozmówić.

Więc Krzycki zaczął opowiadać, jak w pierwszej chwili uderzył w niego jakby grom – i jak nie mógł pogodzić się z myślą, że Hanka i panna Anney to jedna i ta sama istota. Przyznał się do wahań, do zwątpień, do podejrzeń i do bólu, którym go one przejęły – i do walki wewnętrznej, i do obrachunków z sumieniem, i do wszystkiego, przez co przeszedł. Aż dopiero, gdy po przeczytaniu jej listu spostrzegł, że ten ból rodzi się właśnie z miłości dla niej, a ta walka, to jest walka z własnym sercem i szczęściem, wówczas przestał się wahać: szczęścia nie umie sobie wyobrazić inaczej, jak z tą najdroższą w świecie istotą, a bez niej nawet by go nie chciał.

Po czym jął mówić, że gdy ją poznał jako pannę Anney w Jastrzębiu, od pierwszej niemal chwili pociągnęła go z jakąś niepojętą siłą i zajęła wszystkie jego myśli. Ceni przecie wysoko Zosię Otocką, a Marynię uważa za jakieś świetlane zjawisko. Ale podziw a miłość to co innego. Przy tym ani Zosi, ani Maryni nic nie winien. Dobrze były dla niego podczas gdy był ranny – i oto wszystko. A pannie Anney zawdzięcza prawdopodobnie życie i pamięta, że ona własne dla niego narażała. Czymże jej może za to wywdzięczyc i czym zapłacić za dawniejszą krzywdę, wyrządzoną prawie jeszcze dziecku? Któż więcej wart – czy on, który zapomniał i żył z dnia na dzień, łatwym, bezmyślnym i duchowo próżniaczym życiem, czy ona, której żadne nowe uczucie nie wypełniło rozłąki i która uszlachetniła swój umysł i serce w cierpieniu, w tęsknocie i pracy?

– Zaledwie śmiem, matko, wierzyć – mówił – że ona nie tylko odpuściła mi krzywdę, ale nie przestała mnie kochać. Może stało się tak dlatego, że to ja, po raz pierwszy w jej życiu otworzył jej drzwi do świata miłości, ale niezawodnie i dlatego, że to jest całkiem wyjątkowa natura... Tak matko! – jedna z takich, które nawet w stanie pierwotnym, nawet wówczas, gdy jeszcze nie umieją zdać sobie z niczego sprawy, posiadają ten jakiś szlachetny instynkt, to jakieś wzniosłe poczucie, że miłość uszlachetnia wprawdzie wszystko, ale tylko wówczas, gdy jest wielką, gdy jest jedną na całe życie – i taką mają moc, taką głębię kochania, że do innej miłości nie są zdolne. Ale gdy się taką znajdzie, to tylko Bogu na klęczkach dziękować – i po prostu w głowie mi się miesza na myśl, że za moją winę spotyka mnie nie kara, ale takie bajeczne szczęście. Może być, że jest na świecie więcej takich kobiet, które mogą człowieka uszczęśliwić, ale ja z tą jedną chcę być szczęśliwy; może jest więcej takich, które wszystko wokół siebie uszlachetniają i podnoszą, ale ja czuję, że przez tę jedną będę coraz lepszy. Wreszcie, jest to kwestia nie tylko mego szczęścia, ale i mego honoru...

Tu, złożyłwszy ręce, począł jej błagalnie patrzeć w oczy, po czym mówił dalej:

– To wszystko powierzam teraz w ręce mamy: całe moje życie, całą przyszłość i spokój mego sumienia, i szczęście, i honor...

A pani Krzycka wzięła go obu dłońmi za skronie i ucałowała w czoło.

– Mój Władku – rzekła – ja jestem stara kobieta i miałam rozmaite uprzedzenia, więc ci nie powiem, że mi od pierwszej chwili przyszło łatwo zgodzić się na twoje zamiary. Wiesz, że wczoraj rozgniewałam się na Zosię Otocką i aż do dziś rana trwałam w postanowieniu, żeby ile w mojej mocy sprzeciwić się twemu małżeństwu. Nie dziw

się temu, bo skoro przyznajesz, że i w ciebie uderzył jakby piorun, to pomyśl, co się musiało dzieć ze mną? Ja, jak zwyczajnie matka, miałam to na dnie duszy, że dla ciebie nawet jakaś królowna nie byłaby za wysoką partią. Ale nie tylko stary sposób myślenia, nie tylko próżność macierzyńska i nie tylko uprzedzenia podniecały mój opór. Bałam się także o twoje szczęście. Ja przeciw samej osobie Aninki, gdyby nie te wszystkie okoliczności, nie byłabym miała nic. Poznałam ją w Jastrzębiu i pokochałam szczerze; nieraz mówiłam: daj Boże, żeby wszystkie nasze panny były do niej podobne. Ale dowiedziawszy się, kto ona jest i co było między wami, złąkłam się naprzód, czy ty więcej podobnych krzywd nie wyrządziłeś w Jastrzębiu!...

– Nie, mam – odrzekł Krzycki – daję na to słowo!

– Bo widzisz, ja myślałam, że ty jesteś zupełnie czysty, więc pomyśl, co to był dla mnie za cios...

Władysław pochylił się ku jej rękoma, by ukryć twarz, albowiem mimo powagi chwili, mimo szczerzego wzruszenia i niepokoju, naiwność matki wydała mu się czymś tak niesłychanym, iż obawiał się zdradzić wyrazem zdumienia, albo co gorzej – uśmiechem. „Ach – pomyślał – szczęście, że tylko za Jastrząb mam przysięgać, gdyż matce nie mógłbym powiedzieć tego, co powiedziałem Grońskiemu, że mądry wilk nie bierze nigdy w tej wsi, w której ma gniazdo...” Lecz jednocześnie przyszło mu na myśl, że trzeba być chyba aniołem, żeby mieć takie złudzenia i uwielbienie jego dla matki wzrosło jeszcze.

A ona mówiła dalej:

– Po wtóre, brałam w rachubę i świat, i tych ludzi, wśród których musicie żyć. Wiedziałam, że niejeden w słowach pochwali twój postępek, a w rzeczywistości będziesz musiał znosić tysiące małych przykrości i ukłuć, które cię będą póty drażnić i jątrzyć, póki nie zaprawią cierpieniem i goryczą nawet twego uczucia dla żony; szło mi o twe szczęście, które

w zaślepieniu pragnęłam dla ciebie przede wszystkim. I dopiero dziś rano zdjęto mi łuskę z oczu... Niby to takie rzeczy się wie i głosi, a jednak z prawdziwym zdziwieniem i jakby coś zupełnie nowego usłyszałam, że szczęście to wcale nie najważniejsza rzecz w życiu i że nie ono powinno być największą troską matki... A przedtem obmyto mi serce z pychy i kazano się rządzić sumieniem – więc ja, mój Władku, nie mogę odwozić cię od tego małżeństwa.

Władysław usłyszawszy to pochylił znów głowę do rąk matki i zaczął je okrywać pocałunkami.

– Ach, mamo droga – powtarzał – ach, mamo, jakim ja szczęśliwy!

– I ja – odpowiedziała pani Krzycka. – Bo obawiałam się jeszcze i o to, czy twoje uczucie nie jest powierzchowne, oparte na złudzeniach i wyobraźni, ale po tej naszej rozmowie widzę, że ty Aninkę kochasz prawdziwie.

– Tak jest! to siedzi bardzo głęboko i dałoby się wyrwać chyba razem z życiem.

– Wierzę, wierzę.

I tak zapewniając się wzajem, oboje mówili zupełnie szczerze i zarazem łudzili się oboje. Władysław bowiem miał zapalną głowę, łakome zmysły i miękkie serce, ale żył przeważnie na zewnątrz i żadne z jego uczuć nie mogło wyrastać z wielkich głębin, gdyż w ogóle nie był człowiekiem głębokim.

Lecz pani Krzycka, wierząc w każde jego słowo, jak w ewangelię, rzekła z wielką otuchą:

– To niechże cię Bóg błogosławi, moje dziecko. Mówmy obecnie tylko o tym, co nastąpi. Ja rozumiem przecie i to, że raz się zgodziwszy trzeba się zgodzić nie przez pół, ale całym sercem; trzeba przyjąć Aninkę z otwartymi ramionami i dać jej poznać, że to ona wyrządza nam łaskę, za którą powinniśmy jej być wdzięczni.

– Tak! bo też to ona – zawołał z zapalem Władysław.

– Dobrze, dobrze – odpowiedziała z uśmiechem pani Krzycka. – Teraz wypada mi pójść do niej i podziękować od siebie. Przypuszczam też, że Aninka cofnie potem ten warunek, żebyś się nie pokazywał u niej przed tygodniem.

– Ma się starać o to i Zosia, ale naturalnie słowa mamy będą skuteczniejsze.

– Kiedy chcesz, żebyś poszła?

A Krzycki złożył znów dłonie:

– Zaraz, mateczko, zaraz!

– Dobrze. Czy tu zaczekasz na mnie, czy u Zosi?

– Tu, bo Zosia może być z Marynią na próbie. Ona czasem sama ją odprowadza.

Pani Krzycka podniosła się ciężko z krzesła, gdyż dzień miała od rana męczący, a reumatyzm chwycił ją coraz silniej. Rozprostowawszy jednak nogi ruszyła raźnie przed siebie. Myśl, że się trudzi dla swego chłopaka, czyniła jej przyjemnym trud i wysiłek.

Lecz po drodze zaczęła myśleć o rzeczach, o których dotychczas nie było wcale mowy między nią i synem. Należała ona do tego gatunku kobiet, często trafiającego się wśród szlachcianek wiejskich, które w trosce o byt i majątek dzieci doskonale umieją podszywać idealny płaszcz realną podszewką. W swoim czasie całe gospodarstwo w Jastrzębiu było na jej głowie i z tego powodu miała mnóstwo kłopotów i przyzwyczaiła się ciągle z nimi walczyć, więc i obecnie myśli jej zwróciły się ku materialnej stronie sprawy.

„Zgodziłabym się na to małżeństwo – myślała, jakby usprawiedliwiając się sama przed sobą – choćby Aninka nie miała nic, ale ciekawa jestem, ile też ona może mieć?”

Po czym jęła się pieścić nadzieją, że Aninka nie ma może milionów i jak na Angielkę nie jest bardzo bogata, ale że to, co w Anglii uważa się za skromny majątek, w Polsce jest wielką zamożnością.

I wśród takich rozmyślań zadzwoniła do panny Anney. Wizyta odbyła się tak, jak należało się spodziewać. Pani Krzycka była poczciwa, wdzięczna, macierzyńska i w chwili, w której w serdecznych słowach oddawała życie i szczęście syna w ręce panny Anney, „swojej drogiej córki” – w miarę patetyczna. Panna Anney była także w miarę patetyczna i także serdeczna, a przy tym prosta, cicha, skupiona w sobie i zachowująca się jakby z pewną ostrożnością, pomimo iż o przeszłości nie było wcale mowy. Pani Krzyckiej zostało nawet wrażenie, że tej „rezerwy” było o włos za dużo. Rozumiała doskonale, że byłoby nietaktem ze strony panny Anney okazywać zbyt wiele entuzjazmu i przyznawała jej zupełną słuszność – a jednak wyniosła na dnie serca jakby trochę zawodu, gdyż z drugiej strony tailo się w niej przekonanie, że kobieta, która dostaje „Władka”, i będzie nosić jego nazwisko, byłaby usprawiedliwiona, choćby oszalała z radości.

Wróciwszy do hotelu, nie przyznała się jednak do tego wrażenia synowi, lecz poczęła obsypywać „Aninkę” pochwałami i mówić o niej tak gorąco, że obojgu stanęły łzy w oczach. Władysław pytał zresztą przede wszystkim, czy „tabu” zostało zdjęte i zakaz odwołany, a dowiedziawszy się, że tak jest, w kwadrans później był już u nóg Hanki. – Moja ukochana, moja pani anielska, moja żono! – mówił, obejmując jej kolana.

XVI

W kilka dni później do Grońskiego przyszli w odwiedziny stary rejent Dzwonkowski i doktor Szremski. Groński, dla którego to było miłą niespodzianką, lubił bowiem obydwóch, a doktora cenił przy tym wysoko – powitał ich z wielką serdecznością i począł wypytywać, co słyhać w mieście, w okolicy i u nich samych.

– Ha! żyjemy, żyjemy – odpowiedział hałaśliwy doktor. W tych czasach to i to sztuka. Ale policja nas dotąd nie aresztowała, bandyci nie zastrzelili, socjaliści nie wysadzili w powietrze, więc nie tylko żyjemy, ale przyjechaliśmy do Warszawy... Ja dlatego że muszę jechać dalej – aż na Wołyń, a ten tu mąż (tu wskazał na rejenta) z powodu koncertu i udziału w nim panny Zbyłtowskiej. Przeczytawszy o tym w dziennikach wpadł w taki stan, że lada chwila oczekiwałem ataku apopleksji lub aneurysmu. Nie było rady! musiałem przepisać jako kurację pobyt w Warszawie. Zresztą on teraz nie może już wcale wytrzymać w naszym miasteczku i myśli tylko o tym, by odstąpić komu kancelarię i przenieść się tu na stałe. „W sercu jego ogień płonie – i śnieg tonie, i lód tonie”... i tak dalej. Ha!

Podczas tych słów stary rejent poruszał szczękami tak zawzięcie, iż broda schodziła mu się z nosem – wreszcie ozwał się: – Głowa pęka. No!... głowa pęka!...

– Zawsze stara kłótnia? – zapytał śmiejąc się Groński.

– Kłótnia? – powtórzył rejent. – Nie, ja już się nie kłóczę. Roztrząsał mi mózg, roztrząsał mi nerwy, ogłuszył mnie, roztargał, wyczerpał, wyszlamował, wyssał, wygadał ze mnie resztę sił. Ud wczoraj, panie – przez całą drogę – ciągły trajkot i trajkot... potem w hotelu; dziś od rana i jeszcze tu. – Nie! ja już nie mogę – nie mogę... no...

– Ta! Ta! A kto co dzień mnie wzywa, kto co dzień wywiesza język aż do pierwszego guzika u kamizelki i każe mi go oglądać. Czekał pan! pojedę, a pan będziesz go sobie sam w lustrze oglądał.

– To pan jedzie naprawdę aż na Wołyń? a cóż pacjenci? zapytał Groński.

– Boję się, że przez ten czas wyzdrowieją –ale trudno! muszę jechać!

– I na długo?

- Nie wiem, ale myślę, że nie na długo. Ja jestem Mazur wołyński z tamtejszej drobnej szlachty... albo jak się tam mówi z jednodworców. Oni tam siedzą najczęściej czynszem z rozmaitych półpanków, ale ja mam własną sadybę na spółkę z bratem eks-sędzią, który zajmuje się gospodarką i do którego teraz jadę.
- Przecie nie dlatego, że chory?
- Owszem, panie – zwariował.
- A mój Boże! Od jak dawna?
- Niedawno. Od czasu jak został „krajowcem”.
- Ach!...
- Tak jest. Zachciało się szerepetce udawać dziedzica, zachciało się szaraczkowi pańskiej kompanii i dostał wody w głowie. Miesiąc temu wysłałem mu dwa tysiące elementarzy dla naszej chodaczkowej braci, bo to bieda, panie, o której nikt nie myśli i która mimo woli, a raczej wbrew woli zatracą tam swoją polską duszę. I dasz pan wiarę? oto odesłał mi całą pakę wraz z listem, w którym oświadcza, że elementarzy nie będzie rozdawał...
- Dlaczego? – zapytał Groński, którego opowiadanie doktora poczęło rozciekawiać i zajmować.
- Napisał mi naprzód, że oni tam postanowili żyć i pracować tylko dla swojej prowincji i zajmować się tylko sprawami miejscowymi, czyli krajowymi, po wtóre, dążyć do jakiejś syntezy wszystkich narodowości, po trzecie, nie polonizować nikogo...
- Ale przecie chodziło o elementarze dla dzieci drobnej szlachty, która jest polska?
- U nich i to już nazywa się polonizacją, bo przeszkadza ich "syntezie". Wiadomo, na czym taka synteza musi się skończyć. Niech ją diabli wezmą razem z ich dyplomacją. Ale to nie dość! Oświadczył mi w końcu mój genialny braciszek, że nie uważa się za Polaka, tylko za Wołyńca z polską kulturą i że to jest jego stanowisko polityczne. Ach,

panie, źle Stańczyk powiedział, że w Polsce jest najwięcej doktorów – w Polsce jest najwięcej polityków. Każdy przeciętny Polak to drugi Talleyrand, drugi Metternich, drugi Bismarck. Nie brał nigdy udziału w życiu politycznym, nie zna historii, nie przechodził żadnej szkoły, nie robił żadnych studiów? – Nic to! – On jest z bożej łaski! On ma z natury taką trociczkę w mózgu, o której myśli, że byle ją zapalić, to wszystkie baki i komary wypijające naszą krew zdurzeją tak, że przestaną nas ćwiczyć. I każdy jest przekonany, że on jeden widzi jasno, że on jeden ma wyłączny środek i że jego dyplomacja powiatowa, miejscowa, krajowa, czy jak tam wreszcie – to panaceum. Do głowy mu nie przyjdzie, że przy takiej powiatowej czy miejscowej polityce pójdzie, jak mówił Jan Kazimierz, ta ojczyzna *in direptionem gentium!*...

– Panie – rzekł do Grońskiego stary rejent wskazując na doktora – przycisnęłaś w nim taki guzik, że on teraz przestanie gadać dopiero wtedy, gdy nie będziemy już mogli ruszyć ani ręką, ani nogą.

– To nie guzik, to bolączka – odpowiedział Groński.

I widocznie dla Szremskiego była to bolączka, gdyż zaciętrzewił się tak, iż nie słysząc, co się koło niego mówi, rozpoczął następujący dialog ze swym nieobecnym bratem:

– Aa?! nie jesteś Polak, tylko Wołynianin z polską kulturą?

– dobrze! Więc naprzód, powiem ci, żeś się wyparł ojca, dziada, pradziada, żeś napluł na ich groby, żeś się wyrzekł swej tradycji, swojej racji bytu, żeś zmałał, żeś od swoich odszedł, a idziesz do tych, którzy cię nie chcą, nie proszą i zlekceważą; żeś zawisł w powietrzu – i że ładnie będziesz wyglądał w takich warunkach na twoim Wołyniu. Po wtóre, powiem ci, że ty nie jesteś jeszcze zaprzańcem, gdyż to, co robisz, robisz tylko przez głupią politykę, którą wskutek swego nieuctwa poczytujesz za mądrą aleś otworzył drogę przyszlemu zaprzaństwu. Twój wnuk albo prawnuk

wyrzeczę się już i polskiej kultury. A następnie, jeśli powiadasz, żeś nie Polak, tylko Wołyniec z polską kulturą, to czemu nie cofniesz się dalej, choćby aż do Darwina? Toż tak samo mógłbyś powiedzieć, żeś ty nie Polak, ale orangutan, albo pitekantropus z polską kulturą. Co? Ba! – ale ty mówisz jeszcze, że nie chcesz nikogo polonizować? A jak ty możesz polonizować? Czy batem, czy więzieniem, czy przymusem religijnym, czy szkołą, czy kneblem na rodzimy język? Powiedz! Bo jeśli nie wypierając się swego narodu będziesz świecił przykładem swej polskiej cnoty publicznej, jeśli dasz komu swój polski głód wolności, swoją polską zdolność rozumienia cudzego bólu, swoją polską miłość, swoją polską nadzieję, swą wiarę w lepszą przyszłość i przejednasz go tym dla Polski – to czy i taką polonizację będziesz uważał za niewczesną i złą politykę? Ale w takim razie pytam, co ty masz, durniu, lepszego do roboty i po co tam siedzisz, gdzie siedzisz? Nie wiesz? – i w końcu nie będziesz nawet wiedział, kto jesteś. To ja ci powiem. Ty, bracie, jesteś słaby charakter, a przede wszystkim – słaba głowa.

Tu zwrócił się do Grońskiego:

– Ot, co mam bratu powiedzieć i dlaczego do niego jadę. Tam ma być jakiś zjazd, więc powiem to innymi słowy i publicznie.

– Byleś pan jechał sobie jak najprędzej – ozwał się rejent. A doktor począł się śmiać.

– A właśnie, że mam jeszcze czas i przedtem będę na koncercie panny Zbyłtowskiej.

– Owszem, owszem – rzekł Groński. – Jedź pan. Polskę okrawają teraz nie tylko zewnątrz wrogie nożyce, ale ona zaczyna się rozpadać i pruć wewnątrz. Jedź pan i powiedz to publicznie. Może znajdą się tacy, którzy złęką się odpowiedzialności przed przyszłością.

– Myślę, że się znajdują. Bo w gruncie rzeczy przypuszczam, że oni, a przynajmniej ich większość, czuje dotychczas po staremu, a tak gadają tylko dlatego, żeby te knykcie, które ich trzymają za gardło, pofolgowały im choć na chwilę. Ale i w tym się myślą. Skutek będzie tylko taki, że będą i od dołu, i od góry jeszcze bardziej lekceważeni i deptani.

– Kiedy pan jedzie?

– Ten zjazd będzie dopiero za dziesięć dni, więc istotnie posiedzę tu z tydzień, bo i w Warszawie mam rozmaite sprawy. Tymczasem odwiedzę znajomych, a między innymi panią Otocką i Krzyckich. Jak się ma Krzycki?

– Zdrow jak ryba – i żeni się.

– Masz tobie! Założyłbym się, że z tą śliczną Angielką? Czysty kwiat!

– Tak. Ale pokazało się, że to kwiat nie angielski, tylko szczeropolski i do tego z wiejskiej łąki.

– Na Boga! co pan mówi?

– To już nie żaden sekret. Nazywa się Hanka Skibianka.

Tu Groński opowiedział im całą historię panny Anney, nie wspominając tylko o tym, że Władysław znał ją jeszcze jako Hanke.

A oni słuchali ze zdumieniem, doktor zaś począł uderzać dłońmi po kolanach i krzyczeć:

– Ach, żebym to ja był wiedział! Ach, żebym to ja był wiedział!

– No, to co by było? – zapytał opryskliwie rejent.

– Co by było? Byłbym się zakochał nie po uszy, ale ponad uszy. Ja się i tak o włos w niej nie zakochałem. Ach, Krzycki! – szczęśliwy a niezasłużony! Ale za to ja mam prawdziwego pecha! Niech mi która tylko w oko wpadnie – trrach! – albo ją ktoś bierze, albo ona się w kimś już kocha. Ale trudno! Muszę pannę Anney zobaczyć i złożyć jej życzenia. Bo ostatecznie, Krzycki to dobry chłopak. Nie tacy Polskę odbudują – ale to dobry chłopak! I przystojna bestia,

aż oczy rwie. Chciałbym ich zobaczyć razem. To mi będzie para – co?

– Jeśli pan chcesz ich zobaczyć, a masz czas – rzekł Groński – to nie przyjdzie trudno, albowiem umówiliśmy się wczoraj u pani Otockiej; że znajdziemy się dziś wszyscy na próbie koncertu. Mogę panów wprowadzić dziś na próbę, a potem pójdziemy razem całą gromadą na śniadanie.

– Właśnie! – zawołał rejent – właśnie przyjechałem pana prosić, byś mnie wprowadził na te próby. Wyszło się z dawnych stosunków i nie wiem, do kogo się udać – no!

Groński spojrzał na zegarek.

– Jeśli tak, to doskonale, ale mamy jeszcze czas. W sali odbywa się w tej chwili jakiś wiec czy odczyt, a takie wiece zwykle przedłużają się ponad naznaczony termin.' Potem, nim wywietrzą salę i ustawią na nowo krzesła, upłynie także z pół godziny. Ja nie opuszczam żadnej próby, więc wiem, jak zwykle bywa.

– I ja nie będę opuszczał – rzekł rejent.

Jednakże niecierpliwił się tak, że wyszli za wcześnie. Przed gmachem stało kilkanaście osób, widocznie oczekujących na tych, którzy byli w sali – z wewnątrz zaś dochodził gwar, chwilami okrzyki, oklaski i jakby odgłosy tupania.

– Co to za posiedzenie? – spytał doktor.

– Istotnie nie wiem – odpowiedział Groński – teraz tego pełno. Są wiece polityczne, są narady społeczne, są odczyty literackie – i Bóg wie co.

– Zazdroszczę Warszawie! – zawołał doktor.

– Nie bardzo jest czego. Czasem trafi się coś zasługującego na uwagę, ale najczęściej dzieją się takie głupstwa, że po prostu wstyd.

– O, już wychodzą – zauważył rejent – ale czego tak krzyczą?

– Czekajmy, to chyba jaka awantura – rzekł Groński. Jakoż widocznie była awantura, albowiem z ogromnego

przedsionka gmachu wypadło na szerokie schody kilkudziesięciu ludzi bez czapek i kapeluszy, którzy w mgnieniu oka utworzyli bezładną kupę. W kupie tej poruszały się gwałtownie ręce, laski, parasole, a ruchowi ich towarzyszył przeraźliwy wrzask. Następnie ze skłębionej czerni, pchnięty dziesiątkami ramion, wyleciał jak z procy jakiś człowiek z gołą głową i w poszarpanym surducie i zeskoczywszy ze schodów, przewrócił się pod samymi nogami doktora, tak że o mało nie zwałił na ziemię i jego, i reagenta.

– Świdwicki! — zawołał ze zdumieniem Groński.

A Świdwicki podniósł się i wyrażając pięścią tłumowi, który wyrzuciwszy go za drzwi wracał znów do sali, począł mówić zdyszczanym głosem:

– Ach, to ty? Wyleli mnie! wyleli! Nadłamali mi trochę żeber i podarli surdut. Ale to nic! Ja też skrzywiłem kilka prostych nosów, a wyprostowałem kilka krzywych. Zdarza mi się to już drugi raz... Uf!

– Chodźże ze mną. Nie możesz tak zostać z gołą głową i w takim surducie – rzekł Groński.

– Nie, nie! – odpowiedział Świdwicki. – Uf! niech odetchnę. Hej, posłaniec!

I skiwawszy posłańca, rzekł mu:

– Obywatelu! masz tu dwa złote i kontramarkę. Idź do przedsionka i przynieś mi kapelusz wraz z okryciem.

– Ale na Boga! co się stało?

– Zaraz, zaraz – rzekł Świdwicki – niech się pierwej ubiorę. Potem wleźmy do jakiej cukierni... Uf!... Bo jak po skończeniu wiecu zaczną wychodzić, a znajdą mnie tu, to mi gotowi znów dać łupnia, a za jedną drogą i panom.

– Więc to wiec?

– Wiec, narada, dyskusja, odczyt – co chcesz! Panna Sicklawer mówi o „uświadomieniu”. W prezydium zasiadają pan Citronenduft, panna Bywałkiewicz, panna Anserowicz,

panna Kostropacka, panna Gotower, pan redaktor Czubacki itd. Sala nabita. Uf? Bawiłem się jak król!

– A widać! – zauważył Groński.

– Myślisz, że nie?... Ale przedstaw mnie tym panom. Jestem przecież bohaterem dnia.

– Bohater Świdwicki, panowie: rejent Dzwonkowski i doktor Szremski – odrzekł spokojnie Groński.

Świdwicki uściśnął dłonie zdumionym towarzyszom Grońskiego, po czym gdy posłaniec przyniósł mu kapelusz, laskę i okrycie, ubrał się i rzekł:

– Z tą laską gotów byłbym na nich tu poczekać – ale na dziś dość. Wiec potrwa jeszcze ze dwadzieścia minut albo i dłużej. Chodźmy do cukierni, albowiem strzyka mi coś w nogach i nie mogę stać.

Poszli do cukierni. Świdwicki kazał sobie dać jeden i drugi kieliszek koniaku, po czym jął opowiadać.

– Był tedy wiew uświadamiający. Panna Sicklawer, to, mówię panom, Cycero w spódnicy. Jak zaczęła uświadamiać rozmaite korniszony rodzaju męskiego i rozmaite sroki od lat czterestu, z których przeważnie składała się publiczność, to aż i mnie zrobiło się ciepło. Korniszony były brawo lub wołały „hańba”, gdy była mowa o rodzicach; sroki dostały wypieków i podrzucało je na krzesłach, tak jakby siedziały na szydłach, i wszystko było jak najlepiej. Zabierał głos pan Citronenduft, panna Gotower i jeszcze jakaś dziewczica, rodem aż z Karsu, która, o ile sły szalem, nazywa się jakoś z grecka czy z hiszpańska: „Nieodtego”. Dojrzałą publiczność ogarniał także zapal, a ja, choć Groński o tym wątpi, bawiłem się jak król. Bo widzicie, panowie, ja, w zasadzie, nie mam przeciw uświadamianiu nic. Owszem, owszem! Tylko jestem tego zdania, że jak ma być wesoło, to niech będzie prawdziwie wesoło. Toteż po kilku przemówieniach wstałem, prosiłem o głos i oświadczyłem, że chcę wypowiedzieć wiersz na cześć

zebrania. Zgodzono się i dostałem z góry brawo. Wtedy zacząłem deklamować – wprawdzie nie oryginalny poemat, ale moją trawestację bajki: „Raz swawolny Tadeuszek”. Ale nie długo tego było; pokazało się, że mój Tadeuszek okazał się tak swawolny, że był za swawolny nawet i dla nich. Nie podobało się też i to, że patrząc na pannę „Nieodtego” przymknąłem jedno oko. Poczęto wołać: "milczeć! fe! precz! to są kpiny?" I tu moja bajka idealna poczęła się zmieniać w epos realny... Bo gdy w odpowiedzi na okrzyk: „to są kpiny!”, odpowiedziałem: „A wyście myśleli, że co?” – uczynił się jeden ryk: „za drzwi!” Pięćdziesiąt przynajmniej rąk uczepiło się moich ramion i karku, zrobił się barszcz, bili mnie, biłem ja. Na koniec stoczyli mnie do sieni, z sieni na schody i na ulicę – a resztę panowie wiecie. Powtarzam po raz trzeci, że bawiłem się jak król!

– To mi przynajmniej odwaga! – rzekł doktor. – Takim rzeczom trzeba zapobiegać, choćby przez skandal, więc dobrze pan zrobiłeś i tęgi z pana narodowiec.

– Ja, narodowiec? – zawołał Świdwicki. – Mnie onegdaj wyrzucili za drzwi z wiecu narodowi demokraci. Wprawdzie trochę grzeczniej, ale mnie wyrzucili.

Groński począł się śmiać.

– Więc to nowy twój sport? – zapytał.

Lecz na tym skończyła się rozmowa, gdyż uwagę ich zajęły wracające z odczytu tłumy. Przed oknami cukierni płynęła czarna rzeka ludzka, a wśród niej mnóstwo było istotnie niedorostków i podlotków z wypiekami na policzkach.

Gdy rzeka przepłynęła wreszcie, ukazały się po pewnym czasie w oknie jasne, wiosenne postacie Hanki, Maryni i pani Otockiej, w towarzystwie Krzyckiego.

XVII

Na tak zwany „najszcześniejszy okres” w życiu Krzyckiego

padały pewne małe cienie, a to z rozmaitych powodów. Jeśli bowiem, z jednej strony miłość jego dla Hanki wzrastała z każdym dniem, to z drugiej rozpoczęły się rozmaite drobne przykrości, które przewidywała matka. Były to rzeczy prawie niedostrzegalne, do których nie można się było przyczepić, a jednak z lekka kłujące. Zdarzyło się oto, że panie z Górek przyszły do pani Krzyckiej zapraszać ją na ślub panny Kajetany z panem Dołhańskim, który to ślub miał odbyć się za indultem już za kilka dni. Pani Krzycka, składając im życzenia, oświadczyła, że i one mogą je także jej złożyć z powodu zaręczyn syna z panną Anney. Wówczas obie – jedna po drugiej – poczęły ścisnąć serdecznie panią Krzycką, co miało być niby oznaką życzeń, ale wyglądało na współczucie, tym bardziej że pani Włocka, prócz słów: „wola boska!” – nie powiedziała nic innego, a panna Kajetana wznosiła do góry oczy tak pobożnie, jakby chciała wyblagać na Wysokościach pociechę dla strapionego serca matki. – Krzycki śmiał się po ich odejściu, ale w duszy życzył im, aby połamały karki. Gdy jednak w kilka dni później okazało się, że z całego kółka znajomych jedna tylko Hanka nie otrzymała od tych pań zaproszenia – chciał zrobić Dołhańskiemu awanturę i matka ledwie zdołała go od niej powstrzymać oświadczeniem, że ani ona sama, ani pani Otocka i Marynia na ślub nie pójdą. Krzyckiego gniewało nawet i to, że niektórzy znajomi, w przeciwieństwie do pań z Górek, składali mu życzenia ze zbytnim zapałem, tak jakby spełnił jakiś czyn bohaterski. Małżeństwo jego, a zarazem pochodzenie Hanki stało się przedmiotem wszystkich rozmów w "towarzystwie". Na świecie mogły zachodzić wielkie zmiany polityczne, mogły pękać bomby i wybuchać bezrobocia – w salonach mówiono przez kilka dni tylko o Hance, której nazwisko rozmaite wiotkie damy wymawiały tonem pytania, cedząc przez zęby i przymykając oczy: „Anka... Skubanka – n'est ce pas?”

Lecz również życzenia tych, którzy je składali Krzyckiemu ze zbytnim zapalem, płynęły nie tylko z uznania dla jego bohaterstwa, z jakim odważył się brać za żonę „Skubankę”. Posag Hanki i nadzieja skubania w przyszłości milionera grała w tym ważniejszą rolę. Posag ten, który zgodnie z przewidywaniem pani Krzyckiej był, jak na miejscowe warunki, dość znaczny, ale bynajmniej nie milionowy, wzrastał w opinii z każdą niemal godziną, tak że doszedł do rozmiarów niemal bajecznych i wzmógł powszechną ciekawość do tego stopnia, że gdy Hanka w towarzystwie dwóch swych młodych przyjaciółek oraz pani Krzyckiej i narzeczonego pojawiła się na wyścigach – wszystkie lornetki skierowały się na ich powóz. Wiotkie damy z high-life'u patrząc na jej promienną, jaśniejącą szczęściem i zdrowiem twarz mówiły wprawdzie, że byłyby od razu odgadły, że "to jest trochę coś innego", ale twierdziły, że w dzisiejszych czasach tenże high-life powinien otworzyć swoje delikatne łono osobie posiadającej takie środki do „hobienia dobrze”. – Co do jej urody, przeważało jednak zdanie, że nie jest dość ładna, by można było dla niej stracić głowę i że Krzycki żeni się dla pieniędzy. – W obronę brały go tylko panie z Górek, które widując teraz dużo ludzi, dawały wszędzie do zrozumienia, że młody ich sąsiad nie zawsze szukał tylko milionów – i dopiero gdy zawiodły go inne marzenia, powiedział sobie, że w takim razie lepiej jest mieć pieniądze niż nic.

Tak układały się rzeczy zewnętrzne. Ale i na niebie narzeczonych pojawiały się od czasu do czasu małe chmurki, które w miarę jak rozplomieniała się miłość Krzyckiego, pojawiały się nawet coraz częściej. Hanka, przywykły do obyczajów angielskich, nie wahała się wcale przyjmować narzeczonego u siebie, spędzać z nim sam na sam długie godziny, chodzić z nim we dwójkę po mieście, a nawet wyjeżdżać za miasto i nazywać się po

imieniu. Mówiła sobie, że w wielkim i szczerym kochaniu powinna się mieścić także przyjaźń i że trzeba, zanim się zostanie żoną, być szczerym przyjacielem i kolegą – sądziła, że Władysław to zrozumie i nie tylko ją będzie tym bardziej kochał, ale i tym bardziej lubił. Czytała niegdyś w jakiejś angielskiej książce, że można kochać a nie lubić i że w takim razie miłość gorzknieje do tego stopnia, iż może stać się wiekuistym nieszczęściem, więc chcąc tego uniknąć i oprzeć przyszłe życie na niewzruszonych fundamentach, chciała obok miłości zdobyć i jak najgłębszą przyjaźń. Lecz tu zaczęły się między narzeczonymi nieporozumienia. Ów złotowłosy, patrzący niebieską smugą, dobry przyjaciel, ów różany wesoly kolega, który ubierał się w jasne suknie i wiosenne kapelusze, był tak cudny, że Krzycki polubił go wprawdzie bez granic, ale w każdym sam na sam tracił głowę. Hance zdawało się, że narzeczony, choćby zakochany bez pamięci, ale zarazem i przyjaciel, powinien być takim człowiekiem, któremu można w każdej chwili oprzeć głowę na ramieniu z całą ufnością, że tej ufności nie nadużyje i nie skorzysta ani odosobnienia, ani z chwilowej słabości, ani z szarej godziny, ani z tego, że miłość rozbraja kobietę i osłabia. On, przeciwnie, może dlatego że tracił głowę, postępował tak, jakby sądził, że przyjaźń i stosunek koleżeński dodają tylko praw narzeczeństwu. Stąd zrodziła się w nich zobopólna czujność: w nim baczna na wszystko, z czego można było skorzystać, w niej baczna na to, czego należało unikać. Z początku milcząca – czujność ta przerodziła się wkrótce w sprzeczki. Następowaly po nich przeprosiny, które byłyby potęgowały miłość obojga, gdyby nie to, że Krzycki nawet i przepraszał zbyt zapalczywie. I nieporozumienie było w rzeczywistości głębsze, niż oboje myśleli, albowiem gdy Hanka sądziła, że ze względu na to, co niegdyś między nimi zaszło, on powinien być tym powściągliwszym i okazywać jej tym większy szacunek, on

w chwilach, gdy zaślepiła go żądza, zdawał się mniemać, że właśnie ta przeszłość wraz z jej spalonymi mostami upoważnia go do wszystkiego. Z tych powodów rysował się od czasu do czasu zaczarowany gmach ich szczęścia, a byłby rysował się jeszcze silniej i prędzej, gdyby nie to, że w Krzyckim byk materiał na wszystko – i że przychodziły nań chwile zupełnie odmienne. Nieraz w jasne noce, gdy siedzieli na balkonie, wychodzącym na ogrody, w mieszkaniu Hanki i gdy z sąsiedniego balkonu dochodził śpiew skrzypców Maryni, a światło księżyca zdawało się spać cicho na przeciwległych murach, usypiały również i zmysły Władysława. Dusza jego ukołysana widokiem ukochanej istoty, bielejącej jak biały anioł w mroku – upojona zapachem liści i kwiatów, uskrzydłona muzyką, cicha jak cicha noc letnia, roztopiała się w jakieś powszechne a słodkie i czyste uczucie, które obejmowało Hankę i niosło ją ku gwiazdom. Wrażliwa dusza dziewczyny odczuwała to wówczas i po prostu tonęła w szczęściu.

Ale były to przelotne nastroje. W chwilę później, gdy Krzycki dawał jej dobranoc, i gdy całował jej ręce i czoło, wnet budziła się w nim wiecznie głą, "na żądza i szukał jej ust, przyciskał jej piersi do swoich, tracił pamięć – a gdy wydzierła mu się z ramion, mówił, że nie obiecywał jej być kwakrem angielskim – i rozstawali się, jeśli nie gniewni, to jakby upokorzeni oboje i smutni.

I ten smutek bratał się z miłością. Ale zdarzało się często, że Władysław rozbrajał Hankę swą wielką otwartością, która stanowiła rzeczywisty jego przymiot.

– Ty, Hanuś moja – mówił jej raz po cięższej sprzeczce – chciałabyś, żebym ja wylazł na jakąś drabinę i siedział na najwyższym szczeblu. Na chwilę – dobrze! mogę! Ale siedzieć tam zawsze, to bym tak samo nie potrafił, jak chodzić ciągle na szczudłach. Ty sobie nie wyobrażaj, że jestem czymś więcej, niż jestem. Ja jestem sobie zwyczajny

człowiek, który się tym tylko różni od innych, że cię kocha nad wszystko.

– Nie, Władku – odpowiedziała Hanka – ja wcale nie chcę, żebyś był jakąś wielkością, bo pamiętam, co mówią Anglicy, że największym arcydziełem bożym jest u c z c i w y c z ł o w i e k.

– Ja tam broiłem trochę, ale myślę, że jestem uczciwy.

– Tak, ale pamiętaj, że nie ten jest uczciwym człowiekiem, kto nie robi źle, ale ten, kto robi dobrze. W tym mieści się wszystko.

– Zgoda i na to. Ty mnie tego nauczysz. – I ty mnie.

– Ha! będziemy gospodarzyli w Jastrzębiu i będziemy robili, co będziemy mogli. Tam jest dużo roboty i to takiej, do której jestem zdolny. Być dobrym gospodarzem, być dobrym dla ludzi, uczyć ich – uczyć, kochać, oświecać – być też dobrym obywatelem kraju, a w razie potrzeby zginąć dla niego – do tego, słowo ci daję, jestem zdolny. Tak jest! I oto masz mnie. Ale wszystko razem wzięwszy, nie będzie ci ze mną źle, Hanuś... Zanadto cię kocham, by ci mogło być źle. Tylko, moje złoto, moje kochanie, moja różana pani – nie każ mi ciągle siedzieć na drabinie, bo tego nie potrafię.

Hankę przejednywała jego prostota i szczerłość. Myśl o wspólnym życiu w Jastrzębiu, o ukochaniu tego ludu, którego była dzieckiem, o uczeniu go, o pracy nad nim i dla niego uśmiechała się jej i nęciła ją tak silnie jak nic innego. Wrócić do Polski i zająć się wsią polską to był jej zamiar, który powzięła zaraz po śmierci państwa Anney. A teraz takie właśnie widnokreśli otwierał przed nią ten dawny „panicz”, którego kochała jeszcze jako prosta dziewczyna. Więc była mu wdzięczna, była gotowa podnosić w duszy jego zalety, usprawiedliwiać wady, kochać go – i wytrwać przy nim wiernie, a w zamian – nie chciała nic więcej, jak żeby i on kochał ją, nie tylko zmysłami, ale prawą i czystą

miłością i by patrzył na nią przede wszystkim jak na towarzyszkę życia „for u~orse and better!...”

I dlatego, gdy przychodziły takie chwile, w których zdawało jej się, że on widzi w niej głównie przedmiot swych żądz i nie umie wcale znaleźć w sobie siły do walki z nimi i do podniesienia swego uczucia na szlachetne wyżyny, zwątpienie ogarniało jej serce i nie mogła się oprzeć myślom, że on nie jest taki, jakim by go mieć chciała.

– Ale jednak – pocieszała się w duchu – to szczerza i prawdziwa natura, a gdzie jest szczerłość i prawda, tam wszystko może się odnaleźć.

Krzycki zaś był istotnie szczerzy i to do tego stopnia, że można go było przejrzeć na wylot, jak gdyby był szklany. Dowodem tego była opinia, którą w rozmowach z Grońskim wygłaszał o nim doktor Szremski.

– Mnie – mówił – interesuje dzisiejsza panna Hanka Skibianka jeszcze dziesięć razy więcej, niż dawna panna Anney i życzę jej szczęścia z całej duszy. Ale jeśli ona oprze to szczęście na uczuciu, jakie ma dla niej Krzycki, to boję się, że się zawiedzie... Ja nie chcę powiedzieć o nim nic złego. Owszem, to dla mnie sympatyczny typ, bo ogromnie nasz, ogromnie swojski. Gdyby Krzycki żył sto lat temu i był ułanem, szarżowałby pod Somosierrą nie gorzej od Kozietulskich i Niegolewskich. Tylko on należy do tego rodzaju ludzi, którym dla jakiejś idei lub dla jakiegoś uczucia łatwiej zginąć niż dla nich żyć i w nich wytrwać. Zwracać się ku jednej idei lub ku jednemu uczuciu, jak igła magnesowa zwraca się na północ – to nie ich moc ani ich rzecz. Oni potrzebują dystrakcji, rozrywek. I nie ma w tym nic dziwnego. Pomyśleć tylko, że przez całe wieki nikomu w świecie nie było lepiej niż rozmaitym Krzyckim i Grońskim – nikomu! Toteż wysysali rozkosze z życia, jak sok z winogron. Jedli, pili, bawili się, hulali – ba! bili się nawet dla przyjemności. Nie byli źli ani okrutni, bo człowiek

szczęśliwy nie może być zupełnie zły. Mieli w sercu pewne uczucie ludzkości. Folgowali plemionom, które im podlegały, ale przede wszystkim – folgowali sobie. Stąd na dnie duszy polskiej leży zawsze folga. Przyszły teraz czasy pokuty, a ta folga, prawem dziedziczności, zwłaszcza w tej wystarczy ani miłość dla kobiety, ani dla Ojczyzny. Będzie je kochał i w danym razie zginie dla nich, ale w życiu będzie sobie folgował. I widzi pan, właśnie dlatego powiedziałem, że nie tacy naszą społeczność odbudują.

– A jacy? – zapytał Groński.

– Przyszłe pokolenia – nie brzuchate, nie dobroduszne, nie gadatliwe, nie łase na rozkosze zmysłów, na przyjemności życia, nie – niby do wszystkiego dobre, ad o niczego niezdatne – twarde, uporne, milczące i fachowe. Niedola i niewola orzą pod nie grunt od stu lat.

– A dzisiejsza chwila grunt nawozi – rzekł Groński. Szkoda tylko, że ten nawóz tak cuchnie!...

– To nie nawóz, to nawiany piasek, który wyjaławia naszą glebę – odrzekł z energią doktor.

I począł kląć.

XVIII

Dolhański zawojował jednak do wysokiego stopnia i swoją narzeczoną, i przyszłą teściową, albowiem wymógł na nich, nie były osobiście u Hanki i zaprosiły ją na ślub. Skłonił je do tego uwagą, iż bądź co bądź należy zachować choć pozory dobrych stosunków z przyszłymi sąsiadami z Jastrzębia, a zwłaszcza przekonał wiadomością, którą przyniósł z wysokich sfer, że high-life godzi się z myślą przygarnięcia Hanki, tymczasem zaś chciałby ją z bliska w kościele zobaczyć. Po ich wizycie, w czasie której i matka, i córka zachowywały się pod bacznym okiem Dolhańskiego, nie tylko poprawnie, ale zupełnie uprzejmie, cofnęła i pani

Krzycka swój zamiar nieuczestniczenia w obrzędzie ślubnym.

Odbył on się w pierwszych dniach tygodnia, w kościele Wizytek przy licznych napływie dam wielkiego świata i utytułowanych kolegów Dołhańskiego z klubu. Grała w tym istotnie rolę chęć przyjrzenia się z bliska chłopce-milionerce, ale także i Dołhańskiemu. Ci z jego znajomych, którzy znali panie z Górek, opowiadali poprzednio, że bierze on pannę zamożną, ale starą i śmieszna – wskutek czego dobrzy koleżkowie chcieli obaczyć, jaką też będzie miał minę, by następnie mieć przedmiot do drwin i konceptów. Ale pod tym względem czekał ich najzupełniejszy zawód. Dołhański, prowadzony z jednej strony przez Grońskiego, z drugiej przez hrabiego Gila, szedł przez kościół tak pewny siebie, tak zimny i z takim uśmiechem na ustach, jakby to on miał prawo i ochotę drwić z koleżków. Wysoka i chuda panna młoda wyglądała zresztą w ślubnej powłóczyściej sukni niezłe. Miała za dużo pudru na twarzy, zanadto długi welon i zanadto „drżała jak liść”, co robiło wrażenie, jakby ten liść czynił to trochę umyślnie. Nie było w niej jednak nic wielce śmiesznego – i gdy klękła przed ołtarzem, damy i kawalerowie, patrzący z głębi kościoła, musieli przyznać, że jest w jej białej wysmukłej postaci nieco wdzięku. Lecz oczy obecnych zwracały się głównie na Hankę, która przesunęła się przez nawę pod rękę z Władysławem, jak jasny, wiosenny obłok. Panom z klubu wydało się, że z chwilą jej wejścia zrobiło się w kościele widniej. Hrabia Gil, który znalazł się blisko niej, za stallami, wyraził się następnie w pewnym salonie, iż bije od niej różowe ciepło. Inni potwierdzili to natychmiast, a na dowcip jednej z dam, że chcąc się podobać, trzeba widocznie być nie tylko kobietą, ale i kaloryferem odpowiedzieli, że trzeba absolutnie.

Tymczasem zazdroszczono Władysławowi i milionów pana Anney i Hanki, która tak skupiła na sobie powszechną

uwagę, że pani Otocka i Marynia przeszły prawie niedostrzeżone. Obie nie wyglądały też tego dnia korzystnie. W pani Otockiej małżeństwo Dołhańskiego budziło pewien niesmak, co odbijało się w jej twarzy, a Marynia otwierała zanedo z ciekawości usta, a przy tym obnażone jej ramionka były tak szczupłe i jak zwykle u niedorosłych panien tak czerwone, że wzbudzać mogły tylko litość. Panie z wielkiego świata nie patrzyły zresztą ani na jedną, ani na drugą jeszcze i dlatego, że Krzycki ze swoją postawą i twarzą ułana z czasów Księstwa Warszawskiego stał się tym ogniskiem, do którego zbiegły się wszystkie promienie ich sztyldkretowych lornetek.

Z chwilą ukazania się księdza zapadła cisza i rozpoczął się obrzęd. Lornetki skierowały się teraz na ołtarz. Z dała widać było spływający spod kwiatów pomarańczowych welon panny młodej i łysiejącą nieco na samym szczycie głowę Dołhańskiego, po której pełgały odbłaski migocących w mroku świec. Krzycki pochyliwszy się ku Hance począł szeptać: „I my wkrótce...”, a ona przymknęła powieki na znak, że tak – po czym, gdy spotkały się ich oczy, zarumieniła się mocno i podniosła do ust swą koronkową chustkę, a następnie utkwiała wzrok w ołtarzu, przypomniało się jej bowiem, jak niedawno migotały im tak samo świece w kaplicy Świętego Krzyża, gdy razem modlili się o przyszłe szczęście. Tak! Wkrótce tam uklękną znowu, po to by już nie rozłączyć się więcej w życiu. I na tę myśl pełne słodocy, ale zarazem i niepokoju uczucie wypełniło jej piersi.

Tymczasem w ciszy dał się słyszeć głos księdza: „Edwardzie, czy chcesz wziąć za małżonkę tę Kajetanę, którą przed sobą widzisz?” – gdy zaś Dołhański potwierdził to stanowczo, a po nim i Kajetana wyszemrała, że chce tego oto Edwarda, związano im ręce stułą i obrzęd szybko dobiegł do końca, po czym orszak weselny opuścił kościół.

Państwo młodzi mieli za dwie godziny wyjechać za granicę, ale przedtem czekał na nich w sali hotelowej obiad, na który zaproszono z krewnych pana młodego tylko panią Krzycką z Władysławem oraz Hankę, jako jego narzeczoną, i obie siostry – z dalszych zaś, Grońskiego i hrabiego Gila, jako družbów. Obiad wraz z nieodzownymi toastami trwał krótko, po czym państwo młodzi odeszli każde do siebie i po pewnym czasie pojawili się znowu, już w ubraniach podróżnych. Rozpoczęła się zwykła przedwyjezdna krętanina, wynoszenie kufrów, drobnych tobołków i świetnych przyborów podróżnych Dołhańskiego, który i w czasie obiadu, i w tych ostatnich chwilach okazywał taką zimną krew i taką flegmę, że wszyscy lordowie angielscy mogli mu jej pozazdrościć. Bez najmniejszego pośpiechu rozmawiał z paniami; wyraził żal Maryni, że nie będzie na koncercie; pani Otockiej powiedział, że w znacznej części, jej zawdzięcza dzisiejsze szczęście, a następnie polecał Górki sąsiedzkiej opiece Krzyckiego i żartował z Grońskim, namawiając go, by poszedł w jego ślady.

Wspaniały ten jego spokój dziwnie odbijał od niepokoju i roztargnienia panny młodej. Na pół godziny przed wyjazdem, a zaraz po przebraniu się w podróżną suknię, poczęła pani Dołhańska spoglądać na matkę pytającym wzrokiem, jakby oczekując od niej czegoś takiego, co zostało pominięte i zapomniane, a czego zaniechać żadną miarą nie należało. Trwało to tak długo, że zwróciło powszechną uwagę, a gdy pani Włócka zdawała się w dalszym ciągu nie rozumieć pytających spojrzeń, wezwała ją wreszcie panna Kajetana na osobną rozmowę do pokoju, leżącego obok sali, w której odbywał się obiad.

Do uszu gości poczęły przez jakiś kwadrans dochodzić trwożne, lubo przyciszone okrzyki: „ach!” i „och!”, a następnie oblubienica weszła do sali z oczyma zakrytymi dłońmi. Lecz po chwili opuściła ręce wzdłuż sukni i

spoglądając na Dołhańskiego takim wzrokiem, jakim antylopa spogląda na lwa, zapytała zaledwie dosłyszalnym, mdlejącym głosem:

– Edwardzie, może już czas?

Groński, Krzycki i hrabia Gil przygryźli usta, Dołhański zaś spojrzął na zegarek i rzekł:

– Mamy jeszcze pięć minut.

XIX

Chmurki pojawiające się między Hanką a Krzyckim poczęły stopniowo przerażać się w chmury. Chwilami przestawali się wzajem rozumieć. Hanka coraz częściej borykała się z myślą, czy Władysław, mimo dobrego serca i mimo zdolności do odczuwania wszystkiego, co wysokie i szlachetne, nie jest to słaby charakter, który w chwili jakiegoś doraźnego porywu lub namiętnych uniesień nie umie się im oprzeć i wydobyć z siebie żadnej mocy, choćby chodziło o jego własną godność. I na tę myśl ogarniał ją głęboki smutek. Ale jeszcze boleśniej dotykała ją inna strona rzeczy. Oto doszła do przekonania, że uczucia jego dla niej były lepsze, czystsze i jakby bardziej wstydlive wówczas, gdy myślał, że ona jest panną Anney. Pamiętała rozmaite chwile i w Jastrzębiu, i w Warszawie, w których była pewna, że ten palący płomień miłości, jaki rozgorzał w jego sercu, był zarazem ofiarnym płomieniem czci. A teraz, gdy mu powiedziała, że jest dawną Hanką, czysty ogień zmienił się przeważnie w pożogę zmysłów. Dlaczego? Czy przyczyną tego był dawny grzech, czy to, że była chłopką? W odpowiedzi na te pytania tkwił dojmujący ból, albowiem czuła Hanka, że tak się stało dla obojwóch tych powodów. Ale myliła się sądząc, że Krzycki nie rozumie, iż właśnie z tych dwóch powodów powinien postępować wprost przeciwnie, by zatrzeć w niej pamięć grzechu, podnieść ją

we własnych jej oczach i uczcić w niej przyszlą swą żonę. On rozumiał to zupełnie jasno i częstokroć zdarzało się, że po rozstaniu się z nią wymyślał sobie, nie przebijając słów i ślubował w duchu poprawę. Ale ponieważ w swym łatwym życiu nie przywykł walczyć z niczym, a przede wszystkim walczyć ze sobą, więc trwało to krótko, dopóty tylko, dopóki był od niej z dala, dopóki nie owionęło go bijące od niej ciepło, dopóki nie utonął w jej oczach, nie poczuł w dłoniach jej dłoni i nie spił się jej kobiecymi ponętami. Wówczas rozum ślepnął w nim i ciemniał, stawał się sługą krwi, pełnym sofizmatów faktorem zmysłów, a wspomnienie dawnej Hanki ze młyna, zamiast hamować pokusę, potęgowało ją tym bardziej.

W takich warunkach, prędzej czy później, musiała zerwać się nad głowami tych dwojga burza i narobić spustoszeń. Jakoż i zerwała się prędzej, niż Krzycki myślał.

Pewnego razu, przyszedłszy szarą godziną do Hanki, zastał ją w dziwnym i niezwykłym stanie. Była jakaś podniecona, na twarzy miała wypieki, oczy zaczerwienione, a ręka, którą mu podała, drżała widocznie. Z początku nie chciała mu powiedzieć, co jej jest, ale gdy usiedli przy sobie począł ją błagać, by nie robiła przed nim tajemnicy z niczego i powiedziała mu, nie tylko jako narzeczonemu, ale i jako najlepszemu przyjacielowi, co zaszło.

Hankę przejednywało zawsze odwoływanie się do przyjaźni, więc po chwili, uśmiechnąwszy się smutno, rzekła:

– Nie chodziło o żadną tajemnicę, ale wolałam zachować przykrość tylko dla siebie. Czy pan zauważył moją służącą Polcię?

(Hanka mówiła od pewnego czasu narzeczonemu: pan, sądząc, że w ten sposób utrzyma go łatwiej w odpowiednim oddaleniu).

– Polcię? – powtórzył Krzycki i choć ostatecznie nic tak dalece nie miał sobie do wyrzucenia, powstał w nim nagły

niepokój – Polcię? A jakże! Przecie była w Jastrzębiu i widywałem ją tu co dzień. Cóż się stało?

– Zrobiła mi okropnie przykrą scenę i porzuciła mnie.

– Dlaczego?

– Właśnie, że nie wiem. Była zawsze bardzo gwałtowna i nerwowa, ale bardzo uczciwa. Toteż przywiązałam się do niej i myślałam, że i ona przywiązała się do mnie. Ale od pewnego czasu zauważyłam w niej jakby niechęć ku sobie, z każdym dniem większą. Doprawdy nie byłam dla niej nigdy zła... nawet przeciwnie. Więc składałam wszystko na nerwy. Tymczasem dziś przyszło do wybuchu, i tak mi przykro! tak przykro!

Głos Hanki załamał się i znać było, że odczuła głęboko całe zajście, więc Krzycki przycisnął do ust jej dłoń i zapytał ze współczuciem:

– Cóż to był za wybuch?

– Po południu, a raczej po powrocie Maryni z próby, miałyśmy jechać z nią i z Zosią na miasto, więc chcąc zmienić suknię kazałam ją sobie podać. Polcia poszła po nią, jak zwykle, i przyniosła, ale nagle rzuciła ją na ziemię i poczęła deptać, a przy tym krzyczeć jakimś przeraźliwym głosem, że więcej mi służyć nie będzie. W pierwszej chwili straciłam głowę, bo przyszło mi na myśl, że dostała pomieszania zmysłów...

– Zwariowała na pewno! — przerwał Krzycki – ale cóż dalej?

– Zatrzasnęła drzwi i poszła. Więcej jej nie widziałam. W godzinę później przyszedł ktoś po jej rzeczy i pensję.

Tu Hanka poczęła potrząsać głową.

– A jednak, kiedy sobie przypomnę tę niechęć i to, co mi powiedziała w ostatniej chwili, myślę, że to nie był atak pomieszania, tylko wybuch nienawiści, której dłużej utrzymać w sobie nie mogła. A to dla mnie taki zawód, taki zawód!

– Pani moja!.. Hanuś! – rzekł Krzycki, chwytając jej obie ręce – czy to warto tak brać do serca postępek jednej głupiej złośnicy? Bo to głupia złośnica, nic więcej. Dość było na nią spojrzeć. Uspokój się, Hanuś, to przecie tylko rzecz chwilowa, o której trzeba jak najprędzej zapomnieć. Pomyśl, kto ty jesteś, a kto ona! Przyszły takie czasy, w których wszystko przewraca się do góry nogami... Takie zajścia wszędzie się teraz zdarzają. Ale to przejdzie. Tymczasem my oboje mamy tyle powodów do radości, że wobec niej takie marne ukłucia powinny zniknąć.

I począł przyciskać kolejno jej ręce do ust i do piersi i patrzeć jej w oczy, lecz to powiększyło jej rozżalenie; Hanka bowiem, chcąc oszczędzić zbytnej przykrości i narzeczonemu, i sobie, nie wyznała mu wszystkiego. Przemilczała mianowicie to, że rozszalała pokojowa krzyknęła jej na odchodnym w oczy: „Ty chamko! tyś powinna mnie służyć, nie ja tobie! –Do krów tobie, nie do pałacu!” Może być, że Hanka nie wzięłaby tak do serca tych słów, gdyby nie poprzednie zadrażnienia w stosunku z Krzyckim i gdyby nie myśl, że i on przekraczał pewne granice, może dlatego, że była dawniej jego kochanką i chłopką. Ale ten właśnie powód sprawił, że cierń utkwiał w jej sercu głębiej, niż był powinien, i że zrodziły się w niej obawy co do przyszłego życia, w którym podobne zajścia mogły się powtarzać częściej.

Toteż słowa Krzyckiego o czekającej ich radości były tylko kroplą przepelniającą kielich goryczy, a jego pieszczoty podziały na rozżaloną dziewczynę tak jak na dziecko, które tym bardziej się rozrzewnia, im bardziej je pocieszają. Przyszła na nią chwila słabości i wyczerpania. Zwykle siły opuściły ją, stargały się nerwy i poczęła płakać, a wstydząc się jednocześnie tych łez, ukryła twarz na jego piersiach.

– Hanuś moja, Hanuś! – powtarzał Krzycki.

I jął całować jej jasne włosy. Następnie objąwszy dłońmi jej skronie podniósł zapłakaną twarz i ssałowywał łąy. Nie broniła się – więc po chwili znalazł ustami jej drżące wargi.

– Hanuś! Hanuś! – szeptał zdyszczanym głosem.

War żądy coraz bardziej zaćmiewał mu rozum, zaćmiewał serce, pamięć. Pił z ust dziewczyny, póki starczyło mu oddechu; zapamiętał się jak pijak, a wreszcie chwycił ją w ramiona.

– Hanuś! Hanuś!...

I stało się, że obraził ją ciężko, że do upokorzenia, jakie ją dziś spotkało, dodał nowe upokorzenie, do obelgi nową obelgę – i że rozdzieliła ich po prostu przepaść!

XX

Krzyckiego, gdy nazajutrz zbudził się po krótkim, męczącym śnie nad ranem, ogarnęła zgryzota i szalony gniew na samego siebie. Przypomnił sobie wszystko, co zaszło. Przypomnił, że wczorajsze rozstanie się z Hanką było niemal równoznaczne ze wskazaniem mu drzwi; wróciły mu złym echem własne nędzne i okrutne słowa, które powiedział jej w uniesieniu w chwili rozstania, że jeśli opór jej płynie z obawy, że on później zerwie małżeństwo, to niech wie, że to jest obawa płonna. – A więc przypisał ten opór lichym, idącym z rachuby, pobudkom. I on, człowiek, który przyznawał sobie nie tylko dobre wychowanie, ale i subtelne poczucie honoru oraz osobistej godności – on, Krzycki, mógł znaleźć w sobie tyle duchowego chamstwa, by tak postąpić, jak postąpił i powiedzieć to, co powiedział. W pierwszej chwili po otwarciu oczu wydawało mu się to

wprost niepodobieństwem, jakimś dalszym ciągiem sennej dławiącej zmory, która powinna była zniknąć wraz z światłem dziennym.

Lecz owa zmora była ciężką rzeczywistością. Należało się z nią liczyć i zaradzić jej w jakikolwiek sposób. Krzycki siadł do pisania listu, w którym bił się w piersi, oskarżał i przeproszał. Mówił, że nikt nie potrafi go tak potępić, jak on sam siebie potępia, i jeżeli ośmiela się prosić o przebaczenie, to tylko w nadziei, że może jeszcze jakiś głos, jakieś echo lepszych chwil przemówi za nim w jej sercu i wyjedna mu przebaczenie. Prosił w końcu o możliwość powtórzenia osobiście słów listu i odpowiedź nawet w takim razie, gdyby wyrok wydany na niego był ostateczny.

Ale gdy posłaniec, który chodził z listem, oznajmił mu za powrotem, że odpowiedzi nie będzie, wówczas wpadł w rzeczywistą rozpacz. Jak prawdziwemu pieszczołowi życia, nieprzywykłemu do oporu i przeszkód, a przekonanemu, że wszystko mu się należy, poczęło się teraz wydawać, że to jest więcej niż zasłużył, że to jemu dzieje się teraz krzywda. Nie dał jednak za wygraną. Miał nadzieję, że Hanka może przed otwarciem jego listu oświadczyła, iż odpowiedzi nie będzie, a po przeczytaniu go wrzuci się, zmięknie i cofnie postanowienie. Podtrzymywany tą nadzieją, ubrał się i przez godzinę chodził po mieście, by dać Hance czas do porachunku z własnym sercem, a następnie zadzwonił do jej mieszkania.

Lecz nie przyjęto go. Wówczas przyszło mu do głowy udać się do pani Otockiej. Po chwili wszelako zmiarkował, że przyczyny rozdziału z Hanką były tego rodzaju, iż mówić o nich ani z panią Otocką, ani z matką niepodobna. W duszy począł teraz oskarżać Hanke wprost o okrucieństwo, ale jednocześnie im większe piętrzyły się między nimi trudności, tym większy ogarniał go żal. Nie mógł żadną miarą pogodzić się z myślą, by coś, co uważał za swoje,

zostało mu odjęte – i jak zwykle ludzie słabi, począł rozczulać się sam nad sobą.

Od pani Otockiej udał się do Grońskiego, uważając, że to jest jedyny człowiek, z którym może mówić otwarciej i którego pośrednictwo będzie skuteczne. I tu jednak czekał go zawód. Groński cierpiał od kilku dni na oczy i nie wolno mu było czytać, co wprawiało go w zły humor. Z tego powodu przyjął Krzyckiego obojętniej niż zwykle. Krzycki przekonał się przy tym, że o przyczynie zerwania ciężko było mówić nie tylko z panią Otocką lub z matką, ale nawet z mężczyzną i starym przyjacielem, który wiedział o dawniejszym jego stosunku z Hanką. Poczucie wstydu wiążyło mu po prostu słowa w gardle i począł tak rzecz obwijać, tak kołować, mówić tak ogólnikowo o nieporozumieniu i o potrzebie przyjaznego pośrednictwa, że Groński spytał w końcu z odcieniem zniecierpliwienia:

– Powiedz mi jasno, o coście się poróżnili, to dopiero wówczas powiem ci, czy się podejmę was godzić.

I widocznie nie przywiązywał do sprawy wielkiej wagi, gdyż machnął ręką i dodał:

– A najlepiej pogóźdzcie się sami.

– Nie – odrzekł Krzycki – to jest rzecz poważniejsza, niż pan myśli i sami nie dojdziemy do zgody.

– Więc ostatecznie o co poszło?

Wstyd, wysiłek i przymus odbił się na twarzy Władysława.

– W chwili zapomnienia i uniesienia – rzekł – przeszedłem... to jest... chciałem przejść... pewne granice...

I uciał.

Groński począł patrzeć na niego zdumionymi oczyma i zapytał:

– A ona?

– Przecie gdyby się było co stało, nie przyszłoby do zerwania i nie mógłbym o tym teraz mówić. Ona kazała mi pójść za drzwi i nie pokazywać się więcej. .

– Niech jej Bóg da zdrowie! – zawołał Groński.

Nastało milczenie. Groński chodził wielkimi krokami po pokoju, powtarzając co chwila: „Nie do uwierzenia!”, to znów: „Niesłychana rzecz!”, przy czym twarz jego stawała się coraz surowsza i zimniejsza.

Po czym siadł i patrząc na Krzyckiego jał z wolna mówić. – Znałem wielu ludzi, nawet między naszą arystokracją, u których pod polorem towarzyskim, pod wysokim urodzeniem i wszelkimi pozorami wykwintnego wychowania tało się zwyczajne grube chamstwo. Jeśli ta uwaga może być dla ciebie jaką pociechą, to ją przyjmij, bo innej dla ciebie nie mam.

Nagła fala gniewu zalała serce i mózg Krzyckiego. Przez chwilę zmagał się sam ze sobą, by nie wybuchnąć i nie odpowiedzieć obelgą na obelgę, w końcu jednak przemógł się i odrzekł głuchym głosem:

– Zasłużyłem...

Lecz Groński, nie rozbrojony tym wyznaniem mówił dalej:

– Nie, mój drogi. Ja nie podejmę się twojej obrony, bo postąpiłbym wbrew memu przekonaniu. Tobie, mniej niż każdemu innemu, wolno było sobie folgować, choćby ze względu na przeszłość. I twoja narzeczona tak to musi rozumieć, a przy tym nie zapomina i o swym pochodzeniu. Tobie mniej było wolno! Ona miała stokroć słuszność pokazując ci drzwi. Rzecz jest istotnie poważniejsza, niż myślałem, i tak poważna, że nie widzę na nią rady. Tyś nie uszanował w pannie Hannie swojej przyszłej żony, a zatem siebie samego i własnej czci. A wobec tego, jak i ona może cię szanować i co o tobie może myśleć?

– Wiem – odrzekł równie głuchym głosem Krzycki – i sam sobie to wszystko prawie tymi samymi słowami powiedziałem. Napisałem do niej dziś rano list błagając o przebaczenie – nie było odpowiedzi. Byłem u niej osobiście, nie przyjęto mnie. Więc przyszedłem do pana po ostatni

ratunek – bo... za mną przemawia tylko jedno... Żle postąpiłem, grubiańsko i nędznie, ale nie przestałem jej kochać. – Nie ma dla mnie bez niej życia i choć pan temu może nie uwierzy, to jednak tak jest, że pod ~tym szalem, który mię opętał, pod tą pianą, która mnie zaślepiła i pod którą dziś tonę, leży uczucie nie tylko głębokie, ale i czyste...

Groński znów zaczął przemierzać wielkimi krokami pokój, albowiem wzruszyły go nieco słowa Krzyckiego.

On zaś mówił dalej:

– Jeśli nie będzie czytała moich listów i nie zechce mnie przyjąć, to ja jej nie będę mógł tego powiedzieć. Więc chodzi o to, by ktoś jej to powiedział w moim imieniu. Do matki ani do Otockiej udać się z tym nie mogę... Myślałem że pan... ale skoro pan odmawia, to nie mam już nikogo...

– Spójrz jednak w oczy rzeczywistości – rzekł łagodniej Groński. – Bo przecie może być i to, że jej miłość dla ciebie podarła się od razu w strzępy. A w takim razie skąd ją weźmie, jeśli jej już nie ma?

– Niech mi to powie, to przynajmniej jeszcze mi się należy. Zapadło ponowne milczenie.

– Słuchaj – rzekł wreszcie Groński. – Byłem zawsze przyjacielem i twoim, i twojej matki, ale tej misji, którą mi chcesz powierzyć, podjąć się nie mogę. Nie mogę między innymi i dlatego, że jeżeli twoja narzeczona nie odpowiada tobie, to tak samo może i mnie nie odpowiedzieć. Jednym spojrzeniem, jednym słowem zamknie mi usta – i na tym się skończy. Ale spróbuj innej drogi. Panna Hanna przychodzi dość często z Marynią na próby, na których ja bywam zawsze, a potem odprowadzam obie do domu. Przychodź i ty ze mną. Może znajdziesz sposobność, by z nią pomówić. W czasie powrotu do domu ja wezmę Marynię, a ty zostaniesz z nią. Myślę, że cię nie odtrąci, choćby ze względu na Marynię, której nie zechce wtajemniczać w

wasze zajścia... Wówczas powiesz jej to, co powiedziałeś mnie, a także, że prosisz ją o rozmowę, która, jeśli nie może być inaczej – będzie ostatnią. Trzeba i dla świata upozorować jakoś wasze zerwanie – więc przypuszczam, że się na to zgodzi. Jeżeli nie, pomyślimy o czym innym.

Krzycki począł ścisnąć mu rękę i rzekł:

– Może by przez Zosię dowiedzieć się, czy to już na zawsze.

– Rozumiesz, że o przyczynie waszego zerwania ona może nie chciała mówić i z panią Otocką.

– Rozumiem, rozumiem!...

– Ale ty masz teraz gorączkę – rzekł Groński. – Ręce masz rozpalone... Idź, staraj się ochłoniąć i uspokoić...

XXI

Laskowicz widywał teraz Marynię wprawdzie z daleka, ale codziennie. Nawet w dni słotne, w czasie których nie przychodziła piechotą na próby, lecz przyjeżdżała, czatował przy schodach gmachu, by ją widzieć wysiadającą z powozu. W dni pogodne wyczekiwał zwykle niedaleko jej domu, a następnie szedł za nią aż na miejsce. Ponieważ między służbą w gmachu znalazło się kilku „towarzyszów”, ci ułatwili mu w końcu wejście i na próby. Ukryć się w łóżach lub w końcowych rzędach krzeseł było mu łatwo, gdyż w czasie prób oświetcano jasno tylko estradę, w samej zaś sali mrok rozwidniało zaledwie kilka lamp, które zapalano dlatego, by garść uprzywilejowanych miłośników muzyki, zajmująca miejsca za orkiestrą, nie była pogrążona w zupełnej ciemności. – Wśród tych uprzywilejowanych Laskowicz rozeznawał często znajomych: Grońskiego, panią Otocką, starego rejenta, pannę Anney, czasem Krzyckiego, a dwa lub trzy razy doktora Szremskiego. Ale mimo

nienawiści dla Władysława, a w części także dla doktora i Grońskiego, mało się nimi zajmował i mało o nich myślał, gdyż oczy jego nie odrywały się prawie ani na chwilę od Maryni. Ogarniał wzrokiem jej dziewczęcą postać, wysuniętą na brzeg estrady, skąpaną w blaskach elektryczności, samą przez się świetlistą i mimo woli przypominał mu się ów alabastrowy posążek, który stary kanonik uważał za największy swój skarb. Laskowicz nie był człowiekiem wykształconym. Jednostronne studia przyrodnicze zacieśniły jego umysłowy widnokrąg i z pewnego rodzaju wrażeń nie umiał sobie zdać jasno sprawy. A jednakże, gdy patrzył na tę dziewczynę ze skrzypcami w ręku, na jej czystą, spokojną twarz, na wydłużone linie jej postaci i ubrania, budziło się w nim na wpół świadome poczucie, że jest w niej coś z poezji i coś z kościoła. Wydawała mu się po prostu nadziemskim widzeniem, do którego można się było modlić.

Jakoż ubóstwiał ją w swej dzikiej, fanatycznej duszy. Ale, że gorzał w nim zarazem bunt przeciw wszelkiemu bóstwu, więc walczył z własnym uczuciem czci, starał się je obniżyć i wypłenić do cna. Umyślnie obrywał skrzydła własnym myśлом, umyślnie nakładał pęta marzeniom, a spuszczał z łańcucha żądze. Zmagał się sam ze sobą, męczył się i cierpiał.

Nieraz stawał tuż nad brzegiem szaleństwa –i w takich razach gotów był niszczyć, zabijać, podpalić całe miasto, byle wśród krwi i pożogi porwać tę srebrną dziewczynę i posiąść ją – a potem zginać wraz z nią i wszystkimi. Marzył, że wśród rewolucyjnej burzy, która rozkołysała fale proletariatu, może taka godzina powszechnego zniszczenia wybić. Lecz gdy rzeczywistość rozpraszała te marzenia, gdy zdarzały się chwile, w których stawało się jasnym, że sam lud nakłada kaganiec na paszczę rewolucyjnego smoka, wówczas krwawe widzenia rozwiewały się czczym dymem,

a pozostawało tylko wyczerpanie i bezwład; czuł bowiem ów posępny proletariusz, że póty jego siły, póki burzy, i że gdy ona przejdzie, to i on zapadnie w nicość zupełną. Więc w sercu zbierała mu coraz większa gorycz i zawiść. Kochał Marynię i zarazem jej nienawidził, albowiem sądził, że ona patrzy na niego jak na robaka wijącego się u jej stóp, niegodnego spojrzenia. W takim przekonaniu utwierdzało go to, że jego listy nie wywierały na niej widocznie najmniejszego wrażenia i nie mąciły jej zwykłej pogody. Laskowicz dał słowo pannie Polci, że będzie widywał Marynię tylko z daleka – nie mógł zbliżyć się do niej choćby dlatego, że nigdy nie chodziła sama. Ale oczywiście, nie mógł odgadnąć, że listy te odbiera i pali pani Otocka, a Marynia o niczym nie wie. Zdawało mu się, że te namiętne wezwania, w których słowa: „umiłowana! umiłowana!” powtarzały się co chwila, i te ogniste porywy, w których kładł się w pokorze u u jej uwielbionych stóp, to przedstawiał się jej jako władny król duch, popychający falę ludzką w nieznaną przyszłość, powinny były wywołać jakiś skutek. – „Niechby gniew, niechby nienawiść! – mówił sobie w duszy – a tu nic, nic! przechodzi koło mnie tak, jakbym był psem ulicznym – nie widzi mnie, nie raczy poznać!”

Jakoż tak było. W chwilach gdy mijali się na ulicy, Marynia nie poznawała i nie mogła poznać Laskowicza, albowiem po wyjeździe z Jastrzębia zapuścił młodocianą brodę, a następnie Świdwicki, by go ukryć przed policją, umalował mu tę brodę, wraz z wąsami i czupryną na jasnozłoty kolor. Zmieniało go też ubranie i okulary, ale on zapomniał o tym i gryzł się przypuszczeniem, że jej oczy nie widzą lub nie rozpoznawają go naprzód dlatego, że nigdy wspomnienie o nim nie nasuwa się jej pamięci, a po wtóre i z tej przyczyny, że ona należy do jakiegoś społecznego olimpu, a on do „proletariackiego śmietnika”.

I pod takim wrażeniem udręka jego zamieniała się we wściekłość. Z dzikim zadowoleniem rozmyślał o tym, że może przyjść taka chwila, w której losy tej „świętej –lalki” i wszystkich jej bliskich będą w jego ręku. Wmawiał w siebie, że ta chwila będzie zwycięstwem i jego osobistym, i „dobrej sprawy”, a więc radował się z tej spójni. Wyobrażał sobie, co będzie, gdy Marynia przyjdzie do niego błagać jego łaski dla siebie i swoich. Czy wówczas rzuci się przed nią na ziemię i powie jej, by postawiła stopę na jego głowie, czy chwyci ją w ramiona, a potem przepędzi sromotnie nie wiedział. Miał tylko poczucie, że mógłby uczynić jedno lub drugie.

Tymczasem często mówił sobie, że nie powinien jej więcej widywać i postanawiał więcej jej nie szukać, a nazajutrz biegł tam, gdzie mógł ją spotkać. Zmagał się ze sobą, targał się wewnętrznie i wyczerpywał do tego stopnia, że zaczął zapadać na zdrowiu. Brak takiego powietrza, jakim oddychał w Jastrzębiu, konieczność ukrywania się przed policją, niepokój, bezsenność, nagłe i bolesne przeskoki duchowe wysały mu siły. Wychudł, szerniał i chwilami rmyślał, że grozi mu śmierć nie na stryczku, ale w szpitalu.

I w takim nastroju znalazła go panna Polcia, która po scenie z Hanką wpadła jak wichur do jego pokoiku na strychu. Twarz miała tak zmienioną, tak bladą i chorobliwą, i zawziętą, a oczy jej błyszczały tak gorączkowo, iż na pierwszy rzut oka poznał, iż przygnał ją do niego jakiś nadzwyczajny wypadek i zapytał:

– Co się stało?

Ona zaś odpowiedziała:

– Nie jestem już u tej chamki!

I umilkła, bo nie mogła złapać tchu, tylko na jej twarzy pojawiły się nerwowe drgawki.

Laskowicz rozumiał tylko, że porzuciła służbę i patrzył na nią pytającym wzrokiem, czekając dalszych wyjaśnień.

– To pan nie wie – wybuchnęła po chwili, tłumiąc obiema dłońmi falującą pierś – to pan nic nie wie, że on się ma z nią żenić?... A to nie jest żadna Angielka, tylko chamka! I ja takiej służyłam! ... I on ma się z nią żenić – z chamką! z chamką! z chamką... on!

I głos jej zmienił się w przeraźliwą nerwową czkawkę. Laskowicz przestraszył się jej uniesienia, ale jednocześnie odetchnął. Jakkolwiek domyślał się już od dawna, że uczucia Krzyckiego zwróciły się ku pannie Anney, nie ku Maryni, jednakże w duszy rad był, że rzeczywistość potwierdza te domysły.

Żyjąc wszelako w świecie, do którego nie dochodziły żadne echa z wyższych sfer towarzyskich i nie wiedząc nic o przemianie panny Anney w polską chłopkę, począł o to wypytywać szczegółowo, zarówno dlatego, że sprawa zbudziła jego ciekawość, jak i dlatego, by dać czas ochłonąć wzburzonej dziewczynie. Lecz to ostatnie nie przyszło łatwo i musiał długo zadawać jej pytania, zanim wydobył z niej wiadomość, że oto już pierwaj Świdwicki powiedział jej, iż panna Anney jest prostą chłopką, czemu jednak nie chciała wierzyć, bo mówił to po pijanemu. Dopiero z podsłuchanych rozmów przekonała się, że nie tylko tak jest, ale że Krzycki ma się z nią żenić. Potem podglądała ich przez dziurkę od klucza: zobaczyła, że on przed nią klęka i całuje ją po rękach. Wówczas nie mogła już dłużej wytrzymać i przy pierwszej sposobności rzuciła jej pod nogi „kieckę” i nawymyślawszy od chamek, poszła.

Tu znów poczęło ją ogarniać wzburzenie, tak że Laskowicz w obawie, by nie dostała ataku spazmów, rzekł:

– Będziem o tym radzić, tylko niech się panna uspokoi.

Lecz ona odpowiedziała mu ze wzrastającym rozdrażnieniem:

– Ja tu nie po to przyszedłam, żebyś pan mnie uspokajał. Pan żeś gadał o naszej wspólnej krzywdzie, a teraz każesz mi się

uspokajać. Ja chcę pomocy, nie pańskiego gadania!

– Pannie chodzi o to, żeby on się z nią nie ożenił?...

– A o cóż? pan myśli, że o co?

Laskowicz stanąłby w każdym razie po stronie dziewczyny, albowiem zobowiązywała go do tego wdzięczność za ocalenie życia, podobieństwo doli i ta „wspólna krzywda”, o której sam mówił poprzednio pannie Polci, a którą mu teraz przypomniała. Ale istnienie Krzyckiego przestało mu obecnie osobiście zawadzać, a jeszcze mniej zawadzało istnienie panny Anney. Jednej tylko rzeczy nie mógł jej wybaczyć:

– Była chłopką – rzekł – była robociarką, a potem stała się „burżujką” – w tym jej zbrodnia...

– W tym czy nie w tym, to teraz ja albo ona! – – rozumiesz pan?!

– Rozumiem, ale co zrobić?

– Jakiś pan uciekał przed policją, to ja nie pytałam, co robić.

– Pamiętam.

– I mówiłeś pan u Świdwickiego, że wy teraz wszystko możecie.

– Bo tak jest.

– Więc byle się on z nią nie ożenił – to niech się choć i świat skończy...

Laskowicz począł patrzeć na nią swymi blisko osadzonymi oczyma i po chwili mówić z wolna i z naciskiem:

– Krzycki był już raz skazany – i żyje tylko dzięki pannie, ale jeśli dostanie kulą w łeb, to się z nikim nie ożeni.

Lecz ona usłyszawszy to pobladła jak trup – w tej samej chwili skoczyła ku niemu z paznokciami.

– Co? – zawołała chrapliwym głosem. – Co?! on? Niech mu włos z głowy spadnie, to ja was wszystkich...

W Laskowiczu przebrała się jednak wreszcie cierpliwość, był rozdrażniony, potargany wewnątrz i chory, więc po jej

pogródźce fala goryczy i złości zalała mu mózg. Zerwał się i patrząc jej w oczy zakrzyknął:

– Panna nie groź zdradą, bo to śmierć!

– Śmierć? – krzyknęła – śmierć! a ot, co mi życie!

I podsunąwszy dłoń blisko jego twarzy, dmuchnęła na nią, tak że oblał go jej oddech, i powtórzyła:

– Ot, co dla mnie życie!

– A dla mnie! – zawołał Laskowicz.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, jak dwa duchy nienawistne i zrozpaczone. Wreszcie on upamiętał się pierwszy i chwyciwszy głowę w obie ręce rzekł:

– O! jacy my jesteśmy nieszczęśliwi! – o! – Tak! tak! – powtórzyła panna Polcia.

I poczęła łkać histerycznie.

Wówczas on jął ją uspokajać. Przyrzekł jej, że Krzyckiemu nic się nie stanie i że małżeństwo jego do skutku w żadnym razie nie dojdzie. Mówił, że na razie nie może jej wprowadzić powiedzieć, jakie sposoby zostaną w tym celu obmyślane, ale upewnił ją, że ani on, ani jego partia liczyć się z jakąś jedną burzą nie będą, gdyż tu chodzi o wyższą sprawiedliwość społeczną, która poszczególnych osobników nie potrzebuje brać w rachubę. Panna Polcia zrozumiała tylko tyle, że „chamka” nie wyjdzie za panicza z Jastrzębia, i uspokoiła się znacznie, a następnie oboje zajęli się z konieczności innymi sprawami. Trzeba było poszukać dla dziewczyny jakiegoś schronienia, więc Laskowicz umieścił ją u „towarzyszki” mieszkającej w pobliżu, która poszła zaraz po jej pensję i rzeczy. Sam wrócił do siebie i począł rozmyślać, w jaki sposób wywdzięczyc się pannie Polci za ocalenie życia.

I w tym poczuciu wdzięczności tkwiła pierwsza przyczyna, dla której wziął sprawę do serca. Drugim powodem była własna niedola i nieszczęsna miłość dla Maryni, która uczyniła go czułym na podobne targaniny, a trzecim owa

„sprawiedliwość społeczna”, o której wspomniał Polci. Co do tego trzeciego powodu czuł jednak potrzebę rozprawić się z własnym sumieniem, aby gdy nadejdzie czas działania mieć rozwiązane ręce i pod wpływem tej potrzeby jął rozumować w następujący sposób:

„Na tle ogólnej sprawy proletariatu będą występowały zawsze sprawy osobiste. Można nawet powiedzieć, że sprawa ogólna jest tylko ich sumą. Z tego względu, kto staje w obronie osobistej sprawy proletariusza, ten tym samym broni zasady powszechnej. Ale tu przychodzi kwestia etyki. Do czego my dążymy? Do ogólnej społecznej sprawiedliwości. Ergo zasada nasza jest moralna; ponieważ zaś jest ona tylko sumą spraw osobistych, więc i te osobiste muszą być także moralne. Z tego wypada, że proletariusz, który w sprawie z burżujem nie ma słuszności, ma jednak słuszność przez to samo, że jest proletariuszem. Na świecie wszystko jest względne. Żołnierz zabijający podczas wojny swego przeciwnika popełnia morderstwo, zatem czyn sam w sobie nieetyczny. Ale ponieważ popełnia je w obronie ojczyzny, przeto ze stanowiska dobra narodowego postępuje etycznie. Gdyby przy tym ten żołnierz miał powody osobiste nienawiści do przeciwnika, czyn jego zyskałby na energii, a nie straciłby dodatniego znaczenia dla ojczyzny. Dla nas narodem jest polski proletariat, a ojczyzną idea jego wyzwolenia. O to prowadzimy wojnę, a jeśli jest wojna, to morderstwa lub krzywdy wyrządzone przeciwnikom, choćby motywem ich były pobudki osobiste, są jednakże nie tylko usprawiedliwione, ale i pokryte stokrotnie dobrem ogólnym. Prócz tego – rozumował dalej – treścią naszego bytu jest nieszczęście, a z nieszczęścia, również jak odwrotnie, ze szczęścia, muszą wykwitać odpowiednie czyny. Jest to konieczność płynąca z natury rzeczy; etyka nie ma tu już nawet nic do roboty. I ja, i ta wściekła dziewczyna, jesteśmy nieszczęśliwi jak bezdomne psy, wobec czego wszystko nam

jedno, czy chciano wyrządzić nam krzywdę, czy nie chciano, tak jak wilkowi wszystko jedno, czy leśnik, który mu strzela w łeb, polował na niego umyślnie lub też spotkał go wypadkiem. Wilk ma zęby od tego, by się bronił: To jego prawo. Przyszła taka chwila, że i nam wyrosły kły, więc mamy prawo szarpać.

A co do tej dziewczyny, to szarpie ją rozpacz, którą może ukoić tylko zemsta. Zali słuszna? Zali dla dziewczyny pożyteczna? To wszystko jedno. Robociarze bez roboty i chleba zalewają niedolę alkoholem; burzuje zastrzykują sobie w razie bólu morfinę a dla niej alkoholem i morfiną ma być zemsta. Jakkolwiek będzie jej skutek, zniszczy ona szczęście sytych, zmieni ich radość na łzy, złamie im życie – i zburzy część tego świata, który ciąży zmorą na piersiach proletariatu. Więc trzeba tej zemście pomóc, bo tak każe wdzięczność za uratowane życie, tak wspólna krzywda – tak dobro sprawy...”

A wobec tego wydało się już Laskowiczowi rzeczą mniejszej wagi, czy w tej pomocy odegra rolę nóż czy browning, czy rzucenie na Hankę takiej jakiejś hańby, po której nie pozostałoby jej nic innego, jak uciec i skryć się przed ludzkimi oczyma raz na zawsze. Sposobności ani gotowych rąk nie brakło. Należało tylko zastanowić się nad wyborem, a następnie działać szybko i stanowczo.

Z tym udał się do Polci, która zgodziła się na wszystko. W nagrodę zażądał, by zwolniła go z obietnicy, że Marynię będzie widywał tylko z daleka – i z łatwością to uzyskał. Chciał widocznie mieć rozwiązane ręce i pod tym względem.

XXII

Oto odpowiedź, jaką nareszcie otrzymałem – rzekł Krzycki podając list Grońskiemu. – Nic więcej nie mogę się

spodziewać.

– Wiedziałem, że ją otrzymasz – odpowiedział Groński mrugając chorymi oczyma i szukając na biurku binokli. – Uprzedziła mnie o tym pani Otocka, która twierdziła od początku, że panna Hanna powinna ci odpowiedzieć i w końcu ją do tego skłoniła.

Krzycki zaczerwienił się – i zapytał:

– Ach! więc Zosia Otocka wie wszystko?

– Wie i nie wie. Panna Hanna powiedziała jej tylko tyle: „Nie zapomniał, że jest paniczem, a ja chłopką, i przestaliśmy się rozumieć”. Jej jeszcze trudniej było o tym mówić niż tobie – i ta trudność rozjątrza tym bardziej. ranę, która i bez tego jest dość głęboka... Ale nie mogę znaleźć binokli.

– Oto są! – rzekł Krzycki.

Groński założył je na nos i począł czytać:

„Pan sam podarł i podeptał naszą radość, nasze szczęście, moją ufność i to głębokie przywiązanie, jakie dla pana miałam. Na pytanie pana, czy już tych uczuć nigdy nie odnajdę, odpowiadam, że szukam ich na próżno. Jeśli się kiedy odnajdą, powiem to panu z tą samą szczerością, z jaką dziś mówię, że mam w sercu sam tylko żal i smutek, które na wspólne życie wystarczyć nie mogą”.

– Tylko tyle! – rzekł Krzycki.

– Moje przewidywania – odpowiedział Groński – sprawdzają się aż nadto dokładnie. Źródło na razie wyschło.

– Do dna, do dna, ani kropli na ochłodę.

Groński milczał przez chwilę, po czym rzekł:

– A ja myślę, że jednak nie. To nie jest całkiem beznadziejne. Zostaje smutek, żal i jakby przewidywanie powrotnej fali... Oczywiście, nie napłynie ona dziś ani jutro... Wobec tego tobie pozostaje albo wytrwać cierpliwie i zdobywać na nowo to, coś stracił, albo jeśli nie masz na to dość siły, wziąć jakie nożyce i przeciąć resztę nici.

– Takich nożyc nie znajdę. Pamięta pan, co ona dla mnie czyniła, gdym był ranny? Ja tego nie zapomnę.

Na to Groński przysłonił oczy ręką, popatrzył pilnie na Władysława i zapytał:

– Mój kochany, czyś ty zadał sobie jedno pytanie?

– Jakie?

– Co cię więcej boli: czy utrata panny Hanny, czy zraniona miłość własna?

– Dziękuję panu – odrzekł z ironią Krzycki. – Oczywiście, że tylko miłość własna... Przez nią nie sypiam, nie jadam, przez nią w ciągu kilku dni wyschłem jak wiór i gdyby nie ta maleńka ranka, byłoby mi tak rozkosznie, że to ha! ...

I zaczął się śmiać gorzko, a Groński patrzył na niego wciąż, nie odejmując ręki sponad chorych oczu i pomyślał:

„Ta dziewczyna ma poczciwe serce i niech go tylko ujrzy, przebaczy mu wszystko przez samą litość”.

I w tej chwili nie przypuszczał, że myli się gruntownie i że gmach szczęścia można budować tylko na gruncie miłości, nie zaś litości.

Po czym rzekł:

– Słuchaj, ja za kwadrans wkładam te oto ciemne okulary i idę na próbę. Chodź ze mną.

– Co mi to już teraz pomoże, co? – zawołał Władysław.

– Nie wiem. Ja nawet nie zaręczam, czy spotkamy pannę Hannę, bo Marynia chodzi czasem ze służącą. Ale w każdym razie nic na tym nie stracisz, więc pójdź.

Lecz dalszą rozmowę przerwało im wejście doktora, tym bardziej niespodziewane, iż zapowiedział wyjeżdżając, że posiedzi u brata przynajmniej dziesięć dni.

– Jak to, już z powrotem? – zawołał Groński.

– Co, niespodzianka? – zagrzmiał doktor. – Tak, i dla mnie niespodzianka! Jedna wizyta lekarska, potem honorarium z dodatkiem uprzejmej rady: „wynoś się, pókiś cały!” I oto jestem! Rozkosz, co za podróż!

– Jak się to stało?

– Jak się stało? Zaraz opowiem. Ale nie! Wiem, że pan o tej godzinie wychodzi na te tam próby, więc idę z panami i opowiem po drodze. To takie ucieszne rzeczy, że warto ich posłuchać, ha!

Jakoż po chwili poszli i wesoły doktor zaczął zdawać sprawę ze swej odysei:

– Przyjechałem – mówił – trochę zmęczony, bo to daleka droga, a przy tym trzeba się przesiadać, czekać na stacjach na pociągi, i tak dalej... zwykle u nas porządk! Do sadyby naszej dotarłem późno i przywitawszy się z bratem poszedłem zaraz spać. Ale nazajutrz, zaledwie rozpakowałem moje elementarze – pamiętacie, panowie? – te, com je wiozł dla tamtejszej drobnej szlachty, zaledwie nawymyślałem mojemu „krajowemu” bratu, przysyłają na gwałt, bym jechał do jednego wysokiego urzędnika, który ma majątek obok naszej sadyby i latem mieszka z rodziną na wsi. Ha, nie ma rady – jadę! I cóż się pokazuje? Oto dziecku utkwiał w gardle naparstek. Zastałem je już sine, ale z chwilą gdy wyciągnąłem naparstek, wszystko poszło od razu jak najlepiej. Nie było nic więcej do roboty. Uratowałem przyszłego dygnitarza państwu, a rodzicom jedynaka, bo reszta córki. Więc wdzięczność ogromna. Płacą – owszem! Chcę jechać i powtarzam, że nie ma nic więcej do roboty – nie puszczają. Wdzięczność, śniadanie, serdeczności, przyjaźń, podziękowania, wezbranie słowiańskich uczuć i pogawędka, która przechodzi niebawem w rozmowę polityczną. „Nie ma – powiada dygnitarz – zgody między braćmi. A jaka szkoda! Różni ich religia i język. Ale cóż to jest religia, jeśli nie zewnętrzna tylko forma? Bóg jest jeden – a? Jemu wszystko jedno, czy go chwalać po łacinie, czy po sławiańsku. Nu, a Sławianinu przecie i przyzwoiciej po sławiańsku. A co do języka – to rozmaite narzecza do rozmowy w domu mogłyby sobie być. Dlaczego jednak nie

tylko w urzędzie, ale na przykład i w literaturze nie przyjąć jednego języka – a? Toż i wygoda większa, i kontrola łatwiejsza. Ot, porzuciliby wy wasz katolicyzm i wasze narzecze, a przyjęli jedno i drugie nasze... ale – serdecznie, dobrowolnie. Tak i zgoda by zaraz nastąpiła, i dla was lepsze czasy, i byłyby prosto rozkosz...”

– Dobrze się do pana wybrał – przerwał śmiejąc się Groński.
– Trzebaż, że właśnie na mnie trafił! – odpowiedział doktor.
– Ja, moi panowie, jestem deista, filozof, ale jaki tam ze mnie katolik! Często też zdarza mi się napadać na kościół, tak samo, jak i napadam na Polskę, gdy mi się coś w niej nie podoba. Tylko jeżeli ktoś obcy robi to samo wobec mnie, to – dziwna rzecz! – mam mu ochotę zęby wybić. Zacząłem tedy bronić kościoła tak, jak gdybym nigdy w życiu nie wyłaził z zakrystii, ba i lepiej! bo tak jakbym był katolickim apologetą. – Jeśli, mówię, religia jest tylko formą zewnętrzną, to powiedz mi pan, dlaczego to my właśnie mamy porzucać tę naszą formę najbardziej uduchowioną, najbardziej kulturalną i najpiękniejszą! Ten katolicyzm, z którym radzisz nam się pan z dziś na jutro pożegnać, ogarnął przecie cały Zachód, zorganizował społeczeństwa, stworzył europejską cywilizację, przechował naukę, stworzył uniwersytety, wznosił kościoły, które są arcydziełami, wydał św. Augustyna, Danta, Petrarę, św. Franciszka i św. Tomasza, stworzył renesans, stworzył Wieczerną Pańską, Leonarda da Vinci, grobowce Medyceuszów Michała Anioła, Szkołę Ateńską i Dysputę Rafaela, stworzył takie kościoły jak św. Piotra, nie licząc innych rozsianych we Włoszech i po całej Europie. Ten katolicyzm zrobił nas uczestnikami wszechświatowej kultury, połączył nas z Zachodem, wycisnął europejskie piętno na naszej polskiej duszy etc., etc. I gadałem w ten sposób, póki mi nie przerwał i nie powiedział: „W tym i bieda, że on was połączył z Zachodem!” – A ja na to mówię znów tak: Komu bieda,

komu nie bieda! – ale teraz pomówmy o pańskiej propozycji wyrzeczenia się przez nas języka, a zatem i narodowości. Wiedz pan o tym, że to jest czcza i głupia mrzonka. To się nie stanie nigdy. Zapowiadam i zastrzegam z góry: nigdy! Ale przypuśćmy na chwilę rzecz niemożliwą: że stoczy nas tak zaraza, że osłabnie w nas tak serce, iż powiemy sobie: „dosyć! nie możemy być dłużej Polakami!” To wówczas co? Zastanów się pan obiektywnie, jak człowiek, który nie zatracił w sobie zdolności do myślenia, co by nas w takim razie mogło wstrzymać od zostania Niemcami? Nasze słowiańskie pochodzenie? Ależ my jesteśmy Słowianami dlatego właśnie, że jesteśmy Polakami. Gdybyśmy się wyrzekli polskości, wówczas jeszcze łatwiej, a nawet eo ipso, wyrzeklibyśmy się słowiaństwa. Wy jesteście ludzie, którzy i sami nie umiecie żyć, i nikomu nie pozwalacie żyć. Więc jaki powód mógłby nas zatrzymać przy was? Czy wasz spokój? czy wasz dobrobyt? czy wasza moralność? czy wasza administracja? czy wasza nauka? czy wasza oświata? czy wasze bogactwo? czy wasza potęga? Nauczcie się patrzeć w oczy rzeczywistości, wyróbcie w sobie zdolność liczenia się z nią – i zrozumiejcie, że wynaradawiając nas pracujecie dla kogo innego. Ale powtarzam jeszcze raz, że to tylko głupia mrzonka, że chwila wyrzeczenia się nigdy nie przyjdzie i że jeśli o niej mówił, to tylko dlatego, by odpowiedzieć na te rzeczy, któreś mi pan podsuwał.

Na tym skończyła się rozmowa. Oni jeszcze w wyższym stopniu niż my, nie znoszą niemiłej prawdy, więc mój dygnitarz zmienił się w karafkę zmrożonej wody i na pożegnanie rzekł mi tylko: „No, wy zbyt otwarty, młody człowiek, ale dziękuję za dziecko”. – W pół godziny później byłem w domu.

– Domyślałem się, co się następnie stało – rzekł Groński.

– Tak. Ponieważ napaśtek był wyjęty, więc tego samego wieczora dostałem polecenie, bym wyjechał jutrzejszym pierwszym pociągiem.

– Bądź pan rad, że się na tym skończyło.

– Toteż jestem rad. Posiedzę parę dni w Warszawie, zobaczę rejenta, będę na koncercie panny Zbyłtowskiej. Owszem! owszem.

Tu zwrócił się do Krzyckiego:

– A jak się ma pańska matka i pańska narzeczona?

– Dziękuję panu. Matka nieźle, ale musi wkrótce wyjechać... t chcąc ukryć zmieszanie począł pilnie patrzeć w głąb ulicy, a po chwili zawołał:

– Ale otóż widzę pannę Zbyłtowską ze służącą, a z nimi idzie ktoś trzeci.

Jakoż rzeczywiście na sto kroków w głębi ulicy widać było zbliżającą się Marynię – i służącą ze skrzypcami w futerale. Z drugiej strony, lubo nieco z tyłu, szedł jakiś młody człowiek ze złotawą bródką, który przechylony ku Maryni, zdawał się przemawiać do niej w jakiś usilny i natarczywy sposób. Ona przyspieszała kroku, odwracając przy tym głowę i nie chcąc widocznie go słuchać, on zaś nadążał tuż tuż, gestykulując przy tym gwałtownie.

– Na Boga! ją ktoś napastuje! – rzekł Szremski.

I wszyscy trzej poskoczyli pędem ku niej.

– Co to jest? Kto pan jesteś?

A Marynia ujrawszy Grońskiego chwyciła go za ramię i drżąc cała, poczęła wołać:

– Do domu! niech mnie pan zabierze do domu!...

Groński zrozumiał w jednej chwili, że nic innego nie było do zrobienia i że trzeba się śpieszyć, gdyż inaczej Marynia może być zamieszana w grube uliczne zajście. Byk pewien, że Krzycki, w którym nagromadziły się ogromne zapasy żółci rozdrażnienia, przy swej porywczej naturze nie puści płażem napaśnikowi zaczepki – więc, odwiódłszy na bok

dziewczynę wsadził ją co prędzej do przejeżdżającej dorożki i siadłszy obok, kazał dorożkarzowi jechać do domu pani Otockiej.

– Już nic, już wszystko dobrze! – uspokajał po drodze przestraszoną Marynię. – Z domu damy znać, że próby dziś nie będzie – i na tym się skończy. Już nic – już nic!

I począł ścisnąć jej ręce, a po chwili zapytał: Ale kto to był i czego chciał?

– Pan Laskowicz – odpowiedziała Marynia – ja go nie poznałam od razu, ale on mi powiedział, kto jest.

Groński zaniepokoił się usłyszawszy nazwisko studenta, albowiem przyszło mu na myśl, że jeśli zajście z Krzyckim skończy się na policji, to dla Laskowicza mogą wynikać stąd następstwa wprost fatalne. Ale nie chcąc zdradzić się ze swym niepokojem przed Marynią i zarazem pragnąc ją tym lepiej uspokoić, zwrócił się do niej na wpół żartobliwie:

– Więc to był Laskowicz? To już rozumiem, czego chciał. Ach! ach!... Zaczyna ktoś grywać nie tylko na skrzypcach, ale i na duszach... Tylko czemu było się tak przestraszyć?

– Bo on i groził – odpowiedziała Marynia – okropnie wszystkim groził...

– Takich strachów tylko dzieci się boją.

– Prawda! Zwłaszcza że ja mam grać na głodnych, więc oni nie zrobią ani nikomu z nas, ani mnie nic złego?

– Na pewno nie! – potwierdził Groński.

Tak rozmawiając dojechali do domu. Groński oddał Marynię w ręce pani Otockiej, a gdy po chwili przybiegła i Hanka, opowiedział im, co zaszło. Musiał również uspokajać panią Otocką, która, wiedząc o listach, wzięła bardzo do serca całe zajście i zapowiedziała, że zaraz po koncercie wyjadą do Zalesina, a następnie za granicę. Po upływie pół godziny wyszedł – i na schodach spotkał Władysława.

– Chwała Bogu – rzekł – widzę, że nie skończyło się na policji. Czy wiesz, że to był Laskowicz?

– I mnie się zdawało – rzekł żywo Krzycki – ale ten miał jasne włosy. Jak się ma Marynia?

– Przestraszyła się trochę, ale już dobrze. Obie panie siedzą przy niej i chuchają na nią, jak na kurczę. Tak są nią zajęte, że pani Otocka zapewne cię nie przyjmie.

– I ja tak myślę, tym bardziej, jeśli o n a tam jest – odpowiedział z goryczą Krzycki. – Więc zostawię tylko kartę i zaraz wracam. Czy pan chce zaczekać na mnie?

– Dobrze.

Jakoż po chwili wrócił i gdy wyszli na ulicę począł mówić:

– Tak! I mnie się zdawało, że to Laskowicz, ale stropiła mnie jasna czupryna i okulary. Zresztą nie było czasu na rozmyśł.

– Słuchaj, tyś go tam niezawodnie wyczubił? – zapytał Groński.

A Krzycki odrzekł z niechęcią:

– Aż nadto, bo to chuchrak, a nie miał widocznie browninga. I czas jakiś szli w milczeniu, po czym Groński rzekł:

– Twoja matka potrzebuje kuracji, te panie wyjadą zaraz po koncercie, a panna Hanna zapewne z nimi. Ja bym ci radził, żebyś i ty o sobie pomyślał.

Krzycki machnął ręką.

A w tym samym czasie Laskowicz mówił na strychu w mieszkaniu „towarzyszki” do Polci:

– Pan Krzycki prawdziwy pan! Zbił mnie przed chwilą kijem za to, że się ośmieliłem do niej przemówić.

I począł się śmiać przez zaciśnięte zęby.

XXIII

Nadszedł dzień koncertu. Na sofie w gotowalni siostr leżała przygotowana już od wczesnej godziny wieczorna suknia Maryni, biała jak śnieg, lekka jak piana, przejrzysta jak mgła i pachnąca fiołkami, które miały stanowić jedyną jej ozdobę.

Przedtem pani Otocka i Groński odbywali nad tą suknią długie i poważne narady, oboje bowiem pragnęli gorąco, by umiłowane „bóstewko” zachwyciło nie tylko uszy, ale i oczy. – Tymczasem „bóstewko” kręciło się po wszystkich pokojach, to chwytając co chwila skrzypce i powtarzając trudniejsze pasaże, to odbierając pudełka cukierków, które nadsyłał Groński, to żartując z siostrą i zagadując strach przed pierwszym wystąpieniem publicznym. Strach ten ogarniał i panią Otocką, która pocieszała się tylko myślą, że Marynia będzie się wprawdzie trzęsła przy wejściu na estradę, ale z chwilą, gdy zacznie grać, o wszystkim zapomni. Wiedziała też, że kochaną skrzypaczkę czekają gorące owacje oraz liczne kosze kwiatów, przygotowane przez „Komitet Pomocy dla Głodnych” i przez znajomych. Mimo niepokoju, obie siostry czuły wielką radość w duszy, gdyż koncert zapowiadał się, z powodu zjazdu na sezon wyścigowy, świetnie i wiadomo już było, że przyniesie dochód nadzwyczajny. Marynia znalazła przy tym środek na swój strach: „Jak pomyślę – mówiła do siostry – że tyle oczu będzie na mnie patrzyło, to mam duszę na ramieniu, ale jak sobie przypomnę, że to nie chodzi o mnie, tylko o biednych, to się przestaję bać, więc poradzę sobie w ten sposób, że wychodząc, będę powtarzała po cichu: dla biednych! dla biednych! i wszystko pójdzie jak najlepiej”. –A gdy tak mówiła, głos jej drgał pocziwym wzruszeniem, gdyż młode jej serce odczuwało głęboko niedolę nędzarzy nie mających chleba i czuła się zarazem dumna i szczęśliwa na myśl, że przyjdzie im z pomocą. Doznawała pewnych wyrzutów sumienia nawet i z powodu nowej sukni, i z powodu nowych atlasowych trzewików, gdyż przychodziło jej do głowy, że i ten wydatek można by obrócić na chleb.

Koło południa przysłała Hanka i zabrała obie siostry do siebie na śniadanie. Groński, który był na nie proszony, nie stawiał się, gdyż o tej samej porze miał się spotkać z kilku

dziennikarzami. Marynia wzięła ze sobą skrzypce w zamiarze przegrania jeszcze po śniadaniu pierwszej części koncertu, a tymczasem czekając, zanim podadzą do stołu, poczęła z salonu Hanki wyglądać przez otwarte okno na ulicę.

Dzień był pogodny i jasny. W nocy spadł obfity deszcz, który potłumił kurzawę, obmył kamienie miejskie, odświeżył trawniki i opłukał liście na drzewach. Powietrze uczyniło się świeże i rześwe. Od dwóch akacji rosnących pod oknami mieszkania Hanki, które zasypywały naokół chodniki białymi jak śnieg płatkami, biła woń mocna i upajająca, jakby z kadzielnic. Marynia przymknęła oczy i poruszając swymi delikatnymi nozdrzami, napawała się nią z rozkoszą, po czym odwróciła się w głąb pokoju:

– Pachnie... – rzekła.

– Pachnie, kotku – odpowiedziała Hanka, przerywając rozmowę z panią Otocką – umyślnie kazałam pootwierać okna.

A akacje nie tylko pachniały, lecz zdawały się i śpiewać, albowiem obsiadł obie niezliczony sejm wróbli, tak że liście i kwiaty aż trzęsły się do świegotu.

Dziewczyna śledziła przez jakiś czas rozbawionymi oczyma drobne, ruchliwe ptaki, po czym uwagę jej zwróciło całkiem co innego: oto na chodniku po przeciwnej stronie poczęły się zbierać i zatrzymywać gromadki ludzi, które podnosząc głowy przypatrywały się pilnie oknom mieszkania Hanki.

Jacyś nędznie przybrani ludzie rozmawiali ze stróżem stojącym przed bramą, widocznie go o coś wypytując. Gromadki stawały się co chwila liczniejsze i wraz z przechodniami, których zatrzymywała ciekawość, zmieniły się w tłum wynoszący kilkaset głów. Marynia odskoczyła od okna.

– Patrzcie – zawołała – co się dzieje na ulicy. Oj! oj!... może to moi biedni przychodzą mi z góry dziękować? Co ja

zrobię, jeśli tu przyjdą, co im odpowiem?... Nie potrafię nigdy... Chodźcie, zobaczcie!

I tak mówiąc pociągnęła siostrę i Hankę do okna. Trzy młode głowy wychyliły się na ulicę, ale w tejże chwili stała się rzecz niepojęta. Jakiś obdarty wyrostek wy dobył z kieszeni kamień i puścił go z całej siły w otwarte okno. Kamień przeleciał nad głową pani Otockiej, odbił się o przeciwną ścianę i upadł z hałasem na posadzkę. Hanka, Marynia i pani Otocka odskoczyły od okna i poczęły patrzeć na się pytającym i przerażonym wzrokiem.

Tymczasem na ulicy rozległy się wściekle okrzyki; tłuszcza runęła w bramę; na schodach rozległ się gwałtowny tupot kroków, po czym w mgnieniu oka drzwi wiodące do pokoju pękły z łoskotem i motłoch złożony z chrześcijan, a w części z żydów napelnił mieszkanie.

– Precz z utrzymanką! dawaj! wal! tłucz! – wyły ochryple głosy.

– Na miłość boską! ludzie, czego tu chcecie?! – wołała Hanka.

– Precz z utrzymanką! przez okna! na ulicę.

W jednej chwili zwalono na ziemię i skopano nogami niemłodego sługę śpieszącego paniom na ratunek. Wśród przeraźliwych wrzasków, którymi czerń podniecała się coraz bardziej, rozpętało się ludzkie zwierzę. Rozczochrane kobiety, plugawe wyrostki z piętnami zbrodni na zwyrodniałych rysach i wszelkiego rodzaju obszarpańcy o pijackich twarzach rzucili się na meble, dywany, kotary i na wszystko, co im popadło w ręce. W mieszkaniu zapanowała orgia zniszczenia. Pokoje napelniły się czadem potu i wódki. Motłoch szalał, łamał, rozbijał, kradł. Na ulicy pod oknami utworzyły się stopy potrzaskanych mebli. Wyrzucono nawet fortepian. Wreszcie jakiś drab z ospowatą twarzą chwycił skrzypce Maryni i zamachnął się, chcąc je zdruzgotać o mur.

Lecz ona poskoczyła im na ratunek i chwyciła go obu rękami za pięść:

– To moje! to moje!... ja na biednych!...

– Puszczaj!...

– Nie puszczę!... to moje!...

– Puszczaj, ścierwo!...

– To moje...

Buchnął strzał i jednocześnie rozległ się okropny krzyk pani Otockiej. Marynia stała przez chwilę z podniesionymi rękoma i przechyłoną w tył głową, po czym zachwiała się i padła na wznak w ramiona Hanka.

Strzał i morderstwo przeraziły motłoch. Tłum umilkł, a po chwili począł uciekać, zdjęty panicznym strachem.

XXIV

Pani Krzycka, Otocka i Hanka, a z nimi Groński, Władysław i doktor Szremski otaczali łóżko, na którym leżała po operacji i wyjęciu kuli Marynia. Drugi doktor, chirurg, i jego pomocnik siedzieli opodal, czekając na rozbudzenie się chorej. W pokoju napełnionym zapachem jodoformu panowała głęboka cisza.

Marynia rozbudziła się poprzednio zaraz po ukończeniu operacji, lecz odurzona jeszcze chloroformem i osłabiona utratą krwi, zasnęła niebawem ponownie. Śliczna jej głowa leżała nieruchomie na poduszce, oczy miała zamknięte, a twarz tak woskową i przezroczystą, jakby była już martwa. W pani Otockiej i w Grońskim, który dopiero obecnie zmierzył w sobie ogrom miłości dla tego dziecka, skowyczała rozpacz tym cichym, strasznym skowytem, który rwie, szarpie i rozdziera piersi, a boi się wydostać na zewnątrz. Oboje spoglądali raz po raz z przerażeniem na

doktora Szremskiego, który od czasu do czasu badał puls Maryni, ale widocznie, sam niepewny, czy ten sen nie będzie ostatnim, kiwał tylko głową szepcząc, że puls bije jeszcze, i przykładał palec do ust na znak milczenia.

Wszelako obawy były na razie płonne, gdyż po upływie godziny brwi Maryni poczęły się podnosić, drgać, a po chwili otworzyła oczy. Wzrok jej był z początku tępy i nieprzytomny. Z wolna jednak ustępowało odurzenie, a wracała świadomość, zarówno tego wszystkiego, co zaszło, jak i chwili obecnej. Na twarzy jej pojawił się wyraz zdumienia i takiego rozżalenia, jakie odczuwa dziecko, które ukarano okrutnie a niesłusznie. Wreszcie zaćmiły się jej źrenice i dwie łzy spłynęły po policzkach.

– Za co?... za co? – wyszeptała bladymi ustami.

Pani Otocka siadła przy niej i położyła dłoń na jej rękę. Grońskiego chwyciła chęć rzucić się na ziemię i bić głową o podłogę, a chora pytała dalej zdziwionym i żalnym szeptem: – Za co?... za co?...

Bóg jeden mógł odpowiedzieć na to pytanie. Ale tymczasem zbliżył się doktor i rzekł:

– Niech pani nic nie mówi: to szkodzi.

Więc umilkła, ale wyraz rozżalenia nie schodził jej z twarzy i łzy płynęły dalej.

Siostra poczęła jej je ocierać powtarzając przy tym stłumionym głosem:

– Maryniu, Maryniu, uspokój się... ty będziesz zdrowa... nie jesteś niebezpiecznie ranna... nie, nie! doktor zaręcza...

Marynia podniosła na nią oczy, jakby chcąc odgadnąć, czy mówi prawdę. Zdawało się jednak, że słucha słów siostry z pewną otuchą.

Potem rzekła:

– Duszno...

Szremski otworzył w pokoju okna. Na dworze był wieczór

pogodny i gwiaździsty. Fala świeżego powietrza wniosła zapach akacji.

Chora leżała przez jakiś czas spokojnie, lecz nagle poczęła znów szukać kogoś oczyma i zapytała:

– Jest pan Groński?

– Jestem kochanie, jestem...

– Pan... mnie... nie da? Prawda?

Grońskiemu wydało się w tej chwili, że otacza go głęboka noc i że wśród nieprzebitej ciemności. odpowiada jakimś cudzym głosem:

–Nie, nie!

A ona mówiła z przestachem w coraz bardziej blednącej twarzy:

– Ja nie chcę umrzeć... ja się boję...

I znów z oczu poczęły jej kapać łzy – łzy bezradności, łzy skrzywdzonego dziecka.

Wejście księdza przerwało straszną chwilę. Był to ten sam stary kanonik, krewny Krzyckich i Zbytłowskich, który poprzednio spowiadał panią Krzycką. Zbliżywszy się siadł przy łóżku Maryni i pochylił się ku niej z dobrym i pełnym otuchy uśmiechem:

– Jak się masz, dziecko kochane? – rzekł. – Ach, niegodziwcy!... Ale Pan Bóg od nich mocniejszy i wszystko będzie dobrze. Przyszedłem zapytać się tylko o twoje zdrowie. Chwała Bogu, że kula już wyjęta, teraz tylko trzeba cierpliwości, a ty będziesz cierpliwa, prawda?

Marynia mrugnęła oczyma na znak, że tak.

Staruszek zaś mówił dalej, rzeźwiącym i jakby rozweselonym głosem:

– A co! wiedziałem, że będziesz. Teraz powiem ci, że jest coś, co często pomaga lepiej od wszelkich lekarstw i opatrunków. A wiesz co? – sakramenta! Ho! ile razy to ja w życiu widziałem, że ludziom, którzy byli o włos od śmierci, po spowiedzi, komunii i namaszczeniu robiło się zaraz

lepiej, a potem przychodzili całkiem do zdrowia. Tobie, mój gołąbku, do śmierci zapewne daleko, ale skoro to chrześcijański obowiązek, który i duszy, i ciału pomaga, to trzeba go spełnić. Dobrze dziecko?...

Marynia znów zmrużyła oczy na znak zgody.

Obecni wyszli z pokoju i wrócili dopiero na odgłos dzwonka, by być świadkami komunii. Chora po przyjęciu jej leżała czas jakiś z przymkniętymi powiekami i cichą jasnością w twarzy; po czym nadeszła chwila ostatniego namaszczenia.

W pokoju zgromadziła się, prócz obecnych poprzednio, cała służba domowa i wszyscy tłumiąc tkanie słuchali zwykłej przed obrzędem modlitwy:

„Panie Jezu Chryste, któryś rzekł przez swego apostoła, świętego Jakuba: «Choruje kto między wami? – niech wwiedzie kapłany kościelne, niech się modlą za nim, pomazując go olejem w imię Pańskie». Błagamy Cię, Panie Boże, Odkupicielu nasz, łaską Twego Ducha Świętego zlituj się nad tym chorym; uzdrow jego rany, odpuść grzechy i oddal od niego wszystkie bóle duszy i ciała, a w miłosierdziu twoim zupełne mu zdrowie przywróć, aby łaską Twą wrócony do życia, mógł znów oddawać się dobrym uczynom – o Ty, który będąc Bogiem, żyjesz i królujesz z Ojcem i Duchem świętym, przez wszystkie wieki wieków – amen!”

Ksiądz zdawał się spieszyć. Prędko wziął naczynie stojące między dwoma świecami pod krucyfiksem i zbliżywszy się do chorej wyszeptał drugą, wskazaną rytuałem, krótką modlitwę, a jednocześnie począł kłaść święte oleje. Więc, dotknął naprzód powiek dziewczyny mówiąc: „przez to święte namaszczenie i swoje najśłodsze miłosierdzie, niech ci Bóg odpuści wszystkie grzechy, które popełniłaś zmysłem widzenia” – potem namaścił jej uszy; by zgładzić grzechy, które mogła popełnić słuchem, potem usta, potem, podobne

do dwóch białych lili, ręce, które dziś właśnie miały grać dla biednych; a potem błogosławił ją całą od stóp do głów – już z wszelkiej zmyzy oczyszczoną i już naprawdę tak anielską i niepokalaną, jak lilia polna...

Upłynęło pół godziny. Obecny zdało się, że chorą ogarnia znów sen. Ale ona otworzyła niespodzianie szeroko oczy i zawołała mocniejszym, jakby radosnym głosem:

– Ile chleba!... ile chleba!... I zgasła cicho.

* * *

Głęboką już nocą, jakiś młody człowiek przyszedł pod bramę i zapytał odźwiernego, czy panienka żyje jeszcze, ale usłyszawszy, że zmarła, odszedł w milczeniu.

W godzinę zaś później, na strychu jednego z domów na Powiślu buchnął strzał browninga i napełnił przerażeniem zbudzonych nagle ze snu mieszkańców. Ludzie z sąsiednich izb zbiegli się na miejsce wypadku. Odbito zamknięte drzwi pokoju, lecz wszelka pomoc okazała się daremną. Na łóżku leżał z przestrzeloną piersią trup studenta.

Posępna i tragiczna dusza uleciała już w ciemność.

XXV

Pokój, w którym zmarła Marynia, zamieniono w żałobną świetlicę. Trumna stała na środku, wysoko, wśród gorejących świec i całego lasu krzewów i kwiatów, których nagromadziło się tyle, że nie tylko sama świetlica, ale nawet przedsiónek i schody były nimi zapełnione. Trumna byka jeszcze otwarta i w blaskach dnia, pomieszanych ze światłem gromnic, widać było Marynię przybraną w tę samą suknię, w której miała wystąpić na koncercie. Metalowy krzyżyk, który trzymała w złożonych rękach, błyszczał jak świetlisty punkt na ciemnym tle roślin. Twarz miała

zamysłą, ale bez najmniejszego śladu cierpienia i – zarazem jakby zasłuchaną w jakieś głosy, dźwięki i tony, dla śmiertelnych niedosłyszalne i nieuchwytnie.

Przez otwarte okna wpadał od czasu do czasu powiew, gasząc tu i ówdzie chwiejne płomyki świec i szeleszcząc liśćmi krzewów. W akacjach przed domem świegotały zgiekliwie wróble, rzekłbys, opowiadając sobie gorączkowo, co się stało, a w mieszkaniu obok katafalku przepływała rzeka ludzka. Przychodzili z wieńcami robotnicy, na których korzyść miał się odbyć koncert, i na widok zamordowanej okrutnie dobroczynnej „panienki” odchodzili z ogniem w oczach i ze ściśniętymi pięściami. Wiadomość o potwornej i bezmyślnej zbrodni sprowadziła też całe gromady studentów, którzy postanowili nieść trumnę na ramionach. Tymczasem przesuwali się cicho naokół katafalku, spoglądając z piersią wezbraną współczuciem i żalem na srebrny, zwrócony ku niebu profil dziewczyny i mimo woli przypominając sobie słowa poety: „Na atłasie cicha, biała, rączki trzyma w krzyż”. Zgroza, oburzenie, ale zarazem i ciekawość poruszyły miasto jak długie i szerokie. Nawet ulicę przed domem zaległy duże tłumy – niespokojne, nie umiejące sobie wytłumaczyć, dlaczego taka rzecz się stała – i jakby przerażone myślą o tym, do czego dojść może w przyszłości i jakie jeszcze zbrodnie przyniesie oraz jakie ofiary jeszcze pochłonie niepewne jutro.

Zwłoki Maryni miały być odwiezione na kolej, a stamtąd do Zalesina, gdzie były groby Otockich. Zaraz po południu zdjęto z mar trumnę – wówczas, przed jej zamknięciem, przyszła dla pani Otockiej i dla Grońskiego straszna chwila ostatniego w życiu spojrzenia na tę ukochaną istotę, która im była światłem i słońcem. Gdyby była umarła z jakiejś choroby, rozpacz ich nie byłaby może mniejsza, lecz natomiast dla nich samych zrozumialsza. Ale ją

zamordowano! Zamordowano to dziecko słodkie i bezwonne właśnie wówczas, gdy chciało ludziom pomagać i gdy cieszyło się myślą o tej pomocy. Zamordowano tę wcieloną pieśń, ten wonny kwiat, zesłany przez Boga na radość ludziom. I w tym właśnie było coś, co już nawet nie mieściło się w kręgu rozpacz, lecz sięgało w krąg szaleństwa... Bo oto ostatnia chwila spojrzenia na to ukochanie, na tę młodość, na ten dziewczęcy urok, na tę białą ofiarę zbrodni i pomyłki, a potem nicość, ciemność pustka.

Lecz przesilony ból zabija sam siebie jak skorpion, pokrywa pomroką umysł i każe krzepnąć krwi w żyłach. – Tak stało się z siostrą zabitej. Doktor Szremski długi czas nie był pewien, czy ją potrafi przywrócić do życia.

W przerażeniu i zamieszaniu prawie nie dostrzeżono, że do świetlicy wpadła jakaś obłąkana i skowycząc żałośnie, rzuciła się na ziemię. Wyprowadził ją Świdwicki z pomocą studentów i powierzył ją ich opiece.

Tymczasem zalutowano trumnę, którą młodzież wzięła na ramiona i kondukt wyruszył na kolej. Za nim pociągnął olbrzymi orszak, na końcu którego wlokły się puste karety. Coraz większe tłumy płynęły środkiem ulic i chodnikami – dopiero w pobliżu mostu ci, którzy przyłączyli się tylko przez ciekawość, zaczęli wracać do domów.

Do doktora Szremskiego zbliżył się Świdwicki i przez jakiś czas szli obaj w milczeniu, nie spostrzegając, że pozostają coraz bardziej w tyle orszaku.

– Pan znał nieboszczkę? – zapytał doktor.

– Otocki był moim krewnym.

– Ach, panie, co to za straszna jakaś pomyłka!

A Świdwicki wybuchnął:

– To nie jest żadna pomyłka. To logiczne następstwo czasów, które nadchodzą i w których takie wypadki staną się zwykłym, codziennym biegiem rzeczy.

– Jak to pan rozumie?

– Tak, jak należy rozumieć. Ta trumna ma większy sens, niż się zdaje. To zapowiedź. Pomyłka? Nie! Oto grzebiemy dziś harfę, która chciała grać dla ludzi, a którą podeptał brudnymi nogami motłoch... Poczekaj pan!... Niech tak dalej pójdzie, a za dziesięć czy dwadzieścia lat, kto wie, czy nie będziem tak grzebać nauki, sztuki, kultury, ba, całej cywilizacji. I to nie tylko u nas, ale wszędzie. Będzie nieskończony szereg takich wypadków... Mnie to zresztą wszystko jedno, ale – to zupełnie możliwe.

Doktor żuł przez jakiś czas w milczeniu słowa Świdwickiego, wreszcie zawołał:

– Ach, oświaty, oświaty, oświaty!

Świdwicki zaś zatrzymał się, chwycił Szremskiego za kłapę od surduta i potrząsnąwszy swą koźlą brodą, rzekł:

– Posłuchaj pan ateisty, a przynajmniej człowieka, który z żadną religią nie ma nic do czynienia: oświata bez religii wyhoduje tylko złodziei i bandytów.

Kondukt wstrzymał się na chwilę z powodu zapchania drogi, więc rozmawiając zbliżyli się znów do trumny; jednakże Świdwicki zniżył tylko głos, ale nie przestał gadać.

– Tak, panie... Wielu ludzi myśli tak samo jak ja, tylko nie ma odwagi głośno tego powiedzieć. Zresztą, powtarzam, że to mi wszystko jedno, bo co do nas – zginęliśmy bez ratunku. U nas są tylko wiry... I to nie wiry na toni wodnej, gdzie poniżej jest głębia spokojna, ale wiry z piasku. Teraz wicher dmie od Wschodu i jałowy piasek zasypuje naszą tradycję, naszą cywilizację, naszą kulturę – całą Polskę – i zmienia ją w pustynię, na której giną kwiaty, a żyć mogą tylko szakale. Tu wskazał na trumnę Maryni.

– I ot kwiat, który uwiadł. Czy pan wiesz, dlaczego ja u nich, chociaż to moje krewne rzadko bywałem. Dlatego, żem się wstydził jej oczu.

Doszli do dworca i wyszli na peron, z którego widać było przybrany w kwiaty i w gałęzie świerków wagon.

– Jedziesz pan do Zalesina? – zapytał doktor.
– Jadę. Chcę jeszcze popatrzeć na Otocką, z którą Bóg wie co się teraz stanie. A patrz pan, jak wygląda i Groński! Dziad – co? Nie pomoże mu teraz jego łacina i jego książki.
– Kto by tego nie odczuł – odpowiedział doktor. – Krzycki również wygląda, jak z krzyża zdjęty.
– Krzycki? Ale może dlatego, że małżeństwo jego zerwane?
Dalszą rozmowę przerwała im orkiestra, która poczęła grać marsz pogrzebowy Szopena.

XXVI

Doktor Szremski wróciwszy do hotelu począł rozmyślać nad słowami Świdwickiego, które głęboko utkwily mu w pamięci. Przed oczyma przesuwały mu się obrazy konduktu pogrzebowego i tej trumny z ofiarą zamordowaną przez tych, dla których chciała czynić dobrze. „Tak, tak, mówił sobie, to niby pomyłka, ale podobne pomyłki są istotnie logicznym następstwem rozpamiętania ślepych zwierzęcych instynktów. Trzeba przyznać, że w tej chwili zlatujemy na złamanie karku do jakiejś bezdennej przepaści, I to nie tylko my. – Ale czy wolno z tego wnioskować, że jak dziś odprowadziliśmy zabitą przez motłoch pieśń, tak za lat dziesięć, dwadzieścia czy pięćdziesiąt będziemy świadkami pogrzebu nauki, kultury i cywilizacji? Pozornie – tak. Najwyższy czas, żeby Bóg, który rządzi światem, złożył jakiś nowy dowód, że nim istotnie rządzi. Powinno zagrznieć tak, żeby się aż ziemia zatrzęsła – czy co?... Ludzkość zaczyna wstępować na drogę wprost przeciwną całej naturze... Bo całym wysiłkiem natury jest tworzyć jak najdoskonalsze osobniki i przez nie uszlachetniać gatunek, a ludzkość odwrotnie, zabija je tak, jak zabito tę anielską dziewczynę, lub chwyta je za włosy i ściąga z wyżyn do ogólnego poziomu. A jednakże jest to tylko pozór... Gdyby

inżynierowie postanowili rozkopać wszystkie góry i uczynić ziemię tak równą i gładką jak kula bilardowa, to przyszedłoby jakieś wstrząśnienie, przyszedłby jakiś wybuch wulkanu i wytworzył nowe przepaście i nowe szczyty. O aryjskim duchu można powiedzieć to, co rozkochani w ukojonych architektonicznych liniach Grecy mówili o rzymskich łukach: „łuk nigdy nie zaśnie”. Aryjski duch również. Ludzkość, która go posiada, nie potrafi płynąć do nieskończoności jedną falą, myśleć jedną myślą i żyć jedną ideą. To, co dziś jest – przejdzie. Na szczytach rozumu, uczucia i woli zrodzi się nowy wicher i spiętrzy nowe fale...” Tu myśli 8zremskiego zwróciły się widocznie do rzeczy bliższych i bardziej mu leżących na sercu, gdyż zaczął zaciskać pięści i chodzić wielkimi niespokojnymi krokami po pokoju:

„Czy jednak – mówił sobie – my ostaniem się wśród tych wstrząśnień, fal i wichrów? Wiry! wiry!... – i to piaskowe! Piasek zasypuje całą Polskę i zmienia ją w pustynię, na której żyją szakale?... Gdyby tak było, to choćby zaraz w łeb sobie strzelić... Ciekawym, co by powiedział o tym taki Groński... A jemu teraz piorun strzelił w głowę i nie ma co z nim gadać... Giniemy bez ratunku? – Otóż nieprawda! Pod tymi wirami, które się kręcą na, powierzchni naszego życia – jest coś, czego Świdwicki nie dojrzał. – Jest więcej niż gdzie indziej, bo jest bezdenne głębia cierpienia. Nie ma po prostu na świecie większego nieszczęścia niż nasze... U nas ludzie budzą się rano i idą z pługami w pole, idą do fabryk, do biur, za ławy sklepowe i do wszelkiego rodzaju pracy – w bólu. – Idą spać w bólu. Cierpienie – to wielka, bezbrzeżna jak morze roztocz, zaś wiry to tylko zmarszczki na tej roztoczy. A dlaczego tak cierpimy? Przecie zaraz jutro moglibyśmy odetchnąć, moglibyśmy być szczęśliwsi. Dość by każdemu powiedzieć Jej, tej Polsce, o której Świdwicki mówi, że ginie: "Zanadto mnie bolisz, zanadto mi dolegasz, więc się

Ciebie wyrzekam i od dziś, chcę o Tobie zapomnieć...” A jednak nikt tego nie mówi – nawet taki Świdwicki, który łże, że mu to wszystko jedno, nawet tacy, którzy rzucają bomby i mordują siostry i braci! A jeśli tak, jeśli wolimy cierpieć, niż Jej się wyrzec, to gdzie nam do szakalów i gdzie Jej do zguby! Szakale szukają ścierwa, nie cierpienia! Więc Ona żyje w każdym z nas, we wszystkich razem – i przeżyje wszystkie wiry na świecie. A my ściśniemy zęby i będziemy cierpieć dla Ciebie, Matko, dalej –i my – a jeśli Bóg tak zechce – to i nasze dzieci i nasze wnuki i nie wyrzeczemy się, nie tylko Ciebie, ale i nadziei.

Tu wzruszył się Szremski własnymi myślami, lecz w twarzy zajaśniała mu jakby zorza. Znalazł odpowiedź na te pytania, które mu wrzucił w duszę Świdwicki. Począł, chodząc, powtarzać: – „Dla niczego, dla żłudy i majaku, nikt by nie chciał cierpieć!” – Po czym widocznie przyszło mu do głowy, że cierpieć dla Niej, to jeszcze nie wszystko, bo jął zacierać ręce i zakasywać przez roztargnienie rękawy, jakby się chciał zaraz zabrać do jakiejś ważnej i pilnej roboty. Ale po chwili pomiarkował, że jest w hotelu, więc roześmiał się tylko szczerym, zwykłym sobie śmiechem – i rzekł głośno: – Ha! nie ma rady. Trzeba jutro wracać do mojej dziury i pchać taczkę dalej ...

I nagle westchnął:

– Do mojej samotnej dziury!..

Po czym, sam nie wiedział dlaczego, przypomniało mu się, co mu mówił Świdwicki, że małżeństwo Krzyckiego jest zerwane i myśli jego poleciały jak skrzydlate ptaki do Zalesina.

KONIEC

Postowie

Wiry Henryka Sienkiewicza, które oddajemy właśnie do rąk współczesnego czytelnika to – można śmiało stwierdzić – jedna z ostatnich już „białych plam” polskiej literatury, powieść dość gruntownie zapomniana, o której wspominało się – jeśli w ogóle – jedynie półgębkiem, powtarzając obiegowe przekonanie, iż są *Wiry* nieudanym łabędzim śpiewem starzejącego się już wielkiego pisarza, zgorzkniałego i odległego od rzeczywistości.

Tymczasem ani wnikliwa lektura książki, ani głosy prawdziwych znawców opinii tej nie potwierdzają. Julian Krzyżanowski w swej fundamentalnej pracy *Twórczość Henryka Sienkiewicza* pisze wprost ... jest ona (powieść) utworem jego najmniej znanym, zapomnianym, a jednak – jak się okaże – nie pozbawionym aktualności dzisiaj a więc w przeszło pół stulecia po jego powstaniu. Po czym, nazywając *Wiry* – *osobliwą powieścią polityczną*, dodaje, iż ma ona *niezwykłą fabulę romansową*.

Wszystko to prawda, choć aktualność *Wirów* polega dzisiaj, w roku 1990 na czym innym, niż ta aktualność, jaką miał na myśli Krzyżanowski, piszący swą monografię po roku 1956. Powiedzmy więc od razu, że są *Wiry* reakcją Sienkiewicza na rewolucję 1905 roku (pierwsze wydanie zwarte – 1910), którą starzejący się noblista zdecydowanie potępiał lub której – jak chcą inni – nie rozumiał. Powstała w sytuacji dużego zapotrzebowania na jego literacki, ale i polityczny komentarz niedawnych wydarzeń. Zwłaszcza iż autor *Potopu* udzielał się, w poprzedzających latach, na polu politycznym właśnie (choć nie jako działacz), dawał się kokietować endecji, która chciała go zrobić posłem do Dumy i uważała za kogoś w rodzaju patrona. Przyznawały

się również do Sienkiewicza i inne nurty polityczne, lecz on – zachował niezależność artystyczną i intelektualną, czego najlepszym dowodem mogą być właśnie *Wiry*. Powieść nie przyniosła bowiem Sienkiewiczowi uznania ze strony żadnego ze zwalczających się stronnictw. Autor *Quo vadis* ustawił się ponad ich sporami; potępił rewolucję ale również – wszelką ugodę z caratem, a ośrodkiem swej dyskursywnej refleksji uczynił nie którąś ze sprzecznych ideologii, lecz odwieczny problem sprzeczności dążeń (i praw) jednostki, klasy i narodu.

Również tak zwana szeroka publiczność czytająca nie przyjęła *Wirów* aż tak entuzjastycznie jak zazwyczaj. Owszem, powieść była drukowana w odcinkach w kilku dziennikach – w Warszawie, Poznaniu, Lwowie, Kijowie i... Chicago, ale wznowień książkowych nie było wiele. Przed rokiem 1939 *Wiry* ukazały się jeszcze dwukrotnie, nakładem Ossolineum (1932 i 1936). Można przypuszczać, iż współczesnego czytelnika, oczekującego raczej żywej, dramatycznej akcji i pełnego ekspresji obrazu rewolucji, odstręczał dyskursywny tok powieści.

Taką bowiem pisarską metodę wybrał tym razem Sienkiewicz, pisząc równocześnie „romans” i „powieść polityczną”, dodajmy – jedyną swą powieść naprawdę polityczną, choć realistyczny obraz 1905 roku jest więcej niż skromny, a polityka obecna jest w dyskursie właśnie i – dzięki niemu.

Pozostaje jednak fabuła romansowa, bodaj najniezwyklejsza, jaką stworzył autor Bez dogmatu, a przy tym – mimo całego sentymentalizmu właściwego epoce, nie pozbawiona elementów dramatycznych, a nawet obyczajowo drastycznych. Krzyżanowski wskazuje co prawda na powieść amerykańskiego pisarza Breta Harte'a Gabriel Conroy, na której mógł się Sienkiewicz wzorować, nie sądzę jednak, by był to wystarczający powód dla admawiania

historii miłości Władysława Krzyckiego i Anny Anney miejsca w historii literatury polskiej i świadomości czytelników.

A tak właśnie się działo przez wiele dziesięcioleci. Owszem, *Wiry* wydano w roku 1951 jako XXXV i XXXVI tom Pism zbiorowych (PIW), ale nie oznaczało to automatycznej obecności książki w księgarniach i bibliotekach. Wystarczy wspomnieć, iż książka ta ukazała się w nakładzie 3,5 tys. egzemplarzy i to w czasie, gdy *Krzyżaków* wydano w 200, a *Listy z podróży do Ameryki* w 374 tysiącach egzemplarzy!

Są więc do dziś *Wiry* powieścią nieobecną, białą plamą właśnie i obecne wydanie stara się tę lukę wypełnić. Opieramy niniejsze wydanie na pierwodruku z roku 1910 (jedyne pełne wydanie za życia autora, które ukazało się w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa), starannie jednak przejrzanym i porównanym z edycją Krzyżanowskiego. Uwspółcześniona została ortografia i interpunkcja, poprawiono drobne błędy, nie wszystkie jednak, gdyż Sienkiewicz popełnia pewne niekonsekwencje w budowie czasu akcji. W tym przypadku interwencja redaktora sięgałaby zbyt daleko.

Oddajemy *Wiry* do rąk czytelników z głębokim przekonaniem, iż wszystkie kontrowersje, które i dziś mogą powstać wokół tej powieści, wszelkie dyskusje, zachwyty i abominacje muszą mieć za swe źródło – powszechnie dostępny tekst. Henryk Sienkiewicz jest pisarzem na tyle ważnym, by nawet skromniejsze jego utwory stale były obecne na rynku księgarskim. A niezależnie od wszystkiego: to naprawdę niezwykle ciekawa książka!

Władysław Zawistowski